

HAMMOND INNES

**Ziemia, którą Bóg dał
Kainowi**

Tytuł oryginału THE LAND GOD GAVE TO CAIN

(tłum. Stanisław Zieliński)

1992

Przedmowa autora

„Ziemia, którą Bóg dał Kainowi” jest wynikiem dwóch moich podróży na Labrador. Pierwsza odbyła się w roku 1953, tuż przed wielkimi mrozami. W owym czasie Kolej Rudy Żelaznej była jeszcze w budowie, gdyż położono tory w kierunku północnym tylko do Mili 250. Obejrzałem tę linię w całości, od stacji końcowej w Seven Islands nad rzeką Św. Wawrzyńca aż po obóz geologiczny przy Burnt Creek, o 400 mil w głąb kraju, mieszkałem w bazach odcinkowych, podróżowałem najpierw pociągami i drezynami, potem ciężarówkami, samochodami i pieszo, a w końcu wodnopłatowcami puszczańskich pilotów, a nawet helikopterem.

To, że mogłem przemierzyć takie obszary i tak gruntownie obejrzeć kraj, który niewielu białych widziało przed zbudowaniem kolei, zawdzięczam przede wszystkim Kanadyjskiej Kompanii Rudy Żelaznej oraz Kolei Quebec - Północne Wybrzeże i Labrador, i jestem bardzo zobowiązany tym instytucjom za zapewnienie mi wyjątkowych udogodnień oraz za to, że z taką uprzejmością nalegały, abym był ich gościem w obozach.

Po uzyskaniu tych udogodnień było już moją rzeczą dać sobie jakoś radę, i w tym nie byłem nigdy pozbawiony przyjaciół - szczególnie spośród inżynierów, między którymi żyłem. Poza tym byli też piloci, radiotelegrafści i sami robotnicy; wszyscy bez wyjątku zadawali sobie wiele trudu i narażali się na osobiste niewygody, aby ukazać mi możliwie najpełniejszy obraz tego zadziwiającego przedsięwzięcia. Są oni zbyt liczni, by ich wymieniać indywidualnie, lecz na wypadek, gdyby mieli czytać te słowa, pragnąłbym, aby wiedzieli, że wspominam ich żywo i serdecznie, bo byli prawdziwymi ludźmi. Chciałbym też podkreślić, że o ile musiałem tu użyć pewnych tytułów administracyjnych, to nazwiska i charakterystyki osób zajmujących te stanowiska w książce, jak również ich czyny, są całkowicie zmyślane.

Drugie odwiedziny nastąpiły w trzy lata później, kiedy książka była już na wpół ukończona. W drodze do kraju Eskimosów, na północno-zachód od Zatoki Hudsona, zatrzymałem się w Goose - przede wszystkim, ażeby sprawdzić mój opis tej odosobnionej społeczności, a także, by opracować odpowiednio łączność radiową wyprawy. Tam pan Douglas Ritcey z Radio Goose, który sam jest krótkofalowcem, okazał mi wielką pomoc i pragnąłbym tu zanotować, że pozwolił mi posłużyć się swym własnym wyposażeniem radiowym przy opisie sprzętu Leddera.

Ogółem przebyłem 15 000 mil w poszukiwaniu materiałów do tej książki i była to jedna z moich najbardziej interesujących wędrówek. Mam szczerą nadzieję, że w wyniku tego udało mi się odtworzyć obraz jednej z ostatnich budowanych jeszcze wielkich kolei, rodzaju ludzi, którzy ją budowali, a także - co nie jest najmniej ważne - dać pewne pojęcie o posępnym i surowym charakterze samego Labradoru.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Wiadomość radiowa

- Pan się nazywa Ian Ferguson? - Pytanie to zostało mi rzucone z chmury kurzu; podniosłem głowę znad teodolitu i ujrzałem jeden z Land-Roverów przedsiębiorstwa, który zatrzymał się za mną. Motor warczał, a kierowca wychylił swoją poczerwieniałą od słońca twarz zza szyby przedniej. - W porządku. Wskakuj pan. Wzywają pana do biura.

- O co to idzie?

- Nie wiem. Powiedzieli, że pilne, i przysłali mnie po pana. Pewnie coś pan pokręcił z poziomami i tor startowy wypadł krzywo - wyszczerzył zęby. Stale próbował podkręcać młodych inżynierów.

Wpisałem cyfry do notatnika, krzyknąłem do człowieka trzymającego drążek, że to nie potrwa długo i wsiadłem do auta, po czym odjechaliśmy po nierównym gruncie, ciągnąc za sobą smugę pyłu.

Biuro Kompanii znajdowało się w miejscu, gdzie stary tor startowy kończył się, a nasz nowo budowany zaczynał. Był to duży drewniany barak o dachu z blachy falistej, a kiedy wszedłem do środka, poczułem gorąco jak w piecu, bo tamtego roku we wrześniu było w Anglii bardzo upalnie.

- No, jest pan nareszcie. - Pan Meadows, naczelny inżynier, wyszedł mi na spotkanie. - Przykro mi, ale mam dla pana niedobre wiadomości. - Huk startującego samolotu zatrzęsł barakiem i poprzez ów hałas dosłyszałem dalsze słowa: - Telegram do pana. Właśnie przekazali go przez telefon. - Wręczył mi kartkę papieru.

Wziąłem ją z nagłym złym przeczuciem. Wiedziałem, że to musi dotyczyć mojego ojca. Depesza była napisana ołówkiem: Przyjeżdżaj natychmiast. Ojciec bardzo źle. Całuję. Matka.

- Czy pan nie wie, kiedy jest następny pociąg do Londynu?

Zerknął na zegarek.

- Za jakieś pół godziny. Może pan jeszcze zdążyć. - W jego głosie brzmiało niezdecydowanie. - Zdaje się, że pan miał już urlop ze trzy miesiące temu w związku z ojcem. Czy pan jest pewien, że to coś poważnego? To znaczy...

- Bardzo żałuję, ale muszę jechać. - A potem ponieważ milczał, uznałem, że powinienem mu to wyjaśnić. - Mój ojciec był ciężko ranny na wojnie podczas lotu

bombowego. Był radiotelegrafistą i dostał odłamkiem granatu w kark. Ma sparaliżowane nogi i nie może mówić. Mózg też był uszkodzony.

- Bardzo mi przykro. Nie wiedziałem. - W bladych oczach pana Meadowsa pojawiło się współczucie - Oczywiście, że pan musi jechać. Dam panu Land-Rovera, żeby pana odwiózł na stację.

Udało mi się zdążyć na pociąg i w trzy godziny później byłem w Londynie. Przez całą drogę myślałem o ojcu i żałowałem, że nie mogę go sobie przypomnieć takim, jakim był w czasach mojego dzieciństwa. Ale nie mogłem. Ten okaleczony, bezmowny wrak ludzki, obok którego dorastałem, przesłaniał wszystkie moje wcześniejsze wspomnienia i pozostało mi tylko ogólne wrażenie krzepkiego, dobrego człowieka. Miałem zaledwie sześć lat, kiedy wstąpił do RAF-u i poszedł na wojnę.

Kiedy byłem w domu, przychodziłem czasem do niego i siadywaliśmy razem w tym pokoju na piętrze, gdzie miał radio. Jednakże ojciec żył we własnym świecie i chociaż porozumiewał się ze mną za pomocą kartek, zawsze miałem wrażenie, że mu przeszkadzam. Sąsiedzi uważali go za trochę pomyłonego, i poniekąd sprawiał takie wrażenie przesiadując dzień po dniu w swoim fotelu na kółkach i nawiązując łączność z innymi krótkofalowcami. Utrzymywał kontakt głównie z Kanadą i raz, kiedy zaciekawiony tym zacząłem wypytywać o przyczynę, ogarnęło go podniecenie; z jego zmasakrowanej krtani dobieły się dziwaczne, bezładne odgłosy, a duża, ciężka twarz poczerwieniała z wysiłku, jaki czynił, aby mi coś wyjaśnić. Pamiętam, iż poprosiłem go żeby napisał to, co chce powiedzieć, ale podana mi przezeń kartka brzmiała po prostu: „Zanadto skomplikowane. To długa historia”. Oczy jego powędrowały ku półce, na której trzymał książki o Labradorze, a twarz przybrała dziwnie zawiedziony wyraz. I potem, ilekroć byłem u niego, zawsze miałem w pamięci fakt, że są tam owe książki i wielka mapa Labradoru wisząca na ścianie nad nadajnikiem. Nie była to mapa drukowana. Narysował ją sam, kiedy przebywał w szpitalu.

Myślałem o tym wszystkim spiesząc dobrze znaną ulicą i zastanawiałem się, czy jest jakaś istotna przyczyna jego zainteresowania Labradorem, czy też wiąże się to z jego stanem umysłowym. Pocisk mu rozorał czaszkę i lekarze mówili, że mózg jest trwale uszkodzony, chociaż robili, co mogli, żeby ojca wyleczyć.

Słońce już zaszło i cała nasza strona ulicy była pogrążona w cieniu, tak że przypominała zwarty ceglany mur. Ta jednolitość zasmucała mnie i nieświadomie zwolniłem kroku wspominając tamten pokój i klucz Morse'a na stole, i to jak ojciec uparł się, aby wymalowano na drzwiach znak wywoławczy jego stacji. Matka nie rozumiała go w gruncie

rzeczy. Nie miała jego wykształcenia i nie mogła pojąć, jak rozpaczliwie potrzebny mu był ten pokój radiowy.

Chyba wtedy wiedziałem, że już nigdy nie zobaczę go w tym pokoju. Furtka i drzwi naszego domu były pomalowane na czerwono i tylko to odróżniało go od sąsiednich; kiedy zbliżałem się, zauważyłem, że zasłony w oknach na górze są zapuszczone. Matka podeszła do drzwi i przywitała mnie spokojnie.

- Dobrze, że przyjechałeś. - Nie płakała. Po prostu wyglądała na zmęczoną, nic więcej.
- Widziałeś zasłony, prawda? Napisałabym o tym w depeszy, ale nie byłam pewna. Poprosiłam panią Wright z sąsiedztwa, żeby ją nadała. Ja musiałam czekać na doktora.

Głos miała martwy, nie było w nim wzruszenia. Dotarła do kresu długiej drogi.

U wejścia na schody powiedziała:

- Pewnie chciałbyś go zobaczyć. - Poprowadziła mnie prosto do zaciemnionego pokoju i zostawiła tam. - Zejdź na dół, jak będziesz gotów. Naszykuję ci herbatę. Musisz być zmęczony po podróży.

Leżał rozciągnięty na łóżku, a bruzdy jego twarzy, tak głęboko wyorane przez lata cierpienia, zdawały się wyglądkowane jakimś cudownym sposobem. Rzekłbyś, osiągnął wreszcie spokój i w jakimś sensie byłem dla niego rad. Stałem tam długo, rozmyślając o jego zmaganiach, widząc go jasno chyba po raz pierwszy jako dzielnego i odważnego człowieka. I wtedy zbudziło się we mnie rozgoryczenie i gniew na ciężki los, jaki mu zgotowało życie, i na tę niesprawiedliwość, że inni przechodzą przez wojnę nietknięci. Byłem dosyć wzburzony i w końcu ukląknęłam przy jego łóżku i próbowałam się modlić. A potem ucałowałam zimne, gładkie czoło i wyszedłem na palcach, aby zejść na dół do salonu, gdzie była matka.

Siedziała mając przed sobą stoliczek do herbaty i wpatrywała się w niego nie widzącymi oczyma. Wyglądała staro i bardzo krucho. Miała za sobą ciężkie życie.

- To prawie ulga, prawda, mamo?

Spojrzała wtedy na mnie.

- Tak, kochanie. Spodziewałam się tego, odkąd miał tamten atak przed trzema miesiącami. Gdyby był chciał po prostu leżeć w łóżku... Ale musiał wstawać co dzień i przetaczać się w swoim fotelu na kółkach do tego pokoju. I przesiadywał tam o każdej porze, zwłaszcza późnym wieczorem. Od jakiegoś tygodnia nie mógł oderwać się od radia.

A potem, nalewając mi herbaty, opowiedziała, jak to się stało.

- To było bardzo dziwne i nie przeszłoby mi przez myśl opowiedzieć o tym doktorowi. Nigdy by nie uwierzył i pewnie chciałby mi dać jakieś pigułki albo co. Na wet teraz nie jestem pewna, czy mi się nie przywidziało. Siedziałam tutaj i szyłam, gdy nagle usłyszałam,

że tatuś mnie woła. „Matko!” - zawołał, a potem jeszcze coś. Nie potrafię powiedzieć dokładnie, bo był w tamtym pokoju, a drzwi miał zamknięte jak zwykle. Ale przysięgłabym, że zawołał „Matko”, a kiedy weszłam do pokoju radiowego, zastałam go na nogach. Dźwignął się z fotela i twarz miał całą czerwoną i posiniałą z wysiłku.

- Jak to, więc stał o własnych siłach? - To było nie wiarygodne. Ojciec nie wstawał od lat.

- Tak. Stał oparty o stół i miał wyciągniętą prawą rękę. Chyba do ściany. Żeby się przytrzymać - dodała szybko. Następnie powiedziała: - Obrócił głowę, zobaczył mnie i próbował coś powiedzieć. A potem twarz skurczyła mu się z bólu. Wyrzucił z siebie jakiś zdławiony okrzyk i nagle ciało mu zwiotczało, i upadł. Nie wiem dokładnie, kiedy umarł. Ułożyłam go na podłodze starając się, żeby mu było wygodnie. - Zaczęła cicho płakać.

Podszedłem do niej, ona zaś przywarła do mnie; robiłem, co mogłem, żeby ją uspokoić, a przez cały czas obraz tego zmagania ojca trwał w moim umyśle.

- Co mu nagle kazało zrobić tak rozpaczliwy wysiłek? - zapytałem.

- Nic. - Spojrzała szybko na mnie z tak dziwnym, opiekuńczym wyrazem, że się zdumiałem.

- Przecież musiało coś być. I żeby tak odzyskać głos... nagle, po tylu latach...

- Nie mam pewności. Może mi się przywidziało. Chyba tak.

- Ale przed chwilą twierdziłaś z pewnością, że ciebie zawołał. Poza tym poszłaś przecież na górę. Więc musiał cię wołać. I zastałaś go na nogach; widocznie była jakaś ważna przyczyna.

- Ach czy ja wiem. Tatuś był taki. Nigdy nie dawał za wygraną. Doktor uważa...

- Czy kiedy weszłaś, miał na uszach słuchawki?

- Tak. Ale... Gdzie ty idziesz?

Nie odpowiedziałem, bo byłem już za drzwiami i wbiegałem na schody. Myślałem o mapie Labradoru. Matka zastała ojca stojącego przy stole, z ręką wyciągniętą ku ścianie - a właśnie na niej wisiała ta mapa. Albo może usiłował sięgnąć do półki z książkami. Stała pod mapą i były na niej tylko książki o Labradorze. Ojca fascynował ten kraj. Była to jego obsesja.

Na górze skręciłem w lewo i znalazłem się pod drzwiami z wymalowanym przez szablon napisem: STACJA G2STO. Było to coś tak znajomego, że kiedy pchnąłem drzwi, nie mogłem uwierzyć, że nie zastanę tam ojca siedzącego przy radiu. Ale fotel na kółkach był pusty, odstawiony pod ścianę, a biurko, przy którym ojciec zawsze siadywał, nienaturalnie

uporządkowane; zwykle stosy notatników, czasopism i gazet usunięto i poukładano równo na nadajniku. Przejrzałem je prędko, ale nie było żadnego polecenia, nic zupełnie.

Byłem tak pewny, że znajdę jakąś wiadomość albo przynajmniej jakąś wskazówkę, co się zdarzyło, że przez chwilę stałem bezradnie, rozglądając się po tym pokoiku, który tak długo był jego światem. Wszystko tu było dobrze mi znane, a jednak jakieś obce, bo zabrakło jego, by nadać temu sens. Tylko to się zmieniło. Cała reszta została - zdjęcia szkolne, czapki, fotografie z okresu wojny, części samolotów z podpisami lotników, którzy byli jego kolegami. A obok drzwi wisiała ta sama wyblakła fotografia mojej babki, Aleksandry Ferguson, o surowej twarzy bez uśmiechu, pożąłkłej nad ciasno zapiętym stanikiem.

Patrzyłem na nią i zastanawiając się, czy babka znalazła odpowiedź. Nieraz widziałem, jak ojciec rzucał okiem na tę fotografię czy może na rzeczy wiszące pod nią - zardzewiały pistolet, sekstans, złamane wiosło kajakowe i podarty worek brezentowy, a nad nim zjedzoną przez mole czapkę futrzaną? Aleksandra Ferguson była jego matką. Wychowała go i jakoś zawsze wiedziałem, że owe pamiątki pod fotografią pochodzą z północy Kanady, chociaż nie pamiętałem, by mi ktokolwiek to mówił.

Odrzebałem w pamięci niejasny obraz szarego, posępnego domu gdzieś na północy Szkocji i groźnej starej kobiety, co kiedyś przyszła do mnie nocą. Fotografia nie przypominała mi jej wcale, bo pamiętałem jedynie jakąś odcieleśnioną twarz, pochylającą się nade mną w migotliwym blasku świecy - twarz zimną, zaciętą, zasuszoną. A potem zjawiała się moja matka i obie zaczęły krzyczeć na siebie, dopóki nie wrzasnąłem ze strachu. Wyjechaliśmy nazajutrz rano i jakby za obopólną zgodą ani matka, ani ojciec więcej o niej nie napomknęli.

Spojrzałem znów na pokój, z wciąż jeszcze żywym wspomnieniem owej sceny. A potem popatrzyłem na radioodbiornik, na leżący obok niego klucz Morse'a i ołówek i tamto wspomnienie pierzchło. To były rzeczy, które dominowały nad całym jego życiem. Razem reprezentowały wszystko, co mu pozostało, i czułem, że jako syn powinienem go dostatecznie rozumieć, aby wyłuskać z nich to coś, co go popchnęło do tak nadludzkiego wysiłku.

Myślę, iż właśnie ołówek uprzytomnił mi, że czegoś tu brak. Powinien był być jeszcze dziennik radiowy. Zawsze prowadził ten dziennik. Oczywiście nie taki jak należy, po prostu zwykły zeszyt do ćwiczeń szkolnych, w którym zapisywał różne dane - częstotliwości poszczególnych stacji i pory ich transmisji, fragmenty prognoz meteorologicznych albo rozmów radiowych między statkami czy cokolwiek bądź z Kanady, a wszystko to przemieszane z małymi rysunekami oraz rzeczami, które mu przychodziły do głowy.

W szufladze stołu znalazłem kilka takich zeszytów, ale brakowało między nimi bieżącego. Ostatni w nich zapis nosił datę piętnastego września i wypełniał całą stronę bazgraniną, z której było prawie niepodobieństwem odczytać coś sensownego. Przeważały tam rysunki przedstawiające lwy, a w jednym miejscu ojciec napisał: „C2 - C2 - C2 - gdzie to jest, u licha?” Wpadły mi w oko słowa piosenki:

Zagubił się i odszedł na zawsze które ojciec obwiodł nazwami - Winokapau, Tishinaka-mau - Attikonak - Winokapau - Tishinakamau - Attikonak - powtarzającymi się niby coś w rodzaju ornamentu.

Przewracając wstecz kartki tych starych dzienników stwierdziłem, że wszędzie jest to samo: osobliwa mieszanina myśli i wyobrażeń, która uprzytomniła mi, jak bardzo był samotny w tym pokoju i jak rozpaczliwie zamknięty w sobie. Ale tu i ówdzie wychwyliłem daty i godziny, i stopniowo wyłonił się z tego jakiś obraz. Codziennie był tam zapis na godzinę dwudziestą drugą, niewątpliwie ta sama stacja nadawcza, bo po tym prawie zawsze występował znak wywoławczy VO6AZ, na jednej zaś stronie ojciec napisał: „VO6AZ nadaje jak zwykle”. Później pojawiło się nazwisko Ledder - „Ledder donosi” albo „Znowu Ledder” zamiast znaku wywoławczego. Słowo wyprawa powtarzało się kilkakrotnie.

Trudno opisać wrażenie, jakie sprawiały te chaotyczne stroniczki. Były tak niebywałą mieszaniną faktów i nonsensów, tego, co słyszał przez radio, i rzeczy które mu przychodziły do głowy - a wszystko pokreślone i na wół zamazane dziecinnyymi liniami, zawijasami, dziwnymi nazwami i rysunekami o kształcie lwów, które powtarzały się na każdej stronie. Psychiatra powiedziałby pewnie, że jest to symptomatyczne dla uszkodzenia mózgu, a jednak większość ludzi kreśli takie gryzmoły, gdy dużo pozostaje sam na sam ze swoimi myślami; poprzez to wszystko zaś przebiegała nić owych transmisji z VO6AZ.

Obróciłem się do stojącej za mną szafy na książki, zawierającej jego bibliotekę techniczną i wyjąłem stamtąd „Spis znaków wywoławczych krótkofalowców”. Wiedziałem, że są w niej spisani wszyscy krótkofalowcy-amatorzy na świecie, podzieleni na poszczególne kraje, z podaniem ich znaków wywoławczych i adresów. Ojciec kiedyś wyjaśniał mi system tych znaków. Przedrostek oznaczał miejsce. Na przykład G było przedrostkiem dla wszystkich krótkofalowców brytyjskich. Chciałem poszukać Kanady, ale książka otworzyła się prawie automatycznie na Labradorze i stwierdziłem, że VO6 jest właśnie przedrostkiem dla tego obszaru. Przy znaku VO6AZ widniały nazwiska „Simon i Ethel Ledder, zatoka Goose, pisać na adres oddziału Ministerstwa Transportu”.

Świadomość, że ojciec był w bezpośrednim kontakcie z Labradorem, przyciągnęła mnie znowu do mapy wiszącej nad nadajnikiem, a nazwy wypisane na ostatniej stroniczce

dziennika przebiegały mi wciąż przez głowę: Winokapau - Tishinakamau - Attikonak. Przypominało to pierwsze słowa poematu Turnera, a kiedy pochyliłem się ponad biurkiem zauważyłem, że ojciec porobił na mapie jakieś znaki ołówkiem. Miałem pewność, że nie było ich jeszcze, kiedy ostatnio siedziałem z ojcem w tym pokoju. Biegła tam kreska z indiańskiej osady Seven Islands nad rzeką Św. Wawrzyńca, kierując się na północ w sam środek Labradoru, a nad nią były wypisane ołówkiem litery Q.P.W.& L. Na prawo od niej, mniej więcej w połowie zakresłono puste miejsce na mapie i tutaj ojciec napisał słowa „Jezioro Lwa”, po których następował duży znak zapytania.

Właśnie zauważyłem napis „Jez. Attikonak” przy dużym, rozciągniętym jeziorze, kiedy drzwi za mną otworzyły się i usłyszałem czyjeś sapnięcie. Obróciłem się i ujrzałem matkę stojącą z przestraszeniem na twarzy.

- Co się stało? - zapytałem.

Odrężyła się jakby na dźwięk mojego głosu.

- Ale mnie przestraszyłeś... Przez chwilę myślałam... - Urwała i nagle uświadomiłem sobie, że właśnie w ten sposób stał mój ojciec, opierając się o stół, z ręką wyciągniętą do mapy Labradoru.

- To była mapa, prawda? - podniecała mnie nagła pewność, że właśnie mapa poderwała go na nogi.

Cień przemknął po twarzy matki. Jej spojrzenie padło na dzienniki rozrzucone na stole.

- Co ty tu robisz’?

Mnie jednak przypomniało się coś, co mi powiedział na lotnisku pewien kanadyjski pilot - coś o jakiejś wyprawie zaginionej na Labradorze i o poszukujących jej samolotach lotnictwa kanadyjskiego. Wzmianki o wyprawie w dziennikach ojca, mapa i jego obsesja na punkcie Labradoru, wreszcie ten nagły przestraszenie na twarzy matki - wszystko to cisnęło mi się razem do głowy.

- Mamo - powiedziałem. - Odebrał jakąś wiadomość, prawda?

Spojrzała na mnie, a potem jej twarz stała się nieprzenikniona.

- Nie wiem, o czym mówisz, mój drogi. Może zejdziesz na dół i dokończysz herbaty. Postaraj się o tym nie myśleć.

Ale ja potrząsnąłem głową.

- Owszem, wiesz, o czym mówię - odrzekłem i podszedłszy do niej wziąłem ją za rękę. Były zimne jak lód. - Co ty zrobiłaś z jego dziennikiem?

- Z jego dziennikiem? - Wpatrzyła się we mnie i czułem, że drży. - A czy nie ma tam wszystkich?

- Wiesz, że nie. Brak bieżącego. Co z nim zrobiłaś?

- Ależ nic, kochanie. Ty nie rozumiesz... byłam zanadto zajęta. To był okropny dzień... okropny... - Zaczęła cicho płakać.

- Proszę cię - powiedziałem. - Wszystkie dzienniki są tutaj z wyjątkiem bieżącego. Powinien był leżeć na stole obok klucza Morse'a. Ojciec zawsze go tam trzymał, a teraz go nie ma.

- Mógł go wyrzucić. Albo może zapomniał go prowadzić od jakiegoś czasu. Wiesz, jaki ojciec był. Jak dziecko.

Jednakże nie chciała mi spojrzeć w oczy i wiedziałem, że coś ukrywa.

- Co z nim zrobiłaś, mamó? - Potrząsnąłem nią lekko. - Otrzymał jakąś wiadomość. Coś wspólnego z Labradorem.

- Labrador! - To słowo niejako wybuchło z jej ust. Oczy jej się rozszerzyły i wbiła we mnie wzrok. - Ty także... Nie, byle nie ty! Proszę Boga. Byle nie ty. Przez całe życie... - głos jej ucichł. - A teraz zejdź i wypij herbatę, bądźże rozsądny. Ja już naprawdę nie mogę... Nie dzisiaj.

Pamiętam znużenie w jej głosie, jej błagalny ton - i to, jaki byłem okrutny.

- Nigdy go nie rozumiałaś, prawda, mamó? - Tak do niej powiedziałem i wierzyłem w to. - Gdybyś go rozumiała, wiedziałabyś, że tylko jedna jedyna rzecz mogła go zmusić do krzyku, dźwignięcia się na nogi i sięgnięcia do mapy. Bo przecież sięgał ręką do mapy, prawda?

Znów potrząsnąłem nią lekko, a ona wpatrywała się we mnie jak urzeczona. Wtedy jej powiedziałem o tamtych samolotach poszukujących wyprawy geologicznej zaginionej na Labradorze.

- Bez względu na to, co ojciec przeszedł w ciągu tych ostatnich paru lat, był nadal pierwszorzędnym radiotelegrafistą. Jeżeli odebrał od nich jakąś wiadomość... - Musiałem ją skłonić, by na to spojrzała z mojego punktu widzenia, by zrozumiała, jakie to mogło być ważne. - Życie tych ludzi mogło od tego zależeć - powiedziałem.

Z wolna potrząsnęła głową.

- Ty nie wiesz - szepnęła. - Nie możesz wiedzieć. - I dodała: - To wszystko było jego urojeniem.

- Więc odebrał jakąś wiadomość?

- Imaginował sobie różne rzeczy. Ty przebywałaś tyle poza domem... nie wiesz, co się działo w jego umyśle.

- Tego sobie nie uroił - odparłem. - To sprawiło, że nagle odzyskał głos. Poderwało go na nogi, a ten wysiłek go zabił.

Byłem rozmyślnie brutalny. Jeżeli ojciec zabił siebie czyniąc wysiłek, by uratować życie innych ludzi, to nie miałem zamiaru pozwolić, ażeby ten wysiłek poszedł na marne, bez względu na to, jakie matka miała powody, by go zataić.

- Słuchaj... bardzo mi przykro - rzekłem - ale muszę dostać ten dziennik. - A kiedy wpatrzyła się we mnie z jakąś niemą rozpaczą w oczach, dodałem: - Zapisał w nim tę wiadomość, prawda? Prawda, mamó? - Jej postawa doprowadzała mnie do desperacji. - Na miłość boską! Gdzie on jest? Proszę cię, mamó... musisz mi go pokazać!

Na jej twarzy pojawił się wyraz uległości; westchnęła cicho, ze znużeniem.

- Więc dobrze, łan. Jeżeli musisz go mieć... - Odwróciła się i powoli ruszyła do wyjścia. - Przyniosę ci go - Poszedłem za nią, bo miałem instynktowną obawę, że jeżeli tego nie zrobię, matka może go zniszczyć. Nie mogłem w ogóle zrozumieć jej stanowiska. Idąc za nią po schodach dosłownie wyczuwałem jej niechęć. Ukryła dziennik pod obrusami w szufladzie kredensu. Wręczając mi go zapytała: -Ale nie zrobisz żadnego głupstwa, prawda?

Ja jednak nie odpowiedziałem. Chwyciłem ów zeszyt do ćwiczeń i już siedziałem przy stole przerzucając kartki. Dziennik był podobny do innych, tyle że zapisy miał bardziej rzeczowe i z mniej licznymi gryzmołami. Słowo „poszukiwania” rzuciło mi się kilkakrotnie w oczy.

I oto nagle spoglądałem na ostatni zapis, wolny od wszelkich skreśleń: „CQ, CQ, CQ - do wszystkich stacji w paśmie 75-metrowym - ktokolwiek mnie słyszy - proszę się zgłosić - proszę się zgłosić. Odbiór”.

Miałem to przed oczami, zapisane zmęczoną ręką ojca, i rozpacz tego wołania odezwała się do mnie ze słów skreślonych niepewnie ołówkiem w tym zniszczonym szkolnym zeszycie. Pod spodem zaś napisał: „BRIFFE. To musi być on”. I datę oraz godzinę: „29 września, 13.55 - głos bardzo słaby”. Głos bardzo słaby! A niżej, z godziną 14.05: „Znów wywołuje. CO, CQ, CQ, etc. Wciąż żadnej odpowiedzi”. I wreszcie zapis ostatni: „Wywołuję teraz VO6AZ. Położenie nieznane, ale w promieniu 30 mil od C2 - sytuacja rozpaczliwa - ranni i bez ognia - Baird bardzo źle - Laroche poszedł - CQ, CQ, CQ - Ledwie go słyszę. - Szukać wąskiego jeziora (skreślone) - Powtarzam... wąskiego jeziora ze skałą w kształcie...” Tutaj tekst kończył się zygzakowatą kreską ołówka, jak gdyby jego koniec ześliznął się po papierze, kiedy ojciec robił wysiłek, by wstać.

„Ranni i bez ognia!” Siedziałem zapatrzony w te wypisane ołówkiem słowa, mając w umyśle żywy obraz wąskiego, samotnego jeziora i rannego człowieka, skulonego nad radiem. „Sytuacja rozpaczliwa”. Mogłem to sobie wyobrazić. Noce były pewnie przejmujące, za dnia nękały ich miliony much. Czytałem o tym w książkach ojca. A najważniejszej części brakowało - tego, co poderwało ojca na nogi.

- Co masz zamiar zrobić? - Głos matki był nerwowy, prawie przestraszony.

- Zrobić? - o tym nie myślałem. Wciąż jeszcze zastanawiałem się, co tak zelektryzowało ojca. - Mamo, czy ty wiesz, dlaczego tatuś tak się interesował Labradorem?

- Nie.

Zaprzeczenie było tak szybkie, tak zdecydowane, że popatrzyłem na nią. Twarz miała bardzo bladą, nieco błędną w zapadającym zmierzchu.

- Kiedy to się zaczęło? - spytałem.

- O, dawno. Jeszcze przed wojną.

- Więc nie miało nic wspólnego z tym, że go postrzelili? - Wstałem z krzesła, na którym przysiadłem. - Przecież musisz znać przyczynę. W ciągu tych wszystkich lat musiał powiedzieć ci, dlaczego...

Ona jednak odwróciła się.

- Idę przygotować kolację.

Patrzyłem za nią, gdy wychodziła, zaskoczony jej zachowaniem.

Kiedy zostałem sam, zacząłem znowu rozmyślać o tamtych ludziach zagubionych na Labradorze. Briffe - to było właśnie nazwisko, które wymienił mi Farrow w barze lotniska. Briffe był kierownikiem jakiejś wyprawy geologicznej i zastanawiałem się, co należy uczynić w takim przypadku. A jeśli tej wiadomości nie odebrał nikt oprócz mojego ojca? Tylko że przecież musieli słyszeć ją w Kanadzie. Jeżeli ojciec odebrał ją z odległości przeszło dwóch tysięcy mil... Ale znów według tego, co napisał, zatoka Goose nie odpowiedziała. Jeżeli więc jakimś przedziwnym przypadkiem był jedynym radiotelegrafistą na świecie, który tę wiadomość odebrał, to ja byłem nitką, na której zawisło życie tamtych ludzi.

Była to myśl przerażająca i trapiłem się tym przez całą kolację - chyba o wiele bardziej niż śmiercią ojca, bo na to nie mogłem już nic poradzić. Kiedy skończyliśmy jeść, powiedziałem matce:

- Teraz się przejdę do budki telefonicznej.

- Do kogo będziesz dzwonił?

- Nie wiem.

Do kogo należało dzwonić? Było Przedstawicielstwo Kanadyjskie. Oni mogli naprawdę coś powiedzieć, ale o tej porze tam było już zamknięte. Wciąż nie mogąc zrozumieć dlaczego usiłowała ukryć

- Chyba do policji.

- Czy musisz coś robić w tej sprawie? - Stała przede mną, załamując ręce.

- Ano, tak - odparłem. - Myślę, że ktoś powinien o tym wiedzieć. - A potem jej stanowiska, zapytałem, przede mną tę wiadomość.

- Bo nie wiedziałam czy ty... - Zawahała się, po czym dodała szybko: - Nie chciałam, żeby się wyśmiewali z twojego ojca.

- Wyśmiewali? Doprawdy, mamó! A jeżeli nikt inny nie odebrał tej wiadomości? Gdyby ci ludzie umarli, byłabyś za to odpowiedzialna.

Twarz jej była bez wyrazu. - Nie chciałam, żeby się z niego wyśmiewali - powtórzyła z uporem. - Przecież wiesz, jacy są ludzie na takiej ulicy jak nasza.

- To jest ważniejsze od tego, co kto może pomyśleć.

- W moim głosie było zniecierpliwienie. A potem, widząc, że jest zdenerwowana i zmęczona, pocałowałem ją.

- Nie będziemy mieli z tego powodu żadnych przykrości - uspokoiłem ją. - Po prostu uważam, że muszę o tym zameldować. Nie pierwszy raz odebrał transmisję radiową, której nikt inny nie złapał - dodałem i wyszedłszy z domu ruszyłem ulicą do stacji kolejki podziemnej.

Nie miałem pojęcia, z kim powinienem się połączyć w Scotland Yardzie, więc w końcu nakręciłem trzy dziewiątki. Wydawało się rzeczą dziwną dzwonić na pogotowie policyjne, jeżeli nikt nas nie obrabował ani nic podobnego. Kiedy zaś połączyłem się z nimi, stwierdziłem, że nie jest łatwo wyjaśnić, o co idzie. Zamierzałem powiedzieć im o ojcu i o jego amatorskiej radiostacji. Fakt, że umarł wskutek podniecenia otrzymaną wiadomością, tylko komplikował sprawę.

Jednakże w końcu powiedzieli, że rozumieją, o co chodzi, i że skontaktują się z władzami kanadyjskimi, ja zaś wyszedłem z budki telefonicznej czując, że ciężar spadł mi z serca. Teraz oni przejęli na siebie odpowiedzialność. Nie musiałem już tym się kłopotać. A kiedy wróciłem do domu, schowałem dziennik radiowy do walizki i poszedłem do kuchni, gdzie matka spokojnie jadła kolację. Teraz, gdy sprawa otrzymanej wiadomości była już wyjaśniona, a władze zawiadomione, zacząłem na to patrzeć z jej punktu widzenia. Ostatecznie, dlaczego miałyby się troszczyć o dwóch ludzi w dalekiej części świata, kiedy mój ojciec leżał nieżywy na górze.

Tej nocy matka spała w małej sypialni, a ja na kanapie w saloniku. Rano obudziłem się ze świadomością, że tyle jest do zrobienia: trzeba załatwić pogrzeb, przejrzeć wszystkie rzeczy ojca, zawiadomić władze emerytalne. Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, że śmierć nie kończy się na żalu.

Po śniadaniu wysłałem depezę do Meadowsa, a potem poszedłem omówić sprawę z przedsiębiorcą pogrzebowym. Kiedy wróciłem, była już prawie jedenasta i pani Wright z sąsiedztwa piła herbatę z moją matką. I właśnie pani Wright usłyszała zajeżdżający samochód i podeszła do okna.

- O, wóz policyjny - powiedziała, po czym dorzuciła: - Zdaje się, że idą tutaj.

Byli to inspektor policji i kapitan Mathers z Lotnictwa Kanadyjskiego. Chcieli obejrzeć dziennik radiowy i kiedy go wyjąłem z walizki i wręczyłem inspektorowi, zacząłem usprawiedliwiać charakter pisma.

- Obawiam się, że to nie bardzo czytelne. Widzi pan, mój ojciec był sparaliżowany i...

- Tak, wiemy o tym - odrzekł inspektor. - Naturalnie zebraliśmy już pewne informacje.

Nie patrzył na stronicę, na której była zapisana tamta wiadomość, tylko przerzucał wstecz kartki, a kapitan lotnictwa zaglądał mu przez ramię. Poczujęm się nieswojo. Te strony były tylko płataniną, a dziennik w rękach inspektora wyglądał właśnie na to, czym był - na dziecinny zeszyt do ćwiczeń. Przypominały mi się słowa matki: „Nie chciałam, żeby się wyśmiewali z twojego ojca”.

Inspektor przejrzawszy wszystkie stronicę wrócił do tej, na której była zapisana wiadomość.

- Pan zdaje się mówić, że ojciec zmarł natychmiast po napisaniu tych słów?

Wyjaśniłem mu, co zaszło - jak matce wydało się, że słyszy jego wołanie, i jak poszedłszy na górę stwierdziła, że jakoś dźwignął się na nogi. Kiedy skończyłem, zapytał:

- Ale pana tu wtedy nie było?

- Nie. Mam posadę pod Bristolem. Nie było mnie tutaj.

- A kto był? Tylko matka?

- Tak.

Pokiwał głową.

- Ano, obawiam się, że będę musiał zamienić z nią kilka słów. Ale najpierw chcielibyśmy rzucić okiem na ten pokój, gdzie pański ojciec miał radio.

Zaprowadziłem ich na górę i kapitan obejrzał radio, podczas gdy inspektor kręcił się po pokoju oglądając książki i mapę wiszącą na ścianie.

- No, tu wszystko działa jak należy - odezwał się kapitan lotnictwa. Włączył odbiornik, miał na uszach słuchawki, a jego palce obracały gałkę strojenia. Tymczasem inspektor znalazł w szufladzie stare dzienniki i przeglądał je. W końcu obrócił się do mnie.

- Przykro mi, że muszę pana o to zapytać, ale byliśmy u doktora i dowiedziałem się, że pański ojciec miał atak przed jakimiś trzema miesiącami. Czy pan tu wtedy był?

- Tak - odparłem. - Ale tylko kilka dni. Bardzo prędko przyszedł do siebie.

- A przyjeżdżał pan od tamtej pory?

- Nie - odrzekłem. - Obecnie pracujemy przy budowie lotniska. Robota jest pilna i nie miałem możliwości...

- Ja zmierzam do tego, czy... pan mógłby zaręczyć za stan umysłowy ojca? Czy nie mógł sobie tego wszystkiego uroić?

- Nie. Z całą pewnością nie. - Poczulem nagle gniew. - Jeżeli pan chce powiedzieć, że mój ojciec... - Urwałem, bo uświadomiłem sobie, co musiało wywołać takie pytanie. - Czy to znaczy, że nikt inny nie odebrał tej transmisji?

- O ile nam wiadomo, nie - Obrócił się do kapitana. - Jednakże nie ma wątpliwości, że śledził przebieg tej wyprawy. W tych notatkach są dziesiątki wzmianek na ten temat, ale... - Zawahał się, a potem lekko wzruszył ramionami. - No, niech pan sam popatrzy.

Podał zeszyty Kanadyjczykowi. Oficer lotnictwa pochylił się, by je obejrzeć, a inspektor go obserwował, czekając na jego reakcję tak, jakby mnie w ogóle nie było.

W końcu nie mogłem znieść tego dłużej.

- A co tam nie jest w porządku? - spytałem.

- Nie, nic takiego... tylko że... - inspektor się zawahał. Kapitan podniósł głowę znad dzienników.

- Nie wątpimy, że ojciec był w kontakcie z Ledderem, proszę pana. - W głosie jego zabrzmiała nuta rezerwy i jakby uświadomiwszy to sobie, dodał: - Od razu porozumiałem się z naszymi ludźmi w Goose. Simon Ledder i jego żona są zarejestrowanymi krótkofalowcami, posiadającymi własną stację ze znakiem wywoławczym VO6AZ. Przyjmują prace zleczone i w tym przypadku działali jako stacja-baza dla Spółki Górniczo-Badawczej McGoverna, odbierając sprawozdania Briffe'a przez radiotelefon i przekazując je do biura Spółki w Montrealu.

- No więc? - Nie rozumiałem, dlaczego wciąż mają takie wątpliwości. - Fakt, że nikt inny nie odebrał tej transmisji...

- Nie o to idzie - odparł szybko i spojrzał na inspektora, który powiedział:

- Bardzo mi przykro, proszę pana. To wszystko musi być dla pana ogromnie nieprzyjemne. - Mówił tonem usprawiedliwienia. - Ale jest faktem, iż doniesiono, że Briffe i jego towarzysz nie żyją... już prawie tydzień temu, prawda? - spojrzał na Kanadyjczyka.

- Tak jest, inspektorze. - Kapitan lotnictwa kiwnął głową. - Ściśle mówiąc, dwudziestego piątego września. - Rzucił zeszyty na stół. - Nie chcę, by pan pomyślał, że to lekceważę - powiedział patrząc na mnie. - Zwłaszcza że, jak pan mówi, podniecenie ojca tą wiadomością było przyczyną jego śmierci. Ale faktem jest, że Bert Laroche, pilot rozbitego samolotu, powrócił pieszo sam jeden. Dwudziestego piątego dotarł do jednej z baz odcinkowych Kolei Rudy Żelaznej i doniósł, że tamci dwaj nie żyli, kiedy odchodził. Szedł pięć dni, więc nie żyli już dwudziestego września. A teraz pan się zjawia z informacją, że pański ojciec odebrał wczoraj wiadomość radiową od Briffe'a. To znaczy w pełne dziewięć dni po jego śmierci. - Potrząsnął głową. - To po prostu niedorzeczne.

- Pilot mógł się pomylić - mruknąłem.

Popatrzył na mnie jakby ze zgorzaniem.

- Pan zdaje się nie rozumie kanadyjskiej Północy, panie Ferguson. Tam ludzie po prostu nie popełniają takich pomyłek. A już z pewnością nie tacy doświadczeni lotnicy jak Bert Laroche. - I dodał: - Rozbił się ze swoim wodnopłatowcem o skałę próbując wodować na jeziorze podczas burzy śnieżnej. Briffe i Baird zostali ranni. Odstawił ich na brzeg, a samolot zatonął. To było czternastego września. Baird umarł prawie zaraz, Briffe w kilka dni później, i wtedy Laroche rozpoczął swoją wędrówkę.

- Ale ta wiadomość! - zawołałem. - Jakże inaczej mój ojciec mógłby wiedzieć...

- To wszystko było w komunikatach radiowych - odparł Mathers. - Cała historia... Powtarzali ją wciąż od nowa.

- Ale przecież nie o jeziorze - powiedziałem ze zniecierpliwieniem. - Skąd ojciec mógłby wiedzieć o jeziorze ze skałą pośrodku? I jak mógł się dowiedzieć, że Briffe i Baird byli ranni, a pilot odszedł?

- Mówię panu, że Briffe i Baird już wtedy nie żyli.

- Więc pan sugeruje, że mój ojciec to wszystko zmyślił?

Mathers wzruszył ramionami i wzięwszy ostatni z dzienników przerzucił kartki, aż doszedł do owej wiadomości. Wpatrywał się w nią długo.

- Po prostu niepodobieństwo - mruknął. - Jeżeli pański ojciec odebrał transmisję, dlaczego nie odebrał jej nikt inny?

- A panowie to sprawdzili?

- Sprawdzamy teraz. Ale proszę mi wierzyć, że gdy by odebrał ją ktokolwiek w Kanadzie, doniesiono by o tym natychmiast. Gazety były pełne tych poszukiwań, póki one trwały.

- Nie mam na to rady - odrzekłem. - Może nikt inny jej nie odebrał. Dowodem tego jest ta wiadomość w dzienniku.

Nie odezwał się. Znowu przeglądał stare dzienniki.

- Pamiętam - dodałem w desperacji - jak ojciec kiedyś odebrał meldunek z jakiegoś jachtu na morzu Timor, chociaż nie usłyszał go nikt poza nim. A znowu innym razem nawiązał łączność...

- Ale to jest radiotelefon. Jakim sposobem mógł odbierać głos z takiego starego nadajnika jak ten Briffe'a? - Kapitan nadal przerzucał kartki dziennika, ale teraz nagle go zamknął. - Chyba jest tylko jedno wytłumaczenie - powiedział do inspektora, który przytaknął mu ruchem głowy.

Wiedziałem, co ma na myśli, i byłem wściekły. Zrobiłem to, co uważałem za słuszne, a tu ci dwaj obcy ludzie usiłowali mi wmówić, że ojciec był obłąkany. Gorzko żałowałem, że o tym zameldowałem. Matka miała rację. Jakże mogłem ich przekonać, że samotny człowiek potrafił bazgrać masę bzdur w tych dziennikach, a jednak zasługiwał na zaufanie, kiedy przychodziło do odbioru jakiejś transmisji?

- Na pewno ktoś jeszcze musiał odebrać tę wiadomość - powiedziałem bezradnie. A potem, ponieważ nic nie mówili i tylko stali zakłopotani, dałem się ponieść swoim uczuciom. - Panowie uważacie, że mój ojciec to wszystko zmyślił, tak? Tylko dlatego, że był ranny w głowę i sparaliżowany, i że rysował sobie obrazki w tych zeszytach, jesteście zdania, że nie można mu wierzyć. Więc się mylicie. Mój ojciec był pierwszorzędnym radiotelegrafistą. Cokolwiek sobie mówią doktorzy czy ktoś inny, nie popełniłby nigdy omyłki co do takiej wiadomości.

- Możliwe - rzekł Kanadyjczyk. - Ale jesteśmy o dwa i pół tysiąca mil od Labradoru, a Briffe nie nadawał ani kluczu, tylko fonią - innymi słowy na radiotelefon.

- To właśnie pisze mój ojciec. Twierdzi tu, że słyszał głos Briffe'a.

- Jasne. Ale ja już to sprawdziłem i wiem, że Briffe miał tylko stary nadajnik typ czterdzieści osiem, z czasów wojny. To jest odpowiednik waszej wojskowej osiemnastki. Został on przerobiony, żeby móc pracować na siedemdziesięciopięciometrowym paśmie fonicznym, ale Briffe używał go jednak z ręczną prądnicą. Nawet gdyby miał normalną antenę zamiast prętowej, Goose byłoby mniej więcej na granicy jego zasięgu; dlatego komuni kował się z Ledderem, a nie bezpośrednio z Montrealem.

- Ja się na tym nie znam - odparłem. - Natomiast wiem jedno. Widzicie, panowie, te książki? One są o Labradorze. Ojciec był zafascynowany tym krajem. Wiedział, że ta wiadomość jest ważna. Dlatego nagle odzyskał głos i krzyknął. To go poderwało na nogi, chociaż nie wstawał od...

- Chwileczkę - przerwał mi kapitan. - Pan zdaje się nie rozumie, co staram się panu powiedzieć. Ci ludzie nie żyją. Nie żyją od przeszło dziewięciu dni.

- Ale ta wiadomość...

- Nie było żadnej wiadomości. - Powiedział to spokojnie, a potem dodał: - Niech pan posłucha. Bardzo mi przykro z powodu pańskiego ojca. Ale bądźmy rzeczowi. Cztery nasze samoloty szukały przez tydzień z górą. Potem zjawił się Laroche i doniósł, że tamci dwaj nie żyją, i wtedy odwołaliśmy poszukiwania. A teraz pan chce, żebym doradził wznowienie ich na pełną skalę, co pociągnie za sobą wysyłanie maszyn i pilotów w godzinach służby na tamte pustkowia, tylko dlatego, że pański ojciec przed śmiercią wpisał jakąś wiadomość do szkolnego zeszytu - wiadomość, której odebranie, nawet gdyby w ogóle została nadana, było dla niego technicznym niepodobieństwem.

Nie mogłem na to nic odpowiedzieć.

- Jeżeli to jest technicznym niepodobieństwem...

- Znajdował się o przeszło dwa tysiące mil poza normalnym zasięgiem. Oczywiście - dodał - jest zawsze możliwość przypadkowego odbioru, nawet na tę odległość, i na wszelki wypadek kazałem zasięgnąć informacji u wszystkich krótkofalowców w Kanadzie. Prosiłem tak że, aby Ledder dał pełne sprawozdanie. Chyba pan może być zupełnie pewny, że jeżeli dwudziestego dziewiątego była jakaś transmisja, to znajdziemy kogoś, kto ją złapał.

Inspektor kiwnął głową.

- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, to chwilowo zatrzymam te notatniki. - Wziął je ze stołu. - Chciałbym, żeby je obejrzel nasi eksperci.

- Dobrze - odpowiedziałem. - Nie mam nic przeciwko temu.

Wydawało się bezużyteczne mówić coś więcej. A jednak... Oczy moje powędrowały ku mapie Labradoru. Podźwignął się na nogi, by na nią spojrzeć. Dlaczego? Co go do tego skłoniło?

- Właściwie myślę, że nie musimy niepokoić pani Ferguson - mówił inspektor. Zeszli po schodach, a ja odprowadziłem ich do drzwi. - Odeślę je panu za parę dni - powiedział inspektor wskazując zeszyty, które trzymał w ręce.

Patrzyłem za nimi, gdy odchodzili do policyjnego auta i odjeżdżali ulicą. Co on miał na myśli mówiąc, że chciałby, żeby je obejrzel eksperci? Ale oczywiście wiedziałem i

miałem takie uczucie, jak gdybym w pewien sposób zdradził mojego ojca. Ale znów, jeżeli ci ludzie nie żyją... Wróciłem do salonu, gdzie spotkało mnie pełne wyrzutu spojrzenie matki i skwapliwe pytania pani Wright.

Jednakże trzeba było pomyśleć o innych, praktycznych sprawach, a pogrzeb odsunął wszystko na dalszy plan.

Dopiero tego rana, kiedy miałem wyjechać z powrotem do Bristolu, przypomniano mi ową dziwną wiadomość, która spowodowała śmierć ojca. Listonosz przyniósł poleconą przesyłkę adresowaną do mnie, zawierającą dzienniki radiowe. Był tam także list, bezosobowy i ostateczny.

Komunikuję panu, że władze kanadyjskie nie zdołały uzyskać żadnego potwierdzenia wiadomości rzekomo odebranej dnia 29 września przez ojca pańskiego, Jamesa Fergusona. Nasi eksperci zbadali załączone przy niniejszym zeszyty i z uwagi na ich orzeczenie oraz oświadczenie jedyne pozostałego przy życiu członka wyprawy, że dwaj pozostali nie żyją, władze kanadyjskie nie sądzą, żeby wznowienie poszukiwań było celowe. Jednakże upoważniały mnie do wyrażania panu podziękowania itd., itd.

Więc tak. Eksperci - zapewne psychiatrzy - przejrzyli dzienniki i orzekli, że mój ojciec był wariatem. Przedarłem z wściekłością list, a potem, nie chcąc, by matka znalazła kawałki, wrzuciłem je do walizki razem z dziennikami.

Przyszła na stację, żeby mnie pożegnać. Od czasu tamtych odwiedzin policji ani razu nie wspomniała o przyczynie śmierci ojca. Jak gdyby za milczącą zgodą unikaliśmy wszelkiej wzmianki o odebranej wiadomości. Jednakże teraz, w chwili gdy pociąg miał odejść, chwyciła mnie za rękę.

- Zostawisz ten Labrador w spokoju, prawda? Nie zniosłabym tego, gdybyś...

Pociąg zagwizdał, a matka ucałowała mnie przytulając mocno, tak jak mnie nie przytulała od czasów mego dzieciństwa. Twarz miała bladą, zmęczoną, i płakała.

Wsiadłem i pociąg ruszył z miejsca. Przez chwilę stała patrząc za nim - drobna samotna postać w czerni - a potem odwróciła się szybko i odeszła peronem. Często zastanawiałem się, czy w głębi serca wiedziała, że nie zobaczy mnie przez długi czas.

II

Zapomniałem wziąć sobie coś do czytania i przez pewien czas siedziałem spoglądając na tyły domów, aż wreszcie Londyn zaczął rzednąć, a za budynkami fabrycznymi pojawiły się zielone pola. Myślałem o matce, o naszym rozstaniu, o tym jak znowu napomknęła o Labra-dorze. Nie wspomniała o odebranej przez ojca wiadomości. Nie martwiła się, że mogło tu wchodzić w grę życie tamtych dwóch ludzi. Miała umysł zaprzątnięty samym Labradorem

i to wydało mi się dziwne. A potem zacząłem znów rozmyślać o ojcu żałując, że go lepiej nie znałem. Gdybym go znał lepiej, może bym rozumiał, co go tak urzekło w Labradorze.

Po jakimś czasie wyjąłem dzienniki radiowe i znowu zacząłem je przeglądać. Nietrudno było odgadnąć, dlaczego władze i „eksperci” postanowili zlekceważyć tę wiadomość. Zeszyty były takie chaotyczne; a jednak wszędzie w nich przewijała się owa nić wyprawy na Labrador.

Moje inżynierskie wykształcenie nauczyło mnie rozkładać wszystkie problemy na części zasadnicze i, zanim się połapałem, co robię, wyjąłem papier i ołówek, i zacząłem wynotowywać wszelkie wzmianki w dziennikach, mogące mieć jakikolwiek związek z wyprawą Briffe’a. Po wywikłaniu ze wszystkich bazgrołów, rysunków i urywków innych komunikatów, nić owa stała się mocniejsza i bardziej wyraźna. Nabierała określonej treści, choć trzeba było czytać między wierszami, by do niej dotrzeć, bo wprędce stało się dla mnie jasne, że ojciec rzadko zapisywał coś dosłownie; wystarczyła jedna linijka komentarza lub krótka notatka dla wydobycia istoty jakiejś transmisji. Nie było to dla mnie niespodzianką, ponieważ zawsze miał trudności z czytelnym pisaniem. Znajdowało tam się nawet kilka notatek, których żadną miarą nie mogłem odcyfrować.

Stwierdziłem, że ogółem wyłuskałem siedemdziesiąt trzy wzmianki. Dwanaście z nich było niezrozumiałych, a siedem w końcu odrzuciłem jako nie mające związku z tematem. Z pozostałych pięćdziesięciu czterech zdołałem z pomocą odrobiny zgadywania odtworzyć sobie jakiś obraz tego, co się zdarzyło. Briffe prawdopodobnie wyruszył ze swoją wyprawą badawczą gdzieś pod koniec lipca, bo pierwsza wzmianka o miejscu, gdzie się znajdował, występowała pod datą 10 sierpnia. Brzmiała po prostu: „A2 - gdzie to jest?” W trzy dni później była notatka „o obszarze rzeki Minipi”, a 15 sierpnia ojciec zapisał: „Przenieśli się do A3”. Potem następowało B1, B2 i B3. Najwyraźniej były to zaszyfrowane nazwy obszarów podlegających badaniom, a ponieważ A1 był zapewne pierwszym z nich, więc ojciec musiał odbierać sprawozdania Leddera prawie od początku. Nie było wskazania celu wyprawy Briffe’a - czy prowadził poszukiwania złota, czy uranu, czy po prostu jakiegoś metalu podstawowego, takiego jak ruda żelaza. Mógł także dokonywać tylko ogólnych badań, ale to wydawało się nieprawdopodobne, jako że pracował dla Spółki Górniczej i szyfrował nazwy obszarów i raporty. Fakt, że w późniejszych raportach zarzucono szyfrowanie miejsc, sugerował negatywne wyniki. To się zdarzyło nie tylko w przypadku A2, ale w kilku innych. Tak na przykład A3 przemieniło się później w „potok Mouni”, a B2 w „poblże dawnej placówki Kompanii Hudsonskiej”. Przy wzmiance o potoku Mouni ojciec napisał: „Winokapau! Prawidłowy kierunek”.

9 września wyprawa dotarła do obszaru C1. O nim mówiło się potem „Rozczarowanie”, a jeszcze później stawało się jasne, że jest to nazwa nadana jakiemuś jezioru. Te skrawki informacji pochodziły najwyraźniej z tego samego źródła - z VO6AZ. I zawsze o tej samej godzinie - dwudziestej drugiej. Zapis z 3 sierpnia wydawał się być pierwszą wzmianką o wyprawie. Brzmiał on po prostu: „Ciekawe; to jakiś szyfr”. A następnego dnia: „22.00. Znów VO6AZ. Czyżby raport pomiarowy?” I dalej ojciec dopisał ołówkiem: „PRACUJE DLA SPÓŁKI GÓRNICZO-BADAWCZEJ MCGOVERNA W MONTREALU?”

A na górze następnej strony, też ołówkiem: „NASŁUCHIWAĆ NA PAŚMIE 20 METRÓW O 10 WIECZOREM”. Później w sierpniu był zapis: „22.00 - VO6AZ. Znów szyfr! Dlaczego nie może nadawać klerem?” I notatka na następnej stronie: „BRIFFE, BRIFFE, BRIFFE. KTO TO JEST BRIFFE? W PAŚMIE 75 METRÓW. CZĘSTOTLIWOŚĆ 3.780 KILOHERCÓW. NASŁUCH O 20.00”.

To jednak było tak fantastycznie nabazgrane, że miałem trudności z odcyfrowaniem. O dwie strony dalej znalazłem nazwisko Laroche wymienione po raz pierwszy. Ojciec wypisał je dużymi literami, podkreślił grubo, postawił na końcu znak zapytania i dodał notatkę: „SPYTAĆ LEDDERA”.

Wyodrębnione spośród wszystkich nonsensów i bazgranin, które szpeciły stronice dzienników, notatki ojca potwierdzały to, co już wiedziałem: że przejmował wiadomości nadawane przez Simona Leddera z zatoki Goose do Spółki Górniczej McGoverna w Montrealu i że były to codzienne raporty, które przekazywały jakimś szyfrem informacje otrzymywane o godzinie dwudziestej drugiej od Briffe’a, z jakiegoś miejsca na Labradorze. Znalazłem jedną na wpół zamazaną notatkę, która brzmiała bodaj: „3.780 - nic, nic i nic - wciąż nic”. Wskazywała ona, że ojciec regularnie nasłuchiwał także i na częstotliwości Briffe’a. Jednakże mogłem wyszukać z całą pewnością tylko jeden zapis dziennie - ten o dwudziestej drugiej - aż do 14 września. To był dzień katastrofy i od tej pory układ się zmieniał, zapisy stawały się częstsze, a uwagi pełniejsze.

Na dwa dni przedtem Briffe najwidoczniej zażądał samolotu celem przerwania wyprawy do C2, bo 13 września następował zapis: „Samolot opóźniony, pogoda zła. B. prosi o dwa loty, trzej polecą w pierwszym rzucie, a Baird i on sam w drugim. JEŻELI C2 JEST NA PÓLNOC OD C1, TO SĄ CORAZ BLIŻEJ”.

Przerwienie odbyło się najwyraźniej 14 września, ale pierwszy lot musiał być utrudniony, bo o dziewiętnastej czterdzieści pięć ojciec zapisał: „W razie czego skontaktować się z VO6AZ. Hydroplan nie wraca”. Na skos tego wypisane były słowa: „ŻLE.

NASŁUCHIWAĆ STALE W PAŚMIE 75 METRÓW”. A w godzinę później, o dwudziestej czterdzieści pięć: „Mgła ustąpiła, ale hydroplanu wciąż nie ma”.

VO6AZ widocznie nadawał teraz do Montrealu co godzinę, na piętnaście minut przed okrągłą godziną, bo następny zapis był o dziewiętej czterdzieści pięć. Jednakże nie było przy nim żadnych uwag, a samą godzinę odczytywało się z trudem wśród masy małych rysunczków ojca. W istocie cała ta ostatnia strona dziennika była nieopisaną gmatwaniną i rozwikłanie jej zabrało mi dużo czasu. Jednakże kolejna notatka następowała zaledwie w pół godziny później: „22.15 - pierwsza grupa bezpieczna w C2. Hydroplan wrócił. Prognoza pogody piekielna. B. chce...” Ostatnia część była zupełnie nieczytelna.

Ale uwaga następująca po niej była dosyć wyraźna: „BIEDAK TRZYMA SIĘ ROZCZAROWANIA - CZYŻBY TO BYŁ POWÓD? ZALEDWIE GODZINA. GŁUPIEC! CO GO NAPADŁO?”

Potem znowu następowały oznaczenia czasu na piętnaście minut przed godziną - 22.45, 23.45, 0.45, aż do 3.45 - ale wszystkie te miejsca były puste. Owe nie zapisane miejsca miały w sobie coś ostatecznego i chociaż za oknami wagonu przesuwał się łagodny, ciepły krajobraz wsi angielskiej, ja widziałem tylko mgłę, zimno i rozpaczliwe pustkowie Labradoru, noc zapadającą nad małym hydro-planem, i mojego ojca siedzącego do późna w oczekiwaniu, by się dowiedzieć, czy tamci są już bezpieczni, czy nie.

Zapisy w dzienniku były rzecz jasna robione według brytyjskiego czasu letniego, który wyprzedza o cztery i pół godziny czas obowiązujący w zatoce Goose. Wiadomość od Briffe'a, że samolot powrócił, musiała być nadana zaraz po piątej po południu, tak że słowa ojca: „Zaledwie godzina” najwyraźniej dotyczyły faktu, iż Briffe odlatywał mając ponad godzinę czasu do zapadnięcia nocy.

Pociąg zatrzymał się w Swindon, a ja siedziałem wpatrzony w tę ostatnią stronę dziennika. Nie mogłem mieć za złe władzom, że uważały ojca za pomyłonego. Trzeba mi było prawie kwadransa, ażeby odcyfrować tę jedną stronicę. Widziałem ojca siedzącego w fotelu na kółkach, ze słuchawkami na uszach, czekającego i czekającego na wiadomość o bezpiecznym przybyciu Briffe'a, która nie miała nigdy nadejść, i spędzającego długie, powolne godziny na rysowaniu. Całą tę stronę i całą okładkę zeszytu pokrył ołówkowymi rysunczkami, które przedstawiały lwy i ryby, oraz jakieś twarze i czółna, a także kwadraty i koła - wszystko, co nasunęło się jego rozbieganej myśli i ręce. To tutaj właśnie napisał: „C2 - C2 - C2 - gdzie to jest, u licha?” i dodał słowa: „ZAGUBIŁ SIĘ I ODSZEDŁ NA ZAWSZE” i obwiodł je nazwami Wino-kapau - Tishinakamau - Attikonak.

Kiedy pociąg znów ruszył, wziąłem ostatni zeszyt, ten, który matka usiłowała schować przede mną. Ojciec musiał niewiele spać owej nocy, bo pierwszy zapis był o godzinie 8.00. „Ledderowi nie udało się nawiązać łączności”. I w godzinę później: „Nie ma łączności”. Potem były pozaznaczane godziny, ale nic przy nich nie zapisano. W południe odbierał urywki wiadomości i komunikatów z innych stacji. Pojawiło się raz słowo „GREENWOOD”, najwyraźniej jakieś hasło szyfrowe podobne do wezwania SOS, bo zaraz po nim następowała notatka: „Zarządzono poszukiwania lotnicze”. Potem coś o złej pogodzie i wreszcie w dwa dni później: „Lotnicza baza ratownicza, Nowa Szkocja”.

Jednakże ten zeszyt, podobnie jak ostatni, był jedną masą bazgrołów na wierzchu i wewnątrz okładki, i na całej pierwszej stronie, co wskazywało, że ojciec musiał strawić długie godziny siedząc skulony przy odbiorniku. Gdybym nie znał tak dobrze jego pisma, chyba bym nigdy nie zdołał tego odcyfrować.

Porównałem raz jeszcze moje notatki z zapisami i kiedy przewracałem kartki, zaczęli mi się objawiać ludzie, których dotknęła ta katastrofa. Był zatem Briffe, kierownik wyprawy, jakiś mężczyzna nazwiskiem Baird i trzeci, pilot. „Ledder wciąż wzywa Laroche’a”. To było na drugiej stronie, a w dwa dni później ojciec znowu wypisał nazwisko „LAROCHÉ” dużymi literami, pod nim zaś: „Nie, to niemożliwe. Chyba zwariowałem”. Nigdzie nie mogłem znaleźć nazwisk owych trzech ludzi, którzy pierwsi odlecieli do Obszaru C2, jakkolwiek znalazłem dalszą o nich wzmiankę między notatkami o komunikacie radiowym: „Pierwsza grupa ewakuowana z C2, wszyscy trzech zdrowi”.

Były też jeszcze dwa zapisy, które, jak mi się wydało, mogły mieć pewien związek z katastrofą i z których jeden zdołałem częściowo odcyfrować. 23 września ojciec napisał: 17.05 - Nawiązałem łączność z VO6AZ - Pytać o geologów”. A potem, o dwie strony dalej: „17.19 - VO6AZ. WIĘC NIE ZAPOMNIELI O...” Reszta była zupełnie zamazana, choć mogłem odczytać inicjały ojca J.F.F. wpisane z jakiejś przyczyny w środek zdania.

Wyjątki z komunikatów radiowych dotyczących poszukiwań pojawiały się nadal aż do 26 września. Jednakże pod tą datą, przy godzinie 13.00, napisał jedno słowo: „Finis”. A później tegoż dnia: „17.14 - Nawiązałem kontakt z Ledderem. Briffe i Baird nie żyją. L. bezpieczny”. I dodał: „L-L-L-L-L - to NIEMOŻLIWE”.

Kiedy to czytałem, a pociąg wjeżdżał do Bristolu, stało się dla mnie jasne, że ojciec nie tylko śledził dzieje całej wyprawy z wielkim zainteresowaniem, ale że nawiązał nawet bezpośredni kontakt z VO6AZ, aby wyjaśnić sobie pewne punkty. Ponieważ zaś robił tylko krótkie notatki na własny użytek, a nie przepisywał szczegółowo odbieranych wiadomości, wydało mi się, iż nic nie wskazuje na to, żeby jego umysł był nie w porządku. Niektórych

uwag nie rozumiałem, i oczywiście mogły one sprawiać inne wrażenie, jeżeli się je widziało pośród gryzmołów i rysunków pokrywających te chaotyczne stronicę. Gdyby natomiast eksperci zadali sobie trud wyodrębnienia wzmianek o wyprawie tak, jak ja to zrobiłem, przekonaliby się, jak jasno opisywał wszystko.

Przez całą drogę na lotnisko rozmyślałem o tych sprawach i o tym, jak matka zobaczyła go stojącego, z ręką wyciągniętą ku mapie Labradoru. W tej wiadomości musiało coś być. Bez względu na to, czy owi ludzie żyli, czy nie, byłem przekonany, że ojciec tego nie zmyślił. Musiał wiedzieć, że to jest coś ważnego. A teraz cały jego wysiłek poszedł na marne, ponieważ nie miałem tyle zastanowienia, żeby wyodrębnić odpowiednie fragmenty dla policji, tak jak to uczyniłem teraz.

Było już po szóstej, kiedy dojechałem na lotnisko - za późno, by się meldować w biurze Kompanii. Byłem smutny i przygnębiony, i zamiast się udać do moich wykopów, poszedłem do baru lotniska. Widok Farrowa popijającego z grupką pilotów nasunął mi myśl, że może mógłbym jeszcze coś zrobić, aby przekonać władze. Farrow był to ów pilot kanadyjski, który powiedział mi o poszukiwaniach zaginionych geologów, a ponieważ latał przez Atlantyk na wynajmowanych samolotach, zdawałem sobie sprawę, że musi czasem lądować w zatoce Goose.

Zastanowiłem się nad tym pijąc whisky i w końcu podszedłem do owej grupki i zapytałem czy mógłbym z nim chwilę porozmawiać.

- Idzie o tę zaginioną wyprawę badawczą - powiedziałem, kiedy podchodził ze mną do baru.

- Poszukiwania odwołano tydzień temu. Briffe umarł. Baird także. Tylko pilot ocalał.

- Tak, wiem. - Zapytałem go, czego się napije.

- Soku owocowego. Jutro mam lot.

Zamówiłem sok, a kiedy obróciłem się do Farrowa, zauważyłem, że mi się przygląda. Miał dziecinne, niebieskie oczy w okrągłej, sympatycznej twarzy. Jednakże te oczy były przenikliwe.

- Co pana gryzie? - zapytał.

- Czy pan czasem ląduje w zatoce Goose?

- Jasne. Za każdym razem, jak mamy lot na zachód, chyba że jest zła pogoda.

- A zna pan krótkofalowca nazwiskiem Simon Ledder?

- Ledder? - Potrząsnął głową. - Gdzie on pracuje? W kontroli?

- Nie wiem dokładnie. Piszę się do niego na adres oddziału M.T.

- To jest radiostacja cywilna. M.T. oznacza Ministerstwo Transportu. Oni są po stronie amerykańskiej.

Podano napoje, a ja zapłaciłem, świadom, że obserwuje mnie, pociągając ze szklanki sok owocowy, i czeka, bym mu powiedział, o co mi idzie. Tymczasem teraz, kiedy byłem z nim sam na sam, nie bardzo wiedziałem, jak to wyjaśnić. Nie chciałem powiedzieć mu więcej, niż było konieczne. Nie chciałem ryzykować tej niedowierzającej miny, którą by to nieuchronnie wywołało.

- Mówi pan, że jutro ma pan lot. Czy pan będzie lądował w Goose?

- Tak. Około dwudziestej pierwszej naszego czasu.

- Czy pan mógłby zrobić to dla mnie, żeby porozumieć się z Ledderem? Może zadzwonić do niego?

- W jakiej sprawie?

- Ano... - To było diabelnie trudne. - On jest krótkofalowcem - wyjaśniłem - i był trzykrotnie w kontakcie z jednym krótkofalowcem angielskim... Stacja G2STO. Jest też pewne sprawozdanie. Czy mógłby pan poprosić go, żeby dał panu odpis?

- A o czym to jest?

Zawahałem się. Ale przecież musiał wiedzieć.

- O Briffe'ie i jego grupie. Ledder pośredniczył w łączności radiowej między tą grupą badawczą a Spółką Górniczą, dla której pracowała. Władze zażądały od niego sprawozdania ze wszystkich jego kontaktów radiowych z Briffe'em, a także z G2STO.

- Skąd pan wie, że zażądali od niego sprawozdania?

- Jego głos nagle się zmienił, zniknęła z niego miękkość.

- Ktoś mi mówił - odparłem ogólnikowo. Jednakże Farrow był teraz zaciekawiony i to mnie peszyło. - Przykro mi, że pana tym obarczam, ale kiedy pana zobaczyłem, pomyślałem sobie, że gdyby się dało zamienić parę słów z Ledderem...

- Może pan do niego napisać - odrzekł. A potem, kiedy nic nie odpowiadałem, dodał: - Czy nie byłoby lepiej, żeby pan opowiedział mi trochę więcej? Na przykład, dlaczego pan tak się interesuje tym sprawozdaniem?

Wciąż obserwował mnie z ciekawością, czekając na moje wyjaśnienia. I nagle zrozumiałem, że to na nic, że będę musiał opowiedzieć mu całą historię.

- G2STO to był mój ojciec - rzekłem. I opowiedziałem mu o depeszy od matki, i o tym, jak przyjechałem do domu, gdzie zastałem ojca nieżywego. Powtórzyłem wszystko dokładnie, tak jak się zdarzyło, ale kiedy doszedłem do odkrycia przeze mnie wiadomości od Briffe'a, zapytał:

- Od Briffe'a? Przecież Briffe już nie żył od kilku dni.

- Wiem - W moim głosie zabrzmiało nagle znużenie. - Tak mi powiedziała policja. - A potem wyjąłem notatki, które porobiłem w pociągu, i wręczyłem mu je.

- Ale jeżeli Briffe nie żył, to jak pan to wytłumaczy?

Wyglądał kartkę na blacie baru i odczytał ją powoli, uważnie.

- To wszystko są wzmianki z dziennika radiowego mojego ojca - powiedziałem.

Kiwnął głową czytając ze zmarszczonymi brwiami. Patrzyłem, jak odwracał kartkę. Teraz dotarł do ostatniej wiadomości.

- Czy to robi na panu takie wrażenie, jakby ojciec był obłąkany? - spytałem.

Nie odpowiedział. Przeczytał już wszystkie notatki i znowu odwrócił kartkę, ciągle wpatrując się w nią ze ściągniętymi brwiami.

- Tak uważają władze - dodałem. - Nie mają zamiaru wznowić poszukiwań. Dostałem od nich list dziś rano.

Wciąż nic nie mówił i zacząłem żałować, że mu to opowiedziałem. O tamtych doniesiono, że nie żyją. Choćby to jedno mogło utwierdzić go w mniemaniu, że ojciec wszystko sobie uroił. Jednakże jego niebieskie oczy wpatrywały się we mnie.

- I pan uważa, że powinno się wznowić poszukiwania? O to idzie? - zapytał.

- Kiwnąłem głową. Popatrzył na mnie przez chwilę.

- Czy pan ma te dzienniki, czy też zatrzymała je policja?

- Nie, mam je.

Powiedziałem to niechętnie, bo nie miałem ochoty ich pokazywać. On jednak, zamiast o nie poprosić, zaczął mi zadawać mnóstwo pytań. A kiedy już wydobył ze mnie wszystko, zamilkł znowu, nachylony nad kartką, wpatrując się w nią. Myślałem, że odczytuje ją ponownie, ale może tylko zastanawiał się nad sytuacją, bo nagle spojrzał na mnie.

- I to, co pan mi powiedział, jest absolutną prawdą? - Pochylił się z lekka do przodu, obserwując moją twarz.

- Tak - odrzekłem.

- A te zapiski wyglądają po wariacku, jeżeli się nie wyodrębni wszystkich kontaktów, tak jak tutaj? - postukał dłonią w kartkę.

Kiwnąłem głową.

- Myślałem, że gdybym zdołał dowiedzieć się czegoś więcej o tych trzech bezpośrednich kontaktach ojca z Ledderem... i co Ledder o nim sądził...

- Jednego nie mogę pojąć - mruknął. - Jakim cudem pański ojciec mógł odebrać tę transmisję. - Miał brwi zmarszczone, a w jego głosie brzmiało zdumienie. - O ile pamiętam,

Briffe miał tylko czterdziestkę ósemkę. Na pewno gdzieś to czytałem. I na dobitkę uruchamianą za pomocą ręcznej prądnicy. To po prostu nie wydaje się możliwe.

Podkreślał więc to samo, co przedtem tamten kapitan lotnictwa.

- Ale przecież chyba muszą być jakieś specjalne warunki, w których mógł ją odebrać?
- powiedziałem.

- Może. Nic o tym nie wiem. Ale taka stara czterdziestka ósemka jest nadajnikiem o bardzo ograniczonym zasięgu; to wiem na pewno. - Wzruszył z lekka ramionami. - Mimo to rzecz jest prawdopodobnie możliwa. Musiałby pan sprawdzić u kogoś takiego jak ten Ledder, żeby mieć pewność.

Znowu wziął kartkę i patrzył na nią tak długo, iż nabrałem pewności, że mi nie dopomoże, i tylko zastanawia się, jak mi to powiedzieć. Był moją jedyną nadzieją na skuteczny kontakt z Ledderem. Jeżeli nie zechciałby mi pomóc, to nie miałem nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić - i czułem, że muszę tę sprawę załatwić tak czy inaczej. Jeżeli ojciec zmyślił ową wiadomość - no cóż, to trudno, ale musiałem to wiedzieć. Musiałem dla spokoju ducha uzyskać absolutną pewność, że tamci dwaj naprawdę nie żyją.

A potem Farrow odłożył kartkę i obrócił się do mnie.

- Wie pan co - powiedział. - Myślę, że pan powinien udać się do Goose i osobiście pomówić z Ledderem.

Wytrzeszczyłem na niego oczy nie mogąc uwierzyć, że dobrze dosłyszałem.

- Udać się do zatoki Goose? To znaczy polecieć tam... osobiście?

Uśmiechnął się z lekka.

- Inaczej pan się tam nie dostanie.

Była to propozycja tak niewiarygodna, że przez chwilę nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Chyba nie mówił poważnie.

- Ja chciałem tylko - szepnąłem - żeby pan zamienił z nim dwa słowa... dowiedział się, co myślał o moim ojcu, czy uważał go za normalnego. Może pan zabrać te notatki i...

- Niech pan posłucha - rzekł. - Jeżeli pan uważa, że ojciec był normalny, to te notatki, te wiadomości, wszystko włącznie z ostatnią, są faktem. To się zdarzyło. A jeżeli pan w to wierzy, musi pan polecieć tam osobiście. Czy Briffe żyje, czy nie, jest pan to winien swojemu ojcu. Gdybym ja poszedł do tego Leddera, odpowiedziałby po prostu na moje pytania i na tym koniec. Równie dobrze mógłby pan napisać do niego list. - A potem dodał: - Jeżeli pan jest naprawdę przekonany, że ojciec istotnie odebrał wiadomość od Briffe'a, to ma pan tylko jedno wyjście: udać się tam i sprawdzić samemu. Tylko w ten sposób może pan skłonić władze, żeby podeszły do tego poważnie.

Przeraziło mnie to, że przenosi odpowiedzialność z powrotem na mnie.

- Kiedy po prostu nie mam pieniędzy - wymamrotałem.

- Mógłbym jakoś panu pomóc. - Przez cały czas obserwował mnie bacznie. - Jutro o siódmej rano wylatuję na zachód. Będziemy w Goose około wpół do piątej po południu, według ich czasu. Mógłbym to panu załatwić. Miałby pan tam ze dwie godziny czasu, a ja mógłbym przedtem nadać przez radio do ich kontroli, żeby Ledder czekał na samolot. Więc jak? Mówił poważnie. To właśnie było niewiarygodne.

- A co z moją pracą? - Nagle się przestraszyłem. - Nie mogę tak wszystkiego rzucić...

- Byłby pan z powrotem w piątek.

- Ale... - Było to tak przeraźliwie nagle, a Kanada wydawała mi się innym światem. Nie wyjeżdżałem poza granice Anglii z wyjątkiem jednego razu, do Belgii. - Ale co z przepisami i... i czy takie dodatkowe obciążenie samolotu... - Złapałem się na tym, że rozpaczliwie szukam jakiejś wymówki.

Zapytał mnie wtedy, czy mam paszport brytyjski. Miałem go oczywiście, bo był mi potrzebny podczas moich zeszłorocznych wakacji w Bruges i Gandawie, a znajdował się u mnie w mieszkaniu, razem z resztą rzeczy. Kiedy zaś Farrow powiedział, że moja waga nie sprawiłaby żadnej różnicy w marginesie bezpieczeństwa i że jest zaprzyjaźniony z władzami celnymi i imigracyjnymi zarówno tutaj jak w Goose, jedyną rzeczą, jaka mi przyszła do głowy, było:

- Będę to musiał sobie przemyśleć.

Wtedy chwycił mnie za ramię, a te jego dziecinne, niebieskie oczy nagle popatrzyły twardo.

- Albo pan wierzy w to, co pański ojciec napisał, albo nie. Jak w końcu jest?

Sposób powiedzenia tego był niemal obraźliwy, toteż odparłem ze złością:

- Czy pan nie rozumie? Ta wiadomość była przyczyną śmierci mojego ojca.

- Okej - powiedział krótko. - W takim razie pora, żeby pan wyciągnął z niej konsekwencje.

- Jak to?

Rozluźnił uścisk ręki na moim ramieniu.

- Posłuchaj, chłopie - rzekł łagodnie. - Jeżeli Briffe naprawdę nadawał dwudziestego dziewiątego września, to albo nastąpiła jakaś potworna pomyłka, albo... no, cóż, alternatywa jest taka, że trudno o niej myśleć. - Jego słowa przypomniały mi wzburzenie na twarzy kapitana lotnictwa, kiedy wyraziłem przypuszczenie, że pilot mógł się pomylić. - No więc, czy pan rozumie, dlaczego pan musi tam polecieć i samemu porozmawiać z Ledderem? Co

mówi ta wiadomość? - postukał palcem w kartkę, którą rozłożył na barze. - Że Laroche się mylił, kiedy twierdził, że Briffé i tamtem drugi nie żyją. A uprzedzam, że trzeba będzie dużo zachodu, aby przekonać o tym władze. - Poklepał mnie łagodnie po ręce, a jego niebieskie oczy nie były już twarde, ale patrzyły na mnie przyjaźnie. - Teraz wszystko zależy od pana. Jest pan jedynym człowiekiem naprawdę przekonany, że ta wiadomość przyszła, chyba że znajdą jeszcze kogoś, kto ją odebrał. Jeżeli pan ma odwagę bronić swojego przekonania... - A potem dodał: - Po prostu uważałem, że pan powinien dobrze wiedzieć, z czym pan będzie miał do czynienia.

Rzecz dziwna, ale teraz, kiedy postawił sprawę tak jasno, nie czułem się już zagubiony. Nagle nabrałem pewności siebie i tego, co powinienem uczynić, i bez żadnego wahania powiedziałem:

- Jeżeli pan może to załatwić, chętnie polecę jutro z panem.

- Okej, chłopie. Jeżeli pan naprawdę tego chce. - Zawahał się. - Ale czy pan rzeczywiście jest pewny?

W nagłym przebłysku myśli ujrzałem ojca, tak jak go widziałem podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia, kiedy siedział u siebie w pokoju, ze słuchawkami na uszach, i z takim wyczuciem obracał gałki strojenia swymi długimi, cienkimi palcami.

- Tak - odrzekłem. - Jestem zupełnie pewny.

Powoli kiwnął głową.

- Dziwna historia - mruknął. Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania i przyszło mi na myśl, że może teraz, kiedy zgodziłem się jechać - kiedy chciałem jechać - cofnie swą propozycję. On jednak powiedział tylko:

- Spotkamy się w naszym biurze spedycyjnym; to jest na końcu bloku, obok hangaru numer jeden. Powiedzmy za kwadrans szóstą jutro rano. Niech pan weźmie paszport i neseser. I niech pan zabierze jakieś ciepłe rzeczy. W samolocie może być zimno. Okej?

Kiwnąłem głową.

- Ale co będzie po tamtej stronie? - spytałem. - Chyba nie jest tak łatwo przywieźć kogoś do innego kraju?

Była to reakcja automatyczna. Teraz, kiedy powiedziałem, że jadę, trudności wydawały się nie do przewyciężenia.

Roześmiał się i poklepał mnie po ramieniu.

- Kanada to nie Stany Zjednoczone. Wciąż jeszcze jest dominium; żadnych odcisków palców ani wizy. Będę musiał tylko załatwić pańską sprawę z imigracją i cłem. nic więcej. -

Popatrzył na mnie przez chwilę, jakby taksując mnie wzrokiem, po czym dodał: - I niech pan nie zapomni wziąć ciepłych rzeczy.

Skinąwszy krótko głową odwrócił się i odszedł powoli do grupy swoich kolegów na drugim końcu baru.

Stałem trzymając w ręce szklankę z napojem, którego nawet nie napocząłem, i czułem się ogromnie osamotniony.

III

Niewiele spałem tej nocy i o wpół do szóstej byłem już w biurze spedycyjnym towarzystwa lotniczego. Far-row, rzecz jasna, jeszcze nie przyszedł, więc zacząłem przechadzać się tam i z powrotem w szarym świetle poranka, czując wewnętrzną pustkę i chłód. Biuro było zamknięte, lotnisko opustoszałe. Zapaliłem papierosa i począłem się zastanawiać, tak jak to czyniłem przez całą noc, czy aby nie robię z siebie głupca. Jakiś samolot wystartował z grzmiącym rykiem; patrząc jak zniknął w niskich chmurach myślałem sobie, że jeśli Farrow dotrzyma słowa, za godzinę mniej więcej też będę tam w górze, lecąc na zachód ponad Atlantykiem. Zadrżałem z lekka. Nerwy!

Była prawie szósta, kiedy Farrow zajechał podniszczonym wozem sportowym.

- Wskakuj pan! - zawołał. - Musi pan się jeszcze zaszczepić. Poza tym wszystko już załatwione.

Zbudziłem jego znajomego lekarza i w pół godziny później miałem już zaświadczenie szczepienia, przeszedłem odprawę celną i imigracyjną, i byłem z powrotem w biurze spedycyjnym. Podpisałem „kwit na krew” - papierek, który uwalniał towarzystwo lotnicze od odpowiedzialności za moją śmierć w razie katastrofy, po czym Farrow mnie zostawił i musiałem waleśać się jeszcze przez dwadzieścia minut, czekając na odlot. Teraz nie było już odwrotu. Zobowiązałem się lecieć i dlatego nie byłem już zdenerwowany.

Na krótko przed siódmą zebrała się załoga i ruszyłem razem z nią przez przedpole do dużego czteromotorowego samolotu, który stał na płycie naprzeciw biura. Wewnątrz był słabo oświetlonym stalowym pudłem z rozłożonym pośrodku ładunkiem, przymocowanym pasami do powkręcanych w podłogę sworzni z pierścieniami.

- Niestety nie jest tu zbyt wygodnie - powiedział Farrow - ale nie obsługujemy pasażerów. - Ścisnął mnie przyjaźnie za ramię. - Ustęp jest w tyle, gdyby pan go potrzebował.

Drzwi kadłuba zatrzasnęły się, a Farrow przeszedł ze swoją załogą na przód, do kabiny pilota. Zostałem sam.

Wystartowaliśmy zaraz po siódmej i chociaż nigdy dotąd nie latałem, uświadamiałem sobie, co się dzieje - warczały silniki wypróbowywane po jednym na końcu pasa startowego,

następnie rozległ się potężny ryk wszystkich czterech na raz, poczułem ciągnięcie śmigieł, kiedy ruszaliśmy z miejsca, a mroczne wnętrze kadłuba kołysało się i wibrowało dokoła mnie. Potem zaś wszystko się uspokoiło i wiedziałem, że oderwaliśmy się od ziemi.

Podniecenie startem przemieniło się stopniowo w monotonię lotu, kiedy mknęliśmy gładko dalej i dalej, godzina za godziną. Drzemałem trochę, a co jakiś czas Farrow lub ktoś z jego załogi przechodził na tył samolotu.

Wkrótce po dziesiątej nawigator przyniósł mi sandwicze i gorącą kawę. W półtorej godziny później wylądowaliśmy w Keflaviku, w Islandii, i wysiadłem zeszytniały, mrużąc oczy w zimnym świetle słonecznym.

Lotnisko było gołą przestrzenią, budynki - nowoczesnymi, użytkowymi blokami bez charakteru. Wszystko to miało suchy, zimny, martwy wygląd pustkowie. Jednakże w bufecie samoobsługowym można było dostać jajka na boczku i gorącą kawę, a w rozbrzmiewającym echem hal-lu pełno było tranzytowych pasażerów, spędzających czas na wysyłaniu pocztówek i kupowaniu islandzkich pamiątek w kioskach wesoło ustrojonych barwami charakterystycznymi dla Północy. Mieliśmy przed sobą ponad godzinę przebywania w ciepłe, podczas gdy samolot tankował i gdy pośpiesznie sprawdzano jeden z silników, który przeciekał. Nie znaleziono żadnego uszkodzenia i o dwunastej trzydzieści znów byłem w huczącym głucho kadłubie samolotu i startowaliśmy do ostatniego skoku.

Lecieliśmy wysoko, aby ominąć pas burz u wybrzeży Grenlandii. Było zimno. Co jakiś czas zapadałem w drzemkę, a monotonię przerywała jedynie to filiżanka kawy, to posiłek, czy krótkie rozmowy z członkami załogi, gdy przechodzili na tył. Na moim zegarku było dwadzieścia po dziewiątej, kiedy w końcu obudził mnie mechanik pokładowy.

- Kapitan mówi, że jeżeli pan chce popatrzeć z powietrza na Labrador, to niech pan zaraz przyjdzie na dziób. Za piętnaście minut będziemy lądować.

Poszedłem za nim do kabiny pilota. Ku memu zdziwieniu było widno, a ponieważ mogłem teraz wyrzeć na zewnątrz, tamte długie, zimne godziny, które spędziłem skulony między rozłożonym w kadłubie ładunkiem, nagle zostały zapomniane. Zresztą niewiele było widać, oprócz szarości chmury za szybą przednią i rysującej się na jej tle głowy Farrowsa. Radiotelegrafista chwycił mnie za ramię, gdy przechodziłem i przyciągnął do siebie.

- Dałem znać przez radio do wieży kontrolnej, żeby Ledder na pana czekał - krzyknął mi w ucho. - Okej?

- Dziękuję.

Farrow obrócił nieco głowę i wskazał mi obok siebie miejsce mechanika.

- Teraz schodzimy - uczynił gest dłonią skierowaną dużym palcem w dół. Silniki miały już zmniejszone obroty. - Wyjdziemy z tej chmury na ośmiu tysiącach. - Postukał palcem w tarczę wysokościomierza, na której strzałka powoli opadała, i dodał: - Będzie pan miał masę czasu na rozmowę z Ledderem. Trzeba znów sprawdzić silnik. Przed chwilą zatrzymał się lewy zewnętrzny. - Skinął głową w stronę lewego skrzydła, które drgało lekko w kłębiącej się chmurze. Zewnętrzny silnik był martwy, a śmigło obracało się powoli. - Zostaniemy tam na noc. Wyruszymy dopiero jutro... mam nadzieję.

Miałem ochotę zapytać go, czy wylądujemy w porządku, ale najwyraźniej nikt się nie przejmował tym, że lecimy tylko na trzech silnikach, więc siadłem nic nie mówiąc i patrzyłem przed siebie przez szybę, czekając na chwilę, kiedy zobaczę po raz pierwszy Labrador. A ponieważ nie było nic widać, zacząłem rozmyślać o ojcu. Czy jego służba w lotnictwie zaprowadziła go kiedykolwiek na Labrador, czy też w tej chwili robiłem to, czego pragnął przez całe życie? Myślałem o książkach i o mapie, zastanawiając się, co go tak fascynowało w tym kraju - gdy wtem zasłona zniknęła nagle przed moich oczu i zobaczyłem Labrador.

Tym, co mnie uderzyło, była jego posepność - posepność, zagubienie i pustka. Pod nami rozciągała się wielka płachta wody pośród nagiego, płaskiego pustkowia, które było naznaczone białawymi plamami piasku i wyglądało na jałowy, polodowcowy obszar. Jednakże uwagę moją zwrócił kraj przed nami, który podnosił się coraz wyżej, stykając się z niebem. Nie było tam wzgórz ani górskich szczytów. Wstawał z nadbrzeżnej równiny jedną czarną, prostą jak struna linią, całkowicie pozbawioną jakichś charakterystycznych rysów - dalekim, surowym płaskowyżem, który samą swą jednostajnością stwarzał wrażenie ogromu, tego, że jest się na progu krainy, ciągnącej się aż po sam biegun.

- To jest Goose! - krzyczał mi w ucho Farrow pokazując palcem. Ja jednak nie patrzyłem tam. Oczy moje przywarły do czarnej linii owego płaskowyżu i powstrzymałem oddech, dziwnie podniecony, rzekłbyś, przez jakieś dawne wyzwanie.

- Niebrzydki kraik! - krzyknął do mnie Farrow. - Jest gdzie zabłądzić. Nic, tylko jeziora, a wszystkie dosiebie podobne. - Nagle wyszczerzył zęby. - „Ziemia, którą Bóg dał Kainowi”; tak nazwał ją Jacques Cartier, kiedy ją odkrył.

Ziemia, którą Bóg dał Kainowi! Słowa te mieszały się z moimi myślami i przesączyły w umysł zimnym dreszczem. Jakże często miałem później wspominać trafność owego określenia!

Schodziliśmy już do lądowania, wody zatoki Goose podnosiły się ku nam coraz bardziej, lotnisko było dobrze widoczne. Mechanik pokładowy klepnął mnie po ramieniu;

wydobywszy się z jego siedzenia wróciłem w półmrok kadłuba. W kilka chwil później dotknęliśmy ziemi.

Samolot zatrzymał się, motory wyłączono, a nawigator przeszedł na tył i otworzył drzwi rozładunkowe. Światło dzienne wtargnęło do kadłuba przynosząc ze sobą ciepło i zapach deszczu, a ja popatrzyłem przez otwarte drzwi ponad mokrym asfalem ku szeregowi pomalowanych na zielono budynków z blachy falistej. Na płycie czekał samotnie jakiś człowiek - wysoki, posępny mężczyzna w plastikowym płaszczu nieprzemakalnym.

Zebrałem swoje rzeczy, a po chwili podszedł do mnie Farrow.

- Załatwię panu pokój w hotelu Kanadyjskich Linii Lotniczych - powiedział. - Może pan tam dostać coś do zjedzenia. Aha, jest teraz godzina... - spojrział na zegarek - piąta dwadzieścia dwie. Między Goose a Anglią jest cztery i pół godziny różnicy. - Po czym dodał: - Przyjdzie tu wóz, który nas zabierze, jak tylko skończę z obsługą i jak załatwimy się z urzędem imigracyjnym.

Podszedł do wyjścia i wtedy usłyszałem czyjś głos:

- Kapitan Farrow? Moje nazwisko: Simon Ledder. Proszono mnie, żebym na was czekał. - Głos ten był powolny, zdziwiony i trochę niechętny.

Potem i ja stanąłem w drzwiach, a Farrow powiedział:

- Właśnie. Tu jest ten gość, z którym pan chciał rozmawiać.

I kiedy zeskakiwałem na asfalt, już się oddalał, niedbale machnąwszy mi ręką.

- Gdzie mam pana szukać? - zawołałem za nim.

Nie chciałem go zgubić. Wszystko tu wydawało się takie ogromne i przygnębiające.

- Nie martw się pan, nie zapomnę o panu - odpowiedział przez ramię. Załoga samolotu czekała na niego, i kiedy się z nią zrównał, wszyscy odeszli razem. Dosłyszałem nieco piskliwy śmiech mechanika pokładowego, po czym zniknęli w hangarze.

- W jakiej sprawie pan chciał się ze mną widzieć? - Głos Leddera był bezbarwny i płaski i kiedy się obróciłem, ujrzałem go stojącego obok mnie, z rękami w kieszeniach i znudzonym wyrazem twarzy.

Rozmyślałem o tym spotkaniu przez wszystkie monotonne godziny lotu, ale teraz, kiedy zostałem z nim sam na sam, nie mogłem znaleźć słów. Wzmianki o nim w dziennikach ojca nadały mu w moich myślach wagę, której nie mogłem pogodzić z tym ponurym indywiduum.

- Czy pan przypomina sobie nazwisko Ferguson? - zapytałem. - James Finlay Ferguson. On już teraz nie żyje, ale...

- Ta wyprawa z tysiąc dziewięćsetnego roku. O to panu idzie? - Nagle zainteresowanie pojawiło się w tych oczach, które patrzyły na mnie przez okulary w rogowej oprawie.

Intuicja powinna była mi powiedzieć, że oto zapełniano dla mnie jakąś lukę w przeszłości, ale myśli moje były skierowane na Briffe'a i na to, co napisał mój ojciec.

- Nie, stacja G2STO - odparłem. - Idzie o te kontakty radiowe, które pan z nim miał. - Jednakże z jego oczu zniknął chwilowy przebłysk zainteresowania i twarz miał nieprzeniknioną. - Pański znak wywoławczy jest V06AZ, prawda? - spytałem. Kiwnął głową czekając.

- G2STO skontaktował się z panem trzy razy w ciągu ostatnich paru tygodni. Nie pamięta pan?

- Jasne, że tak. Ściśle mówiąc, sześć razy. - W jego głosie zabrzmiało znużenie. Po tym dodał: - Pan jest skąd? Z policji czy z lotnictwa?

Nie odpowiedziałem na to. Przyszło mi do głowy, że może chętniej coś powie, jeżeli będzie myślał, że mam podstawy, by go wypytywać.

- Czy moglibyśmy pójść gdzieś, gdzie można by porozmawiać? - zapytałem. Zaczynało znów padać, a dalej na płycie jakiś samolot rozgrzewał silniki. - Jest kilka pytań...

- Pytań? - To go najwyraźniej poruszyło. - Od kilku dni nie mam nic oprócz pytań na temat tego diabelnego krótkofalowca G2STO! Mam go wyżej nosa. Ten głupi wariat twierdzi, że odebrał wiadomość od Paula Briffe'a. Pan przyjechał w tej sprawie, co? - Najwyraźniej był usposobiony wrogo. - No więc strawiłem cały dzień na pisaniu sprawozdania na jego temat. Kierownik tutejszej stacji ma odpis, jeżeli pan chce go zobaczyć. Nie mam nic do dodania. Nic a nic. Byłem zbyt rozeźlony, by coś powiedzieć. Przyjechać z tak daleka po to, by się przekonać, że ten Ledder nie ma najmniejszej chęci współdziałania. Tego się właśnie obawiałem od chwili, kiedy go zobaczyłem oczekującego ponuro na płycie. - No więc? - zapytał. - Chce pan obejrzyć to sprawozdanie?

Kiwnąłem głową i ruszyliśmy razem przez asfalt.

- Panu wiadomo o Briffe'ie? - Przyglądał mi się; myślę, że był zaskoczony moim milczeniem. - Nie mógł nadać tej transmisji.

- Skąd pan wie? - spytałem.

- Skąd wiem? Przecież ten człowiek nie żył. Jakże, udiabła, ktoś, kto od tygodnia nie żyje, może nagle zacząć nadawać?

- Pan nie ma pewności, że on nie żyje - powiedziałem. Wtedy przystanął w miejscu.

- Jak to?

- Zameldowano, że nie żyje. To wszystko.

- To wszystko, mówi pan? - Przypatrywał mi się ciekawie. - Do czego pan zmierza?
- Tylko do tego, że nie można być absolutnie pewnym, że nie nadawał - odparłem. -
Chyba że ktoś go nasłuchiwał tamtego dnia na jego częstotliwości. - Obróciłem się twarzą do
niego. - Czy pan go nasłuchiwał dwudziestego dziewiątego o drugiej?

- Mnie podano godzinę dziewiątą dwadzieścia pięć.

- Tak, oczywiście. - To właśnie były te cztery i pół godziny różnicy. - Tutaj to
odpowiada dziewiątej dwadzieścia pięć. Ale pan wtedy nie nasłuchiwał, prawda?

Potrząsnął głową.

- A po co? Poszukiwania odwołano już trzy dni przedtem, więc nie miałem żadnych
powodów myśleć, że...

- W takim razie nie może pan być bezwzględnie pewny.

- Mówię panu, że Briffe nie żył. - Uraziłem jego zawodową dumę i powiedział to z
gniewem. - Gdybym uważał, że jest szansa na jakąkolwiek transmisję, nasłuchiwałbym bez
przerwy. Ale jej nie było. Briffe nie żył już od dwudziestego.

Możliwe, że nie różnił się tak bardzo od mojego ojca, kiedy chodziło o radio.

- Na to mamy tylko oświadczenie pilota - powiedziałem.

Popatrzał na mnie z wyrazem zdumienia na twarzy.

- Czy pan sugeruje... Panie, na miłość boską, Laroche to porządny człowiek. -
Przyglądał mi się z nagłą podejrzliwością. - Pan nie jest z policji. Ani z lotnictwa.

Kim pan jest?

- Nazywam się Ian Ferguson - odrzekłem. - Ten głupi wariat, o którym pan mówił, to
był mój ojciec, a tak się składa, że ja wierzę, że odebrał jakąś transmisję.

- Moje słowa była dla niego wstrząsem, ja zaś nie dałem mu czasu oprzytomnieć,
tylko dorzuciłem szybko: - Ojciec kilkakrotnie nawiązał z panem łączność. - Wyjąłem kartkę
papieru z wynotowanymi zapisami. - Po raz pierwszy dwudziestego trzeciego września,
potem dwudziestego piątego i dwudziestego szóstego zeszłego miesiąca. Czy wtedy wydawał
się panu wariatem?

- Nie, ale to było jeszcze, zanim...

- Był zupełnie przytomny, prawda?

- Zadał mi kilka dziwnych pytań - odrzekł wymijająco.

Zawahałem się. Jednakże nie był to odpowiedni moment, żeby dowiedzieć się, jakie
mu zadał pytania.

- Niech pan chwilowo zapomni, że Briffe'a uznano za zmarłego - rzekłem - i że mój ojciec mógł tę wiadomość odebrać. Niech pan wróci myślą do tego pierwszego razu, kiedy nawiązał z panem łączność. Czy przypomina pan sobie, jaka była pańska reakcja?

- Mówię panu, że zadał mi kilka dziwnych pytań - odpowiedział niepewnie. - Poza tym chyba nie było nic takiego. Po prostu jeszcze jeden krótkofalowiec.

- Niech pan posłucha - rzekłem próbując tchnąć w niego własne przejęcie. - Mój ojciec był radiotelegrafistą, tak samo jak pan. - Z pewnością między tymi ludźmi, których światem był eter, istniało coś w rodzaju masonerii, jakieś poczucie braterstwa. - Wiem, że kontaktował się z panem radiotelegraficznie i że wtedy otrzymuje się tylko całą masę kropek i kresek, ale przecież to musi coś dawać, jakieś pojęcie...

- To nie to samo, co głos, wie pan. A on zawsze kontaktował się ze mną kluczem, nigdy fonią.

- Oczywiście - odparłem gniewnie. - Jakże inaczej miał się z panem kontaktować? Ale nawet wtedy coś mu siało do pana dotrzeć, taka czy inna wskazówka, jakim był rodzajem człowieka, jaki był jego nastrój, cośkolwiek.

- Mówię panu, że to wszystko szło kluczem. Gdybym miał kontakt foniczny, to może wtedy... - Z lekka wzruszył ramionami. - Prawdę mówiąc nie zastanawiałem się wtedy zbyt wiele nad nim.

Padalo teraz gęściej, ale nie robił nic, ażeby gdzieś się schronić; zapytałem go ponownie, co myślał o moim ojcu.

- Przecież musiał pan odnieść jakieś wrażenie. - Kiedy zaś nic nie odpowiadał, dorzuciłem zniecierpliwiony: - czy ludzie, z którymi pan się kontaktuje przez radio, nic dla pana nie znaczą? Musiał pan chyba mieć jakieś pojęcie...

- Powtarzam panu, że był tylko jeszcze jednym krótkofalowcem, nic więcej - odparł z irytacją. - Mam kontakty z całą masą takich.

Nagle poczułem zmęczenie tą całą sprawą. Mój ojciec nic nie znaczył dla tego ponurego kanadyjskiego radiowca - nic a nic. Wydawało się, że moja podróż do Goose była bezcelowa. W desperacji powiedziałem:

- Przynajmniej nie uważał go pan wtedy za nienormalnego czy nieodpowiedzialnego?

- Mówię panu, że nie miałem o nim żadnego zdania.

Byłem zaskoczony jego pytaniami. To wszystko. Dwa tysiące mil z górą, a ja nie posunąłem się ani o krok naprzód. Zagadnąłem go więc o te pytania, na co odparł, że wszystko jest w napisanym przez niego sprawozdaniu.

- W każdym razie wszystko, co zapamiętałem. - I dodał: - Gdyby pan wpadł do mnie, mógłbym je panu pokazać. Zachowałem sobie kopię.

Zawahałem się, ponieważ zaproponował mi to tak niechętnie, ale on spojrzał na zegarek i powiedział:

- Już po wpół do szóstej. Kierownik stacji pewnie i tak już wyszedł.

- Dobrze.

Pomyślałem, że może w domu więcej z niego wydobę-dę, on zaś zawrócił bez słowa i poprowadził mnie przez płytę. Gdy mijaliśmy otwarte drzwi hangaru, ukazał się Farrow, który zawołał do mnie:

- Gdyby pan zaszedł teraz do biura, moglibyśmy załatwić formalności. - A potem do Leddera: - Możemy pana podwieźć, jeżeli pan chce. Ciężarówka będzie tu lada chwila.

- Okej, dziękuję - odrzekł Ledder. - Przynajmniej nie zmoknę. To jest najgorsze w tej dziurze - obrócił się do mnie z cieniem uśmiechu. - Nie wolno nam mieć własnego wozu. Zdaje się, że to kwestia benzyny. Zatoka jest przez pół roku zamarznięta i wtedy trzeba przysyłać zaopatrzenie samolotami.

Weszliśmy do biura i podczas gdy sprawdzano mój paszport i robiono odprawę celną, Farrow zapytał mnie o Leddera.

- Wydobył pan to, czego pan chciał? - szepnął.

- Nie - odparłem. - Jeszcze nie.

- A, ma pan masę czasu. Start będzie nie wcześniej jak o siódmej rano, a i to zakładając, że popracują nad tym silnikiem przez całą noc.

- Pan tu nocuje, prawda? - zapytał Ledder. A kiedy Farrow kiwnął głową, zwrócił się do mnie. - To może pan coś zje, a potem przyjdzie do mnie. Domy Ministerstwa Transportu są zaraz naprzeciwko hotelu.

Ciężarówka już przyjechała. Władowaliśmy się do niej i w chwilę później toczyliśmy się po wyboistej ziemnej drodze biegnącej nad zatoką. Lotnisko zostawało za nami, posępne w deszczu, a w dole dostrzegłem molo ze stojącym przy nim parowcem, dalej zaś kilka hydroplanów, zakotwiczonych tuż przy brzegu, małych i niewyraźnych w gasnącym świetle. Obok drogi spycharki odsłoniły grubymi zaciosami zwirowatą ziemię, w przesiekach wałyły się wyrwane z korzeniami drzewa, a tu i ówdzie wśród gołego pustkowiata widniało żółte drewno nowego budynku. Cała miejscowość miała przygnębiający wygląd, była surowa i ponura niczym jakaś nadgraniczna osada. Była rękawicą rzuconą w twarz przyrodzie, a karłowate świerki cisnęły się zewsząd, tak że miałem ciągle świadomość istnienia rozciągających się za nimi nieskończonych pustkowi.

Hotel był niską, rozłożystą budowlą składającą się z kilku drewnianych domków ustawionych pod kątem w kształt gwiazdy. Miserne karłowate świerki obrastały dookoła piaszczystą polanę. Deszcz zelżał i kiedy wysiedliśmy z ciężarówki, dojrzałem znowu wzgórze za zatoką, ciemne, dalekie i mocno granatowe. Zrobiło się nagle zimniej. Ledder pokazał mi swój dom, ledwie widoczny poprzez zasłonę drzew.

- Niech pan przyjdzie zaraz po kolacji - powiedział.

Rozstaliśmy się z nim i weszliśmy do środka, gdzie powitało nas gorące tchnienie ogrzewania parowego włączonego na cały regulator. Hotel miał nagi, koszarowy charakter, ale pokoje były nadspodziewanie schludne i bardzo nowoczesne, a jedzenie dobre.

Było już prawie wpół do ósmej, kiedy skończyłem kolację i wyszedłem na zacinający wiatr. Było ciemno, a gwiazdy wyglądały mroźnie. Na niebie drgał cienki, blady woal zorzy polarnej, a cisza była absolutna. Widoczne między drzewami światła domu Leddera błyszcząły ciepło przez pomarańczowe zasłony okienne.

Otworzył mi drzwi ubrany w jaskrawą koszulę z krótkimi rękawami, rozpiętą pod szyją. Była przy nim mała dziewczynka, a w pokoju w głębi jego żona i jakaś kobieta siedziały gawędząc przy grającym radiu. Przedstawił mnie im, ja zaś stanąłem zakłopotany, ponieważ chciałem z nim porozmawiać sam na sam. W pokoju było nieznośnie gorąco i pełno mebli wyglądających na bardzo nowe, z obiciami w jaskrawych barwach.

- Można panu podać kawę? - spytała pani Ledder.

Potrząsnąłem głową.

- Dopiero co piłem.

Roześmiała się. Była młoda i wesoła, o szerokiej twarzy i jasnych włosach, raczej ładna, tyle że nieco za tęga. To jednak mogło być dlatego, że spodziewała się dziecka i miała na sobie luźną suknię.

- Od razu widać, że pan nie jest Kanadyjczykiem.

Żaden Kanadyjczyk nie odmówiłby kawy tylko dlatego, że dopiero co pił, to pewne. Simon i chłopcy piją kawę przez cały czas. Na pewno pan się nie namyśli? Potrząsnąłem głową, a Ledder powiedział:

- No, jeżeli pan nie ma ochoty na kawę, to może zejdziemy na dół, dobrze? Tam będzie spokojniej. - Otworzył drzwiczki pod schodami i zapalił światło. - Musi pan wybaczyć ten bałagan, ale instaluję sobie nowy sprzęt.

Zeszedłem za nim po schodach prowadzących do czegoś w rodzaju piwnicy, która zapewne była przeznaczona jedynie na piec i bojler. Jednakże pod ścianą było tam także biurko obstawione jak barykadą masą sprzętu radiowego. Na podłodze wałały się zabawki,

części przyborów gospodarskich, szczątki gwiazdkowej choinki, dziecienny wózek - a wszędzie moc narzędzi oraz wnętrzności starych aparatów radiowych.

- Czy to tu pan pracuje? - spytałem.

- Aha. Ludzie wciąż mnie proszą, żeby naprawić to czy owo.

- Mnie idzie o to, czy stąd pan nadaje?

Kiwnął głową i podszedł do biurka.

- Mówiłem panu, że tu jest bałagan.

Nie wiem, czego się spodziewałem. Chyba czegoś czystego i schludnego. Wydawało się niewiarygodne, że ten zagracony pokój w suterenie jest VO6AZ i że spośród tego bałaganu Ledder mógł nawiązywać łączność z moim ojcem po drugiej stronie Atlantyku.

- Wiem, że to nie wygląda imponująco - powiedział. - Nie takie wymuskane jak stacja Ministerstwa Transportu. - Przysiadł i szperał w jakichś papierach w szufladzie. - Ale mogę panu jedno powiedzieć: takiego sprzętu jak tutaj nie ma w Radio Goose. - Zatrzasnął szufladę. - Proszę - rzekł i wyciągnął do mnie zapisany na maszynie arkusz papieru.

Wziąłem go. Zatytułowany był: SPRAWOZDANIE O BRYTYJSKIEJ RADIOSTACJI AMATORSKIEJ G2STO.

- Musi pan pamiętać, że kiedy to pisałem, wiedziałem już, że Briffe nie żyje - powiedział z lekko zakłopotanym uśmiechem. - I nie znałem nazwiska pańskiego ojca. Gdybym je znał, mogłoby to się jakoś tłumaczyć.

Siedząc przy biurku wydawał się innym człowiekiem, raźniejszym, bardziej ożywionym - jak sądzę dlatego, że to był jego świat, podobnie jak dla mego ojca. Jego ręka powędrowała odruchowo do klucza, tak samo jak zawsze ręka ojca. Był to inny klucz, wzoru amerykańskiego, z bocznym uchwytem. Ale chociaż klucz był inny, gest był ten sam.

- Jeżeli idzie o moje ówczesne wrażenie, to G2STO był stuknięty i już. - Głos miał swobodny i naturalny, zniknęła z niego cała wrogość. - Bardzo przepraszam - dorzucił - ale wtedy byłem już dosyć zmęczony tą całą historią. Powinienem był sprawdzić jego nazwisko w spisie.

Rzuciłem okiem na sprawozdanie zastanawiając się, dlaczego nazwisko miałyby tu coś zmienić. Wyszczególnił sześć kontaktów, a dwa z tych trzech, o których nie wiedziałem, dotyczyły częstotliwości Briffe'a.

- Widzę, że ojciec po raz pierwszy nawiązał z panem łączność jedenastego sierpnia - powiedziałem. - Prosił o czas nadawania Briffe'a i pan mu go podał. Tak samo jak częstotliwość.

- Jasne, że podałem. To nie była żadna tajemnica.

- A jaka była częstotliwość?

- Trzy siedemset osiemdziesiąt.

Wyjąłem kartkę z moimi notatkami. „11 sierpnia: Briffe. Briffe. Kto to jest Briffe?”.

- Czy to jest to? - spytałem pokazując mu notatkę, którą zrobiłem.

Pochylił się do przodu i spojrział na nią.

- Pasma siedemdziesiąt pięć metrów. Częstotliwość trzy siedemset osiemdziesiąt. Tak, zgadza się.

Wyjaśniłem mu na wpół zamazany zapis, który znalazłem.

- Niech pan popatrzy. Nie mogłem odczytać daty, ale to było gdzieś pod koniec sierpnia.

- „Trzy siedemset osiemdziesiąt; nic, nic i nic, wciąż nic”. - Odczytał to powoli i spojrział na mnie. - No i co?

- To znaczy, że ojciec nasłuchiwał na częstotliwości Briffe’a.

- To znaczy, że był zaciekawiony, jasne. Ale tak samo ciekawych było paru innych krótkofalowców. Dwóch Kanadyjczyków, jeden w Burnt Creek, a drugi na wyspie Baffin, nasłuchiwało regularnie. To nic nie znaczy. Po prostu interesowali się i koniec.

- W takim razie co z tym kontaktem dwudziestego szóstego września? To był dzień, kiedy odwołano poszukiwania. Według pańskiego sprawozdania ojciec skontaktował się z panem tego wieczora, żeby sprawdzić częstotliwość Briffe’a i zapytać, czy była jakaś inna częstotliwość, której mógł użyć w nagłym przypadku. Czy to nie jest oczywistym dowodem, że stale nasłuchiwał na częstotliwości Briffe’a?

- Paul Briffe miał tylko starą czterdziestkę ósemkę. Działała za pomocą ręcznej prądnicy i każdy angielski krótkofalowiec byłby przeszedł dwa tysiące mil poza jej normalnym zasięgiem.

- Poza normalnym, tak - odparłem ze zniecierpliwieniem. - Niemniej jednak mój ojciec stale nasłuchiwał. Pan o tym wiedział, a jednak tutaj, na końcu swojego sprawozdania, wyraża pan opinię, że G2STO nie mógł w żadnym razie odebrać transmisji Briffe’a. I podaje pan umotywowanie: po pierwsze, „założywszy nawet, że nastąpił przypadkowy odbiór i wiadomość istotnie nadano, szansa, żeby G2STO wybrał akurat ten moment do nasłuchu, jest znikoma”. Co pan właściwie chciał przez to powiedzieć?

- To, co powiedziałem - odparł ostro. - Niech pan weźmie wszystkie punkty razem pod uwagę: Briffe nadaje, kiedy wiadomo, że nie żyje, przypadkowy odbiór i wreszcie znikoma szansa, że pański ojciec nasłuchiwał akurat w tym momencie. To po prostu nie trzyma się kupy.

- Czemu? Przyznaję, że wszystko przemawia przeciw temu, ale rzecz nie była niemożliwa.

- Och, na miłość boską! - wykrzyknął z irytacją. - Samolot rozbił się wieczorem czternastego. Nasłuchiwaliśmy stale aż do dwudziestego szóstego, kiedy zaprzestano poszukiwań; nie tylko my, ale i stacje rządowe i lotnicze, i cała masa krótkofalowców. Nie złapaliśmy nic. A w trzy dni po tym, kiedy zakończyliśmy nasłuch, G2STO doniósł o nawiązaniu łączności. Przypuśćmy, że Briffe rzeczywiście nadawał dwudziestego dziewiątego, tak jak twierdził pana ojciec. W takim razie, ażeby na pewno odebrać tę transmisję, ojciec musiałby nasłuchiwać na jego częstotliwości przez pełne trzy dni, po dwadzieścia cztery godziny na dobę. - Potrząsnął głową. - To po prostu nie jest do uwierzenia.

- Mój ojciec był sparaliżowany - powiedziałem. - Nie miał nic innego do roboty.

Popatrzył na mnie.

- O, bardzo mi przykro - rzekł głucho. - Nic nam o nim nie powiedziano.

- Nie powiedziano wam, że umarł natychmiast po odbiorze tej wiadomości?

- Nie. Chyba to wyjaśnia wszystko... mam na myśli powód pańskiego przybycia. Bo nad tym się zastanawiałem.

- Ta transmisja go zabiła.

Oczy mu się rozszerzyły, popatrzał na mnie z zaciekawieniem.

- Jak to?

Opowiedziałem mu wtedy, jak ojciec krzyknął i dźwignął się na nogi. Opowiedziałem mu całą historię, a kiedy skończyłem, rzekł:

- Nie miałem o tym wszystkim pojęcia! - Jego cichy, powolny głos był wstrząśnięty, a w tonie brzmiała przepraszająca nuta. - Nie podali żadnych szczegółów, nawet jego nazwiska. Myślałem o tym przy kolacji. To właśnie te jego pytania nasunęły mi przypuszczenie, że jest obłąkany. Gdyby mi podali jego nazwisko, mógłbym zrozumieć, o co mu chodziło. A w tym stanie rzeczy jego pytania wydawały się po prostu diabelnie bezsensowne. - Ruchem głowy wskazał sprawozdanie, które trzymałem w ręku. - Niech pan to przeczyta. One wszystkie tam są. Zrozumie pan, o co mi idzie. Jeżeli spadały na człowieka bez żadnego przygotowania, można było pomyśleć, że on jest niespełna rozumu; każdy by tak pomyślał.

Zrozumiałem, o co mu idzie, bo za drugim kontaktem ojciec zapytywał go, czy Briffe nigdy nie wymienił Jeziora Lwa. To było dziesiątego września, a kiedy Ledder odpowiedział, że nie, i odmówił podania położenia Obszaru C1, ojciec poprosił o szczegóły raportów albo

przynajmniej o szyfr, ażeby móc samemu śledzić drogę wyprawy. I wreszcie: „Poprosił mnie, żeby zapytać Laroche’a o Jezioro Lwa i podać mu jego reakcję”.

- Dlaczego chciał, żeby pan pytał Laroche’a o to jezioro? - spytałem. - Czy wspominał coś na ten temat?

- Nie, nic. Powiadam panu, że niektóre pytania były diabelnie dziwaczne.

Piętnastego września, w dzień po zaginięciu geologów, ojciec zadał mu mnóstwo pytań na temat tego, co się stało, oraz powodów, dla których Briffe’owi tak się spieszyło, by dotrzeć do C2. „Czy pytałem Laroche’a o Jezioro Lwa i jaka była jego reakcja? Gdzie jest C2? Moje negatywne odpowiedzi najwyraźniej go rozdrażniły”. Dwudziestego trzeciego września ojciec znowu nawiązał z nim łączność prosząc o informacje o Laroche’u. „Czy mógłbym się dla niego dowiedzieć, czy geolodzy kanadyjscy jeszcze pamiętają wyprawę na obszar Attikonaku, z roku 1900?” W dwa dni później zapytał o to znowu. „Odpowiedziałem mu, że jeszcze się o niej mówi, i dodałem, że jeżeli chce dalszych szczegółów, powinien się skontaktować z Ministerstwem Górnictwa w Ottawie”.

Na końcu był ten ostatni kontakt, w którym Ledder potwierdzał częstotliwość Briffe’a.

Położyłem sprawozdanie obok niego na biurku, świadom, że mnie obserwuje i czeka, abym mu wyjaśnił, co znaczą te pytania. Spodziewał się, że będę wiedział, i fakt, że nie miałem o tym pojęcia, wprowadził mnie w zakłopotanie, tak że gardło nagle mi się ścisnęło, a oczy zwilgotniały. Ażeby zyskać na czasie, zapytałem go o C2.

- Czy to było na obszarze Attikonaku?

Kiwnął głową.

- Jasne. Pierwsza grupa obozowała nad samą rzeką. - A potem dodał: - Czy panu wiadomo, dlaczego tak się interesował rzeką Attikonak? A to Jezioro Lwa, o które pytał?

- Nie wiem. - Było to wyznaniem, że nigdy nie zadałem sobie trudu, aby się bardziej zbliżyć do ojca. - Może wie moja matka - mruknąłem niepewnie.

Teraz on był zaskoczony.

- Ale te pytania mają chyba dla pana jakiś sens?

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Rzecz polegała na tym, iż Ledder tylko wtedy dałby się przekonać, że wiadomość była prawdziwa, gdybym potrafił wyjaśnić pobudki pytań ojca, a ja tych pobudek nie znałem. To wszystko było zawarte w mapie i książkach, i pamiętkach z kanadyjskiej Północy - w całym tym tajemniczym świecie, którego nigdy z nim nie dzieliłem. „To długa historia”. Była to jedyna wzmianka, jaką kiedykolwiek uczynił na ten temat. Gdybym był wtedy się uparł! Przy odrobinie cierpliwości mogłem to z niego wydobyć.

Ledder wziął sprawozdanie i przyglądał mu się.

- Mam ochotę sam siebie kopnąć - powiedział rzucając je nagle na stos papierów. - Gdybym był chociaż sprawdził jego nazwisko w spisie. Ale pożyczyłem mój egzemplarz komuś ze stacji ministerstwa i po prostu nie chciało mi się pójść, odszukać go i odebrać. - Zrozumiał niewłaściwie moje milczenie. - Nie przyszło mi to na myśl - dodał spoglądając na mnie nieledwie przepraszająco.

- Co panu nie przyszło na myśl? - zapytałem. Było w tym coś, czego nie mogłem zrozumieć.

- Że jego nazwisko było takie ważne - odpowiedział.

- Ważne? Jak to?

- Ano, gdybym wiedział, że nazywał się James Finlay Ferguson... - Urwał raptownie i popatrzył na mnie ze zdumieniem. - Przecież był krewnym, nie?

- Krewnym? - Nie wiedziałem, o co mu idzie.

- Czym krewnym?

- No, tego Fergusona, który zginął na obszarze Attikonaku w roku tysiąc dziewięćsetnym.

Wytrzeszczyłem oczy. Więc o to chodziło. O wyprawę z tysiąc dziewięćsetnego.

- To na tej wyprawie był jakiś Ferguson? - zapytałem?

- No, przecież. James Finlay Ferguson. - Patrzył na mnie tak, jak gdyby teraz myślał, że to ja jestem wariatem. - Jakże, więc pan o tym nie wie?

Potrząsnąłem głową szukając w myśli na wpół zapomnianych spraw z dzieciństwa - obaw matki, obsesji ojca na punkcie tego kraju. Więc taka była przyczyna wszystkiego.

- A nazwisko? - powiedział to prawie z gniewem, jak gdyby mu odbierano coś, co mogło ożywić monotonię bytowania na tej dalekiej placówce. - I te wszystkie jego pytania. Uważa pan za zwykły zbieg okoliczności, że nazwiska były te same? I pański ojciec tylko dlatego się tym interesował?

- Nie - odparłem. - Nie, to nie to. - I dorzuciłem pośpiesznie: - Po prostu ojciec nigdy o tym nie mówił.

- Ja też czułem się oszukany; oszukany dlatego, że ojciec nie podzielił się ze mną przeszłością, choć do mnie należała i miałem do niej prawo.

- Nigdy nie mówił? A niby dlaczego? - Ledder pochylił się do przodu. - Ustalmy to sobie. Czy oni byli spokrewnieni, czy nie... pański ojciec i ten Ferguson, co pojechał na Labrador?

- Oczywiście, że tak - odparłem. - Musieli być.

Nie było innego wytłumaczenia. To wyjaśniało tyle rzeczy, których nigdy nie rozumiałem. Szkoda, że babka umarła, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Chętnie bym z nią porozmawiał.

- Jakie to było pokrewieństwo? - Ledder wpatrywał się we mnie. - Czy pan wie?

- Myślę, że tamten był jego ojcem. - Musiał nim być, bo nie miałem żadnych stryjecznych dziadków.

- Czyli pańskim dziadkiem.

Kiwnąłem głową. I pewnie właśnie babka Aleksandra nadała mojemu ojcu imiona James Finlay. Pomyślałem, iż to dziwne, że ojciec urodził się w roku tysiąc dziewięć-setnym.

- Ale skąd pan wie, że on był pańskim dziadkiem? - zapytał Ledder. Skąd pan to wie, jeżeli pan nawet nie słyszał, że była taka wyprawa na początku tego stulecia?

Opowiedziałem mu wtedy o sekstansie i wiośle, i innych rzeczach, które wisiały tam na ścianie, o mojej babce i domu w Szkocji, i o tym, jak przyszła do mnie w nocy gdy byłem taki mały, że dzisiaj ledwie to pamiętałem.

- Myślę, że miała zamiar opowiedzieć mi wtedy o wyprawie. - Kiedy z nim o tym mówiłem, wszystko zaczynało mi się jakoś dziwnie logicznie układać; obsesja mojego ojca, wszystko. A potem zapytałem go o tę wyprawę. - Może pan podać mi szczegóły? Co stało się z tamtym Fergusonem?

- Nie wiem - odrzekł. Właściwie wiem bardzo nie wiele; tyle, co mi powiedział geolog Kompanii. Wyruszyło ich dwóch z Davis Inlet. Dwóch białych, bez żadnych Indian. Jeden był poszukiwaczem, drugi traperem, a skończyło się to tragedią. Traper ledwie uszedł z życiem. Poszukiwacz, to znaczy Ferguson, umarł. Tyle mi wiadomo. - Obrócił się do biurka i wyjąwszy swój dziennik, szybko go przerzucił. - O, proszę. Tu jest odpowiedź geologa: „Wyprawa z 1900 r. dobrze znana, bo jeden z dwóch uczestników, James Finlay Ferguson, zaginął”.

- I on był poszukiwaczem?

- Tak twierdził Tim Baird.

- Poszukiwaczem złota?

Przypomniałem sobie, iż matka kiedyś powiedziała, że mam nie pytać o dziadka... Nazwała go starym rozpustnikiem, który źle skończył i zmarnował życie szukając złota.

- Nie wiem, czego. Tim nie mówił.

- To jednak nie było ważne. Miałem zupełną pewność, że chodziło o złoto, tak jak miałem pewność, że to właśnie była owa przeszłość, którą ojciec przeżywał tak głęboko w

swojej samotności. Żałowałem tylko, iż nigdy nie zadałem sobie trudu, żeby wydobyć z niego tę historię.

- Dziwne, że nigdy z panem o tym nie rozmawiał - powiedział Ledder i wyczułem, że wciąż nie jest tego pewny.

- Już panu powiedziałem, że nie mógł mówić. - Po czym dodałem: - Został ranny tak dawno temu, że teraz nie potrafię nawet przypomnieć sobie dźwięku jego głosu.

- Ale pisać mógł.

- To był dla niego wysiłek - odparłem.

- I nie zostawił żadnych notatek?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Przynajmniej nie znalazłem żadnych, kiedy przeglądałem jego rzeczy. Pewnie to było zanadto skomplikowane albo coś. Tak w każdym razie twierdził. Co jeszcze mówił panu ten geolog?

- To, co panu przeczytałem, nic więcej. - Siedział kreśląc coś ołówkiem na okładce dziennika.

- A ten Tim Baird? Czy powiedział panu coś jeszcze? Nazwisko tego drugiego albo gdzie się udali czy czego szukali?

- Nie. Myślę, że sam niewiele wiedział. Powiedziałem panu wszystko, co mi wiadomo. - Pokiwał głową spoglądając na kreślony wzór. - Diabelnie dziwne, że nic panu o tym nie wspomniał, chociaż to było u niego obsesją.

- Pewnie przez wzgląd na matkę - odparłem. - Przypuszczam, że musiała kazać mu przyrzec. Nie chciała, żebym był w to wciągnięty. Myślę, że nienawidziła Labradoru - dodałem wspominając scenę na peronie przed samym odjazdem pociągu. A oto byłem na Labradorze.

Myśli moje wróciły do pytań zadawanych przez ojca i znowu wziąłem sprawozdanie. Myślałem o mapie wiszącej nad nadajnikiem, o wypisanej na niej ołówkiem nazwie „Jezioro Lwa”.

- Czy pan zapytał Laroche’a o Jezioro Lwa?

- Nie. Nie miałem sposobności. - A potem Ledder przestał kreślić i podniósł wzrok na mnie. - Wie pan, to nawet nie tyle dziwaczność tych pytań nasunęła mi przypuszczenie, że był obłąkany. Raczej ta obsesja na punkcie jakiejś starej historii...

- Mój ojciec nie był obłąkany - odparłem ostro.

Ciągle zastanawiałem się, czemu tak go interesowała reakcja Laroche’a.

- Ano, chyba nie. - Ledder mówił powoli, prawie niechętnie. - Gdybym wiedział, że nazywał się James Finlay Ferguson, to by się jakoś tłumaczyło. - Znów się usprawiedliwiał,

ale po chwili dodał: - Tylko że nawet, jeżeli nie był obłąkany... - Nie dokończył zdania, zapatrzył się w biurko i począł bawić się kluczem Morse'a.

- Czy on prowadził dziennik? - zapytał wreszcie.

- Tak, oczywiście - odrzekłem i podałem mu arkusik notatek, rad, że wypisałem je z dziennika. To są wszystkie wzmianki dotyczące Briffe'a, od chwili kiedy ojciec pierwszy raz odebrał pana transmisję, aż do tej końcowej wiadomości.

Znowu spróbowałem mu wytłumaczyć, że pisanie było dla ojca uciążliwe i że zazwyczaj nakreślał tylko krótką notatkę, by zapamiętać sobie treść danej transmisji. Ledder jednakże najwyraźniej mnie nie słuchał. Uważnie przeglądał notatki posysając ołówek, i od czasu do czasu kiwał głową, jak gdyby coś mu się przypominało.

W końcu odsunął kartkę, odchylił się z krzesłem do tyłu, aż oparcie dotknęło ściany, i zapatrzył się przed siebie.

- Dziwne - mruknął. - Niby do sensu, a miejscami bez sensu. - Po chwili wyprostował się na powrót. - Na przykład to - przysunął sobie papier i wskazał zapis z 18 września, który brzmiał: „LAROCHE. Nie, to nie możliwe. Chyba zwariowałem”. - Co to miało znaczyć? Czy pan wie?

Potrząsnąłem głową.

- A to dwudziestego szóstego, w dzień po dotarciu Laroche'a do Meniheku: „L - L - L - L - L - L - TO NIEMOŻLIWE”. - Czytając głośno, podniósł na mnie wzrok, ale nie miałem mu nic do powiedzenia. - Czy ojciec dużo przebywał w samotności? - zapytał.

- Była z nim moja matka. - Wiedziałem, do czego zmierza.

- Ale ten pokój, który pan opisał, te godziny, które tam spędzał co dzień przy radio... Czy wtedy nie było przy nim nikogo? - A kiedy potrząsnąłem głową, rzekł: - My mamy tutaj takich ludzi. Pustka, samotność... dostają manii prześladowczych. Nazywamy to chorobą puszczy.

Następnie zapytał, czy przywiozłem dzienniki radiowe. Było to pytanie, którego się obawiałem. Jeden rzut oka na te dzienniki, i znowu zaczęłyby myśleć, że ojciec był obłąkany. Jednakże jeśli chciałem go nakłonić, by mi dopomógł, to miał prawo je zobaczyć.

- Mam je w walizce - powiedziałem.

Kiwnął głową.

- Czy mógłbym je obejrzeć? - Znowu przeglądał notatki stukając ołówkiem w papier, ze ściągniętymi wargami, pogrążony w zamyśleniu. Widocznie wyczuł moje wahanie, bo zapytał: Chce pan latarkę? - Sięgnął do biurka i podał mi ją. - Niech pan po prostu wyjdzie. Ethel nie będzie panu miała za złe. - I znowu wpatrzył się w notatki.

Obie kobiety były jeszcze w pokoju na górze. Przerwały rozmowę, gdy wszedłem, i pani Ledder zapytała:

- Już pan dojrzał do wypicia kawy?

Pokój wydał mi się bardzo wesoły i pogodny po nagiej, zaśmieconej suterenie.

- Wychodzę tylko na przeciwko, żeby coś przynieść z hotelu - wyjaśniłem.

Kiwnęła głową uśmiechając się do mnie, a ja wyszedłem w noc. Gwiazdy były zamglone, a zimno miało jakąś ostrość, której nigdy przedtem nie doświadczyłem.

Wyjąłem dzienniki z walizki, a kiedy wróciłem do pokoju w suterenie, zastałem tam Leddera pochylonego nad biurkiem i piszącego. Radio było włączone i poprzez trzaski atmosferyczne jakiś głos mówił coś w obcym języku.

- Brazylia - odezwał się Ledder podnosząc na mnie wzrok. - Nigdy nie mam trudności z odbieraniem Ameryki Południowej.

Wyłączył aparat, a ja podałem mu dzienniki usiłując tłumaczyć, że rysunki i gryzmoły nie mają żadnego znaczenia. On jednak zlekceważył moje wyjaśnienia i kiedy tam stałem przypatrując mu się, zaczął systematycznie przewracać kartki.

- Dużo przebywał w samotności, to pewne - mruknął, a mnie się serce ścisnęło.

- Robił to po prostu dla zabicia czasu - powiedziałem.

- Jasne - kiwnął głową. - To nieważne. - Sięgnął do jednej z przegródek biurka. - Niech pan popatrzy na mój blok - i pokazał mi, że jest pokryty bazgrołami. - Trzeba coś robić, kiedy się czeka na odbiór jakiejś transmisji. Tak samo, jak przy telefonowaniu.

Uśmiechnął się do mnie i wtedy poczułem, że zaczynam go lubić.

- Co to za człowiek, ten Laroche? - Było to pytanie, które chodziło mi po głowie, odkąd Farrow wskazał mi, jakie wnioski może nasuwać owa transmisja.

- Laroche? - Ledder jak gdyby się zmuszał do powrotu wstecz myślą. - A bo ja wiem. Francuski Kanadyjczyk, ale przyzwoity gość. Dość wysoki, lekko siwiejące włosy. Widziałem go tylko raz. Trzymał swój samolot w bazie hydroplanów i nie spotykaliśmy się. Ja byłem w kontakcie z Timem Bairdem. Bratem Billa Bairda. Był kierownikiem bazy głównej. Zajmował się magazynami i wszystkim, co tam potrzebne. - Dotarł do stronicy, na której była zapisana ostatnia wiadomość, i odczytał ją z wolna, postukując się w zęby ołówkiem: - „Szukać wąskiego jeziora ze skałą w kształcie...” - Przeczytał to na głos powoli i spojrzał na mnie. - Ze skałą w kształcie czego?

Nie odpowiedziałem nic. Chciałem się przekonać, czy jego myśl pójdzie tym samym torem, co moja.

Ledder przeglądał ostatni dziennik.

- Te wszystkie rysunki lwów... Ciekaw jestem, czy Laroche wie cośkolwiek o Jeziorze Lwa. Czy to zdanie mogło się kończyć: „ze skałą w kształcie lwa”? Tu jest rysunek przedstawiający kamiennego lwa. A tutaj drugi. - Popatrzył na mnie. - Pan coś wspominał o mapie Labradoru nad biurkiem ojca. Czy było na niej zaznaczone Jezioro Lwa?

- Owszem, dorysował je ołówkiem - odrzekłem i wyjaśniłem, że było obwiedzione kołem obejmującym obszar pomiędzy Attikonakiem i Hamiltonem. Ledder kiwnął głową.

- A C2 było na tym obszarze. - Bawił się kluczem i nagle trzepnął dłonią w biurko. - Psiakrew! Nie zaszkodzi im powiedzieć. Dokąd leci pański samolot?

- Do Montrealu. - Czekałem teraz, wstrzymując oddech.

- Okej. Tam jest biuro Spółki. - Zawahał się jeszcze chwilę, marszcząc brwi i potrząsając głową. - To obłędne - mruknął. - Ale nigdy nie wiadomo. Dostyc obłądnych rzeczy dzieje się wciąż tu, na Północy.

Podsunał bliżej do klucza papier, na którym pisał, odczytał go i sięgnął do nadajnika. Lampka kontrolna rozżarzyła się czerwono i dosłyszałem cichy szum, kiedy aparat się nagrzewał. A potem Ledder nałożył słuchawki i przysunął krzesło bliżej do biurka. W chwilę później jego kciuk pociskał klucz i dosłyszałem brzęczenie sygnału Morse'a, kiedy zaczynał nadawać.

Zapaliłem papierosa. Poczulem się nagle wyczerpany. Ale jednocześnie doznałem ulgi. W każdym razie coś osiągnąłem. Przekonałem człowieka, który z początku był usposobiony wrogo, by zaczął działać. Tylko że trzeba było teraz powtarzać wszystko od początku w Montrealu - historię śmierci mojego ojca, wszelkie wyjaśnienia. Mówić znowu te rzeczy, może po kilka razy. Zastanawiałem się, czy warto, świadom ogromu tego kraju tam, w ciemnościach poza lotniskiem - jego pustki i dziczy. Z pewnością tamci dwaj już teraz nie żyli. Nie mogli żadną miarą przeżyć całego tygodnia. Ale to była szansa, a przez wzgląd na ojca i na coś, co miałem we krwi, wiedziałem, że muszę ciągnąć to dalej.

- Ano, to już - Ledder wyłączył nadajnik i zdjął słuchawki. - Niech pan patrzy, co im nadałem - wręczył mi skrawek papieru, na którym zanotował swój komunikat. - Teraz wszystko zależy od nich. Powiedział to z wyraźną ulgą.

„Nie należy lekceważyć możliwości, że G2STO odebrał wiadomość od Briffe'a - przeczytałem. - Pilnie doradzam, żebyście zobaczyli się z synem Fergusona”.

Spojrzałem na niego. - Nie wiem, jak panu dziękować - powiedziałem. Wydał się nagle zakłopotany.

- Ja tylko robię to, co uważam za słuszne - mruknął. - Istnieje jakaś minimalna szansa i sądzę, że powinni ją wykorzystać.

- Władze tak nie uważają. Są zdania, że mój ojciec był wariatem.

I wtedy opowiedziałem mu o orzeczeniu biegłego. Nie miałem nic do stracenia, skoro wiadomość została już nadana. On jednak tylko się uśmiechnął.

- Może ja rozumiem pańskiego ojca lepiej niż oni. Dziwni ludzie, ci radiowcy - dodał, a uśmiech pojawił się także i w jego oczach.

- A czy to było technicznie możliwe? - spytałem. - Czy mógł odebrać tę wiadomość?

- Jasne, że mógł. - I dodał: - To byłby odbiór przypadkowy, rzecz jasna. Ale jeżeli wiadomość została nadana, z pewnością mógł ją odebrać. Niech pan spojrzy.

Narysował mi mały wykres pokazujący, że bez względu na to, jak słaby był sygnał, fale odbiłyby się jednak od jonosfery do ziemi, i z powrotem do jonosfery.

- W ten sposób wędrowałyby dookoła całej ziemi i jeżeliby czyjaś antena była akurat nastawiona na jeden z punktów odbicia, to byłoby możliwe odebrać transmisję, nawet z odległości sześciu tysięcy mil. To się zdarza.

- A czy nadajnik był razem z Briffe'em w samolocie, kiedy ten się rozbił?

- Tak. Ale samolot zatonął i nic z niego nie wyratowali. Laroche wrócił tylko z tym, co miał na sobie. Tak w każdym razie słyszałem.

Możliwe, ale nie prawdopodobne! I ciągle ten nieprzenikniony mur, jakim był Laroche, zagradzał drogę do uwierzenia w wiadomość mojego ojca.

- Jak pan widzi, prosiłem, żeby na pana czekali na lotnisku Dorval, i podałem im numer pańskiego lotu - powiedział. - Prosiłem także, żeby mi to potwierdzili przez radio M.T. Nie spodziewam się odpowiedzi dziś wieczorem, ale powinna przyjść dość wcześnie rano.

Kiwnąłem głową. Nie mógł uczynić nic więcej. W tejże chwili jego żona zawołała z góry, że pani Karnak wyszła, i przygotowała dla nas świeżą kawę.

Poszliśmy więc na górę i kiedy zasiedliśmy do kawy w jasno oświetlonym, ciepłym saloniku, opowiedział mi po raz pierwszy ze szczegółami o zaginięciu Briffe'a. Opowiedział to oczywiście z punktu widzenia człowieka, który kontaktował się ze światem zewnętrznym wyłącznie za pomocą radia. Podobnie jak mój ojciec, ograniczony był do skrawków informacji wyłuskiwanych z eteru, do komunikatów i wiadomości z samolotów, które latały na poszukiwania. Tyle że znajdował się znacznie bliżej tego wszystkiego. Spotykał się nawet z ludźmi, których dotknęła katastrofa: dwa razy z Briffe'em, raz z Laroche'em - a o Billu Bairdzie wiedział dość dużo z rozmów z jego bratem, Timem, kierownikiem bazy głównej.

Dwunastego września Briffe poprosił o przerzucenie go samolotem z Obszaru C1, czyli znad Jeziora Rozczarowanie, do C2, na brzeg rzeki Attikonak. Tę prośbę zamieścił w swoim zwykłym codziennym raporcie. Zakończył swoje badania przy Rozczarowaniu.

- Słusznie tak zwanym, jak twierdził - uśmiechnął się Ledder, po czym wyjaśnił mi, że grupa badawcza składała się z pięciu ludzi, a metoda dokonywania przerzutu na następny obszar była zawsze ta sama: trzej z ich piątki - Sagon, Hatch i Blanchard - ruszali naprzód jako pierwsza grupa, aby założyć nowy obóz, i zabierali tyle zapasów, ile mieściło się w samolocie, oraz jedno canoe, a Briffe i Baird dołączali do nich za drugim lotem, wraz z nadajnikiem, drugim canoe i resztą zapasów.

Taki był system zastosowany czternastego września, i Ledder teraz poszerzał moje wiadomości zaczerpnięte z notatek ojca. Transportu powietrznego zażądali trzynastego września, ale pogoda była zła i Laroche postanowił zaczekać. Następnego dnia pogoda się poprawiła i wystartował wcześniej rano. Ledder nawet widział mały wodnopławiec rozcinający szeroką strzałą spokojne wody zatoki, obserwował, jak wznosił się w powietrze i zatoczywszy koło zniknął we mgle za Happy Valley, kierując się na zachód. Ledder miał ten dzień wolny od służby i po jakiejś godzinie nastawił aparat na pasmo siedemdziesięciopięciometrowe. Jednakże Briffe odezwał się dopiero o jedenastej trzydzieści trzy. Laroche przybył, ale nad obozem zaległa gęsta mgła uniemożliwiająca odlot do C2. Zwłokę w transmisji spowodowało zawilgocenie styków ręcznej prądnicy.

Ledder natychmiast zameldował Montrealowi o opóźnieniu lotu. Jak się okazuje, zwykłym jego systemem było utrzymywanie stałego nasłuchu albo przez niego samego, albo przez jego żonę, i regularne meldowanie Montrealowi, ilekroć dokonano lotu zaopatrzeniowego albo gdy grupa przenosiła się samolotem na nowe miejsce. Ponowny meldunek nadał o dwunastej trzydzieści, gdy Briffe doniósł, że mgła się rozeszła i że wodnopławiec już wystartował z pierwszą grupą.

Potem nie miał od Briffe'a żadnych wiadomości aż do godziny piętnastej, kiedy to kierownik wyprawy nadał informację, że wodnopławiec nie powrócił, a mgła znowu zgęstniała. Ojciec mój odebrał meldunek Leddera do Montrealu na temat tej właśnie informacji.

- Wtedy zacząłem się niepokoić - mówił Ledder. - Odbieraliśmy już wiadomości o pasie burz zbliżającym się od Atlantyku i sprawa wyglądała niedobrze. Poprosiłem Briffe'a, żeby się zgłaszał co godzina. O szesnastej Briffe odezwał się znowu. Mgła się rozeszła, ale samolot jeszcze nie wrócił. A potem, o siedemnastej, Briffe doniósł, że wodnopławiec przybył szczęśliwie. Laroche wodował na jeziorze około dziesięciu mil przed C2, zanim mgła napłynęła, i wystartował, gdy tylko się rozwiała. Pierwsza grupa była już w C2 i Briffe'owi chodziło tylko o to, ażeby on i Baird wraz z resztą sprzętu zdążyli tam przed zapadnięciem nocy. - Powiadomiłem go - mówił Ledder - że nie uważam tego za dobry pomysł z uwagi na

pogodę. Wtedy poprosił mnie o prognozę meteorologiczną. - Przewracał kartki dziennika, który przyniósł. - O, proszę - podał mi go. „Pogoda szybko się pogarsza. Pułap 1000 stóp, widoczność 500, gęsty deszcz. Spodziewane rychłe zamknięcie tutejszego lotniska. Oczekiwane samoloty już ostrzeżone, a transatlantyckie lecące na zachód zatrzymane w Keflaviku. Nad płaskowyżem Labradoru deszcz przejdzie w śnieg. Dziś w nocy wiatry wschodnie, ponad 20 węzłów. Jutro osiągną 40 węzłów; deszcz, deszcz ze śniegiem lub śnieg na wyżynie. Widoczność chwilami zerowa.”

- A on zdecydował się lecieć? - spytałem.

- Tak, miał do wyboru albo to, albo zostać przy Rozczarowaniu, a jezioro miało dno niedobre do zakotwiczenia, więc mogło to pociągnąć za sobą ewentualną utratę samolotu. W końcu zdecydował się zaryzykować i lecieć.

Przypomniałem sobie komentarz mojego ojca. Nazwał Briffe'a głupcem i dodał: „Co go napadło?” Czy było w tym coś poza troską o samolot?

- Chyba pilot ma w takich razach ostatnie słowo?

- Pewnie, że tak - odrzekł Ledder. - Ale o ile wiadomo, Laroche nie należy do ludzi bojących się ryzykować.

- Mógł wrócić tutaj, do bazy.

Ledder wzruszył ramionami.

- Dwudziestowęzłowy przeciwny wiatr i niebezpieczeństwo, że mu się skończy paliwo i że nie zdoła odnaleźć Goose. Może uważał lot do C2 za mniejsze zło.

Opowiedział mi dalej jak Briffe się nie odezwał o umówionej godzinie dwudziestej drugiej, i jak on sam i jego żona nasłuchiwali przez całą noc.

- Ale nie odezwał się już więcej - powiedział Ledder.

Nazajutrz rano warunki były tak złe, że nic nie mogło dotrzeć do Goose, nie mówiąc już o locie poszukiwawczym nad płaskowyżem Labradoru. Trwało to dwa dni, a potem jeden z wodnopłatowców z bazy głównej poleciał do C2 i wrócił z potwierdzeniem, że Briffe i jego towarzysze zaginęli. Wtedy zaczęto poszukiwania; lotnictwo kanadyjskie wyznaczyło na ten cel cztery Lancasterzy z Lotniczej Stacji Ratowniczej w Nowej Szkocji, a Kolej Rudy Żelaznej wysłała samolot z Meniheku.

Podawał mi szczegóły poszukiwań, kiedy żona przypomniała mu, że obiecali być o dziewiątej w Klubie Oficerskim.

- Może pan Ferguson miałby chęć pójść z nami? - zaproponowała.

Nie miałem jednak pieniędzy kanadyjskich, a zresztą chciałem mieć czas dla siebie, żeby przemyśleć to, co mi powiedział. Wymówiłem się więc, że chcę wcześniej pójść spać, dokończyłem kawy i wstałem.

- Przekażę panu odpowiedź Spółki, jak tylko nadejdzie - powiedział Ledder odprowadzając mnie do drzwi. - Niech pan da mi znać, jeżeli będzie jeszcze coś, co mógłbym zrobić.

Podziękowałem mu i wyszedłem w ciemność po drewnianych schodkach. - Wszystkiego dobrego! - zawołał za mną, po czym drzwi się zamknęły i zostałem sam w mroku. Gwiazdy zniknęły i padał śnieg. Było tak cicho, że nieledwie słyszałem opadające płatki, i trzeba mi było pewnego czasu, aby odnaleźć bez latarki drogę do hotelu.

W rzeczywistości położyłem się dopiero przed północą, bo siedziałem w ciepłym pokoju robiąc notatki i zastanawiałem się, co mam powiedzieć urzędnikom Spółki. Byłem chyba bardzo zmęczony. W każdym razie obudziłem się rano dopiero za kwadrans siódma i wyskoczyłem z łóżka w przerażeniu, pewien, że się spóźniłem na samolot. Czym prędzej naciągnąłem ubranie i poszedłem do pokoju Farrowa. Ku mojej uldze był tam jeszcze; leżał na łóżku w koszuli i spodniach.

- Bałem się, że pana już nie zastanę - powiedziałem, kiedy otworzył oczy i popatrzał na mnie sennie.

- Spokojnie - mruknął. - Nie odleczę bez pana. - I dodał: - Nie wystartujemy przed wpół do dziesiątej albo i później. - Po czym obrócił się na drugi bok i znowu zasnął.

Ciężarówka przyjechała po nas o dziewiątej i czekaliśmy na lotnisku prawie do wpół do jedenastej, podczas gdy obsługa, która pracowała niemal przez całą noc, kończyła naprawianie silnika. Śnieg ustał, powietrze było chłodne i rześkie, a wzgórze za zatoką rysowały się ostro na tle zimnego szarego nieba, poznaczonego pasmami obłoków. Tego rana Goose miało w sobie coś stalowego, zapowiedź zimy w powietrzu. Wszystko dokoła było szarością i czernią, a karłowatych świerków nie ożywiała żadna barwa. Surowość tego wszystkiego wydawała się niemal przerażająca.

Od Leddera nie było żadnej wiadomości. Powiedziałem Farrowowi, jak zareagował, kiedy mu pokazałem radiowe dzienniki ojca, on zaś zadzwonił za mnie do biura do transportu. Jednakże Leddera tam nie było i nie zostawił dla mnie żadnego polecenia.

Wystartowaliśmy o wpół do jedenastej i nadal nic nie wiedziałem. Stałem w kabinie pilota i spoglądałem na Goose opadające w dole pod lewym skrzydłem, gdy robiliśmy skręt nabierając wysokości. Wszędzie przed nami rozciągało się ponure pustkowie porośnięte świerkami, między którymi wiała się nieć rzeki Hamilton. A potem znaleźliśmy się w

chmurach, i kiedy wydostaliśmy się ponad nie, ciągle nie było słońca, a warstwa chmur pod nami rozpościerała się płasko jak szara pokrywa śnieżna.

Później, kiedy patrzyłem z siedzenia mechanika pokładowego, pojawiły się szczeliny w warstwie chmur i mogłem dojrzeć w dole ziemię, która wydawała się dziwnie blisko, chociaż wiedziałem, że blisko być nie może, gdyż lecieliśmy na wysokości 6600 stóp. Cała była pomarszczona jak piasek po odpływie, ale te bruzdy były ciemne i ponure, z plamami nagich skał wygładzonych przez pochód przedwiecznych lodowców, między nimi zaś widniała woda, płaska jak blacha i białe obmarznięta po brzegach.

Leciliśmy wciąż dalej i dalej, a kraj w dole nie zmieniał się wcale. Był to najbardziej porywczy kraj, jaki w życiu widziałem. Ziemia, którą Bóg dał Kainowi! Zdawało się, że nie może mieć końca, ale będzie się tak ciągnęła zawsze. Po chwili mechanik pokładowy dotknął mojego ramienia i wróciwszy do wnętrza kadłuba usiadłem na ładunku czując się zziębnięty i przygnębiony.

Byłem tam blisko godzinę, gdy radiotelegrafista przyszedł powiedzieć mi, że Farrow chce ze mną mówić.

- Przed chwilą dostaliśmy wiadomość z Goose.

Kiedy wróciłem do kabiny pilota, Farrow wręczył mi paperek z notatką. Napisane tam było: Prezes Spółki Górn.-Badaw. McGovern przebywa obecnie na stacji końcowej Kolei Rudy Żelaznej. Chce jak najprędzej wypytać Fergusona. Czy możecie wysadzić go w Seven Islands?

- No i co pan chce, żebyśmy zrobili? - krzyknął do mnie Farrow.

- Seven Island? Przecież to tylko indiańska wioska rybacka! - odkrzyknąłem.

- Tak pan myśli? - roześmiał się. - No, to czeka pana zaskoczenie. To wcale niemałe miasto. Kanadyjska Kompania Rudy Żelaznej buduje linię kolejową stamtąd na północ, żeby się dostać do rudy w środku Labradoru. Warto zobaczyć, skoro pan jest inżynierem. To chyba obecnie największe przedsięwzięcie na tym kontynencie.

A więc linia wykreślona przez ojca ołówkiem na mapie była kolejną.

- Ale czy tam można lądować? - zapytałem z powątpiewaniem.

- Jasne. Mają dobre lądowanie. I jest im potrzebne. Swoje wysunięte obozy zaopatrują wyłącznie z powietrza, przy czym samolotami dostarcza się wszystkiego, nawet cementu na budowę tamy w Menihoku i buldożerów do złóż rudy nad jeziorem Knob. - Zerknął na mnie przez ramię. - Tylko że ja nie będę mógł tam na pana czekać. Rozumie pan? Od tej chwili będzie pan zdany na siebie samego.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Samolot wydał mi się nagle czymś niezmiernie cennym, swojską, przyjazną oazą na bezmiarze Kanady, który zaczynał się przede mną roztaczać. Opuszczenie tego samolotu byłoby jak opuszczenie okrętu pośrodku Atlantyku.

- Niech pan się zdecyduje! - krzyknął Farrow. - Jeżeli mam pana wysadzić w Seven Islands, to musimy w tej chwili zmienić kurs. - Przyglądał mi się ciekawie; myślę, że musiał odgadnąć mój dylemat, bo dodał: - Przecież tego właśnie pan chciał, nie? Zrobił pan u nich poruszenie, a nie może pan dostać się wyżej niż do prezesa Spółki.

Nie było na to rady. Wiedziałem o tym od chwili, gdy przeczytałem wiadomość.

- No, dobrze - powiedziałem. A potem, ponieważ to zabrzmiało niewdzięcznie, dorzuciłem: - Na pewno może pan tam lądować?

- Wiem, co mówię - wyszczerzył zęby i pokazał przez boczne okno coś, co migotało blado wzdłuż horyzontu niby obłok lub mgła. - O, jest rzeka Św. Wawrzyńca. Jeszcze godzina i będziemy już bardzo blisko Seven Islands. Okej?

Kiwnąłem głową.

Wykrzyknął instrukcje do nawigatora i radiotelegrafisty, po czym spojrzał na mnie z uśmiechem i dodał:

- Kto wie, może nawet wymienią mnie w depeszach, jeżeli się odnajdzie tych biedaków przy życiu.

Wtedy ogarnęła mnie fala optymizmu i gdy wracałem do kadłuba, przyszło mi na myśl, że musi mną kierować jakaś boska opatrność.

Nastrój ten trwał nadal w przeszło godzinę później, gdy zaczęliśmy się zniżać. Poczulem zahamowanie, kiedy klapy opadły, następnie zmniejszono obroty silników i po chwili dotknęliśmy ziemi. Kołowaliśmy czas jakiś, podskakując ciężko na nierównym gruncie, wreszcie samolot stanął, a silniki warkotały powoli.

Farrow przeszedł przez kadłub i sam otworzył mi drzwi.

- Wszystkiego dobrego - powiedział. - I niech pan dopilnuje, żeby się panem zajęli. Gdyby pan chciał wracać, to będziemy w Montrealu do jutra, do południa.

- Oczywiście, że chcę z panem wracać! - zawołałem. Przeraziła mnie myśl, że mógłby odlecieć do Anglii beze mnie.

Poklepał mnie po ramieniu, ja zaś wyskoczyłem w podmuch z wolna obracających się śmigieł.

- Będę tam! - krzyknąłem do niego.

Drzwi zatrzasnęły się, ja odbiegłem nieco dalej i przystanąłem z walizką w rękę. Farrow już siedział przy sterach. Pomachał do mnie ręką przez szybę. Motory zahuczały

wzbijając ogromny wir pyłu, po czym maszyna, która przewiozła mnie przez Atlantyk, odtoczyła się po twardej, ubitej ziemi lotniska na koniec pasa startowego.

Patrzyłem, jak wznosiła się w powietrze - patrzyłem na nią, póki nie stała się punkcikiem na niebie. Ciężko mi było widzieć, że Farrow odlatuje. Zostałem sam, a nie miałem tu nikogo znajomego. Stałem tak jeszcze chwilę, czekając i wymacując w kieszeni nieliczne drobne. W portfelu miałem kilka funtów, ale to było wszystko. Nikt nie wyszedł mi na spotkanie.

CZĘŚĆ DRUGA

Kolej labradorska

Kiedy samolot zniknął mi z oczu, poszedłem wolno w stronę szeregu prefabrykowanych baraków, które były budynkami lotniska. Czułem się opuszczony, nieledwie zagubiony, bo Seven Islands bynajmniej nie działało na mnie kojąco.

Wykopana spycharkami droga, kurz, liście klonów pokryte ostatnim rumieńcem jesieni, w oddali widok nowej budowy i stosów sprzętu i materiałów - wszystko to było dla mnie jakoś brutalnie nowe, dziwnie obce, niby punkt zaopatrzeniowy przed bitwą. Otwarte, podobne do hangarów szopy zawalone były skrzyniami oraz workami z żywnością, częściami maszyn i oponami, a dźwig prznosił to do podniszczonej Dakoty, przy której stała grupka mężczyzn paląc papierosy. Byli to surowi, szorstcy ludzie w dziwnych nakryciach głowy i jaskrawo kolorowych traperskich koszulach, a złożony obok ich ekwipunek zawierał zrolowaną pościel i grube, watowane kurty.

Całe to miejsce miało jakiś posmak pogranicza puszczy, a w biurze dyspozytora nic o mnie nie wiadano. Nikt po mnie nie przyszedł, nie było nawet żadnej wiadomości, a kiedy zapytałem o biuro Spółki Górniczo-Badawczej McGoverna, okazało się, że nigdy o niej nie słyszeli.

- Pan geolog? - zapytał dyspozytor.

- Nie. - Nie chciałem tam rozpoczynać wyjaśnień, po co przyjechałem.

- No to jaki jest pański zawód?

- Jestem inżynierem - odrzekłem. - Ale to nie ma nic wspólnego...

- To niech pan lepiej zgłosi się do Q.P.W. & L. - Podeszedł do drzwi i zawołał kierowcę ciężarówki, która właśnie odjeżdżała. - On pana podwiezie, dobrze?

Wrócił do biurka i zaczął sprawdzać listę wysyłkową, ponieważ zaś najwyraźniej nie mogłem działać nic więcej, więc wyszedłem i wsiałem do ciężarówki.

- Co oznacza skrót Q.P.W. & L.? - zapytałem kierowcę, gdy wyjeżdżaliśmy przez bramę w ogrodzeniu z drutu na ziemną drogę. Myślałem o linii nakreślonej ołówkiem przez ojca na mapie.

- „Kolej Quebec - Północne Wybrzeże i Labrador”.- Popatrzył na mnie, a jego zniszczoną, ogorzałą od słońca twarz zmiękczył uśmiech. - Pan ze starego Kraju?

Miał na sobie czerwoną, wełnianą koszulę traperską, która, rozpięta pod szyją, ukazywała poszarzałe od pyłu drogi włosy na jego piersi. Zapytał mnie o Anglię. Był tam z armią kanadyjską. A potem przejechaliśmy przez tory i zaczął mi opowiadać o kolei.

- Pracowałem przy Drodze Przewozowej, kiedyśmy ją zaczęli dwa lata temu. O rany, ale było ciężko! Teraz zabrali się do niej Amerykanie i mają cały sprzęt potrzebny do budowania nasypu. Pan jedzie na linię kolejową?

Potrząsnąłem głową. Spoglądałem na horyzont przed sobą, nierówny od wyrastających jak grzyby po deszczu budynków. Po lewej były całe połacie piętrzącego się sprzętu kolejowego, ogromne stopy szyn i podkładów, szopy zaopatrzeniowe wielkie jak hangary - między nimi zaś widniały masywne, potężne sylwetki dużych die-słowskich lokomotyw, których farba była jeszcze fabrycznie nowa.

- Chybabym nie miał nic przeciwko temu, żeby się znowu machnąć na linię - powiedział. - Wciąż tylko jeżdżę i jeżdżę tą ciężarówką, a człowiek chciałby zobaczyć, jak coś powstaje i samemu przyłożyć się do tego. Powinien pan tam pojechać, choćby po to, żeby opowiedzieć w Starym Kraju, jak my tu budujemy kolej na końcu świata. - Po czym ciągnął dalej: - Psiakrew, trzeba, żeby pan to zobaczył teraz, póki jeszcze jest ciepło. Przejdzie nie więcej niż miesiąc i zaczną się wielkie mrozy, a Stalowa Głowica posuwa naprzód prawie dwie mile dziennie. - Pokiwał swoją okrągłą głową. - Tak, powinien pan to zobaczyć. - Nacisnął stopą pedał hamulcowy i ciężarówka stanęła raptownie. - Okej, bracie. Tu jest biuro - wskazał ruchem głowy grupę drewnianych budynków z literami Q.P.W. & L. na szyldzie.

Dyspozytor z lotniska musiał już do nich zatelefonować, bo urzędnik w biurze wziął mnie za nowo przybyłego inżyniera. Kiedy zaś powiedziałem mu, że zatrzymałem się tutaj tylko po to, żeby zobaczyć się z prezesem Spółki Górnico-Badawczej McGoverna, zawołał:

- Psiakrew! Tak też myślałem, że to za piękne, aby było prawdziwe.

- Może pan mógłby skierować mnie do biura Spółki - poprosiłem.

Podrapał się w głowę.

- Nie ma tu instytucji o takiej nazwie. Jesteśmy tylko my, Kompania Rudy Żelaznej i przedsiębiorstwo konstrukcyjne. - Odchylił się w tył z krzesłem i popatrzał na mnie. - A jak się ten facet nazywa?

- Nie wiem - odrzekłem. - Powiedziano mi tylko, że mam się z nim spotkać tutaj, w Seven Islands.

- Dziś rano był na śniadaniu jeden gość nazwiskiem McGovern. Przyleciał wczoraj wieczorem z Montrealu; taki wysoki chłop z głosem jak tarka do galki muszkatołowej. To ten?

- Nie mógłby pan do kogoś zadzwonić i dowiedzieć się o to? - zapytałem. - Samolot wysadził mnie tu specjalnie w tym celu. Gdzieś musi być dla mnie jakaś wiadomość.

Westchnął i sięgnął do telefonu.

- Może w Kompanii Rudy Żelaznej będą coś wiedzieli. Oni zajmują się całą stroną górniczą i badawczą. My jesteśmy tylko kolejną.

Połączył się z kimś, podał moje nazwisko, powiedział, z kim chcę się zobaczyć i posłuchawszy chwilę odłożył telefon.

- No więc McGovern jest właśnie tym, kogo pan szuka. Tylko że w tej chwili jest zajęty. Ma konferencję. - Znów odchylił się z krzesłem i przyjrzał mi się z nowym zainteresowaniem. - Rozmawiałem z Billem Landsem. On ma nadzór nad Burnt Creek i wszystkimi wyprawami geologicznymi. Zaraz tu przyjdzie. Moje nazwisko jest Staffen. Alex Staffen. - Wyciągnął do mnie rękę. - Jestem kierownikiem personalnym. Bili mi wspominał, że pan tu przyjechał w związku z tą wyprawą badawczą, która się rozbiła?

Kiwnąłem głową.

- Przykra sprawa - powiedział wciągając powietrze przez zęby. - Ten Briffe to był porządny gość. Pan go znał?

- Nie - odrzekłem.

- Francuski Kanadyjczyk, ale świetny facet. Spadkobierca dawnych voyageurs. - Wpatrzył się w swoje biurko. - To ciężkie dla jego córki. - Nagle podniósł na mnie wzrok. - Myśli pan, że jest jakaś nadzieja? - zapytał, a kiedy nie odpowiadałem, rzekł: - Mówi się o jakiejś transmisji odebranej w Anglii. - Patrzył mi prosto w oczy. - Panu coś na ten temat wiadomo?

- Dlatego tu jestem - odparłem.

Przypuszczalnie wyczuł, że nie chcę o tym mówić, bo tylko kiwnął głową i popatrzył w okno wychodzące na posępne piaski, kamienie i szopy.

- Ano, Paula miała szczęście, że przynajmniej jeden wyszedł z życiem.

Prawdopodobnie miał na myśli pilota, więc zapytałem go, czy nie wie, gdzie teraz jest Laroche.

- No, tutaj, oczywiście. - Wydawał się zaskoczony.

- Jak to? Jest tutaj, w Seven Islands?

- Jasne. On i Paula Briffe... - Telefon na biurku zadzwonił, więc podniósł słuchawkę. - Harry West? Och, na miłość boską! - wykrzyknął. - Drezyna, powiadasz? Cholera! - Zanotował coś na bloku. - Okej, powiem Kenowi Burkę, żeby to przejął po nim w Dwieście Dwadzieścia Cztery. Nie, załatwię mu samolot. - Rzucił słuchawkę na widełki. - Temu

durniowi zmiażdżyła stopę dreźyna. Można by się spodziewać, że po sześciu miesiącach na linii będzie potrafił się z nią obchodzić.

Drzwi otworzyły się i wszedł masywny, ruchliwy mężczyzna. Miał ogorzałą twarz, a jego wysokie buty były oblepione błotem.

- Jest Bili. - Kiedy Staffen przedstawił nas sobie, dłoń moją ścisnęła twarda garść. - Właśnie mówiłem, że Briffe był typem prawdziwego voyageur.

- Pewnie, że tak. Znał Północ jak miejscy ludzie własne podwórko. - Bili Lands przyglądał mi się, jego łagodne niebieskie oczy w noszącej ślady kurzu twarzy taksowały mnie bacznie. - Okej - powiedział raptem. - Chodźmy do mojego biura, dobrze? Pan McGovern chyba już jest wolny. - Kiwnął niedbale głową Staffenowi, a kiedy wychodziliśmy, powiedział: - Aha, posłałem też po Berta Laroche'a.

- Laroche'a? A po co?

Spojrzał na mnie twardo.

- Jeżeli ma się kogoś nazwać kłamcą, lepiej mu to powiedzieć w oczy. - Poprzestał na tym i poprowadził mnie betonową dróżką do innego baraku. - Pan już poznał McGoverna? - rzucił mi przez ramię...

- Nie - odrzekłem. - Jestem z Anglii.

Roześmiał się.

- Tego nie potrzebuje pan mi mówić. - Przed drzwiami baraku przystanął i obrócił się do mnie. - Myślę, że powinienem pana przestrzec. Mac to twardy człowiek. Większość życia spędził na Terytoriach Północno-Zachodnich. Uważa, że to jest najpaskudniejsza sprawa, z jaką się zetknął. - Wszedł przede mną do biura i wskazał mi miejsce przed biurkiem. - Ja zresztą też tak uważam. Zapali pan? - rzucił mi na kolana paczkę amerykańskich papierosów. - Przelatałem z Bertem tysiące mil. Pracowaliśmy razem od samego początku, od czterdziestego siódmego roku, kiedy postanowili założyć stałą bazę badawczą w Burnt Creek i wziąć się na serio do tego wydobywania rudy żelaznej. - Wziął z moich rąk paczkę papierosów i sam zapalił. - Bert jest pierwszorzędny chłop.

Nie mówiłem nic. Przyjechałem tu, żeby zobaczyć się z McGovernem.

- A jest też Paula - dodał. - Córka Briffe'a. Jak pańskim zdaniem będzie się czuła, kiedy się dowie, dlaczego pan tu jest? - Odchylony do tyłu spoglądał na mnie oczami przymrużonymi od dymu papierosa sterczącego mu w kąciku ust, i czułem, że stara się pohamować. - Czy Alex mówił panu o Bercie i Pauli? - Nie czekał na moją odpowiedź. - Mieli zamiar pobrać się tej jesieni. - Wpatrzył się we mnie i poczułem, że mnie nienawidzi i że chciałby, abym nie żył. Tylko nie wiedziałem, czy ze względu na swego przyjaciela, czy na

tę dziewczynę. A potem rzekł: - Paula pracuje tutaj, w tym biurze; pracuje, odkąd jej ojciec przyjął tę posesję u McGoverna i przeniósł się z Burnt Creek. - Wyjął papierosa z ust i pochylił się do przodu. - Co będzie, jak się o tym dowie? Ojciec był dla niej całym światem. Dorosła na Północy, obozowała z nim, wędrowała i pływała canoe po puszczy jak chłopak. On był jej bohaterem. A teraz nie żyje. Po co budzić fałszywe nadzieje?

- Ale przypuśćmy, że nie umarł?

- Bert tam był. Mówi, że nie żyje - wyciągnął ku mnie dłoń z papierosem trzymanym w palcach. - Nie może pan na tym poprzestać?

Był przeciwko mnie. I zrozumiałem, że oni wszyscy będą przeciwko mnie. Byłem outsiderem, a oni zewrą szeregi...

- Ja w każdym razie w to nie wierzę - powiedział odchylając się w tył i rozgniatając papierosa. - Jeżeli Bert mówi, że nie żyją, to nie żyją i koniec. Nie jego wina, że jest jedynym, który ocalał. Tak się czasem zdarza... To jeden z najlepszych puszczańskich lotników na Północy. Pamiętam, jak kiedyś, w czterdziestym dziewiątym, lecieliśmy z Fortu Chimo i pogoda się popsowała...

Przerwało mu trzaśnięcie drzwi na korytarzu i szorstki głos mówiący:

- Zgadzam się. Nie ma celu trzymać się tych koncesji.

- Jest Mac. - Lands wstał z krzesła i podszedł do drzwi. - Jesteśmy tutaj, Mac.

- Dobra, Bili. Zaraz przychodzę. - A potem ów głos dodał: - Ano, tak to wygląda.

Przykro mi, że nic z tego nie wyszło.

Bili Lands odwrócił się od drzwi i podszedł do mnie.

- Czytałem sprawozdanie - powiedział. - Wiem, co tam jest o pańskim ojcu. - Jego ręka ścisnęła mnie za ramię. - Ale on nie żyje i nikt nie może mu zaszkodzić. A tamci żyją. - Popatrzył na mnie twardo i dodał: - Nie dręcz pan Pauli tylko po to, żeby coś udowodnić.

Powiedziane to było bardzo spokojnie, ale z ponurym wyrazem twarzy, tak że patrząc na niego wstrzymałem oddech. A potem za drzwiami znowu odezwał się szorstki głos McGoverna:

- Ale nie spodziewajcie się po nas za wiele na tych północnych koncesjach. Do mrozów jest ledwie miesiąc, może mniej.

Na to inny głos odpowiedział:

- W porządku, Mac. Róbcie, co możecie. Ale my musimy wiedzieć, czego się mamy trzymać, a z czego zrezygnować.

Potem zewnętrzne drzwi trzasnęły i do pokoju wszedł McGovern.

Był barczystym, krępy męczyzną o mocnych szczękach i zaciśniętych ustach, a zniszczoną twarz miał poraną tysiącem zmarszczek. Obrzucił mnie spojrzeniem oczu jasnych jak szare kamyki.

- Pan też krótkofalowiec?

Ten głos zazgrzytał mi po nerwach, jego ton był wrogi. Czy może tylko mi się przywidziało?

- Nie - odparłem. Wstałem z miejsca, ale nie podszedł, żeby mnie przywitać. Ruszył do biurka, z trzaskiem rzucił na nie wypchaną teczkę i usiadł na krześle Billa Landsa. Teczka ta równie nie pasowała do niego, jak miejskie ubranie, które miał na sobie. Było w nim niepokromionego, a to wrażenie podkreślała jeszcze grzywa siwych włosów wyrastająca znad niskiego, szerokiego czoła. Rzekłbyś, że do kantoru wtargnął kawał północnej dziczy i myślę, że zląkłem się go jeszcze, nim zaczął mnie wypytywać. Bili Lands zakaszłał z lekka.

- No, to ja was teraz zostawię...

- Nie, nie. Siedź tu, Bili. Chciałbym, żebyś usłyszał, co ten młody człowiek ma nam do powiedzenia. Czy Bert już się zjawił?

- Nie, ale powinien tu być lada chwila.

- Weź pan sobie krzesło. No więc? - McGovern utkwiał we mnie wzrok. - Podobno pan ma dla nas jakieś nowe informacje... coś, co dowodzi, że Briffe jeszcze żyje? - Wypowiedział to tonem pytania, z uniesionymi krzaczastymi brwiami, wierząc mnie swymi krzemiennymi oczyma. - No więc?

- Właściwie to nie są nowe informacje, proszę pana - powiedziałem.

- No to czym ten Ledder tak się podbechtal? Widział się z panem w Goose i po tym nadał przez radio wiadomość do naszego biura. Przecież nie jechałby pan tyli kawał drogi nie mając dla nas nic nowego. Coś pan mu powiedział?

W ustach mi zaschło. McGovern był typem, jakiego jeszcze dotąd nie spotkałem, i jego władcza osobowość zdawała się przytłaczać mnie i miażdżyć.

- To nie było właściwie nic nowego - wymamrotałem. - Po prostu przekonałem go, że mój ojciec naprawdę odebrał wiadomość.

- On wcale tego nie mówi. - Pociągnął za rzemienie teczki i wydobyl formularz komunikacyjny. - Nadał nam, co następuje - nasadził na tępy nos stalowe okulary. - „Nie należy lekceważyć możliwości, że G2STO odebrał wiadomość od Briffe’a. Pilnie doradzam, żebyście zobaczyli się z synem Ferguson’a”. Dlaczego? - zapytał. - Co mu pan powiedział? - Spoglądał na mnie znad okularów. - Co kazało Ledderowi radzić nam, żebyśmy z panem porozmawiali?

- Nie tyle to, co mu powiedziałem - odparłem. - Raczej całe tło odbioru przez mojego ojca wiadomości od Briffe'a, które mu podałem. Widzi pan, mój ojciec umarł właściwie na skutek odebrania...

- Tak, wiemy wszystko o śmierci pańskiego ojca - wtrącił. - Mnie idzie o to, co pan powiedział Ledderowi, że potem nadał do nas coś takiego?

- Po prostu wyjaśniłem mu szczegółowo całe tło. - Nie miałem pojęcia, jak nawiązać kontakt z tym człowiekiem i wytłumaczyć mu wszystko o ojcu. - Tu idzie nie tyle o fakty - dodałem - co o historię tego odbioru. Gdyby pan znał mojego ojca...

- Więc nie ma nic nowego?

Cóż mogłem powiedzieć? Przypatrywał mi się i miałem wrażenie, że wzywa mnie do wystąpienia z czymś nowym. A przez cały czas oczy jego były szeroko otwarte i nawet nie mrugnęły. To zbiło mnie z tropu i w końcu nie powiedziałem nic. Wtedy jakby się odprężył i odwrócił wzrok spoglądając na papiery, które rozłożył na biurku.

- Pan się nazywa Ferguson, zdaje się?

- Tak. - Mój własny głos zabrzmiał dla mnie obco.

- No więc, panie Ferguson, myślę, że zanim przejdziemy dalej, powinienem panu powiedzieć, że wiadomość o tej transmisji, którą pański ojciec jakoby odebrał, została natychmiast i jak najpoważniej rozpatrzona nie tylko przez mnie samego, ale przez władze lotnicze i inne. Gdybyśmy zdołali znaleźć gdziekolwiek na świecie bodaj jednego radiotelegrafistę, który by to potwierdził, poszukiwania podjęto by na nowo. Aleśmy nie zdołali, a kiedy dostaliśmy pełne sprawozdanie policyjne o okolicznościach... - Wzruszył z lekka ramionami, jak gdyby w ten sposób ostatecznie załatwiając sprawę mojego ojca.

Wtedy odzyskałem głos.

- Jeżeli pana interesują tylko fakty i nic więcej - rzekłem ze złością - to może pan doceni znaczenie tego, czego się dowiedziałem w Goose. Mówi pan, żeście nie mogli uzyskać potwierdzenia transmisji Briffe'a. Jasne, że nie. Wszyscy radiotelegrafiści zaprzestali nasłuchu. To znaczy wszyscy z wyjątkiem mojego ojca. Gdyby pan przeczytał sprawozdanie Leddera, wiedziałby pan, że ojciec skontaktował się z nim ponownie dwudziestego szóstego, w ten dzień, kiedy odwołano poszukiwania, i zapytał, czy jest jakaś inna częstotliwość, której Briffe mógłby użyć w nagłym wypadku. Ledder odpowiedział, że nie, i powtórzył mu, jaka jest częstotliwość Briffe'a. Chyba to dostateczny dowód, że ojciec nasłuchiwał bez przerwy?

- Rozumiem. I pan chce, żebym uwierzył, że pański ojciec był w pogotowiu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, wyczekując transmisji, której żadną miarą nie mógł się spodziewać, i to od człowieka już nie żyjącego? - Patrzył na mnie, jak gdyby chciał

powiedzieć: „Jeżeli mi powiesz, że tak, to będę wiedział, że twój ojciec był wariatem”. - No nie?

- Ojciec znał częstotliwość Briffe’a - odparłem. - Nie miał nic innego do roboty, a poza tym miał obsesję...

- Czy odbiornik był nastawiony na tę częstotliwość, jak pan wrócił do domu tego wieczora, kiedy umarł?

Powinienem być to sprawdzić, ale nie sprawdziłem. - Nie wiem. - Byłem zły i bezradny. W tym momencie na korytarzu rozległy się kroki i Bili Lands podszedł do drzwi.

- Jest Bert.

- Powiedz mu, żeby zaczekał - rzekł McGovern. A potem spojrzał na mnie znowu. - Więc pan sądzi, że pański ojciec naprawdę odebrał wiadomość od Briffe’a? I przyjechał pan z tak daleka, żeby nas przekonać... nie mając ani jednej świeżej informacji? Zgadza się?

- Przecież właśnie panu powiedziałem...

- Nic mi pan nie powiedział. Nic takiego, czego bym już nie wiedział. - Wyciągnął z teczki spięty plik papierów i wyjąwszy zeń dwie kartki podsunął mi resztę. - A teraz niech pan przeczyta te raporty. Niech pan je przeczyta uważnie, a potem, jeżeli będzie pan mógł coś dodać czy rzucić nowe światło na sytuację, chętnie tego posłucham. - Podniósł się z krzesła. - Ale - dodał - myślę, że pan powinien jedno zrozumieć. Ten człowiek, który czeka za drzwiami, to Bert Laroche, pilot hydro-planu, który się rozbił, i on mówi, że Briffe nie żyje.

- Nie interesuje mnie to, co mówi Laroche. - Mój głos zabrzmiał trochę dziko. - Wiem tylko, że mój ojciec...

- Zarzuca pan Bertowi Laroche kłamstwo. Mało tego. Oskarża go pan...

- To mi obojętne! - zawołałem. - Laroche mnie nie obchodzi.

- No nie - odparł. - Czemu miałby pana obchodzić? Nigdy go pan nie widział na oczy i nie rozumie pan jego świata. - Patrzył na mnie zimno.

- Mnie obchodzi Briffe - mruknąłem.

- Taak? - W jego tonie była pogarda. - Jego też pan nigdy nie widział ani tamtego drugiego... Bairda. Oni nic dla pana nie znaczą. Obchodzi pana tylko ojciec i dla niego jest pan gotów narobić masę zamieszania i osmarować przyzwoitego człowieka błotem swoich oskarżeń. - Obszedł biurko dokoła i stał nade mną, a teraz wyciągnął rękę i chwycił mnie za ramię uciszając mój protest. - Przeczytaj pan te raporty. Przeczytaj uważnie. I zapamiętaj pan sobie, że potem spotkasz się z Laroche’em i wszystko, co pan będzie miał do powiedzenia, zostanie powiedziane w jego obecności. - Wpatrywał się z góry we mnie swoimi kamiennymi,

nieruchomymi oczami. - I niech pan też pamięta, że według jego relacji pański ojciec nie mógł odebrać dwudziestego dziewiątego wiadomości od Briffe'a. Okej?

Kiwnął głową do Billa Landsa i obydwaj wyszli.

Na zewnątrz w korytarzu przywitał się z Laroche'em tonem już cichszym, po czym drzwi się zamknęły i zostałem sam. Głosy umilkły i ściany izby, obce i wrogie, zamknęły się dokoła, izolując mnie. Czy rzeczywiście minęły ledwie dwa dni, odkąd natknąłem się na Farrowa w barze lotniska? Wydawało się to tak dawno temu, a Anglia taka daleka. Zaczynałem żałować, że w ogóle przyjechałem do Kanady.

Machinalnie zabrałem się do przeglądania papierów. Wszystko tam było, streszczenie notatek zapisanych przez ojca w jego dziennikach, moje oświadczenie złożone policji, opis pokoju i jego wyposażenia radiowego, informacje techniczne o możliwości odbioru radiotelegraficznego na tym zasięgu, raport Leddera - wszystko. A potem doszedłem do orzeczenia psychiatrów: „Nie jest rzeczą niezwykłą, żeby upośledzenie fizyczne prowadziło do zakłócenia równowagi umysłowej, a w takich okolicznościach chorobliwe zainteresowanie jakąś katastrofą czy ludzkim dramatem może dać w wyniku to, że chory ulega urojeniom przypisując sobie aktywną, a nawet wybitną rolę w wydarzeniach zaprzatających jego umysł. Zachodzi to szczególnie wówczas, gdy zbyt dużo przebywa w samotności. W pewnych niezwykle przypadkach takie zakłócenie równowagi umysłowej może stać się przyczyną nadzwyczajnego wysiłku fizycznego, a w omawianym przypadku...”

Cisnąłem plik papierów na biurko. Jak to możliwe, żeby byli tacy głupi? Ale uświadomiłem sobie, że to nie tyle ich wina, co moja. Gdybym im mógł powiedzieć o tamtej poprzedniej wyprawie, może by zrozumieli obsesję ojca na punkcie tego kraju. Wszystkie te pytania, które tak zaskoczyły Leddera... Naprawdę nie mogłem mieć im tego za złe. I dla mnie też nic nie znaczyły, dopóki Ledder nie powiedział mi, co stało się z moim dziadkiem. Nawet teraz nie rozumiałem wszystkich aluzji.

Wyjąłem notatki, które wypisałem z dzienników ojca i przejrzałem je raz jeszcze, a nazwisko Laroche wszędzie biło mnie w oczy. Dlaczego ojciec tak się interesował Laroche'em? Dlaczego jego reakcja była taka ważna? Wziąłem plik papierów wręczony mi przez McGoverna i przerzuciłem je znowu. Była tam lista wszystkich radiostacji - państwowych, prywatnych i amatorskich - z którymi nawiązano kontakt, oraz trzy pełne strony raportów pilotów latających na poszukiwania. Ale jednej rzeczy, której szukałem, nie było, i domyśliłem się, że tamte kartki, które McGovern wyjął przed oddaniem mi całości, zawierały oświadczenie Laroche'a.

Usiadłem na powrót, zastanawiając się, jaki też okaże się Laroche, i czy jego relacja dopomoże mi rozstrzygnąć, co powinienem teraz zrobić. McGovern nie miał zamiaru nic robić - tego byłem pewny. Ale jeżeli Laroche zdołał przekonać córkę Briffe'a, że jej ojciec nie żyje... Nie wiedziałem, co myśleć. Może Lands miał rację. Może powinienem po prostu tak to zostawić i wracać do domu.

Drzwi za mną otworzyły się i wszedł McGovern.

- No i co? - zapytał zatrzaszkując je za sobą. - Przeczytał pan wszystko?

- Tak - odrzekłem. - Ale nie znalazłem oświadczenia Laroche'a.

- A nie. On sam panu powie, jak było. - Podszedł i stanął nade mną. - Ale zanim go tu zawołam, chcę wiedzieć, czy w tych raportach pominięto jakiś istotny fakt. Jeżeli tak, omówimy to zaraz, póki jesteśmy sami.

Podniosłem na niego wzrok; twarde, szare oczy wpatrywały się we mnie z wysuszonej twarzy. Jego wrogość była oczywista, ja zaś uświadomiłem sobie ograniczone możliwości, jakie dawała mi moja przeszłość. Nie wychowano mnie do obcowania z ludźmi tego pokroju.

- To zależy, co pan nazywa istotnymi faktami - powiedziałem niepewnie. - To sprawozdanie psychiatrów... ono jest oparte na przypuszczeniu, że mój ojciec był zwykłym widzem, że w niczym nie brał udziału. Nie znali wszystkich faktów.

- Jak to?

- Nie znali jego przeszłości, a bez tego wszystkie pytania, które zadawał Ledderowi, i wiele jego notatek nie mogły mieć dla nich sensu.

- Słucham dalej - powiedział.

Zawahałem się nie wiedząc, jak to ująć, skoro było mi wiadomo tak mało.

- Czy pan wiedział, że w roku tysiąc dziewięćsetnym odbyła się wyprawa na obszar Attikonaku? - zapytałem.

- Tak. - Doznałem wrażenia, że nagle ma się na baczności.

- No więc, okazuje się, że kierownikiem tej wyprawy był mój dziadek.

- Pański dziadek? - Wpatrzył się we mnie i było oczywiste, że to ujawnienie coś dla niego znaczy, że jest wstrząsem.

- Może teraz pan zrozumie, dlaczego mój ojciec tak się interesował wszystkim, co miało związek z Labradorem - powiedziałem. - To wyjaśnia te pytania, które zadawał Ledderowi; pytania, których psychiatrzy nie mogli zrozumieć. A dlatego, że nie mogli ich zrozumieć, myśleli, że był wariatem.

- To James Finlay Ferguson był pańskim dziadkiem? - Z wolna pokiwał głową. - Tak przypuszczałem. Jak mi tylko powiedzieli nazwisko pana ojca, domyśliłem się, że wrócimy

do tamtej wyprawy. I Bert tak samo. Mój Boże! To już trzecie pokolenie. A nigdy nie było w tym nic poza pogłoskami. Niczego nie udowodniono. Nawet tamta kobieta nie mogła niczego udowodnić. A teraz pan tu przyjeżdża z kupą dzikich oskarżeń, które są oparte na czymś tak nieuchwytnym. - Wpatrzył się we mnie kamiennym wzrokiem, a żyły na jego twarzy nabrzmiały mu z gniewu. - Dlaczego, u diabła, nie powiedział pan władzom, że pański ojciec żył w świecie przeszłości? Może pan nie miał odwagi? Myślał pan, że przez to wyda się większym wariatem?

- Nie był wariatem - nieomal krzyknąłem na niego. Nie rozumiałem połowy tego, co mówił. - A co do powiedzenia władzom... to o wyprawie dziadka dowiedziałem się dopiero wczoraj wieczorem.

- Nigdy pan o niej nie słyszał? - Popatrzył na mnie z wyraźnym niedowierzaniem.

Opowiedziałem mu wtedy, jak usłyszałem o tym po raz pierwszy od Leddera i że on dostał na ten temat jedynie krótką informację drogą radiową od jednego z geologów.

- Boże kochany! - zawołał. - To pan nie zna szczegółów. Nie wie pan, kto był z pańskim dziadkiem na tej wyprawie...

Nie z tego powodu tu przyjechałem- odparłem. - . Przyjechałem, bo mój ojciec był pierwszorzędnym radiotelegrafistą i jestem przekonany...

Okej - powiedział. - Przyznaję, że teraz to inaczej wygląda. Ale tylko jeżeli idzie o pobudki, które skłoniły pana do przyjazdu - dodał pospiesznie. - To nie znaczy, że Briffe żyje. Pan mógł nic nie wiedzieć o wyprawie Fergusona, ale pański ojciec wiedział.

- Co to ma do rzeczy? - zapytałem.

- Bardzo dużo - odparł. - Moim zdaniem wszystko. Jego pobudki są oczywiste. - Po czym dorzucił mgliście: - Bywają różne rodzaje zakłócenia równowagi umysłowej.

Nie rozumiałem, do czego zmierza, i powiedziałem mu to.

- W porządku - rzekł. - Zapomnij pan o tym. Nie jest pan w to wmieszany i z tym się zgadzam. Ale nie mogę się zgodzić co do reszty - że pański ojciec naprawdę odebrał jakąś transmisję. - A kiedy zacząłem protestować, uciszył mnie niecierpliwym ruchem ręki. - Niech pan zaczeka, aż pan usłyszy, co Bert Laroche ma do powiedzenia.

Potem zostawił mnie samego i wyszedł zamykając drzwi za sobą. Przez cienkie drewniane przepierzenie słyszałem ich zniżone głosy. Co on im mówił? Czy pouczał Laroche[^], co ma powiedzieć? Nie mogłem w to uwierzyć. To było coś innego - coś mającego związek z tą wyprawą. Gdybym chociaż znał wszystkie fakty! Kręciłem się na krześle wpatrując się w drzwi, zastanawiając się, jaki też będzie Laroche. Jeżeli ojciec miał rację, to ten człowiek popełnił straszliwą, niewiarygodną pomyłkę.

Drzwi otworzyły się znowu i wszedł McGovern.

- Chodźcie tu obaj - powiedział, podszedł do biurka i usiadł. Za nim ukazał się Lands, a potem trzeci mężczyzna, wysoki i szczupły, o takiej twarzy, jakiej jeszcze dotąd nie widziałem. Światło słoneczne wpadało do izby pylnym promieniem i tamten wszedł prosto w nie, z twarzą posępną i kanciastą, nieomal nieprzeniknioną, o wystających kościach policzkowych i oczach obwiedzionych w kącikach drobnymi zmarszczkami, jak gdyby stale z wysiłkiem wpatrywały się w jakiś daleki horyzont. Ogromna szrama biegła od czubka głowy przez czoło aż do prawego oka. Obecnie była już prawie zagojona, pokryta czarnym strupem zakrzepłej krwi, a włosy zgolone po obu stronach zaczynały odrastać niby czarne futerko na białym tle skóry. Brew ogolono również i to nadawało jego twarzy jakiś dziwnie wykrzywiony wygląd.

McGovern kazał mu przysunąć sobie krzesło, a tamten siadając rzucił mi szybkie spojrzenie. Oczy miał piwne, osadzone głęboko i podkrążone od ciężkich przeżyć. Było oczywiste, że przez długi czas żył w napięciu i pod smagłą skórą kryła się bladość znamionująca wyczerpanie. Wreszcie uśmiechnął się do mnie, wyjął z kieszeni fajkę i jakby się odprężył. Zęby miał bardzo białe, a uśmiech w jakiś sposób odmienił równowagę jego twarzy, która przybrała nagle chłopięcy, prawie dobroduszny wyraz - ten sam, który widziałem na twarzach Farrowa i jego przyjaciół: beztroski, a jednak skupiony. Wydał się wtedy młodszy, choć ciemne włosy zaczynały mu siwieć na skroniach.

Lands zamknął drzwi, przysunął sobie krzesło i usiadł. McGovern pochylił się nad biurkiem.

- No, skończmy z tym - powiedział do mnie. - O ile rozumiem, pan dalej myśli, że pański ojciec odebrał jakąś wiadomość od Briffe'a?

Kiwnąłem głową; uwagę miałem skupioną na Laroche'u. Usiłowałem być uczciwy wobec samego siebie, widzieć w nim tego, kim był naprawdę - doświadczonego puszcząńskiego lotnika. Nie wydawało się możliwe, żeby popełnił omyłkę i to w takiej sprawie, zwłaszcza że był zaręczony z córką Briffe'a.

McGovern coś mówił i nagle uderzył pięścią w biurko.

- Nie siedźcie tak człowieku! - krzyknął na mnie. - Powiedz pan nam, dlaczego jesteście dalej taki pewny. - A potem dodał spokojniejszym tonem: - Pan widać nie zdaje sobie sprawy, że myśmy znali Paula Briffe'a. Był moim przyjacielem, i Billa także. Bert miał zostać jego zięciem. Każdy z nas ma wszelkie możliwe powody pragnąć, żeby żył. - Odchylił się w krześle z lekkim westchnieniem. - Ale nie sądzimy, żeby tak było. - Po chwili mówił dalej: - Kiedy dostałem pierwszą wiadomość o tej rzekomej transmisji, myślałem przez chwilę, że

Bert się pomylił. Czasami w puszczy trudno mieć pewność... - Przerwał. - Ale potem dostaliśmy pełne sprawozdanie, i kiedy stało się jasne, że nikt inny nie odebrał tej transmisji, wiedziałem już, że nie ma co prosić o wznowienie poszukiwań. A teraz pan tu przychodzi i po przeczytaniu tych raportów mówi, że dalej jest przekonany, że pański ojciec odebrał wiadomość. Dlaczego?

Wpatrzyłem się w niego, siedzącego twardo jak skała za biurkiem. Jakże mogłem mu wytłumaczyć, co myślałem o ojcu? Poczucie bezradności wróciło, silniejsze niż kiedykolwiek.

- Chciałbym usłyszeć, co pan Laroche ma do powiedzenia - odparłem z uporem.

- Jasne. Ale najpierw niech pan nam powie, dlaczego pan jest taki diabelnie pewny.

- Bo wiem, jakim rodzajem człowieka był mój ojciec - odrzekłem.

- Czytał pan orzeczenie psychiatrów?

- Spodziewa się pan, że się z tym zgodzę? - Popatrzyłem na niego czując, jak rozpala się we mnie gniew.

- Nie miał zaburzeń umysłowych. I nie cierpiał na urojenia.

- Czy pan mieszkał z nim razem?

- Nie.

- To jak pan może mieć pewność co do jego stanu umysłowego?

- Bo jestem jego synem. - Postawa McGoverna przypominała mur z cegły. Czulem, jak się o niego rozbijam. - Syn musi wiedzieć, czy jego ojciec jest wariatem, czy nie. A mój ojciec nie był wariatem. Wiedział, że to Jezioro Lwa i że to Briffe. Dlaczego pan uważa...

- Co pan powiedział? - To pytanie rzucił we mnie Laroche i nagle w izbie zaległa cisza. Wpatrywał się we mnie, a potem zerknął na McGoverna, który szybko wtrącił:

- Na razie zostawmy temat pańskiego ojca. - Pochylił się do przodu starając się wzrokiem przyciągnąć moją uwagę. - W tej chwili chcę, żeby pan usłyszał, co się na prawdę zdarzyło. Myślę, że kiedy pan tego wysłucha, zgodzi się pan z nami, że nie może być żadnych wątpliwości. - Obrócił się do Laroche'a. - No, Bert. Powiedz mu, jak to było.

Laroche zawahał się zerkając na mnie i przesuwając językiem po wargach.

- Okej - rzekł. - Chyba tak będzie najlepiej. Wtedy sam wyrobi sobie zdanie. - Przeniósł spojrzenie na własne dłonie. Pomyślałem: „Jest zdenerwowany”. Ale potem zaczął mówić i już nie byłem taki pewny. Mówił z lekkim obcym akcentem i chociaż chwilami się wahał, było to głównie dlatego, że szukał potrzebnego mu słowa. Jego głos był płaski i pozbawiony przejęcia; opowiadał to już wiele razy.

Wystartowali około wpół do siódmej wieczorem 14 września. Zostawili część zapasów, jeden namiot i jedno canoe, i wyruszyli znad Rozczarowania w piekielnym pośpiechu, bo burza już była nad nimi i wody jeziora piętrzył wiatr o szybkości dwudziestu węzłów. Obszar C2 znajdował się o pół godziny lotu, ale zanim przebyli połowę odległości, pułap chmur zeszedł bardzo nisko, z miecącym śniegiem i deszczem, i złą widocznością.

- Powinienem był lądować, póki miałem szansę - mówił Laroche. Nie patrzył na mnie. Nie patrzył na nikogo. Po prostu tak siedział opowiadając, co się stało, tym płaskim, trochę cudzoziemskim głosem.

Zmuszony był lecieć nisko, tak że pływaki wodnopławca muskały wierzchołki sosen, i przeskakiwał od jeziora do jeziora, znad jednej połaci wody do następnej.

- Na takiej wysokości wszystko dzieje się bardzo szybko. A jeziora przybierają inny kształt. Mogłem widzieć w całości tylko te małe. Reszta to były po prostu kawałki wody zamazane w półmroku i śniegu z deszczem.

Przypuszczał, że zapewne nie docenił siły wiatru. Kiedy leciał w tamtą stronę z pierwszą grupą, mgła oraz przymusowe wodowanie uniemożliwiły mu zapamiętanie terenu. Zresztą nic by to nie pomogło, z uwagi na zapadający zmierzch i słabą widoczność. Leciał według kompasu, a po przebyciu wyliczonej w czasie odległości zaczął szukać zataczając coraz szersze koła, ciągle na wysokości wierzchołków drzew. Tak to trwało prawie piętnaście minut, a przez cały ten czas ściemniało się i nie było widać żadnego śladu rzeki Attikonak ani innego punktu orientacyjnego, który wskazałby mu, gdzie się znajduje.

A potem nadleciał śnieg. Przyszedł nagle, oślepiającą zawieją, która przesłoniła wszystko.

- Nie miałem wyboru - mówił. - Przelatywałem nad jakimś jeziorem i skręciłem ostro, i zeszedłem w dół.

Poszarpał sobie pływaki, kiedy walił się między drzewami rosnącymi na skraju wody, po czym uderzył mocno o powierzchnię jeziora, odbił się dwukrotnie i rąbnął w skałę, która nagle przed nim zamajaczyła. Zawadził o nią prawym skrzydłem, tak że samolot okręcił się i grzmotnął bokiem o skałę rozbijając kadłub. Siła zderzenia rzuciła Laroche'a głową o szybę przednią, po czym stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, samolot był do połowy zanurzony w wodzie, a nad nim piętrzyła się skała. Laroche, zamroczony, poczołgał się do wnętrza kadłuba i znalazł tam nieprzytomnego Bairda, przygniecione kawałkiem metalu, który uszkodził mu prawą rękę i rozorał całą jedną stronę twarzy.

- Paul był też ranny.

Laroche mówiąc to miał oczy na wpeł przymknięte i nie mogłem wątpić, że odbyło się to właśnie tak. Jego głos i wszystkie szczegóły były przekonujące.

Uczył dla pozostałych tyle, ile mógł, co nie było wiele, ponieważ na skale nie mógł znaleźć drewna, żeby rozpaść ogień. Pozostał tam dwa dni, dopóki burza nie przeszła, po czym odrąbał jeden z pływaków, wyłatał go i przewiózł obydwu rannych na brzeg. Udało mu się rozpaść ogień, zbudował z gałęzi szałas i zabrał z samolotu trochę zapasów. W dwa dni później przyszła nowa burza. Wiatr wiał z północo-zachodu i następnego rana samolot zniknął. Wiatr zgasił też ogień i Laroche nie mógł rozniecić go na nowo, bo wszystkie zapalki zamokły, a zgubił zapalniczkę, jedyną, jaką posiadał. Baird umarł tej nocy, a Briffe następnej. Po tym Laroche zaczął wędrować na zachód. „Wiedziałem, że póki będę szedł na zachód, muszę prędzej czy później natrafić na linię kolejową...” Szedł tak pięć dni i nocy prawie bez pożywienia i po południu dwudziestego piątego dotarł do Mili 273, gdzie ekipa konstrukcyjna z żurawiem chwytkowym prowadziła roboty ziemne.

- To chyba wszystko - powiedział spoglądając na mnie po raz pierwszy. - Miałem szczęście, że wyszedłem z tego żywy.

- No więc tak to wygląda - odezwał się McGovern, a jego ton świadczył, że na tym zamyka sprawę, i że powinno mi to wystarczyć.

- A wtedy jak pan pływał do samolotu - powiedziałem - czy pan zabrał na ląd radio?

- Nie - odparł. - Zatonęło razem z samolotem.

- I jest pan pewien, że Briffe nie żył, kiedy pan odchodził?

Laroche spojrzał na mnie rozszerzonymi oczami. Potem zerknął szybko na McGoverna. Było to tak, jakby zwracał się do niego o pomoc. Ale odezwał się Lands.

- Przecież dopiero co panu powiedział - rzekł gniewnie. - Czego pan jeszcze chce?

Potem przemówił McGovern.

- Pewnie pan chciałby jeszcze zobaczyć zwłoki? - Patrzył na mnie spode łba.

- Czy pan ich pochował? - spytałem Laroche'a. Pomyślałem, że gdybym porządnie pokopał...

- Na miłość boską! - zawołał Lands.

- Nie - odpowiedział mi Laroche. - Nie pochowałem ich. Po prostu nie miałem na to siły. - Jego głos był płaski. A potem dodał szybko: - Później próbowałem ich odnaleźć. Dwa razy latałem z pilotem z Meniheku. Ale tam są tysiące jezior, dosłownie tysiące.

- Tysiące, tak - odparłem. - Ale tylko jedno Jezioro Lwa.

Znowu poczułem w izbie napięcie. Nie tylko w Laroche, który wpatrywał się we mnie z wyrazem lęku na twarzy; w McGovernie również.

- Czy to ważne, jaka jest nazwa jeziora, psiakrew, jeżeli nie mógł go odnaleźć? - zapytał ze złością.

Ja jednak patrzyłem na Laroche'a.

- Pan wiedział, że to było Jezioro Lwa, prawda? - Byłem tak pewien, iż jest to ważne, że naciskałem go. - Ta skała pośrodku...

- Padał śnieg - wymamrotał:

- Kiedyście się rozbili. Ale później... Czy później pan nie widział tej skały? Kształtem przypomina lwa, prawda?

- Nie wiem - odparł. - nie zauważyłem.

- Ale pan czytał te raporty? Zna pan treść wiadomości odebranej przez mojego ojca?

Kiwnął głową.

- Ta transmisja Briffe'a... Nadana była znad Jeziora Lwa.

- Tego pan nie wie - wtrącił McGovern.

- To dlaczego powiedział: „Szukać wąskiego jeziora ze skałą w kształcie...”? - zapytałem. - Brak tylko tego jednego słowa: „lwa”.

- Pan zwyczajnie zgaduje - rzekł McGovern. A zresztą pański ojciec po prostu zmyślał na podstawie tego, co wiedział o wyprawie Fergusona.

- Naprawdę pan w to wierzy? - zawołałem. - To były ostatnie słowa, jakie napisał przed śmiercią.

- Przez to jeszcze nie stają się prawdziwe. Nie mógł wiedzieć, że umrze.

Popatrzałem na niego ze zgrozą.

- Przecież mówię panu, że dźwignął się na nogi, żeby spojrzeć na tę mapę. Jezioro Lwa było na niej zaznaczone, a jego dzienniki... całe wypełnione rysunkami lwów...

- W porządku - powiedział ociężale McGovern. - Przypuśćmy, że Briffe nadał wiadomość, i że takie były dokładnie jego słowa. Czy pan wie, gdzie jest to jezioro?

- Na obszarze Attikonak - odparłem. - Na wschód od rzeki.

- Cholera! To już wiemy. Wiemy w przybliżeniu do jakichś trzydziestu mil, gdzie rozbił się Bert, a jednak nie odnaleźliśmy tego jeziora. Ale oczywiście, jeżeli pan zna dokładnie miejsce, gdzie jest to jezioro, o którym pan wciąż mówi... Tylko że ojciec nie wskazał go ściśle, prawda?

- Nie. - Ciągle patrzyłem na Laroche'a. Zajęty był nabijaniem fajki, głowę miał pochyloną.

- No, to nam niewiele daje. - Czyżby w głosie McGoverna zabrzmiała nuta ulgi? Spojrzałem prędko na niego, ale te szare, kamienne oczy nie powiedziały mi nic. - Jak mówi Bert, tam są tysiące jezior.

- Ale tylko jedno ze skałą w kształcie lwa - powtórzyłem z uporem.

Wtedy Laroche powiedział spokojnie:

- Pan nie wie, co to znaczy być tam. - Rzekłbyś, podążał za jakimś własnym tokiem myśli. - Padał śnieg, a potem przysła mgła. I tyle było do zrobienia... - Jego głos ucichł znowu, jak gdyby nie chciał o tym myśleć.

- To do niczego nie doprowadzi - głos McGoverna stał się nagle energiczny i rzeczowy. - Jezioro Lwa jest wymienione w książce Dumaine'a i w relacjach prasowych... tego, który wyżył. - Zerknął szybko na Laroche, a potem znowu popatrzył na mnie. - Pański ojciec musiał wyczytać nazwę, którą nadał temu jezioru, swojemu ostatniemu obozowi. Tam właśnie umarł pański dziadek, i moim zdaniem dowodzi to tylko, że pana ojciec żył przeszłością.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

- Czy pan nawet nie próbuje zrozumieć? - zapytałem Ojciec był radiotelegrafistą. Eter był jego całym światem. Nigdy nie wymyślił sobie transmisji, której nie było - nigdy.

I znowu zacząłem tłumaczyć, jakim wysiłkiem musiało być dla niego dźwignięcie się na nogi. Ale już mówiąc to wiedziałem, że nie zda się na nic. Twarde rysy jego twarzy nie zmiękły wcale, w oczach nie było współczucia.

Wysłuchał mnie, a kiedy skończyłem, spojrzał na zegarek.

- Bardzo mi przykro - powiedział - ale to wszystko nic nam właściwie nie daje. Gdyby pan był w stanie powiedzieć nam coś nowego, dać coś pozytywnego, na czym moglibyśmy się oprzeć... - Wstał z krzesła. - Teraz muszę już iść. - Wyszedł zza biurka i stanął nade mną. - Niech pan nie myśli, że nie doceniam tego, że pan przyjechał z tak daleka, aby nam to powiedzieć. Doceniam. Ale pan musi zrozumieć, że pański punkt widzenia jest osobisty - bardzo osobisty.

- Więc pan nie ma zamiaru nic zrobić? - spytałem.

- A cóż ja mogę zrobić? Zażądać wznowienia poszukiwań? Musiałbym najpierw przekonać władze. - Potrząsnął głową.

Wtedy zerwałem się na równe nogi.

- Ale przedtem szukaliście na ślepo! - zawołałem. - Teraz macie jakiś punkt zaczepienia. Jeżeli szukaliście tego jeziora... - Obróciłem się do Laroche'a. - Na miłość boską,

niechże pan mu to wytłumaczy! - krzyknąłem. A kiedy nie odpowiadał, tylko dalej wpatrywał się w swoją fajkę, wybuchnąłem dziko: - Może pan nie chce, żeby ich odnaleziono?

Na to poderwał raptownie głowę i wpatrzył się we mnie jakby z przerażeniem.

- Bert latał tam dwa razy - przypomniał mi spokojnie McGovern. - Dwa razy wtedy, kiedy powinien był leżeć w szpitalu. I nie mógł znaleźć jeziora. - Przerwał, po czym dodał: - Rozumiem, że pan jest zawiedziony. To naturalne, po przybyciu z tak daleka. I muszę powiedzieć, że ja też jestem zawiedziony. Tak jak my wszyscy. Kiedy dostałem wiadomość od Leddera, miałem nadzieję... - Odwrócił się wzruszając z lekka ramionami, jak gdyby na tym zamykał sprawę. - Zdaje się, że pański samolot odleciał do Montrealu? Prawda? - zapytał mnie.

Kiwnąłem głową czując, że nagle opuściła mnie wola dalszego walczenia z nimi.

- Słyszałem, że dziś wieczorem ma wystartować do Montrealu inny samolot - powiedział do Landsa. - Myślisz, że mógłbyś załatwić mu miejsce, Billu?

- Jasne.

McGovern znów spojrzał na zegarek, po czym zwrócił się do Laroche'a.

- Masz z sobą swój wóz? To może byś mnie podrzucił do miasta. Już i tak jestem spóźniony. - Wziął teczkę. - Jestem panu wdzięczny, Ferguson, naprawdę bardzo wdzięczny. Jeżeli mógłbym coś dla pana zrobić, proszę dać mi znać.

Z tymi słowami wyszedł z pokoju. Laroche zawahał się, zerknął prędko na mnie, jakby chciał coś powiedzieć. A potem pospieszył za McGovernem.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi, a ja stałem tam, czując się odrętwiały i wyczerpany. Powinienem był go zatrzymać, zrobić ostateczny wysiłek. Ale po co? Jeżeli nawet znał przez cały czas nazwę jeziora, to nie znaczyło, że potrafiłby je odnaleźć. A świat już przywykł do myśli, że tamci nie żyją. To właśnie miałem przeciwko sobie - to oraz upór takich ludzi, jak McGovern, którzy nie potrafią dostrzec jakiejś rzeczy, dopóki nie przedstawi się jej jako niezbitego faktu.

- Niech ich diabli! Niech ich wszyscy diabli!

Czyjaś ręka chwyciła mnie za ramię. Zapomniałem, że Bili Lands nadal tu jest.

- A czego pan się spodziewał? - zapytał łagodnie. - Tu na Północy, nie opuszczamy tak łatwo ludzi.

Obróciłem się do niego.

- Ale czy pan nie rozumie... - Przerwałem, bo uprzytomniłem sobie, że przecież siedział tu cały czas i nadal uważał, że Briffe nie żyje. Nie był w to wmieszany. Stał od tego z

daleka, i jeśli nie przekonałem jego, jakąż mogłem mieć nadzieję przekonać kogokolwiek innego?

- Teraz pójde dowiedzieć się o ten samolot do Montrealu, a później pewnie pan będzie chciał coś zjeść.

Nie było go około dziesięciu minut, a kiedy wrócił, powiedział mi, że wszystko załatwione.

- Samolot odlatuje około ósmej trzydzieści. - Poprowadził mnie na dwór, w światło słońca chylącego się ku zachodowi, poprzez płaską połąć żwiru, która była gładka jak łożysko rzeki; w oddali jakaś lokomotywa zahuczała niewymownie żalobnym tonem.

- Pociąg z zaopatrzeniem idzie tą linią do Stalowej Głowicy - powiedział. - Jadę tam jutro.

W jego głosie było zadowolenie i uśmiechnął się do mnie. Miał w sobie jakieś ciepło, ten masywny Amerykanin z oczami zmrużonymi w zachodzącym słońcu.

Weszliśmy do chaty podobnej do tej, którą opuściliśmy przed chwilą, i powitał nas tam szmer głosów, brzęk naczyń i zapach potraw. Dobry był ten zapach, bo czułem głód, toteż przysiadłem się z Landsem do stolika zajętego przez obcych, którzy nie zwrócili na mnie uwagi i jedli w skupieniu. Skąpe rozmowy koncentrowały się wokoło budowanej linii i niosły ze sobą powiew spraw inżynierskich. Gdzieś wysadzono jakąś skałę, w innym miejscu borykano się z mszarem, a ekipa układająca tor na Stalowej Głowicy posuwała się naprzód w tempie półtorej mili dziennie. Dziesiątki baz odcinkowych, tysiące ludzi, nawet transport lotniczy dla ich zaopatrzenia - cały świat sam w sobie, myślący, marzący, jedzący i śpiący tylko dla tej kolei. Czułem, jak sam zostaję w to myślowo wciągnięty, tak że kiedy siedziałem tam, jedząc z nimi, trudno mi było nie czuć się częścią tego wszystkiego.

A potem ktoś mnie zapytał, czy wybieram się na linię. Kiedy odpowiedziałem, że nie, że wracam do Anglii, wytrzeszczył na mnie oczy, jak gdybym był istotą z innej planety.

- No, no, a my tu mamy taki zdrowy klimat!

Roześmieli się, a ich śmiech sprawił, że poczułem się mniej obco.

Lands zaczekał, aż skończyłem jeść, po czym wyszliśmy na dwór. Całe niebo na zachodzie gorzało od zachodzącego słońca.

- Będzie pan miał dziś wieczorem niezły widok przed odlotem - powiedział. - Zorza polarna powinna być naprawdę dobra. - Spojrzał na zegarek. - Jeszcze za wcześnie na pański odlot, ale ja muszę jechać do miasta. Nie będzie pan miał mi za złe, jeżeli od razu podrzucę pana na pas startowy, prawda?

Potrząsnąłem głową, a on odszedł przebrać się i wyprowadzić swój samochód. Miałem zabrać walizkę i spotkać się z nim w biurze Q.P.W. & L. Ruszyłem przez płaską, zwirowatą przestrzeń czując się bardzo widoczny i samotny. Miałem wrażenie, że wyciekła ze mnie cała energia. Obejrzawszy się spostrzegłem, że Lands przystanął, by porozmawiać z jakąś kobietą przy najdalszym baraku. Widziałem, że spoglądają na mnie, więc szybko poszedłem do kantoru, świadom, że teraz i inni muszą już wiedzieć, co mnie tu sprowadziło. Staffen zapewnił im powiedział i ta świadomość sprawiła, że uczucie niepowodzenia było przytłaczające. Gdybym choć zdołał przekonać Landsa! Podobał mi się ten Bili Lands.

W kantorze odnalazłem swoją walizkę, wyszedłem i przystanąłem patrząc na niebo, które rozplómiło się na zachodzie gwałtowną, gorejącą czerwienią. Teraz, gdy odjeżdżałem, czułem znów dziwny powab tego kraju.

Na żwirze za mną rozległy się szybkie, nerwowe kroki i jakiś głos, miękki i nieco cudzoziemski, zapytał:

- Czy pan Ferguson?

Obróciłem się i stwierdziłem, że to owa kobieta, która rozmawiała z Landsem. Albo raczej nie kobieta, ale dziewczyna o czarnych włosach przyciętych krótko, po chłopięcemu, i smagłej twarzy o pełnych wargach, na której nie było ani śladu szminki. Pamiętam, że od pierwszego rzutu oka wywarła na mnie głębokie wrażenie. Może sprawiła to jej żywotność i jakiś rodzaj dzikości, a może po prostu w jej oczach odbiło się to dziwne, dzikie światło na niebie. Jakkolwiek było, natychmiast poczułem, że coś mnie do niej pociąga w jakiś bardzo osobisty sposób.

- Tak - odrzekłem. - Jestem Ian Ferguson.

Nie powiedziała nic, tylko patrzyła na mnie, nozdrza jej drgały, a oczy płonęły od odbitego w nich blasku. Przeguby jej rąk były bardzo szczupłe, a dłonie zaciśnięte na skraju skórzanej kurtki, tak że zdawała się sama siebie przytrzymywać. Potem powiedziała:

- Jestem Paula Briffe.

Wydaje mi się, że wiedziałem o tym od pierwszego momentu, bo świadomość nagromadzonego w niej uczucia była tak silna.

- Bardzo mi przykro - wymamrotałem nieporadnie. Nie wiedziałem, co jeszcze powiedzieć.

- Bili wspomniał mi, że pański ojciec zmarł i że pan dlatego przyjechał. - Mówiła napiętym, opanowanym, cichym głosem, który drżał na krawędzi hysterii. - Ja to potrafię zrozumieć. Niech pan mi wierzy: potrafię zrozumieć. - A potem, tracąc nagle panowanie nad

sobą, wykrzyknęła: - Ale to mu nic nie pomoże! Nie może na nic się zdać. - Słowa jej padały teraz szybko. - Proszę, niech pan wróci do Anglii. Niech pan nas zostawi w spokoju.

- Przyjechałem tu ze względu na pani ojca - powiedziałem.

Myślałem, że to ją uspokoi, ale zdawała się nie słyszeć.

- Przyjechał pan tu, rani pan ludzi i to jest panu obojętne. Proszę, proszę, niech pan nas zostawi.

- Ale pani ojciec... - zacząłem.

- Mój ojciec nie żyje! - zawołała. - Nie żyje, nie żyje, słyszy pan? - Jej głos był dziki, niepohamowany, oczy rozszerzone i pełne przestraszu.

- Ale przypuśćmy, że mój ojciec miał rację - powiedziałem łagodnie. - Przypuśćmy, że ta transmisja...

- Pana ojciec! Mon Dieu! My, panu jesteśmy obojętni - my i to, co czujemy. Boi się pan przyznać, że pański ojciec był obłąkany, więc przyjeżdża pan tutaj, żeby narobić zamieszania. - Drobne dłonie miała zaciśnięte, a jędrne piersi falowały pod skórą indiańskiej kurtki. A potem, gdy na nią patrzyłem przestraszony, wyciągnęła bez tchu rękę i powiedziała: - To nieprawda. - Wpatrywała się we mnie. - Ale to takie potworne - powiedziała zdyszczanym głosem. - Takie potworne. - Potem się odwróciła twarzą ku zachodzącemu słońcu. - Mniejsza o mnie... Ojciec nie żyje. Na to już nie ma rady. Ale Albert... - wymówiła jego imię na sposób francuski.

- To go przyprawia o szaleństwo. Przed chwilą z nim rozmawiałam. Pan powiedział rzecz straszną - zakończyła głosem zniżonym prawie do szeptu.

- Ale przypuśćmy, że jednak się pomylił? - powiedziałem.

Obróciła się do mnie z rozplómiionymi oczyma.

- Pan widać nie rozumie! - krzyknęła. - Albert był przy ojcu, kiedy ten umarł, i właśnie przez to zaprzestali poszukiwań. A teraz pan przyjeżdża i próbuje nam wmówić, że ojciec nadawał przez radio, nie wtedy gdy się rozbili, ale w całe dwa tygodnie później. To właśnie jest potworne. - Płakała teraz, płakała okropnie, w straszliwym przypływie uczucia. - To nieprawda. To nie może być prawda.

Cóż mogłem powiedzieć? Co mówi się wtedy, gdy to, w co się uwierzyło, rozdziera wewnętrznie inną istotę ludzką? Ponieważ zaś nie wiedziałem, stałem w milczeniu przestraszony widokiem namiętności zupełnie mi obcej.

- Pan nic nie mówi. Dlaczego? - Szybkim ruchem chwyciła mnie za rękę. - Teraz niech pan mi powie prawdę. Błagam: prawdę.

Prawdę! Jakaż ona była? Czy rzeczywiście ją znałem? Czy była istotnie tym, co zostało zapisane ołówkiem na tamtej stronie dziennika?

- Bardzo mi przykro - wyszeptałem. Ja prawdy nie znam. - I dodałem: - Chciałbym ją znać. Wiem tylko to, co napisał mój ojciec. Wierzył, że pani ojciec żyje i że nadał wiadomość z miejsca zwanego Jeziorem Lwa. Wtedy odzyskała oddech.

- Jezioro Lwa! - Wpatrzyła się we mnie i teraz w jej oczach ujrzałem nie tylko namiętność, ale i zrozumienie. - Pan mówi: Jezioro Lwa. Skąd pan wie?

- Z tej transmisji - odparłem. - To wynikało z tej transmisji, którą mój ojciec odebrał.

- Tam była mowa tylko o wąskim jeziorze ze skałą pośrodku. - Głos jej drżał lekko. Nic więcej. Sama czytałam. Albert mi to pokazał.

- A czy pokazał pani także raporty Leddera?

Potrząsnęła głową.

- Tam było wymienione Jezioro Lwa.

Oszczędziłem jej kontekstu i opowiedziałem tylko o mapie w pokoju ojca, o dziennikach i o tym, jak ojciec miał obsesję na punkcie Labradoru z uwagi na wyprawę Fergusona. A przez cały ten czas, gdy mówiłem, wpatrywała się we mnie rozszerzonymi oczyma, nieledwie ze zgrozą.

- Więc widzi pani - zakończyłem - uważałem, że muszę przyjechać.

Przez chwilę milczała, a twarz miała całkiem białą.

- Jezioro Lwa... - Wszeptała tę nazwę do siebie, jak gdyby to było coś, o czym śniła.

- Ojciec mówił o nim... często... przy obozowych ogniskach. Znał całą historię i zawsze myślał, że kiedyś je odnajdzie... wciąż szukał. Przez całe życie słyszałam tę nazwę z jego ust.

- Odwróciła się od mnie i zapatrzyła w zachodzące słońce. - Dieu me secourrait! - westchnęła. Boże dopomóż! Mówiąc to złożyła dłonie, jak gdyby klęczała przed ołtarzem. Z wolna obróciła się do mnie. - Pan jest uczciwy. Przynajmniej pan jest uczciwy. I Bogu za to dziękuję. - Patrzyła mi w oczy przez długą chwilę, a potem szepnęła: - Muszę pomyśleć. Muszę pomodlić się do Boga. - I odwróciwszy się odeszła powoli, a było w niej jakieś zgębienie, tak bardzo pasujące do mojego nastroju smutku, że ruszyłem za nią.

Jednakże zatrzymałem się, bo nagle wyczucie, którego prawie nie pojmowałem, uprzytomniło mi, że nie mogę nic poradzić. Było to czymś, co musiała odkryć ona sama. Miała przed sobą straszną decyzję, bo przecież uderzało to w samą istotę jej stosunku do Laroche'a, i ten jej dylemat odczułem jako swój własny. I jakimś dziwnym sposobem umocniło mnie to w postanowieniu. Było tak, jak gdyby owa druga ludzka istota, z którą do

tej pory nigdy się nie zetknąłem, zwróciła się do mnie o pomoc. Zrozumiałem wtedy, że nie mogę dać za wygraną, że muszę działać dalej, dopóki nie poznam prawdy.

Rzecz dziwna: przeszłość i terażniejszość jak gdyby nagle się nierozdzielnie przemieszały, z Jeziorem Lwa jako punktem centralnym - i obróciłem twarz ku północy czując chłód lekkiego wiatru, który wiał od płaskowyżu Labradoru.

Taki był mój nastrój w chwili, gdy Bili Lands zajechał swą ubłoconą półciężarówką i poprosił mnie, żebym wsiadł.

- Nie jadę - powiedziałem.

Wytrzeszczył na mnie oczy wychylając się przez siedzenie obok miejsca kierowcy, z ręką jeszcze na drzwiczkach, które dla mnie otworzył.

- Jak to, pan nie jedzie?

- Zostaję tu - odparłem. - Zostaję tu, dopóki nie odkryję prawdy.

- Prawdy? Już pan zna prawdę. Usłyszał pan ją dziś po południu od Berta Laroche'a. - Zmarszczył brwi. - Czy Paula pana znalazła? Rozmawiał pan z nią?

- Tak.

- Co pan jej powiedział? - Głos drżał mu z gniewu, a pięść miał zaciśniętą, kiedy przesuwał się przez miejsce obok kierowcy i wysiadał na żwir, na którym stałem. - Próbował pan jej wmówić, że ojciec jeszcze tam żyje? - Stał nade mną, oczy miał zmrużone i twarde, patrzył mi prosto w twarz. - Tak pan jej powiedział? - Myślałem, że mnie uderzy.

- Nie - odrzekłem.

- Więc co w takim razie?

- Żądała prawdy, a ja jej powiedziałem, że prawdy nie znam.

- I to ją uspokoiło, tak? Nie mam pojęcia, po kiego diabła Bert musiał jej gadać o panu. - Złapał moją walizkę, wyrwał mi ją i rzucił na tył samochodu. - Okej. Jedziemy. Dostyc pan narobił szkody jak na jeden dzień. - Głos mu drżał z gniewu. - Jazda. Wsiadaj pan.

- Kiedy ja nie jadę - powtórzyłem dziecinnie upartym głosem.

- Jedziesz, synu, czy chcesz, czy nie chcesz.

Chwycił mnie za ramię, dosłownie rzucił na siedzenie i zatrzęsął drzwiczki.

Nie było celu spierać się z nim; był roslym mężczyzną potężnej budowy. Ale kiedy zasiadł za kierownicę i ruszyliśmy, powiedziałem:

- Może pan mnie zawieźć na pas startowy, ale nie zmusi mnie pan, żebym wsiadł do samolotu.

Popatrzył na mnie marszcząc brwi.

- Ja pana nie rozumiem - powiedział. - Dlaczego, u diabła, nie przyjmie pan oświadczenia Berta i na tym nie poprzestanie? - A kiedy milczałem, zapytał: - Ile pan ma pieniędzy? Kanadyjskich pieniędzy?

- Nie mam nic - odparłem.

Kiwnął głową.

- Takem i myślał. - Uśmiechnął się. - To jakże, psiakrew, pan chce tu zostać? To miasto się rozrasta. Trzeba mieć pieniądze, żeby tu mieszkać.

- Staffen potrzebuje inżynierów - odrzekłem spokojnie. - A ja jestem inżynierem.

Wjechaliśmy na polną drogę i Bili skierował wóz na wschód, mocno wciskając stopą akcelerator.

- Alex nie da panu posady, ani nikt inny, kiedy się ludzie dowiedzą, że pan tu przyjechał robić zamieszanie.

- Nie jestem tu po to, żeby robić zamieszanie - powiedziałem. - Po prostu chcę się dowiedzieć prawdy. A jeżeli panu idzie o tę dziewczynę - dodałem - to czy pan nie uważa, że i ona też ma prawo do prawdy? Wie, że tu jestem, i wie, dlaczego. Wiadomo jej o tej transmisji i jeżeli nigdy nie dowie się prawdy, będzie się nad tym zastanawiała do końca życia. - Nie powiedział nic, a ja ciągnąłem dalej: - Mówi pan, że ojciec był dla niej bohaterem. Otóż wie, że jest jeden człowiek, który nie wierzy, żeby ten ojciec nie żył, i jeżeli się tak to zostawi, będzie się tym trapiła do śmierci.

Dojechaliśmy do pasa startowego; Lands przejechał między drutami i stanął przed biurem ekspedytora.

- Tym bardziej powinienem dziś pana stąd wyprawić - otworzył drzwiczki. - Wyjedź pan dzisiaj, to ona uzna, że nie mogło w tym być nic ważnego. Okej? - Siedział i patrzył na mnie czekając, żebym coś powiedział. - Zresztą właściwie wszystko jedno, czy pan się zgadza ze mną, czy nie. Odleci pan dziś tym samolotem i koniec. I tylko bez żadnych kawałów - dodał groźnie. - Jeżeli wieczorem jeszcze tu pana zastanę, jak wrócę z miasta, to cholera jasna, przetrączę pana. I nie myśl pan, że tylko tak sobie gadam.

Wysiadł i wszedł do biura ekspedytora. Ciemniejące niebo było jednym rozpasaniem barw. krwawoczerwone nad horyzontem, przechodziło w fiolet w miarę, jak noc rozpościerała się na nim od wschodu. Przede mną widniała sylwetka starej Dakoty, a obok niej dźwig, który załadowywał materiały oraz grupa czekających ludzi. Ci ludzie mający odlecieć na linię, były to typy najrozmaitsze. Zrobiło mi się żal, że nie lecę z nimi. Czuję potrzebę działania. Ale może zdołam coś zrobić w Montrealu, porozmawiać z władzami albo co.

Drzwiczki koło mnie otwarły się raptownie.

- Okej - rzekł Lands. - Załatwione. To pana samolot - skinął głową w stronę małego dwusilnikowego aparatu zaparkowanego za nami. - Start o dwudziestej trzydzięści. Może pan teraz wejdzie do biura, to pana przekażę ekspedytorowi.

Wsiadłem czując nagle znużenie - rad, że wyjeżdżam, że wydostaję się z Seven Islands.

- Może mi pan pożyczyć trochę pieniędzy? - zapytałem, gdy mi podawał walizkę.

- Jasne. Ile pan chce?

- Tylko tyle, żeby mi wystarczyło do jutra, do południa - odrzekłem - bo wtedy mój samolot odlatuje z Montrealu.

Kiwnął głową. - Dwadzieścia dolarów pana załatwia? - Wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni i wręczył mi cztery piątki.

- Odeślę panu równowartość w funtach, jak tylko dojadę do domu - powiedziałem.

- Daj pan sobie z tym spokój. - Poklepał mnie po ręce. - Szczerze mówiąc zapłaciłbym tyle i jeszcze więcej, żeby tylko pana stąd wyprawić. Zdaje się, że jestem sentymentalny gość. Po prostu nie chcę patrzeć, jak ktoś łamie życie dwojgu ludziom w imię czegoś, na co nikt już nie może poradzić.

Wziął moją walizkę i poprowadził mnie do biura ekspedytora. Ekspedytorem był ten sam człowiek, który sprawował tę funkcję, kiedy tu przyleciałem.

- Ed, to jest pan Ferguson. Przyjechał z Anglii. Zaopiekuj się nim za mnie, dobrze? I dopilnuj, żeby się nie spóźnił na odlot.

- Jasne. Zaopiekuję się nim, panie Lands.

- Tu jest karta lotu. Lands wręczył mu kawałek papieru, po czym obrócił się do mnie. - Muszę już jechać. Ed załaduje pana do samolotu. - Wyciągnął do mnie rękę. - Cieszę się, że pan się w końcu ze mną zgodził. - Zawahał się, jak gdyby nie pewien, czy powinien zostawić mnie samopas, ale potem powiedział: - No, to cześć. Szczęśliwej drogi. - Wyszedł, wsiadł do swojego wozu i wyjechał przez bramę w ogrodzeniu.

- Ma pan jeszcze około godziny czasu - powiedział ekspedytor wpisując moje nazwisko na formularzu. Potem nadział na kolec moją kartę lotu razem z różnymi innymi papierkami. - Start o dwudziestej trzydzięści. Wezwę pana, jak będą gotowi.

- Dziękuję - powiedziałem i wyszedłem do hangaru przylegającego do biura. Pełen był różnych materiałów, a na dworze już się ściemniło. Ostatnia plama czerwieni zniknęła z nieba i pozapalano lampy łukowe, które oblały światłem przedpole hangaru i czekającą tam Dakotę. Resztę ładunku wciągano na nią ręcznie, a dźwig stał beczynnie koło wrót hangaru.

Podstawiono motor rozrusznikowy pod lewy silnik i wśród czekających ludzi uczynił się nagły ruch, kiedy cisnęli się do otwartych drzwiczek kadłuba.

Możliwe, że ta myśl tkwiła mi gdzieś w głowie przez cały czas. Tak czy owak stwierdziłem w pewnej chwili, że idę przez przedpole, ażeby zmieszać się z robotnikami, którzy czekali, by wsiąść do samolotu. Bynajmniej tego nie przemyślałem. Po prostu ten samolot miał lecieć na linię i przyciągnęło mnie do niego jakieś zafascynowanie.

- Zimno panu będzie w tym przyodziewku, nie? - odezwał się obok mnie jakiś mężczyzna. Miał smagłą, zasuszoną twarz, na wpół ukrytą pod dużą futrzaną czapką z nausznikami. - Pierwszy raz na linii, co?

Kiwnąłem głową.

- Takem i myślał. - Splunął na ziemię strumieniem soku tytoniowego. - Pan dokąd?

Zawahałem się, ale patrzył na mnie oczekując odpowiedzi.

- Do Dwieście Dwadzieścia Cztery - odrzekłem przypomniawszy sobie, że wysyłano tam inżyniera na zastępstwo.

Niski mężczyzna kiwnął głową.

- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby tam już padał śnieg. - Powiedział to szczerząc zęby, jak gdyby radował się myślą, że będzie mi zimno.

Odsunąłem się od niego przepychając się między resztą.

- Pan na ten samolot? - Mężczyzna w czapce z długim daszkiem spoglądał na mnie z drzwi kadłuba.

- Tak - odrzekłem i dopiero gdy to powiedziałem, uświadomiłem sobie, że wdaję się w coś, co do czego nie miałem żadnej pewności, że zdołam przebrnąć do końca.

- To zaczekaj pan, aż wywołam pańskie nazwisko. - Obrócił się do pozostałych. - Okej, chłopaki. Zaczynamy i zaczął wyczytywać kolejno nazwiska zaznaczając je na trzymanej liście, w miarę jak wsiadali do samolotu.

Nie przewidziałem, że będą tu mieli listę pasażerów, jak na zwyczajnej linii lotniczej. Grupa topniała szybko i zastanawiałem się, jak wytłumaczę fakt, że chciałem wsiąść do samolotu lecącego na linię, kiedy byłem zapisany na lot do Montrealu. Chyba że zdołam dostać się podstępem! Pomyślałem o Staffenie i o tym, jak potrzebował inżynierów.

- Pańskie nazwisko? - Ostatni człowiek wdrapał się już do samolotu i mężczyzna z listą spoglądał na mnie.

- Ferguson - odpowiedziałem i usłyszałem drzenie we własnym głosie.

Powiodł palcem po liście.

- Pańskiego nazwiska tu nie ma. Jaki pana zawód?

- Inżynier.

- Ten samolot odlatuje do Sto Trzydzieści Cztery. - Zeskoczył na ziemię i stanął obok mnie. - Pan tam pracuje?

- Nie - odrzekłem. - Jadę do Dwieście Dwadzieścia Cztery. - I dodałem pośpiesznie: - Tamtejszy inżynier miał wypadek, i ja będę go zastępował.

- Aha, racja. - Kiwnął głową. - Ten West. Przywieźli go samolotem dziś wieczorem. - Patrzył na mnie i widziałem, że usiłuje powziąć decyzję. - A pan dostał kartę lotu?

- Tak - odparłem. - Ma ją ekspedytor. Pan Lands mnie odwiózł i prosił go o dopilnowanie, żebym się dostał do tego samolotu.

- Ed nic mi nie powiedział. - Zawahał się i znowu zerknął na listę. - Dobra, chodźmy do biura i wyjaśnijmy to. Zatrzymaj się! - krzyknął do człowieka obsługującego motor rozrusznikowy.

- Co się stało, Mike? - zapytał pilot stając w wejściu do kadłuba.

- To potrwa minutkę. Niech pan tu zostawi walizkę powiedział do mnie. - Musimy się pośpieszyć.

Drogę do biura przebyliśmy biegiem. Teraz już nie było odwrotu. Musiałem skłonić ekspedytora, żeby mi uwierzył. Pamiętam, że w chwili gdy dotarliśmy do biura, zajechał jakiś samochód, ale miałem inne zmartwienia i w biurze stałem milczący, podczas gdy mój towarzysz wyjaśniał sytuację ekspedytorowi.

- Pan ma miejsce na Beechrafcie - powiedział mi ekspedytor. - O dwudziestej trzydzieści do Montrealu.

- To musi być jakaś pomyłka - odparłem.

- Nie ma żadnej pomyłki, panie. - Wziął moją kartę lotu. - O, proszę. Sam pan zobacz. Montreal. Tak tu stoi.

Powtórzyłem to, co mówiłem już przedtem, że mam jechać do Dwieście Dwadzieścia Cztery, i dodałem:

- Przecież pan tutaj był, kiedy przyleciałem dziś po południu. Chciałem dostać pracę i dostałem ją.

Kiwnął głową.

- Zgadza się. Pamiętam. Przyleciał pan tym transportowcem i nie wiedział do kogo się zwrócić. - Podrapał się po głowie.

- Może mi dali nie tę kartę, co trzeba, albo ją błędnie wypisali - zauważyłem. - Pana Landsa proszono, żeby mnie tu przywiózł specjalnie dlatego, żebym nie spóźnił się na ten

samolot. - Wyjąłem paszport z kieszeni. - Proszę, jeżeli pan nie wierzy, że jestem inżynierem... - Otworzyłem paszport i pokazałem mu rubrykę „Zawód”.

Popatrzył na słowo: „Inżynier”.

- No, czy ja wiem - rzekł. - Na czyje polecenie wystawili panu kartę?

- Pana Staffena.

- Ano, o tej porze już go nie złapię. Zamykają o szóstej.

- Czy znajdzie się dla mnie miejsce w tym samolocie do Sto Trzydzieści Cztery?

- Owszem, miejsce jest.

- No to nie może pan po prostu przerobić karty? Słuchaj pan. Ja do Montrealu nie lecę, to pewne. Dlaczego miałbym chcieć wyjeżdżać, kiedy dopiero co przyjechałem?

Roześmiał się.

- No, niby racja.

- I właśnie, kiedy dostałem tę posadę, po którą tu przyjechałem. Poza tym pan Staffen powiedział, że mam się tam stawić natychmiast. Brakuje mu inżynierów.

- Pewnie. Muszę ich wciąż przerzucać. - Popatrzył na mnie; widziałem, że podejmuję decyzję i nie mówiłem nic więcej. - Dobra - rzekł. - To chyba pomyłka, tak jak pan mówi. Ostatecznie myślę, że pan jest na tyle dorosły, żeby wiedzieć, gdzie pan ma lecieć. - Zachichotał do siebie przekreślając na karcie słowo „Montreal”, wpisał na to miejsce „Sto Trzydzieści Cztery” i przerobił formularz. - Okej - rzekł. - Teraz pan jest na liście. .Całe szczęście, żeś pan to wykrył w porę, bo zanim by się pan obejrzał, już byłbyś z powrotem w Starym Kraju. - Roześmiał się znowu pogodnie, tak iż pomyślałem, że nie powinien mieć większych przykrości za zmianę karty lotu.

Nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad tym, bo popędzili mnie z powrotem do samolotu. Lewy silnik zawarczał, kiedy biegliśmy przez przedpole, i wciągnięto mnie na pokład w zimnym podmuchu wirującego śmigła. Walizkę rzucono mi z dołu i kiedy ją chwyciłem, dostrzegłem jakiegoś mężczyznę, który wyszedł z biura ekspedytora i stał wahając się i patrząc na samolot. Reflektory wjeżdżającej przez bramę ciężarówki oświetliły go i rozpoznałem Laroche'a. Prawy silnik zbudził się z warkotem do życia i na ten odgłos Laroche poczał biec po żuźlu.

- Uważaj pan! - Czyjaś ręka popchnęła mnie w tył i drzwi zamknęły się z trzaskiem. Potem nie widziałem już nic prócz wątro oświetlonego wnętrza kadłuba, ze stosem ładunku pośrodku i robotnikami budowlanymi w dwóch rzędach po jego obu stronach.

Był jeszcze czas zatrzymać samolot. Jeżeli Laroche porozumiał się z ekspedytorem i powiedział mu, że w rzeczywistości miałem udać się do Montrealu... Silniki zaczęły nagle

huczeć jednocześnie i samolot ruszył z miejsca, zataczając szerokie półkole ku końcowi pasa startowego. A potem sunęliśmy już coraz szybciej, kadłub zaś podskakiwał i drgał, gdy koła toczyły się po nierównym gruncie.

Wcisnąłem się między dwóch mężczyzn w rzędzie siedzących naprzeciw drzwi i czekałem oplótłszy dłońmi kolana. Nikt nic nie mówił. Huk silników uniemożliwiał rozmowę, a poza tym czuło się to napięcie, które zawsze poprzedza oderwanie się od ziemi.

Samolot zawrócił na końcu pasa startowego. Teraz jeszcze tylko parę sekund. Zaciskałem dłonie na kolanach, kiedy najpierw jeden, a potem drugi silnik dostawał pełne obroty; potem nagle obydwaj już ryczały, a kadłub drgał i brzęczał. Zwolniono hamulce. Samolot ruszył naprzód. Po chwili oderwaliśmy się od ziemi, a nerwy i mięśnie mojego ciała odprężyły się z wolna.

Dopiero wtedy zdołałem uświadomić sobie, co zrobiłem. Byłem w drodze na Labrador.

II

Wznosiliśmy się coraz wyżej przez długi czas, jak się wydawało, i było coraz zimniej. Włożyłem palto, ale to niewiele pomogło. Samolot był zabytkiem z czasu wojny, z drutem do skakania ze spadochronem wciąż jeszcze przeciągniętym przez środek kadłuba, i ostry prąd powietrza dmuchał spod poszczerbionych krawędzi źle dopasowanych drzwi. Słabe światło nadawało ludziom siedzącym po bokach kadłuba upiorny, odcieleśniony wygląd. Były to twarze, jakich nie widziałem nigdy dotąd, twarze, które wydawały się symboliczne dla tego świata, ku któremu leciałem - stare i skołatane lub młode i rozwiązłe, mieszanina przeróżnych cech rasowych, z typami chińskimi i afrykańskimi włącznie.

Łoskot silników przeszedł w jednostajny szum, kiedy samolot wyrównał. Zimno było dojmujące.

- Teraz chyba lecimy nad rzeką Moisie - powiedział siedzący obok mnie mężczyzna o szerokiej, płaskiej twarzy Indianina. - Był pan tutaj?

Potrząsnąłem głową.

- A ja pracuję przy linii już dwie zimy; przez cały Wąwóz Moisie aż do wyżyny. - W sposobie powiedzenia tego czuło się dumę.

- Jak długo będziemy lecieć do Sto Trzydzieści Cztery? - spytałem go.

- Zdaje się, godzinę. - I dodał: - Kiedyś robiłem tę drogę canoe, wzdłuż całej Moisie aż do Ashuanipi. Sześć tygodni. A teraz godzina.

Pokiwał głową i zamilkł, a ja siedziałem czując niejaki lęk, kiedy tak z hukiem parliśmy poprzez noc w głąb Labradoru.

Miałem pewne pojęcie o tym kraju. Czytałem o nim w książkach ojca. Wiedziałem, że jest właściwie nie zbadany - puste miejsce na mapie, które jeszcze przed czterema tysiącami lat pokrywały lodowce ostatniej epoki lodowej. A nie znajdowałem pokrzepienia w otaczających mnie ludziach. Wszyscy stanowili część organizacji, do której nie należałem. Mieli twardo ciosane, chmurne twarze, a ich odzienie i wszystko w nich samych tylko uwypuklało posępność kraju, do którego niósł mnie samolot.

Byłem nieprzygotowany, niedoświadczony, a jednak myślę, że tym, co mnie trapiło najbardziej, była obawa, że Laroche podał wiadomość przez radio i że mnie zatrzymają w Sto Trzydziestce Czwórce i odeślą następnym samolotem.

Jednakże dojmujące zimno stopniowo sparaliżowało wszelkie myśli, a kiedy wywołany chłodem ból całego ciała tak mi otępił mózg, że wszystko stało mi się obojętne, huk silników ucichł i w chwilę potem wylądowaliśmy.

Wydostałem się na inny świat - świat, gdzie ziemia była stwardniała od mrozu, a kilka chat stało w poświacie gwiazd na tle sosen. Po lewej samotna wiązka lamp oświetlała szereg dużych platform. Słysząc było szum maszyn. Ale wydawał się on nikły i nieważny w zestawieniu z przytłaczającą pustką, w górze zaś zorze północne rozpościerały na niebie niesamowitą, widmową kurtynę, która drgała i ustawicznie zmieniała swój kształt, jak za zaklęciem, którego nie sposób było sobie wytłumaczyć.

Przez chwilę stałem zapatrzony, urzeczony tym pięknem, a zarazem pełen lęku. Wszędzie dokoła siebie wyczuwałem żelazną twardość Północy, nastrój dzikiego, nieokiełzanego kraju, którego jeszcze nie dotknął człowiek.

Zesztywnieli z zimna ruszyliśmy razem do drewnianych chat, które były zabudowaniami lądowiska, cisnąc się do biura ekspedytora, gdzie było potwornie gorąco od dies-lowskiego pieca. Zaczęto wywoływać nazwiska, ekspedytor wydawał instrukcje chrapliwym, ostrym głosem, przeskakując z angielskiego na francuski i z powrotem, jak gdyby to był jeden język. Ludzie zaczęli wychodzić kolejno do czekającej ciężarówki.

- Ferguson.

Dźwięk mojego nazwiska był dla mnie wstrząsem i postąpiłem niepewnie naprzód.

- To pan jest Ferguson, tak? Depesza do pana. - Ekspedytor wyciągnął ją do mnie. - Przyszła przez radio pół godziny temu.

Moją pierwszą myślą było, że to od Landsa, że nie dostanę się nigdzie poza ten obóz. A potem zobaczyłem na końcu nazwisko Laroche'a.

Musimy koniecznie porozmawiać. Przyjeżdżam nocnym pociągami zaopatrzeniowym. Spodziewana godzina przyjazdu: 8.00. Proszę nie wyjeżdżać zanim się nie zobaczymy. Laroche.

Kiedy patrzałem na tę depeszę, moją jedyną myślą było, że mnie nie zatrzymał. Dlaczego? Z łatwością mógł nakłonić ekspedytora bazy głównej, żeby mnie stąd nie puścił. A tymczasem przyjeżdżał za mną, chciał ze mną porozmawiać. Czyżbym zwyciężył? Czy to znaczyło, że...? A potem usłyszałem czyjś głos o niewątpliwym lancashireskim akcencie, pytający:

- Czy Ferguson zgłosił się po tym locie, Sid?

- Właśnie jest tutaj - odparł ekspedytor, a ja ujrzałem stojącego w drzwiach do dalszej izby niskiego mężczyznę o znużonym wyrazie twarzy. Miał na sobie koszulę barwy khaki, z podwiniętymi rękami, na czole zielony daszek celuloidowy, a za jego plecami dojrzałem aparaturę radiową.

- To pan już dostał tę depeszę?

- Tak - powiedziałem. Dostałem, dziękuję.

- Pan jest przyjacielem Laroche'a? - Nie bardzo wiedziałem, co odrzec, ale na szczęście nie czekał na odpowiedź, tylko dodał: - Pan jest Anglik, tak?

Kiwnąłem głową, a on podszedł do mnie wyciągając rękę.

- To będzie nas dwóch - powiedział. - Nazywam się Bob Perkins. Jestem z Wigan. Wie pan, z Lancashire.

- Tak się domyśliłem.

- Aha - rzekł. - Nie ma obawy, żeby pan mnie wziął za Kanadyjca. - W jego zmęczonych, niebieskich oczach pojawił się przyjazny błysk. - Dwa lata już siedzę w tym cholernym kraju. Wyemigrowałem w pięćdziesiątym pierwszym i przyjechałem prosto tutaj, jako radiotelegrafista. Wciąż tu uważają, że mam trochę dziwną wymowę. - A potem dodał: - Ta depesza, to od tego pilota, co się rozbił, prawda?

Kiwnąłem głową.

- Właśnie sobie myślałem, że chyba nie może być dwóch o takim nazwisku. - Popatrzył na mnie z wahaniem. - Chciałby pan filiżankę herbaty? - zapytał, a ja, zaskoczony czymś tak angielskim w tym miejscu położonym na końcu świata, odpowiedziałem: „tak”.

Kiedy mnie prowadził do pokoju radiowego, rzekł:

- Ja tu jestem dopiero od tygodnia. Dokładnie mówiąc, od pięciu dni. Przedtem byłem w Dwieście Dziewięćdziesiątce. Pamiętam, jak znaleźli tego Laroche'a. Ale był wtedy szum!

- Podeszedł do czajnika dymiącego spokojnie na dieslowskim piecu. - Gazety, kupa ludzi. Ledwie mieliśmy czas zajmować się samolotami.

- A nie wie pan, kto go znalazł? - spytałem. Gdybym zdołał dowiedzieć się czegoś więcej, zanim się spotkam z Laroche'em...

- A któraś grupa konstrukcyjna. Podobno wylazł z gąszczu prosto na żuraw chwytkowy. Ten, co go przyprowadził, to był Ray Darcy, inżynier z Dwieście Sześćdziesiątki Trójki. Zawiadomił nas przez radio, żebyśmy przygotowali samolot, a potem przytaskał go jeepem przez dwadzieścia kilka mil starej Drogi Przewozowej w ciągu okrągłej godziny. Tak przynajmniej mówił. Musiała być nie byle jaka jazda po tej drodze. Chce pan mleka i cukru? Sęk w tym, że z takimi ludźmi, jak Ray Darcy, nigdy nie wiadomo. - Podał mi wyszczerbiony blaszany kubek. - Owszem, równy chłop i w ogóle. Przyjechał do Labradoru na miesiąc, żeby łowić ryby, a siedzi już dwa lata. Pan może też wędkarz?

- Nie - odparłem.

- Mamy tu doskonale tereny, jak ktoś to lubi. Ja nie mam cierpliwości. A trzeba mieć cierpliwość. To nie znaczy, żeby Ray Darcy miał jej dużo. On w gruncie rzeczy artysta; obrazy maluje. Ale za to jak przyjdzie do opowiadania czegoś, to z niego prawdziwy rybak. Wtedy musiał mieć przeciętną dwadzieścia mil na godzinę, i to na takiej drodze. A trzeba panu widzieć jego jeep. Zupełny szmelc; ja powiadam, że trzyma go w kupie tylko to błoto, którym jest oblepiony...

I tak to trwało dalej. Siedziałem tam, popijałem herbatę i słuchałem go grzejąc się w ciepłe jego życzliwości, a także świadomości, że jest Anglikiem. Sam ten fakt miał dla mnie wielkie znaczenie. Napawał mnie ufnością i odpędzał uczucie osamotnienia.

Bob Perkins był pierwszym człowiekiem, z którym zaprzyjaźniłem się w mojej drodze w głąb Labradoru. A chociaż nie potrafił powiedzieć mi wiele o Laroche'u - widział go tylko raz, wtedy, kiedy go nieśli na noszach do czekającego samolotu - podał mi nazwisko tego, kto mógł mi coś powiedzieć.

Zebrałem od niego poza tym masę pożytecznych informacji. Obóz 224 był duży, dobrze zorganizowany, z licznym personelem inżynieryjnym wysyłającym za pomocą dalekopisu codzienne raporty do bazy głównej w Seven Island. Oczywiście nie było to miejsce dla mnie. Od razu by się zorientowali, że nie mam nic do roboty na linii. O jakieś dwadzieścia mil za 224 była Stalowa Głowica. A dalej już nic prócz nowo budowanego nasypu kolejowego, który stopniowo przechodził w odizolowane grupy konstrukcyjne wdzierające się w dziewiczy kraj spycharkami i żurawiami chwytkowymi. Ani kolei, ani połączenia telefonicznego - nic, oprócz starej Drogi Przewozowej i pasów startowych dla

utrzymania kontaktu między obozami a bazą. Obóz 263 określił jako rosnący szybko, ale wciąż jeszcze będący karczowiskiem w sosnowych lasach, prymitywnym i bardzo ponurym.

- Jedyne przyzwoite obóz między Dwieście Dwadzieścia Cztery a stałym obozem przy tamie Menihok to Dwieście Dziewięćdziesiątka - powiedział. - Jest nad samym jeziorem i ma duży pas startowy na wzgórzu. Personel głównie z C.M.M.K.; to jest to przedsiębiorstwo, które buduje nasyp. Mają tam nawet helikopter na użytek kierownika robót.

Helikopter! Ale nawet gdybym zdołał nakłonić pilota, żeby mnie nim zabrał, nie wiedziałem przecież, gdzie jest Jezioro Lwa. Laroche mówił, że są tam tysiące jezior, a pamiętając, jak wyglądała okolica, kiedy leciałem z Goose, mogłem istotnie mu wierzyć. A jeśli wiedział, czy mogła też wiedzieć moja matka?

Perkins wyjaśnił mi, że użyto helikoptera, kiedy usiłowano sprowadzić zwłoki Briffe'a i Bairda.

- Dwa razy próbował, ale nic z tego nie wyszło. Nie mógł znaleźć tamtego miejsca.

- Kto nie mógł? Laroche? - zapytałem.

- Aha, właśnie. Tak jak mówiłem, wrócił ledwie w dwa dni po tym, jak go stąd wywieźli samolotem. Wyglądał paskudnie; wielka dziura w głowie, a twarz biała jak kreda. Nie powinni byli pozwolić mu wracać, ale powiedział, że musi spróbować odnaleźć to miejsce, i Len Holt, to znaczy pilot, poleciał z nim dwa razy. Ale nic z tego nie wyszło. Nie mógł ich znaleźć. Widziałem go, jak wrócił za drugim razem. Biedak był tak wykończony, że musieli go wynieść.

- Czy z nim przyjechał niejaki McGovern? - zapytałem, ale Perkins potrząsnął głową.

- Nie, Laroche był sam.

Zapytałem go wtedy o Obóz 263, ale nie umiał powiedzieć nic ponad to, co już mi mówił. Nigdy tam nie był. Słyszał o nim tylko od ludzi.

- Powiadają, że tam jest dość ciężko. I zarcie niedobre. To nowy obóz. We wszystkich nowych bazach odcinkowych jest ciężko. - Popatrzał na mnie z zaciekawieniem i spytał: - Pan chyba tam nie jedzie, co?

Ja jednak już zdążyłem powziąć decyzję. Nie zamierzałem czekać na Laroche'a. Chciałem najpierw zobaczyć się z Darcym.

- Owszem - odrzekłem. - Muszę się tam dostać jak najprędzej. - I zapytałem go, czy jest jakaś możliwość udania się na północ tegoż wieczora. - To bardzo pilne - dodałem.

- A co z Laroche'em? - Patrzył na mnie z zaciekawieniem. - Prosił, żeby pan na niego poczekał.

- Niech pan mu powie, że się z nim skontaktuję w Dwieście Sześćdziesiąt Trzy.

- Ale...

- Laroche nie jest zatrudniony przez Kompanię - powiedziałem szybko. - Kazano mi dostać się tam możliwie jak najprędzej, i trzymam się moich instrukcji. West miał wypadek i nastąpiła zmiana inżynierów.

Kiwnął głową.

- Tak jest. Drezyna zmiażdżyła mu stopę. - Przez chwilę myślałem, że będzie dalej mówił na ten temat, ale powiedział tylko: - Ano, sam pan najlepiej wie, co pan ma robić.

- Czy dziś wieczorem odlatuje stąd jakiś samolot? - spytałem go.

Potrząsnął głową.

- Samoloty idące na północ już się tu nie zatrzymują. Ten obóz jest teraz już właściwie skończony. Jeszcze miesiąc i zlikwidują go całkiem; wcale bym się nie zdziwił. - A potem dodał: - Dla pana najlepszy będzie pociąg zaopatrzeniowy. Wtedy zobaczy się pan ze swoim przyjacielem, Laroche'em, i jeszcze zdąży do Stalowej Głowicy jutro przed nocą.

A więc utknąłem.

- Pan jest pewien, że nie ma nic innego? - Potem zaś, w obawie, by nie pomyślał, że staram się uniknąć spotkania z Laroche'em, dodałem: - Mam być w Dwieście Sześćdziesiąt Trzy już jutro.

Potrząsnął głową.

- Nie, nic nie ma... - i urwał. - Chwileczkę. Coś mi się zdaje, że dziś tu zatrzymali pociąg z tłuczniem.

Wyszedł do pokoju ekspedytora i słyszałem, jak z nim rozmawiał, a potem telefonował. Po chwili wrócił i powiedział:

- W porządku, jeżeli pan ma chęć nim pojechać. Zwykle o tej porze już go nie ma, ale tłuczeń zamarzył w drodze wczorajszej nocy, więc pociąg się spóźnił z powrotem i jeszcze go ładują.

- A kiedy odchodzi? - spytałem.

- Nie przed drugą. Jeszcze mają dobre kilka wagonów do załadowania. W każdym razie tak mi powiedział brygadzysta.

Zapytałem, jak daleko mógłbym dojechać tym pociągiem, a on odrzekł, że szutrują nasyp kawałek za Stalową Głowicą.

- I on nie zatrzymuje się nigdzie, tak jak ten pociąg z zaopatrzeniem - dorzucił. - Będzie pan na miejscu w jakieś cztery godziny. - Napełnił sobie kubek herbatą. - No, to powiedzcie Sidowi, że pan nim pojedzie? - I dodał: - Tylko to nie będzie takie wygodne.

- Nieważne - odrzekłem. Zależało mi jedynie na tym, żeby zobaczyć się z Darcym, zanim dopędzi mnie Laroche.

Kiwnął głową i wyszedł niosąc ostrożnie swój kubek. W pokoju radiowym było bardzo gorąco i zaczynałem być senny.

-Okej - powiedział wracając. - Pojedzie pan w wagonie służbowym z Henri Gaspardem. To jest kierownik pociągu. Zajmie się panem. - Zerknął na zegarek. - Ma pan cztery godziny do odjazdu. Niech pan sobie lepiej trochę kimnie. Wygląda pan na całkiem wypompowanego.

Kiwnąłem głową. Teraz, kiedy wszystko było już załatwione, poczułem ogromne zmęczenie.

- Leciałem przez całą ubiegą noc - wyjaśniłem.

A potem przypomniałem sobie, że Farrow będzie mnie oczekiwał na lotnisku Dorval nazajutrz rano. Trzeba było też zawiadomić pana Meadowsa i matkę. Powinno być dać jej znać, gdzie jestem.

- Będę musiał napisać kilka listów - powiedziałem i wyjaśniłem, iż ludzie u mnie w kraju nawet nie wiedzą, że jestem w Kanadzie.

- To może do nich zadepeszować? - Podszedł do radia i wyrwał kartkę z bloku telegramowego. - Proszę. Niech pan na tym napisze, a ja zaraz nadam przez radio do bazy.

Takie to było proste i przypomniałem sobie, jaki mały wydawał się świat w tym pokoiku w suterenie domu Simona Leddera. Zawahałem się.

- Nie mógłby pan się skontaktować dla mnie z jednym krótkofalowcem w Goose?

- Mógłbym spróbować - odrzekł z powątpiewaniem. - Zależy, czy on nasłuchuje, czy nie. Jaki jest jego znak wywoławczy?

- VO6AZ - odpowiedziałem i podałem mu częstotliwość.

- VO6AZ! - Popatrzał na mnie z zaciekawieniem. - To ten, co był pośrednikiem radiowym dla grupy Briffe'a.

Kiwnąłem głową, przestraszony, że zacznie zadawać całą masę pytań.

- Zechce pan spróbować nawiązać z nim łączność?

Przez chwilę nic nie mówił. Najwyraźniej namyślał się.

- Okej - powiedział wreszcie. - To może trochę potrwać. I mogę wcale go nie złapać. Czy pan chce z nim mówić osobiście, czy wystarczy przekazać wiadomość?

- Wystarczy - odrzekłem. - To wszystko.

- Czym on się zajmuje w Goose? Czy jest w lotnictwie?

- Nie - powiedziałem. - Pracuje w oddziale Ministerstwa Transportu.

- Radio Goose. Może by im to przekazać? Zawsze mogę złapać Radio Goose.

- Doskonale - odparłem.

- No, to niech pan napisze, co pan chce, a ja panu powiem, czy będę mógł to nadać po służbie. - Wyjął zza ucha ołówek i podał mi go.

Siedziałem przez chwilę, niepewien, co napisać, świadom, że Perkins stoi nade mną i obserwuje mnie ciekawie. Dwa razy zaczynałem i przekreślałem to. Mózg miałem ociężały z braku snu, a nie byłem pewny, ile mogę odważyć się powiedzieć. W końcu napisałem: Spółka nie chce brać poważnie. Jadę na północ w głąb Labradoru poszukać Jeziora Lwa. Proszę zawiadomić Farrowa. Prosić, żeby po powrocie Bristol zawiadomił Meadowsa, inżyniera budowy lotnisk, także moją matkę, panią Ferguson, Lansdown Grove Road, Londyn N.W.I. Proszę, żeby zatelegrafował do niej pytając, czy mój ojciec podawał jej kiedy dokładnie położenie Jeziora Lwa. Odpowiedzieć na ręce Perkinsa, radiotelegrafisty, Obóz 134, Q.P.W. & L., Seven Islands. Dziękuję za pańską pomoc. Ferguson.

Przeczytałem to i wręczyłem mu.

- Mam nadzieję, że pan nie ma mi za złe, że pana używam jako skrzynki pocztowej? - zapytałem.

- Nie szkodzi. - Stał odczytując to, co napisałem, a potem popatrzył na mnie i widziałem, że ma ochotę o coś zapytać. W końcu jednak wsadził depeszę do kieszeni. - No, jeżeli pan ma się dzisiaj przespać, niech pan lepiej jedzie do obozu - powiedział. - Na dworze jest ciężarówka, która tam pana podrzuci. Może pan położyć się na wolnym łóżku w mojej izbie.

Podziękowałem mu. - Będę panu ogromnie zobowiązany - dodałem - jeżeli pan potraktuje tę depeszę jako poufną.

- Aha - odparł z wolna. - Nie będę gadał. - Spojrzał na mnie z ukosa. - Ale gdyby pan nie był Anglikiem i gdyby nie to, że pana polubiłem, pewnie postąpiłbym inaczej.

Wtedy zrozumiałem, że odgadł, po co tu jestem. Zresztą musiał, zważywszy, że Laroche prosił przez radio, abym na niego poczekał.

- Chodźmy - rzekł. - Każę kierowcy zawieźć pana do naszego baraku. A kiedy skończę służbę o północy, dam panu znać, jak mi poszło z tą depeszą.

Potem wyprowadził mnie do ciężarówki i powiedział kierowcy, gdzie ma mnie zawieźć.

- Przyjedź po niego o wpół do drugiej - dodał. - Odjeżdża na północ tym pociągiem z tłuczniem.

Zorze północne już poznikały. Noc była czarna, a nisko nad sosnami świeciła tylko jedna gwiazda. Zacinający wiatr niósł po ziemi lekki, sypki pył śnieżny.

- Jeżeli pana nie obudzę, kiedy przyjdę, będzie pan wiedział, że pańska depesza doszła w porządku! - zawołał za mną Bob Perkins. - A jak Laroche tu przyjedzie, powiem mu, że znajdzie pana w Dwieście Sześćdziesiątce Trójce, dobrze? - Wyszczrzył do mnie zęby, gdy ciężarówka ruszyła naprzód.

Zakręciliśmy za budynkami przy pasie startowym i wyjechaliśmy na ziemną drogę, gdzie korzenie sterczały w świetle reflektorów niczym bruzdy na polu. Tak było przez całą drogę do obozu; korzenie były twarde jak beton. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed majaczącą w ciemnościach drewnianą budowlą.

- Okej, kolega. To ten barak. - Kierowca był Włochem. - Mam budzić wpół do druga, e?

- O wpół do drugiej - odrzekłem. - Tylko proszę nie zapomnieć, dobrze? Pociąg odchodzi o drugiej.

- Okej. Ja nie zapomni.

Nacisnął gaz i ciężarówka podskoczyła na korzeniach, a rozkołysane promienie jej reflektorów zabłyśły przez chwilę na małej grupce baraków, która była Obozem 134. Gdzieś w ciemnościach pulsował równomiernie elektryczny generator. Innego odgłosu nie było. Migotały nieliczne światła. Czuło się tu taką samotność i pustkę, że było to niemal przerażające.

Wszedłem do baraku i przekręciłem wyłącznik. Goła żarówka oświetliła korytarzyk z prysznicem i ubikacją na końcu. Nagie deski podłogi pokryte były czarnym, lodowcowym piaskiem, który chrząścił pod stopą. Dieslowski piec huczał w kącie wyrzucając z siebie potężne fale gorąca. Były tam trzy izby, z czego dwie miały drzwi szeroko otwarte, tak że widziałem, iż łóżka tam są zajęte. Otworzyłem drzwi znajdujące się najbliżej prysznicu. Było tu chłodniej, a oba łóżka puste. Na stoliku między nimi stała oprawna w skórzaną ramkę fotografia mojego lancashireskiego przyjaciela i jakiejś dziewczyny, trzymających się za ręce. Był też stos tanich książek, głównie westernów, i na wpół ukończony model rejowego żaglowca. W kącie leżała zwinięta pościel, a miejsce na komodę było wypełnione zimową odzieżą.

Na jednym z łóżek leżały dwie brezentowe walizki z wypisanym nazwiskiem Koster. Postawiłem je na podłodze obok mojej, zgasilem światło i położyłem się nie zadając sobie nawet trudu, by zdjąć coś poza marynarką i spodniami. Prześcieradeł nie było, a koce szorstkie i ciężkie od piasku. Ich zbutwiały zapach długo pozostał mi w nozdrzach, bo sen nie

przychodził łatwo. Za dużo miałem do myślenia. Kiedy zaś wreszcie się zdrzemnąłem, wydawało mi się, że minęła zaledwie chwila, gdy wyrwało mnie ze snu potrząsanie za ramię.

- Już czas? - zapytałem przypomniawszy sobie pociąg z tłuczniem. Światło paliło się i gdy otworzyłem oczy, ujrzałem obok puste łóżko i budzik wiszący na ścianie. A potem zobaczyłem człowieka, który mnie zbudził, na wpół zagojoną ranę, biegnącą przez ogolone włosy - i siadłem raptownie na łóżku.,

- Pan?! - Nagle byłem zupełnie przytomny, pełen nie wyrozumowanego strachu. - Jak pan się tu dostał?

- Przyleciałem samolotem. - Laroche puścił moje ramię i stał patrząc na mnie. - Obawiałem się, że się rozminiemy, jeżeli będę czekał na ten pociąg z zaopatrzeniem. - Odciągnął błyskawiczny zamek swojej parki [Parka - ciepła kanadyjska wiatrówka z kapturem.] i usiadł w nogach łóżka rozwiązując jedwabną chustkę, którą miał na szyi. - Gorąco tutaj - powiedział.

Grzejnik dieslowski na korytarzu pracował pełną parą, a zabite deskami oklejone papierem okno nie dawało dostępu powietrza. Czułem na twarzy lepkość potu, a leżałem w niemilej, gorącej kałuży pod szyją. Było szalenie duszno. Ale serce waliło mi nie dlatego.

- Przykro mi, że pana budzę. Musi pan być bardzo zmęczony.

Nic nie odpowiedziałem. Nie mogłem zaufać własnemu głosowi. Prawdę mówiąc bałem się tego człowieka. W gruncie rzeczy nie umiem tego wytłumaczyć, nawet teraz. Nie sądzę, żeby sprawiła to owa blizna - choć w białym blasku nagiej żarówki widniała jak jakieś sine zniekształcenie - a z całą pewnością nie miało to nic wspólnego z wyrazem twarzy czy oczu. Nie było w tym człowieku niczego, co mogłoby mnie przestraszyć, poza jego niespodziewanym przybyciem. Jednakże instynktownie zareagowałem właśnie w ten sposób i mogę tylko przypuszczać, że w chwili obudzenia coś ze stanu jego umysłu zostało przekazane mnie.

Zdjął jedwabną chustkę i ocierał nią twarz, a ja zastanawiałem się, co zrobi teraz, kiedy mnie już dopędził. Patrzyłem, jak zdejmował parkę, po czym usiadł w grubej, wełnianej koszuli z długimi rękawami, i zapatrzył się w przestrzeń. Wydawał się rozpaczliwie zmęczony, wystające kości policzkowe sterczały pod białozółtą, napiętą skórą, pod oczami zaś miał ciemne sińce.

- Powiedział pan Landsowi, że tu jestem? - spytałem głosem, który zabrzmiał sucho i chrapliwie.

- Nie. - Sięgnął do kieszeni parki, wyjął paczkę papierosów i poczęstował mnie. Był to gest odruchowy i kiedy potrząsnąłem głową, wetknął sobie do ust papierosa i zapatrzył się w

podłogę, jak gdyby nazbyt zmęczony, by go zapalić. - Najpierw chciałem z panem porozmawiać-rzekł.

Potem, po chwili, wyjął zapalną z kieszeni spodni i zapalił ją pstryknięciem paznokcia dużego palca o główkę. Blask płomienia na chwilę zmiękczył kontury jego twarzy i ukazał mi oczy, w których był jakiś zamknięty, tajemny wyraz. Ręka drżała mu lekko; wciągnął dym w płuca, jak gdyby wołały o to jego nerwy. A potem ni stąd, ni zowąd zapytał:

- Dlaczego pan wkręcił się do tego samolotu i przyleciał tutaj? Nie uwierzył pan w to, co panu mówiłem? - Nadal wpatrywał się w podłogę.

Nie odpowiedziałem nic i w izbie zaległa cisza, tak że metaliczne tykanie budzika wydało się nienaturalnie donośne i mogłem dosłyszeć odłos oddychania w sąsiednim pokoju. Martwota świata na zewnątrz baraku zdawała się wpełzać przez wątle drewniane ściany, a ja przez cały czas zastanawiałem się, dlaczego tamten nie powiedział Landsowi, dlaczego chciał się najpierw ze mną zobaczyć.

- Czemu pan mi nie uwierzył? - zapytał ostro, jak gdyby cisza działała mu na nerwy. - Bo pan nie uwierzył, prawda?

- Nie o to idzie, czy panu uwierzyłem, czy nie - odparłem.

Kiwnął głową. - Ano, chyba nie. - Jego ręce zacisnęły się na jedwabnej chustce, jak gdyby chciał ją rozerwać na strzępy. A potem mruknął coś, co brzmiało jak - „Przeznaczenie” - i potrząsnął głową. - Jeszcze nie mogę uwierzyć, że to prawda - westchnął. - Syn tamtego starego, siedzący przy radiu, nasłuchujący wiadomości w oczekiwaniu, żeby to się stało...

- Pan mówi o moim ojcu?

Zdawał się nie słyszeć.

- Zupełnie jak w koszmarze - wyszeptał, a potem obrócił głowę, popatrzył prosto na mnie i zapytał: - Pewnie pan myśli, że ja ich zabiłem albo co?

Roześmiał się krótko, szorstko.

Nie było to powiedziane żartobliwie, ale z nagłą gwałtownością, a szorstkość tego śmiechu przestraszyła mnie równie jak słowa.

- Bo nazywam się Laroche, co? - dodał, a w jego głosie była gorycz. - O, nie musi pan mieć takiej zaskoczonej miny - powiedział. - Wiedziałem, co pański ojciec myślał, jak tylko przeczytałem sprawozdanie Leddera. - Wypuścił z rąk chustkę, wyciągnął rękę, schwycił mnie za przegub i powiedział bardzo poważnie: - Musi pan w to uwierzyć. Nie jestem odpowiedzialny za ich śmierć. To jest prawda. Nie mam z tym nic wspólnego. - I jeszcze powtórzył: - Nie jestem odpowiedzialny.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy. - Wpatrywałem się w niego, wstrząśnięty, że uważał za konieczne złożyć takie oświadczenie.

- Nie? - Jego oczy spojrzały na mnie badawczo. - To dlaczego pan tu jest? Dlaczego, skoro nikt panu nie wierzy, mówi pan Pauli, że jestem kłamcą i że jej ojciec jeszcze żyje? Mon Dieu! A potem powiedzieć, że Staffen dał panu posadę, i jechać na linię, kiedy pan miał odlecieć do Montrealu... Myśli pan, że nie wiem, co pan sobie nabił do głowy? Cest incroyable! - sapnął, wyciągnął rękę ku stolikowi między łózkami i zaciekle rozgniół papierosa w puszcze od tytoniu służącej jako popielniczka.

Wziął swoją jedwabną chustkę i znowu otarł twarz. Myślę, że pocił się zarówno z wyczerpania, jak z gorąca, które panowało w izbie.

- Byłoby lepiej, gdyby pan dziś po południu powiedział Macowi prawdę - rzekł ze znużeniem. - Wtedy moglibyśmy jasno postawić sprawę tam, w tym biurze, tylko we trzech. Gdyby pan mu powiedział, dlaczego pan tu przyjechał...

- Przecież mu powiedziałem - odparłem. Chyba nie było możliwe, żeby tam siedział w biurze i nie słyszał ani jednego mojego słowa. - Przyjechałem, bo mój ojciec odebrał wiadomość od Briffe'a i ja...

- To nie jest przyczyna. - Powiedział to niecierpliwie odtrącając moje wyjaśnienie gniewnym ruchem ręki.

- Ależ tak - nalegałem.

- Och, na miłość boską! - wykrzyknął. - Nie jestem głupcem. Nie mógł pan być do tego stopnia przejęty człowiekiem, którego pan nigdy nie widział. Ile pan ma lat! - zapytał raptem.

- Dwadzieścia trzy - odpowiedziałem.

- I założę się, że jeszcze nigdy w życiu nie był pan poza Anglią.

- Owszem - odrzekłem. - Raz. Na wakacjach w Belgii.

- Na wakacjach w Belgii! - Powtórzył to w taki sposób, iż poczułem się bardzo mały, wspomniawszy, że on musiał przelecieć tysiące mil nad nie oznaczonymi na mapach obszarami.

- I pan chce, żebym uwierzył, że wybrał się pan samolotem przez Atlantyk i przyjechał aż do Kanady nie znając tam żywego ducha, tylko ze względu na człowieka, którego pan nigdy nie widział, ani nawet o nim nie słyszał, dopóki nie dowiedział się pan od ojca. Zawiadomiłby pan o tej sprawie władze i na tym poprzestał, gdyby pana nie popychało coś bardziej osobistego.

- Ale jeżeli oni jeszcze żyją...

- Nie żyją - powiedział szorstko.

- To jak mój ojciec mógł odebrać tę transmisję?

Jednakże zdawał się nie interesować faktem, że Briffe nawiązał kontakt z zewnętrznym światem.

- Dlaczego pan mu skłamał? - zapytał.

- Skłamałem? Komu?

- McGovernowi.

- Przecież ja mu wcale nie skłamałem! - wykrzyknąłem. - Powiedziałem prawdę. Mój ojciec umarł dlatego że...

- Skłamał pan! - huknął na mnie. - Powiedział pan, że pan nie zna nazwiska człowieka, który towarzyszył pańskiemu dziadkowi.

- Bo to jest prawda - odparłem. - Nigdy nie słyszałem o wyprawie Fergusona, aż do rozmowy z Ledderem w Goose.

- Nigdy pan nie słyszał?! - Wytrzeszczył na mnie oczy, jak gdybym powiedział, że ziemia jest płaska. - Przecież to absurd. Przyznał pan, że ojciec miał obsesję na punkcie Labradoru. Nie mógł pan dorosnąć nie znając przyczyny tej obsesji. A dowiedziawszy się o tamtej transmisji, musiał pan znać powody, dla których ojciec ją zmyślił, bo inaczej nie przyjeżdżałby pan taki kawał drogi...

- Ojciec jej nie zmyślił - oświadczyłem zaciekle.

- No to ją sobie uroił.

- I nie uroił także. - Nagle zadrzałem z gniewu.

Czyż nie mógł zrozumieć, że to było prawdziwe, takie prawdziwe, że spowodowało śmierć ojca? - Odebrał wiadomość i zapisał ją w swoim dzienniku. A ta wiadomość była od Briffe'a. Wszystko mi jedno, co mówi pan czy ktokolwiek inny...

- Nie mógł jej odebrać. - Głos jego zabrzmiał nagle przenikliwie. - Radio było w samolocie, kiedy ten zatonął. Już panu mówiłem. Briffe w żadnym razie nie mógł nadawać.

Zdawało się niemal, że usiłuje przekonać sam siebie, i wpatrzyłem się w niego czując nagle zimny pot na ciele. Nie powiedział, iż to dlatego, że Briffe nie żył. Powiedział po prostu, że nadajnik był w samolocie, kiedy ten zatonął.

-A co z Briffem? - spytałem.

Jednakże tylko powtórzył mi to, co już mówił. „Nie mógł nadać tej wiadomości”. Tym razem powiedział to cicho, do siebie. Był tak zdenerwowany, że nawet nie zrozumiał znaczenia mojego pytania. A potem jego myśli nagle przeskoczyły z powrotem do wyprawy Fergusona. Zdawał się nękać go fakt, że o niej nie wiedziałem.

- Nie wierzę - mruknął. - Nie mógł pan żadną miarą dorosnąć nie wiedząc o swoim dziadku i o tym, co się z nim stało.

- A jednak tak było - odrzekłem. Wydawało się to takie nieważne. - Ale co to za różnica? Mnie obchodzi tylko...

- Co za różnica? - Wytrzeszczył na mnie oczy, a pot znowu wystąpił mu na czoło. - To znaczy... - Potrząsnął głową. - Nie, niemożliwe - szepnął. - Za duży zbieg okoliczności. - Potem spojrzał na mnie i zapytał: - Dlaczego panu nie powiedzieli? - Najwyraźniej nie mógł odejść od tego tematu.

Z jakiejś przyczyny wydało mi się w owej chwili ważne przekonać go.

- Myślę, że to matka - odrzekłem i opowiedziałem mu, jak próbowała ukryć przede mną ostatnią część dziennika. - Bała się Labradoru. Nie chciała, abym był w to wciągnięty i kazała ojcu obiecać...

- Ale ta kobieta - odparł niecierpliwie. - Przecież był ten pamiętnik... - Zatrzymał się. - Kiedy umarła pana babka?

- Chyba jak miałem dziesięć lat.

- Więc pan był już dość duży... - Popatrzał na mnie. - Nigdy z panem nie mówiła o dziadku? Przecież musiała. Kobieta tak zdeterminowana, taka pełna nienawiści... Więc nie mówiła?

- Raz, kiedy byłem bardzo mały - odrzekłem. - Przyszła do mojego pokoju i rozmawiała ze mną. Ale ja się bałem i matka ją tam zastała, i potem nie odwiedzaliśmy babki już nigdy.

To widać wreszcie go przekonało, bo powiedział spokojnie:

- Więc pan przyjechał tutaj nie wiedząc nic o tamtej wyprawie. - W jego głosie było znużenie.

- Tak - odparłem. - Po raz pierwszy usłyszałem o niej od Leddera. - I dorzuciłem: - Dlaczego to jest dla pana takie ważne?

Ale jego myśli już przeskoczyły na inny temat.

- A jednak pan wie, że to było Jezioro Lwa? Skąd? Jakże pan mógł się dowiedzieć, jeżeli... - To przerwał i przesunął dłonią po oczach. - Oczywiście, ten zapis w dzienniku, mapa, sprawozdanie Leddera... Pan zgadywał. Po prostu zgadywał. - Jego głos zniżył się do szeptu; Laroche wydał się nagle jakiś mniejszy, ramiona mu się przygarbiły. - Mon Dieu! - sapnął. - Więc to prawda. - Znow otarł powoli twarz, a ręce mu drżały.

- Co „prawda”? - zapytałem.

- O tej transmisji. - Musiał odpowiedzieć bez zastanowienia, bo dodał szybko: - O tym, że to jest powód pańskiego przyjazdu. Musiałem się upewnić - wymamrotał, a potem prędko wstał. - Muszę się trochę przespać - rzekł. I znowu to przesunięcie dłonią po oczach. - Głowa mnie boli. - Wydało się nagle, że ma chęć uciec z pokoju. Tymczasem jednak uprzytomniłem już sobie, co wynikało z jego słów.

- Więc jednak to było Jezioro Lwa - powiedziałem.

- A pan mi mówił, że pan nie zauważył...

Ucieszył mnie nagły wyraz dzikości w jego oczach. Stał w nogach łóżka patrząc na mnie.

- Jaka dla pana różnica, czy to było Jezioro Lwa, czy nie? - zapytał drżącym głosem. - Mówi pan, że pan nic nie wie o tym, co tam się stało. Więc co za różnica?

- Żadna - odrzekłem szybko, czując nagły chłód na skórze. A potem dodałem, bom musiał: - Tyle, że jeśli pan wiedział, skąd Briffe nadawał...

- On nic nie nadawał - nieomal krzyknął na mnie. - Nikt nie nadawał stamtąd.

- To jakim cudem mój ojciec odebrał...

- Powiadam panu, że nie było żadnej transmisji! - krzyknął. Twarz miał całkiem białą.

- To imaginacja pańskiego ojca. Był obłąkańcem... miał obsesję na punkcie Labradoru... to wszystko za długo w nim tkwiło. Sam sobie te rzeczy uroił, nic więcej. - Oddychał ciężko, był tak podniecony, że słowa wylewały się z niego potokiem. - To musi być to. Musi być - powtórzył, jak gdyby przez powtórzenie coś mogło stać się rzeczywistością. - Briffe nie miał czym nadawać. A tamto o Bairdzie... Bili Baird nie żył. Jestem pewien, że nie żył.

- A Briffe? - zapytałem szeptem. - Czy Briffe też nie żył?

Jego oczy z wolna zwróciły się na mnie, a potem dojrzałem, że się rozszerzyły, kiedy zdał sobie sprawę, co powiedział. Otworzył usta, ale nie dobyły się z nich żadne słowa, i właśnie wtedy nabrałem pewności, że zostawił Briffe'a żywego. Nie mógł się zdobyć na powtórzenie kłamstwa, które powiedział tak gładko w biurze Landsa, a ja siedziałem patrząc na niego, niezdolny ukryć uczucia odrazy, które mnie nagle ogarnęło.

- Dlaczego pan tak na mnie patrzy? - zawołał raptem, a potem się opanował. - No tak, ta przeklęta blizna. Przez to dziwnie wyglądam. - Roześmiał się nienaturalnie i sięgnął po swoją parkę.

Odchodził, a ja tam siedziałem nie śmiejąc zapytać, czemu nie doniósł o mojej obecności na linii ani dlaczego tak się przejmował wyprawą Fergusona. Po prostu chciałem go się pozbyć.

- Muszę się trochę przespać. - Włożył kurtkę i mruknął do siebie: - Snu mi potrzeba. - Obrócił się jak oślepy do drzwi. A potem zatrzymał się, jak gdyby go targnął w tył sznur jakiejś nagłej myśli. - Dokąd pan teraz jedzie? - zapytał obracając się do mnie znowu. - Powinien pan wrócić do domu. Nikt panu nie wierzy.

Siedziałem bez ruchu i nie mówiłem nic, w nadziei, że sobie pójdzie. On jednak zawrócił do łóżka.

- Pan jedzie dalej. Prawda? W puszcze? Żeby spróbować ich odnaleźć? - Zdawało się, że czyta w moich myślach, i zastanowiłem się, czy rzeczywiście zamierzam tak zrobić, bo nie śmiałem dotychczas sięgać myślą poza Darcy'ego i Obóz 263. - Nigdy pan tam nie dotrze - powiedział. - Nigdy. - Przełknął kurczowo ślinę. - Pan nie wie, jak tam jest. Nie ma nic. Nic a nic. Sosny, mszary, błota i woda - jezioro za jeziorem. Wariat pan jest, że pan o tym myśli. Zginie pan. Pan nie wie, jak tam jest.

Usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi baraku, po czym rozległy się kroki na gołych deskach. A następnie ukazał się Bob Perkins, który przystanął w progu na widok Laroche'a.

- O, przepraszam - powiedział spoglądając niepewnie na nas obu. - Myślałem, że pan śpi. - Zawahał się i dodał: - Ale jeżeli chcecie porozmawiać...

- Nie - odparłem prędko. - Już skończyliśmy. - Uczułem ogromną ulgę na jego widok.

Laroche zawahał się patrząc na Perkinsa.

- Muszę się namyślić - mruknął, a potem zwrócił się do mnie. - Pociąg zaopatrzeniowy przychodzi dopiero jutro o ósmej. Sprawdziłem. A samolotów nie ma. Zobaczymy się jeszcze rano... kiedy się trochę prześpię. - Zawiązywał sobie nerwowo chustkę na szyi. - Wtedy porozmawiamy.

Przecisnął się obok Perkinsa stąpając powoli, jak w oszołomieniu, i powłócząc nogami po deskach, a potem drzwi wyjściowe zamknęły się i już go nie było.

Poczułem wilgoć potu na twarzy i uświadomiłem sobie, że drzę.

- To był Laroche, prawda? - zapytał Perkins.

Kiwnąłem głową czując, że nagle osłabłem.

- Tak myślałem. - Patrzył na mnie ciekawie. Złapał samolot lecący na północ i namówił pilota, żeby tu z nim wylądował. - Myślałem, że będzie mnie wypytywał, ale w końcu podszedł do swego łóżka i zaczął się rozbierać. - Aha - powiedział. - Nadałem tę pańską depeszę do Goose.

- Dziękuję.

- Nie mogłem złapać Leddera. Ale mu to przekażą.

- Przepraszam za kłopot.

- E, głupstwo. - Zawahał się; widać było, że nie chce na tym zakończyć rozmowy. Ponieważ jednak nic nie mówiłem, zgasił światło i położył się do łóżka. - Ma pan jeszcze półtorej godziny, zanim Luigi przyjdzie po pana. - Po czym dodał: - Pan nie chce, żeby Laroche wiedział, dokąd pan jedzie?

- Nie - odrzekłem.

- W porządku, nic mu nie powiem. I nie wspomnę też o depeszy.

- Dziękuję panu. - I dorzuciłem: - Postąpił pan jak przyjaciel.

- Ano, miło mi pomóc komuś ze Starego Kraju. Dobranoc i bon voyage, jak mówią Francuzi.

W chwilę później chrapał spokojnie. Natomiast ja nie mogłem zasnąć, bo myśli miałem zbyt pełne odwiedzin Laroche'a. Jego zachowanie było tak dziwne, tyle w nim było napięcia: coś w tym tkwiło, coś, czego nie rozumiałem, jakaś zamknięta w nim tajemnica. Powiedział: „Pewnie pan myśli, że ja ich zabiłem”. I to zainteresowanie wyprawą Fergusona - te rzeczy wydawały się nieomal patologiczne. Czy może jego postępowanie i wszystko razem było wynikiem odniesionych obrażeń? Jedno wiedziałem: że pozostawił Briffe'a żywego i że muszę udać się jak najprędzej na północ i pomówić z Darcy'm. Musiałem znaleźć kogoś, kto by mi uwierzył - albo też samemu odszukać to Jezioro Lwa.

Wydało mi się, że minęły wieki, nim zajechała ciężarówka. Ale w końcu usłyszałem, jak zatrzymuje się przed barakiem, a potem zabłysło światło w korytarzu i kierowca wetknął głowę przez drzwi.

- Jeżeli pan chce na ten pociąg z tłuczniem, to niech pan się spieszy.

Perkins ani drgnął. Leżał na wznak z otwartymi ustami i chrapał. Ubrałem się i wyszedłem z walizką do ciężarówki. Noc była przejmująco zimna - gwiazdy już znikły, ani jedno światło nie paliło się w śpiącym obozie. Ruszyliśmy tą samą drogą usianą korzeniami, chwiejąc się i podskakując, minęliśmy budynki ładowiska i dotarliśmy do wykopu, gdzie ładowano tłuczeń i gdzie pociąg rysował się czarno w świetle reflektorów na szczycie nasypu.

Kierowca wysadził mnie w pobliżu wagonu służbowego. Był to staroświecki wagon z żelaznym kominem sterczącym przez dach, a kiedy ciężarówka odjeżdżała, błysnęła nade mną latarka.

- Kto tam? - zawołał z ciemności jakiś głos, gdy zaś wyjaśniłem, krzyknął: - Henri, masz pasażera!

Lampka naftowa zamigotała obok wagonów z tłuczniem i inny głos odpowiedział: - Bon, bon. - Człowiek ów czekał już na mnie, kiedy doszedłem do toru.

- Bonjour M'sieur. - Oświetlił mi lampą twarz. - A prawda, pan przecież Anglik, nie? Jestem Henri Gaspard.

Kiedy ścisnął mi dłoń, jego twarz ukazała się w świetle lampy, którą trzymał. Była to twarz smutna, pomarszczona, z małym wypomadowanym wąsikiem. Co najdziwniejsze, na głowie miał starą okrągłą czapkę Kanadyjskich Kolei Żelaznych, ze złotymi galonami. Efekt, jaki to sprawiło w tym zapadłym miejscu, był osobliwie staroświecki, zupełnie jak gdyby zstąpił z ryciny przedstawiającej mundur żołnierza Grandę Armee.

- Zjawił się pan w samą porę, mon ami. Właśnie odjeżdżamy. - Poprowadził mnie do wagonu służbowego i gestem poprosił, bym wsiadł. - To mój dom - rzekł.

- Entrez, N'Tsieur.

Potem odszedł, ja zaś wdrapałem się do wagonu. Wewnątrz było nieskazitelnie czysto i zaskakująco przytulnie. Znajdował się tam przedział z piętrowymi łózkami po obu stronach, a za nim coś w rodzaju saloniku, gdzie były obijane skórą siedzenia i stolik, w głębi piecyk do palenia drewnem, wielki jak piec kuchenny. Mahoniowa boazeria i wisząca pod dachem lampa naftowa dopełniały tej edwardiańskiej atmosfery.

Usiadłem, nagle zupełnie wyczerpany. Leżąc niedawno w ciemnej izbie baraku i rozmyślając o Laroche'u, obawiałem się, że nigdy nie zdołam osiągnąć tego następnego stadium, a oto już tu byłem.

Przez długi czas nic się nie działo, a potem rozległy się krzyki i gwizdki. Wyszedłem na pomost z tyłu wagonu. Wzdłuż toru błyskały latarki, a czarną ciszę nocy przerwało raptem żałobne wycie lokomotywy. Bufory wagonów szczęknęły narastającym crescendo, które doszło do szczytu, gdy wagon służbowy szarpnął i ruszył z miejsca. Henri wskoczył na pomost i stanął obok mnie.

- Alors, n'marchons.

Stałem tam patrząc, jak przesuwa się w tył jedyne oświetlone okno zaznaczające miejsce, gdzie stały budynki ładowiska. A potem nie było już nic - ani jednego światła, ani śladu obozu. Sosnowa puszcza zamknęła się wokół nas, i był tylko stukot kół na złączach szyn, i zimna, czarna noc. Zawróciłem w ciepło wagonu, gdzie lampa naftowa tańczyła na haku, a Henri stał przy piecyku zaparzając kawę.

Wypiłem z nim filiżankę i wypaliłem papierosa, po czym przeprosiłem go i położyłem się na jednym z górnych łóżek. Tym razem zasnąłem od razu i leżałem jak kłoda, tylko niejasno świadom przystawania pociągu oraz odgłosu ruchu i rozmów. Po długim czasie zabrzmiały krzyki i szczekanie złączy wagonów, i obudziłem się zziębnięty, zdrętwiały i spocony od spania w ubraniu. A kiedy przekręciłem się na bok twarzą do usmolonego okna,

ujrzałem za nim mroźny, szary świat gwiazdkowych choinek, biało opylonych śniegiem - i ledwie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Zlazłem powoli z łóżka i poszedłem na tył wagonu. Wzdłuż pociągu szli ludzie otwierając podwójne drzwiczki umieszczone w podłogach wagonów, tak że tłuczeń wysypywał się na obie strony toru, gdy z wolna posuwali się naprzód. Szyny odbiegały za nami dwiema czarnymi nićmi, które na koniec ginęły w bieli lasu, a kiedy opuściłem się na ziemię i spojrzałem przed siebie, wszędzie było to samo: nigdzie nic w tym zimnym, twardym świecie, oprócz pociągu - czarnego, samotnego intruza.

Wdrapałem się z powrotem do wagonu służbowego, bo nie byłem odpowiednio ubrany na takie zimno. W wagonie nie było teraz nikogo i przysiadłem na dolnym łóżku trzęsąc się i wyglądając na dwór. Za oknem przesunęła się deska z wymalowanym numerem 235, a zaraz potem pociąg szczęknął na rozjeździe i stanął. Następnie cofnęliśmy się na inny tor i w końcu zatrzymali na dobre.

- La fin du voyage! - zawołał do mnie Henri z tylnego pomostu. - Pan pozwoli. Przekazuję pana mojemu przyjacielowi Georges'owi.

Wyszedłem za nim z wagonu służbowego i stwierdziłem, że jesteśmy na odcinku podwójnego toru. Za nami stał rząd starych wagonów z dymem unoszącym się z blaszanych kominów.

- Pociąg mieszkalny - rzekł Henri, kiedy brnęliśmy przez syпки śnieg, głęboki już przeszło na cal. - Tam panu dadzą śniadanie. - Popatrzał na moje obuwie. - Pas bon - rzekł i potrząsnął głową. - Weź pan prędko z magazynu ubranie, mon ami, bo tu umrzesz, hę? - i uśmiechnął się do mnie. - Cest le mauvais temps. Śnieg za wcześnie przyszedł w tym roku.

Wdrapaliśmy się do czwartego wagonu. Przez całą jego długość biegł prosty stół na krzyżakach, z drewnianymi ławami po obu stronach, a z głębi dolatywał zapach kawy i odgłos skwierczenia tłuszczu. Po zimnie na dworze był tu upał jak w piecu.

- Georges!

Ukazał się masywny mężczyzna w brudnym białym fartuchu. Zostałem mu przedstawiony, po czym Henri uściśnął mi dłoń i wyszedł.

- Śniadanie będzie za kwadrans - powiedział Georges i zniknął w kuchni.

Nieco później zaczęli napływać ludzie - mieszany, na wpół ubrany tłum, który zappełnił ławki i zasiadł nie mówiąc nic, z oczami jeszcze zaczerwienionymi ze snu. Jakiś chłopak zastawił stół jedzeniem: były tam befsztyki, jajka na boczku, ogromne sterty chleba, garnki herbaty i kawy i blaszane miski z płatkami zbożowymi. Było to śniadanie godne Gargantui, zjadane pośpiesznie, a jedyną rozmowę stanowiły wykrzykiwane żądania o

przysunięcie tego czy owego. Następnie wszyscy znikli równie nagle, jak się pojawili, niczym rój szarańczy, pozostawiając po sobie stół zasłany resztkami, na wpół wypełniony kocioł do pomyj, stojący w głębi, talerze ułożone w sterty, a widelce i noże w cebrze z gorącą wodą.

Cóż wtedy uczyniłem? Siedziałem tam nadal kończąc kawę, podczas gdy posługacz uprzątał resztki ze stołu. Na dworze padał śnieg jeszcze gęstszy, a jego duże, mokre płatki miękko wirowały w powietrzu. Rozległ się gwizd diesla i za oknami przejechał z brzękiem rozładowany pociąg. A kiedy zniknął, nie było już nic prócz pustych torów, za nimi zaś posępnego widoku karłowatych sosen wyrastających jakby niechętnie z płaskiego, bagnistego gruntu - a wszystko to obielone śniegiem. Nie spodziewałem się, że zima przyjdzie tak wcześnie.

A potem wszedł Georges, więc zapytałem go, jak mogę się dostać do Stalowej Głowicy.

- Jak pan myśli, czy stąd ktoś tam jedzie?

Potrząsnął głową.

- Te chłopaki to ekipa tłuczniowa. Układają tory i podsypują ten tłuczeń, któryście przywieźli. Nie jadą do Stalowej Głowicy. Ale pewnie w ciągu dnia ktoś będzie przejeżdżał drezyną. Chciałby pan dostać jakieś ubranie? Zimno jest jechać tymi małymi wózkami.

- A mógłbym tu coś dostać? - zapytałem. - Musiałem wyjechać w pośpiechu.

Kiwnął głową. - Chyba będę mógł pana obsprawić. Chłopcy zawsze coś zostawiają. Ale to będą używane rzeczy.

Wyszedł i w kilka minut później wrócił z brudnym tobołkiem.

- Niech pan to przejrzy i wybierze sobie coś, co się panu nada. - Rzucił tobolek na stół. - Jest tu wcale niezła parka i buty, które nie najgorzej wyglądają.

Kiwnął mi głową i wyszedł. Parka była nieprzemakalną, watowaną kurtką, czarną od smarów i brudu, z podartym kapturem. Znalazła się też stara futrzana czapka z nausznikami i rękawice o przetartych palcach oraz nieprzemakalne spodnie sztywne od smaru. Spodnie były ciasne, a parka za duża, ale buty pasowały niezle. Wszedłem do kuchni i próbowałem za to zapłacić otrzymanymi od Landsa dwudziestoma dolarami, ale Georges oświadczył, że te rzeczy nie są w ogóle nic warte, więc wróciłem do wagonu-jadalni i usiadłem tam spoglądając przez okno na tor.

Tor jednak pozostał pusty. Nic nie nadeszło. A teraz, kiedy już byłem wyekwipowany na złą pogodę, śnieg ustał i pokazało się słońce.

Byłem tam jeszcze, kiedy ekipa tłuczniowa wróciła na obiad. Zjadając ogromny befsztyk usłyszałem, jak mi się wydało, gwizd lokomotywy. Był to dźwięk nikły, daleki,

ledwie dosłyszalny poprzez wrzawę rozmów pięćdziesięciu mężczyzn, którzy ładowali na powrót energię w swoje ciała - ale zerwałem się na równe nogi i podbiegłszy do drzwi wyjrzałem na szyny toru przelotowego.

Z początku wydało mi się, że się przesłyszałem. Tor na północ i na południe były pusty, jego czarne kreski wybiegały w nicość Labradoru. Ale potem doleciało to znowu - smutny dźwięk niesiony wiatrem - i daleko na torze w kierunku południowym oczy moje natrafiły na małą plamkę, która zdawała się nie ruszać, a jednak wciąż rosła.

Wyskoczyłem z wagonu i stanąłem przy torze patrząc, jak staje się coraz większa, aż wreszcie dojrzałem żółtą farbę dieslowskiej lokomotywy na szarobiałym tle topniejącego śniegu. Minęła ona odgałęzienie na podwójny tor i nadjechała z hukiem, aż pod stopami poczułem drganie ziemi od jej ciężaru.

Szyny przede mną podskakiwały od wibracji i w chwilę potem lokomotywa znalazła się tuż spychając mnie pędem powietrza na wagon-jadalnię. Zapach rozgrzanej oliwy, mignięcie ogromnych kół napędowych i za nimi toczący się z łoskotem długi rząd stalowych transporterów, których specjalnie skonstruowane zestawy kołowe wybijały szybki rytm. Dalej przejechały wagony załadowane podkładami, potem dwa osobowe, wreszcie wagon służbowy.

Wdrapałem się na powrót do jadalni i znowu zasiadłem przy stole.

- Czy to ten pociąg z zaopatrzeniem? - spytałem mojego sąsiada.

Kiwnął głową, z pełnymi ustami, ja zaś dokończyłem befsztyka zastanawiając się, czy w którymś z wagonów pasażerskich był Laroche.

Ludzie zaczęli wychodzić do roboty i ja wyszedłem za nimi. Ich transport, czekający na końcu pociągu mieszkalnego, składał się z małych wagoników połączonych po trzy. Ze swoją prostą nadbudową przypominały tabor jakiejś staroświeckiej kolejki górskiej.

- Czy jedziecie w stronę Stalowej Głowicy? - spytałem brygadzysty, ale zaprzeczył. Miał małą, otwartą drezynę z plastikową płytą odwiatrzną, i przyglądałem się, kiedy ruszał zwolniony zaczep napędu pasowego, i toczył się po torze za swoją ekipą. Zatrzymał się tuż przed rozjazdem, aby przestawić z powrotem szyny na kierunek przelotowy, po czym popędził dalej torem, z ucichającym szybko, hałaśliwym terkotem motoru.

Krótkie słoneczne interludium już się skończyło. Świat był zimny i szary, i zawróciłem w ciepło wagonu-jadalni żałując teraz, że nie przyjechałem pociągiem zaopatrzeniowym. Ze stołów sprzątnięto, ławy odstawiono pod ścianki wagonu. Było już prawie wpół do drugiej. Farrow pewnie teraz wracał do domu. Ale tu, w tym dzikim kraju, trudno było uwierzyć, że istnieje Anglia. Usiadłem przy jednym z okien wyglądając ponad

pustym głównym torem na zwartą ścianę sosen za nim. Zaczekam do trzeciej. Jeżeli do trzeciej nie trafi się nikt, kto by mnie podwiózł, wyruszę piechotą. Dziesięć mil: powiedzmy, cztery godziny. O zmroku będę w Stalowej Głowicy. Wtedy nikt mnie nie zobaczy i będę mógł prześliznąć się koło pociągu zaopatrzeniowego i iść dalej na północ.

Czas mijał powoli i nic nie nadjeżdżało torem. A potem, kiedy już była prawie trzecia i szykowałem się do odejścia, pod oknem zabrzmiały jakieś głosy, w chwilę później drzwi na końcu wagonu otworzyły się z trzaskiem i weszli dwaj mężczyźni wołając Georges'a i domagając się kawy i pączków.

- Pan Lands już tutaj był? - zapytał starszy z nich.

- Niestety, panie Steel, nie widziałem go od dwóch tygodni albo więcej - odrzekł Georges.

Steel wszedł do jadalni ściągając futrzane rękawiczki, po czym je rzucił na stół. Ubrany był od stóp do głowy na oliwkowo, miał spiczastą czapkę narciarską, a jego chuda, pomarszczona twarz była stężała z zimna.

- Pan w sprawie tego żwiru polodowcowego, który tu znaleziono? - zapytał patrząc prosto na mnie.

- Nie - odrzekłem. Nie miałem pojęcia, co to jest żwir polodowcowy i chciałem tylko wynieść się stąd, zanim przyjedzie Lands. Wziąłem moje rękawiczki i czapkę.

Jednakże między mną a wyjściem stał towarzysz tamtego, masywny, barczysty młodzieniec w futrzanej czapce i myśliwskiej parce ze szkarłatną podszewką.

- Czym pan jest z zawodu? - spytał. Miał akcent irlandzki.

- Inżynierem - odpowiedziałem odruchowo, po czym ugryzłem się w język, bo poczułem, że popełniłem błąd.

Ci ludzie sami byli inżynierami.

- To pewnie pan będzie mógł nam coś o tym powiedzieć - rzekł Steel. - Słyszeliśmy tylko, że mówi się o zbudowaniu bocznicy i rozpoczęciu nowego wykopu żwiru.

- Ja tu dopiero przyjechałem - odparłem szybko. - Nic mi o tym nie wiadomo.

Kiwnął głową nie odrywając oczu od mojej twarzy.

- Właśnie mi się zdawało, że jeszcze pana nie widziałem. Prosto z bazy głównej, co?

- Tak.

Nie bardzo wiedziałem, co robić. Czuję, że jeśli teraz wyjdę, obudzę w nim podejrzenia. A potem zjawił się Georges z kawą i kopiastym talerzem pączków.

- Może pan też napije się kawy? - zapytał i zauważyłem, że na tacy stoją trzy kubki.

- Pan tu zostaje czy jedzie dalej na linię? - zapytał mnie Steel, który już pochłaniał pączek.

- Jadę dalej - odrzekłem łykając kawę, choć była tak gorąca, że mnie parzyła. Musiałem jakoś się stąd wydostać przed przybyciem Landsa.

- Chyba będziemy mogli pana podrzucić do Stalowej Głowicy. A dokąd pan jedzie? Zawahałem się. Ale nie wydawało mi się to ważne.

- Do Dwieście Sześćdziesiąt Trzy - odpowiedziałem.

- Do tego wariata Darcy'ego, co? - Jego towarzysz wybuchnął głośnym śmiechem. - Rany boskie, więc jeszcze się nie poznali na tym starym!

- Paddy'emu idzie o to - wtrącił Steel maczając pączek w kawie - że Ray jest jednym z najstarszych wyjadaczy na tej kolei. Mnie idzie o to, że on jest stary łajdak i pan będzie za niego odwalał robotę, a on będzie zgarniał całe uznanie, jeżeli pan jest pracowitym, trzeźwym, bogobojnym inżynierem, czyli takim, jak jesteśmy my wszyscy, zważywszy, że tu jest Puszcza, a nie Rajski Ogród płynący mlekiem ludzkiej dobroci, pochodzącym z mojego ojczystego kraju.

- Tu nie wolno pić - rzekł Steel. - To chciał powiedzieć. Jest to temat rozmowy, który się staje trochę nudny po dłuższym pobycie tutaj. - Patrzył na mnie z zaciekawieniem. - Czy pan przypadkiem nie nazywa się Ferguson?

Kiwnąłem głową czując nagle napięcie, zastanawiając się, co teraz przyjdzie. On jednak powiedział tylko:

- Ktoś się niedawno o pana pytał, kiedy wyjeżdżaliśmy ze Stalowej Głowicy.

- Laroche? - wyrwało mi się.

- O właśnie, on. Pilot tego samolotu, który się rozbił. Pan go zna?

Znowu kiwnąłem głową myśląc, że zatem Laroche jest teraz pomiędzy mną a Dwieście Sześćdziesiątką Trójką.

- Paskudna historia, ta katastrofa - rzekł Steel. - Czy on kiedy rozmawiał o tym z panem?

Ja jednak mogłem myśleć jedynie o fakcie, że Laroche jechał tym pociągiem zaopatrzeniowym.

- A czego on chciał? - spytałem. - Nie mówił panu, czego chce?

- Nie. Tylko zapytał, czyśmy pana widzieli. Ale wydawało się, że ma coś pilnego. - Po czym wrócił do tematu katastrofy. - Pewnie to musiał być dla niego diabelny szok; śmierć obu jego pasażerów, a potem tamto brnięcie w pojedynkę. To człowiekowi uprzytamnia, czym jest

ten kraj, jak tylko się zejdzie z linii. - Następnie dodał: - Słyszałem, że był zaręczony z córką Briffe'a. Czy to fakt.

Z toru doleciał warkot drezyny i Irlandczyk zerwał się i podbiegł do okna.

- Jest Bili.

Laroche w Stalowej Głowicy, a teraz Lands. Poczuję się nagle osaczony. Drezyna zatrzymała się przed wago-nem-jadalnią, a jej motor terkotał łagodnie, stłumiony przez grube szyby w oknach. Rozległ się odgłos kroków na żelaznej kratce przy końcu wagonu, po czym trzasnęły zamykane drzwi. Miałem zaledwie czas odwrócić się do okna, gdy wszedł Bili Lands.

- Więc dostałeś moją depeszę, Al. - Jego głos ozwał się tuż za mną, kiedy nadchodził przez wagon. - I przywiozłeś ze sobą Paddy'ego. To świetnie.

Staął przy piecu, a ja szybko na niego zerknąłem. W parce wydawał się jeszcze rośniejszy, a twarz pod futrzaną czapką wyglądała surowiej, była niejako częścią Północy.

- Chcesz kawy, Billu? - Steel wstał, żeby mu zrobić miejsce.

- Jasne - odrzekł Lands wyciągając dłonie ku rozgrzanemu piecowi. - I pączków. - Wiesz, dlaczego prosiłem, żebyście ty i Paddy spotkali się tutaj ze mną?

- Mówiono coś o żwirze polodowcowym...

- Właśnie. Znalazł go Williams. - Głos jego brzmiał niewyraźnie, bo Lands akurat pochłaniał pączek, - Pomyślałem sobie, że to może rozwiązać nasz problem. Ten tłuczeń, który przychodzi ze Sto Trzydziestki Czwórki, zaczyna zamarzać. A gdyby nam się udało założyć wykop żwiru tutaj, zaraz za Stalową Głowicą... - Przerwał nagle i zawołał: - Psiakrew! Moja drezyna jeszcze stoi na torze. Słuchajcie, wy!

Wiedziałem, że się obrócił i patrzy na moje plecy. Nie mogłem udać, że nie słyszę, a jednocześnie nie śmiałem obrócić się twarzą ku niemu.

- Umiecie prowadzić drezynę? - zapytał.

Była to sposobność, której szukałem, pretekst, by wyjść nie budząc ich podejrzeń. Jednakże zawahałem się, bo drzwi były daleko i bałem się, że mój głos może mnie zdradzić.- Pytam, czy umiecie prowadzić drezynę? - Mówił zniecierpliwionym tonem.

- Pewnie - odrzekłem i ruszyłem do drzwi.

Może to sprawił mój głos, a może zbyt szybko się pospieszyłem. Usłyszałem, że pyta: - Co to za gość? - Jednakże nie czekał na odpowiedź, lecz ruszył za mną.

- Chwileczkę!

Byłem prawie przy drzwiach, gdzie stała moja walizka, i mogłem teraz dać nura, ale nie zdążyłem się zastanowić, czym byłaby dla mnie możliwość skorzystania z drezyny.

Wydawało mi się rzeczą beznadziejną próbować mu umknąć, więc obróciłem się prosto do niego.

Już prawie się ze mną zrównał, ale kiedy zobaczył moją twarz, przystanął raptownie.

- Ferguson! - W oczach miał wyraz otępiąłego zdumienia, jak gdyby nie mógł w to uwierzyć. - Jakim cudem, u diabła... - Potem zaś jego potężne pięści zacisnęły się, a mięśnie szczęk naprężyły.

Świadomość, iż zaraz mnie uderzy, sprawiła, że mózg mój natrafił na jedyną rzecz mogącą go powstrzymać.

-Briffe żyje - powiedziałem.

To go zatkało.

- Żyje?

- Przynajmniej żył, kiedy Laroche od niego odchodził. Teraz już jestem tego pewny.

- A skąd pan ma taką diabelną pewność? - Jego głos był niebezpiecznie spokojny.

- Od Laroche'a. Wczoraj wieczorem przyszedł do mojego pokoju i właściwie się przyznał...

- Jakiego pokoju? Gdzie?

- W Sto Trzydzieści Cztery.

- Sto Trzydzieści Cztery! To kłamstwo. Bert jest w Seven Islands.

- Nie - odparłem. - W tej chwili jest w Stalowej Głowicy. Niech pan ich zapyta - wskazałem obu inżynierów.

To widać nim wstrząsnęło, bo rzekł:

- Przyjechał za panem, tak?

- Tak - odparłem. - Boi się i...

- Ja też bym się bał. Bałbym się jak wszyscy diabli, gdybym wiedział, że jakiś głupi wariat...

- To nie ja jestem wariat! - krzyknąłem.

Wytrzeszczył na mnie oczy.

- Co to ma znaczyć? - Głos jego raptem uspokoił się znowu.

- Nie ja, tylko Laroche - powiedziałem prędko. - Z jakiejś przyczyny nie może sobie wybić z głowy wyprawę Fergusonsona. Rozbił się nad Jeziorem Lwa i tam zaszło coś, co go zmusza...

Postąpił krok ku mnie, a mój głos ucichł.

- Słucham dalej - powiedział złowieszczo. - Więc pan myśli, że tam coś się stało? A co się stało pańskim zdaniem?

- Nie wiem - wymamrotałem. - Ale to go prześladowuje.

- Ale co?

- Nie wiem - powtórzyłem. - Dlatego muszę to wykryć. Zapytał mnie, czy myślę, że on ich zabił, a potem powiedział, że Baird na pewno nie żyje. Nie powiedział natomiast...

- Parszywy łgarzu! - Nagle stracił panowanie nad sobą. - Najpierw pan mówi, że zostawił Briffé'a żyjącego. Teraz znów próbuje pan zasugerować, że zabił Bairda. Boże mój! - krzyknął, a ja cofnąłem się przed nim w otwarte drzwi. Znalazłem się na stalowym pomoście, poniżej mnie był tor, a na nim dreżyna z terkoczącym wciąż motorem. - Zakrada się pan na linię i usiłuje wmówić ludziom jakieś niesłychane, kłamliwe oskarżenia. No więc dalej pan się nie ruszy. Cholera jasna, gdy by pan nie był takim młodziakiem...

W tejże chwili zatrzasnąłem mu drzwi przed nosem, zeskoczyłem na tor i dałem susa do dreżyny. Zwolniłem hamulec i włączyłem bieg dając silnikowi pełne obroty tak, jak niedawno tamten brygadzysta - i właśnie włączałem pas napędowy, gdy Lands znalazł się obok mnie. Sięgnął do poręczy w momencie, gdy dreżyna ruszała. Nie zdążył jej pochwycić i usłyszałem jego przekleństwo, a potem tupot nóg za mną. Ale już nabierałem szybkości i po chwili nie słyszałem nic prócz warczenia motoru i stukotu kół na złączach szyn.

Wyrwałem mu się. To śpiewał mi w uszach wiatr. Wyrwałem mu się i miałem środek lokomocji. Mijając koniec pociągu mieszkalnego zerknąłem za siebie. Lands stał pośrodku toru i krzyczał coś wymachując rękami. Nie wiedziałem, że usiłuje mnie ostrzec i przez czystą brawurę odpowiedziałem skinięciem ręki, dałem pełny gaz i pochyliwszy się pogałem na dreżynie jak na motocyklu.

Przestawnia na podwójny tor zastukała pod kołami i dalej nie było już nic oprócz bliźniaczych szyn wybiegających daleko przede mną ku długiemu skrętowi, na którym dreżyna zakołysała się i szarpnęła. Gdy obejrzałem się znowu, podwójny tor i pociąg mieszkalny już zniknęły. Jechałem samotnie, nie mając za sobą ani przed sobą niczego prócz toru objętego z obu stron przysypanymi śniegiem sosnami.

III

Przez pierwsze kilka mil niosła mnie fala podniecenia - poczucie szybkości, złudzenie siły. Miałem pewność, że nic nie zdoła mnie powstrzymać od dotarcia do Jeziora Lwa i odnalezienia Briffé'a żywego - i gnałem pełnym gazem, koła zgrzytały na zakrętach, a po obu stronach przemykał dziewiczy kraj.

Ale ten nastrój nie trwał długo. Palce zdrętwiały mi z zimna w miejscach, gdzie rękawiczki były przetarte, stopy przemieniły się w zmartwiałe bryły wewnątrz lodowatej pokrywy butów, a wiatr zaczął przejmująco w twarz. Natrafiłem na zły odcinek, gdzie tor

niedawno podsypiano, a szyny były na wpół zagrzebane w żwirze, i musiałem zmniejszyć szybkość. Wtedy zastanowiłem się, jaki jest ten kraj, i jakie czekają mnie trudności; Lends zatelefonuje do Stalowej Głowicy i wszyscy ci ludzie będą przeciwko mnie.

Minąłem chyba całe dziesiątki słupów telegraficznych leżących przy torze, zanim uprzytomniłem sobie, że monterzy zakładający kable jeszcze nie dotarli do tego odcinka. Lands nie mógł więc zatelefonować. Musiałby wziąć drugą drezynę i przyjechać za mną. Dodałem więc znów gazu i w tejże chwili usłyszałem trzask strzału karabinowego i uchyliłem głowę. Jednakże kiedy się obejrzałem przez ramię tor za mną był pusty.

Pomyślałem, że może trzasnął tak kamień odrzucony z toru. Ale strzał rozległ się znowu, tym razem już niewątpliwy, i nagle poprzez huk silnika dosłyszałem dzikie okrzyki. Dolatywały one z daleka po mojej lewej ręce, gdzie poprzez zasłonę drzew pośniewało jak blacha jezioro. Ujrzałem tam canoe, a na jego dziobie Indianina, który stał ze sztucerem przy ramieniu, zaś tuż przy brzegu łeb i poroże zwierza spoglądającego ku płyciźnie. Po chwili rozległ się trzask gałęzi i ren karibu wypadł z gęstwiny na sto jardów przede mną. Zawahał się chwilę, wymacując racicami szyny, po czym jednym szybkim, przerażonym susem przesadził je i zniknął po drugiej stronie.

Nie zobaczyłem więcej Indianina, bo szyny zataczały tu długie półkole. Obok toru ujrzałem paliki niwelacyjne, a dalej inżynierów, którzy je tu umieścili. Stali małą grupką obok swojej drezyny ściągniętej z toru, i kiedy ich mijałem, jeden wykrzyknął coś, co brzmiało jak: Attention!

Był to francuski Kanadyjczyk w okrągłej futrzanej czapce jak Rosjanin i zanim uświadomiłem sobie, że jego okrzyk był ostrzeżeniem, znalazłem się na następnym zakręcie. Był tu znów tłuczeń i drezyna zachybotła się gwałtownie, kamienie bryznęły, a poprzez ich grzechot dosłyszałem jakby posepny krzyk sowy. W następnej chwili byłem już za zakrętem pozostawiawszy żwir w tyle i spostrzegłem, że na torze przede mną coś stoi. Nacisnąłem ostro hamulce w chwili, gdy ów niesamowity głos sowy rozległ się znowu, tym razem, donośniejszy i bardziej wyraźny, nagle rozpoznawalny.

Zanim drezyna się zatrzymała, dojrzałem żółtą farbę lokomotywy i poczułem drganie szyn pod sobą. Nie było mowy, żebym sam zdołał zepchnąć na czas drezynę z toru. Uczyniłem jedyną możliwą rzecz: włączyłem wsteczny bieg, dałem gazu i pogałem torem do tyłu, przez zakręt ku miejscu, gdzie stała owa grupka inżynierów.

W momencie gdy się zatrzymałem, poskoczyli ku mnie, wyciągnęli dźwigniki i zepchnęli z toru drezynę, w chwili gdy pociąg dudniąc ukazał się na zakręcie. Syrena zawyła znowu, donośna jak dźwięk trąbki w wąskiej przestrzeni między dwiema ścianami sosen, po

czym ciężka lokomotywa znalazła się tuż, mijając nas powoli, z zapachem gorącej oliwy i niespiesznym stukotem tłoków. Maszynista wychylił się i krzyknął:

- Jak chcesz popełnić samobójstwo, to skacz sobie w bagno. Na mnie się nie pchaj!

Splunął w tający śnieg u moich stóp i zawrócił do sterownicy. Łoskot wzmógł się niczym dudnienie elektrowni i lokomotywa znowu ruszyła szybciej ciągnąc za sobą ze stukotem długi rząd pustych lor. Za nimi ukazały się dwa drewniane wagony, z których okien wyglądali na nas obojętnie jacyś ludzie.

Wtedy to ujrzałem ponownie Laroche'a. Był w drugim wagonie i na sekundę oczy nasze się spotkały. Widziałem, jak się zerwał na równe nogi, po czym wagon nas minął. Dalej był wagon służbowy, i kiedy przejeżdżał, Laroche wychylił się z drzwi swojego. Przez chwilę myślałem, że wyskoczy. Jednakże pociąg był pusty i prędko nabierał szybkości. Laroche jeszcze przez moment stał wychylony w drzwiach, po czym rozmyślił się i zniknął we wnętrzu wagonu.

Patrzyłem, jak pociąg malał w oddali i jedyną moją myślą było, że oto droga do Obozu 263 stoi dla mnie otworem. Laroche był teraz za mną, Lands także, i póki bym ich wyprzedzał, w Stalowej Głowicy nie byłoby nikogo, kto by mnie znał. Obróciłem się do inżynierów i poprosiłem ich, by mi pomogli ustawić znowu drezynę na szynach. Francuski Kanadyjczyk w futrzanej czapce Przyjrzał mi się z zaciekawieniem.

- Dlaczego pan nie sprawdzi, jak pan wjeżdża na ten odcinek? - zapytał.

- Spieszyło mi się - odrzekłem nieco niepewnym głosem, bo byłem mocno wstrząśnięty.

- Mógł pan się zabić.

- Spieszyło mi się - powtórzyłem. - I teraz też mi się spieszy.

- Pewnie. Tak jak każdemu. Ale Lands nie podziękuje panu, jak pan mu rozbije drezynę.

Pomyślałem, że teraz mnie zapyta, dlaczego nią jadę, ale popatrzawszy na mnie chwilę obrócił się do swoich ludzi i kazał im ustawić drezynę na torze.

- W tym cała bieda - mruknął. - Za dużo u nas pośpiechu.

O trzy mile dalej zatrzymała mnie ekipa podsypująca tor. Swoje wagoniki ściągnęły z szyn, aby przepuścić pociąg zaopatrzeniowy, ale maszyny ubijające tłuczeń już pracowały na torze i nie miałem innego wyjścia poza porzuceniem mojej drezyny i udaniem się dalej pieszo. Powiedzieli mi, że do Stalowej Głowicy jest dwie mile torem.

Nasyp był tutaj nowy, biegł długą linią poprzez bagna. Miejscami tor osiadał faliście, tam gdzie mszar wessał zwirowe obwałowanie, a podkłady były pokryte świeżym tłuczniem.

Ciężko tu było iść, wiał północny wiatr, który zaciął poprzez pożyczone ubranie chłodząc pot na moim ciele. Daleko za moczarami, tam gdzie czarna linia zarośli łączyła się ze stalowoszarym niebem, dostrzegłem wzgórze wydłużone i gołe jak gdyby zeszlifowane przez lodowce.

Wydawało mi się, że bardzo długo brnąłem poprzez te ponure bagniska, lecz w końcu dotarłem do otaczającego je płytkiego pasa żwiru i wyszedłszy zza zakrętu natknąłem się na grupę ludzi pracujących za pomocą świrdrów i kluczy maszynowych przy skręcaniu szyn i zakładaniu sworzni. Obok toru widniały podwozia i koła rozmontowanych transporterów, a nieco dalej stali inni ludzie i maszyny, za nimi zaś pociąg układający tor. Wszędzie dokoła panowała atmosfera ruchu, rozmachu i wysiłku, tak że Labrador wydał mi się nagle ludny i pełen ożywienia. Tor, położony na nagim żwirze bez tłucznia, niczym szyny kolejki dla dzieci na piasku, miał w sobie jakąś świeżość wskazującą, że wczoraj jeszcze go tu nie było. Idąc wzdłuż niego, między tymi grupami ludzi, czułem, że bardzo rzucam się w oczy.

Jednakże nie zwracali na mnie uwagi, choć, kiedy ich mijałem, nieśmiało spoglądając na tor i maszyny, miałem wrażenie, iż każdy z nich musi wiedzieć, że nie mam prawa tu być. Zastanawiałem się, kto zarządza Stalową Głowicą i co mu powiedział Laroche.

Sytuacja się poprawiła, kiedy doszedłem do samego pociągu. Nie było tu już pracujących robotników, tylko wagony pełne podkładów, płyt i sworzni, które wyrzucano przy torze, ilekroć pociąg posunął się naprzód. Stał teraz w wąskim przekopie, tak że musiałem przechodzić tuż obok niego, i dotarłszy do wagonu mieszkalnego poczułem na sobie spojrzenie ludzi wyglądających z otwartych drzwi. Nikt jednak mnie nie zatrzymał; minąłem lokomotywę i transportery i wreszcie ujrzałem żuraw, u którego kołysała się szyna. Zabrział gwizdek i ramię żurawia cofnęło się z pustym uchwytem. Pociąg zagwizdał i posunął się o kilka jardów dalej. Nowy kawałek toru został ułożony.

Było coś tak urzekającego w owym rytmicznym wgryzaniu się pociągu w nieznane, że na chwilę zapomniałem o wszystkim i wdrapałem się do połowy wysokości wykopu, aby popatrzeć. Za każdym razem, nim pociąg się zatrzymał, żuraw już się obracał z następną szyną w kleszczach. Obsługującemu go dawał ręką znak robotnik, który też wykrzykiwał rozkazy ludziom układającym tor i kiedy szyna opuszczała się na nasyp, ci ją chwyтали, umieszczali na podkładach i umocowywali sworzniami, wbijając je równocześnie uderzeniami młotów.

To właśnie była Stalowa Głowica; stałem i przyglądałem się temu z jakimś szczególnym respektem. A potem spojrzałem na wybiegający w dal nasyp, nagi z wyjątkiem nielicznych podkładów ułożonych w regularnych odstępach, i wzrok mój przeniósł się na

czarną linię sosen. Żółta przesieka zbudowanego spycharkami nasypu wpadała między nie i ginęła raptownie.

Nie wiem, czego się spodziewałem w Stalowej Głowicy. Rzecz jasna, za nią nie mogło być toru kolejowego. Ale przejechałem tą linią ponad sto mil wciąż czując tor pod sobą, tak że w pewnym sensie uważałem go za nieodłączną częśćkę Labradoru. A oto nagle się tu kończył.

Przypuszczam, że do tej chwili nie uświadamiałem sobie dokładnie, na co się porwałem. Jezioro Lwa było gdzieś na północnym wschodzie - o pięćdziesiąt, najwyżej o sto mil. Jednakże widząc tę wąską linię nasypu i posępną pustkę kraju, który leżał przede mną, miałem wrażenie, że to zupełnie inny kontynent, tak odległy mi się wydawał. Nawet dotarcie do Darcy'ego w Obozie 263 wydało się nagle wędrówką w nieznane.

- Hej, wy tam! - Jakiś mężczyzna stojący obok dźwigu spoglądał na mnie, a jego szkarłatna traperska koszula była plamą koloru w gęstniejącym zmierzchu. - Tak, wy. Co wy tam wyrabiacie, do diabła? Na rodeo się gapiacie czy jak?

Jego głos i postawa wskazywały, że jest tu kimś ważnym, toteż zląłem co prędzej, świadom, że mnie obserwuje.

- Jeżeli sami nie pracujecie, to trzymajcie się z daleka od układania szyn! - krzyknął. - Ile razy mam wam to powtarzać?

Nadal patrzył za mną, kiedy już zeszedłem na tor, więc odwróciłem się i pospieszyłem wzdłuż pociągu. Może mi się przywidziało, ale miałem wrażenie, że obudziłem jego ciekawość, i że jeżeli stąd nie odejdę, ruszy za mną i zacznie mnie wypytywać.

Może by tak i zrobił, ale w tej chwili syrena pociągu zawyła tonem odmiennym tym razem, przeciągle i natarczywie. Rozległ się gwizdek. Czyjś głos nie opodal mnie zawołał: „Żarcie!” A potem ekipa układająca szyny zaczęła wracać przekopem, stąpając rozlazłym krokiem ludzi, których mięśnie nagle się rozprężyły. Fala zagarnęła mnie i ruszyłem wraz z nimi mijając transportery szyn i lokomotywę aż po wagony mieszkalne. Od drugiego końca pociągu nadchodziły inne ekipy, a wszystkie zmierzały do wagonu-jadalni. Zaczekałem na swoją kolej i wsiadłem także, z uczuciem ulgi, że nie jestem już sam, że jestem jednym z tłumu. Poza tym byłem głodny. Jeżeli miałem udać się poza Stalową Głowicę, lepiej było iść po zapadnięciu ciemności, kiedy nikt by mnie nie zobaczył, i o pełnym żołądku.

W wagonie-jadalni paliły się światła, było ciepło i pachniało jedzeniem. Nikt do mnie nie zagadał, kiedy się przepychałem do wolnego miejsca, przy stole na krzyżakach, a ja też nic nie mówiłem, tylko przysuwałem sobie wszystko, na co miałem ochotę. Była zupa, befsztyk z sadzonym jajkiem, ziemniaki i kapusta, owoce z puszek i krem - ogromna góra

jedzenia, którą należało pochłonąć i popłukać herbatą i kawą. Kiedy skończyłem jeść, wyprosiłem papierosa od siedzącego przy mnie niskiego Włocha i popijając kawę z kubka paliłem i przysłuchiwałem się nagłemu zgiełkowi rozmów. Byłem zmęczony i jednocześnie czułem odprężenie, i chciało mi się spać, a nie znowu wychodzić na mróz.

Nagle rozmowy przy końcu wagonu zamilkły i poprzez dym papierosów ujrzałem w drzwiach owego mężczyznę w szkarłatnej koszuli traperskiej. Był z nim kierownik ekipy układającej szyny, i obaj patrzyli wzdłuż stołu.

- Kto to? - zapytałem Włocha.

- Ten gość w czerwonej koszuli? - odrzekł. - To pan nie wie? - Był wyraźnie zdumiony. - To jest Dave Shelton. Kierownik Stalowej Głowicy.

Znowu szybko zerknąłem na drzwi. Obaj mężczyźni nadal tam stali, a Shelton patrzył prosto na mnie. Obrócił się i zadał brygadziście jakieś pytanie, na co ten potrząsnął głową.

- Trzymaj się pan od niego z daleka - mówił Włoch. - Wciąż popędza ludzi. W zeszłym tygodniu złamał szczękę jednemu gościowi, który mu wymawiał, że zanadto nas gania.

Shelton znowu zerknął w moim kierunku, po czym obaj zaczęli przepychać się przez wagon. Widziałem, że jestem w pułapce, bo nie mogłem już nic zrobić i nigdzie odejść, toteż czekałem, zapatrzonej w swój kubek.

- Wy tu pracujecie? - Ten głos odezwał się tuż za mną, a kiedy nie odpowiadałem, czyjaś ręka chwyciła mnie za ramię i okręciła. - Do was mówię. - Stał nade mną, barczysty, wąski w biodrach, pełen tej jakiejś agresywnej gwałtowności, z którą spotkałem się dotąd tylko raz, u pewnego irlandzkiego robotnika drogowego. - To wy jesteście ten gość, co się niedawno gapił na układanie szyn, tak?

Ludzie dokoła mnie przestali rozmawiać, tak że znajdowałem się w środku oazy milczenia.

- No, pracujecie tutaj, czy nie?

- Nie - odparłem.

- To co robicie w tej jadalni?

- Posilam się - odrzekłem, a wzdłuż stołu pobiegł szmer śmiechu. Tamten zacisnął usta, bo nie była to najbardziej wyjaśniająca odpowiedź, jakiej mogłem udzielić, więc próbując go udobruchać, dodałem prędko: - Jestem inżynierem. Kiedy tu przyjechałem, była akurat pora kolacji, więc po prostu poszedłem za innymi...

- Gdzie wasza karta? - zapytał.

- Karta?

- Karta zatrudnienia jako inżyniera na linii. Nie macie jej, co? - Uśmiechnął się teraz, nagle pewny siebie.

- Jak się nazywacie? - A kiedy nie odpowiedziałem, rzekł: - Ferguson, tak?

Kiwnąłem głową widząc, że nie ma co zaprzeczać.

- Takem i myślał. - I dodał: - Co wam się zdaje; co to za zabawa, że udajecie inżyniera? Alex Staffen wściekły jest na to jak cholera.

- Kiedy ja jestem inżynierem.

- Okej, jesteś pan inżynierem, ale nie na tej kolei. - Jego ręka znów zacisnęła mi się na ramieniu i podniósł mnie na nogi. - Jazda. Idziemy, bracie. Mam polecenie, żeby pana odesłać jak najprędzej do bazy głównej.

Ruchem głowy dał mi znak, żebym szedł za nim, po czym ruszył do drzwi.

Nie miałem innego wyjścia, jak tylko pójść za nim przez wagon, czując się po trosze jak przestępca, bo tuż za mną szedł brygadzysta. Miałem nadzieję, że kiedy znajdziemy się na dworze, z dala od wszystkich tych ludzi, skłonię go może, aby wysłuchał moich wyjaśnień. Nie spodziewałem się jednak, żeby to coś dało. Staffen wprowadził w ruch maszynę swojego zespołu, ażeby odstawić mnie z powrotem do bazy i jeśli mi się nie powiodło przekonać tego Sheltona, jak pilna jest cała sprawa, trzymałby się swoich instrukcji. Tak zresztą musiał.

Wpół drogi wzdłuż wagonu zatrzymał się nagle.

- Twoja dreznina jeszcze stoi na torze, Jack? - zapytał jednego z ludzi.

Był to dorosły chłop ze złamanym nosem, wyglądający jak bokser wagi ciężkiej.

- Żałuję, panie Shelton - odpowiedział - ale ją ściągnął, zanim...

- To ustaw ją zaraz z powrotem. Odwieszysz tego gościa do Dwieście Dwudziestki Czwórki.

- Okej, panie Shelton. - Mężczyzna dźwignął się nie dopijając kawy.

- Będzie musiał poczekać, aż odejdą te puste wagony po szynach - odezwał się brygadzysta. - Pociąg się zaraz cofnie z przekopu.

- No, zobacz, czy nie da się ustawić drezniny na torze, zanim ruszy. Inaczej nie odjedziesz przez godzinę albo i dłużej.

- Okej, panie Shelton.

Skierował się do drzwi i przepychał przez grupę zebraną koło wiadra na zlewki. Shelton zatrzymał się, aby zamienić dwa słowa z ludźmi siedzącymi przy stole, i kiedy dotarł do drzwi, robotnicy zaczęli już odpływać z wagonu.

- Czy mogę pomówić z panem na osobności? - zapytałem. - To ważna rzecz.

Przepychał się przez tłum, ale słysząc to przystanął.

- A o co idzie?

- Miałem powody, żeby tu przyjechać - odrzekłem. - Gdybym mógł to panu wyjaśnić...

- Wyjaśni pan Alexowi Staffenowi. Ja mam inne zmartwienia.

- To jest sprawa życia i śmierci - powiedziałem natarczywie.

- Ta kolej tak samo. Układam szyny, a idzie zima. - Przedostał się do wyjścia. - Tacy jak pan są cholernym utrapieniem - powiedział przez ramię.

Nie miałem już sposobności, aby go zmusić do wysłuchania mnie. Byliśmy na platformie, a kiedy znaleźliśmy się przy drzwiach wychodzących na tor, ktoś się odezwał.

- To ty, Dave?

Ziemia przekopu była żółta w światłach pociągu, a pod nami przechodzili ludzie - ciemne sylwetki z żarzącymi się tu i ówdzie ognikami papierosów.

- Proszę cię do radia - dodał głos. - Jest coś pilnego.

- Cholera! - zaklął Shelton. - A kto?

- Nie powiedzieli. Ale to z Dwieście Dwudziestki Czwórki; pytają, ile toru dzisiaj położono i jak wygląda plan roboty na zmiany...

- Dobra. Zaraz przyjdę.

- Coś mi się zdaje, że tam jest dyrektor generalny - odezwał się brygadzysta. - Miał dziś przyjechać do Dwieście Dwudziestki Czwórki, nie, Dave?

- Tak. I jeden z dyrektorów też. Zdaje się, że znowu nam dadzą szkołę. - I dorzucił: - Chryste Panie! Kładziemy już przeszło półtorej mili dziennie. Czego oni jeszcze chcą?

- Pewnie dwie mile bardziej by im się podobały - mruknął sucho brygadzysta.

- Dwie mile! Tak, to by było piękne. Ale ludzie nie mogą układać toru w takim tempie.

- Mógłbyś spróbować wypłacać im premie.

- Przecież to nie ja, tylko Kompania. Ale ponieważ mrozy już niedaleko... - Shelton zawahał się. - Ano, coż, może to i jest myśl. - Obrócił się do mnie. - Niech pan zaczeka tu, w wagonie. A ty też lepiej poczekaj z nim, Pat - rzekł do brygadzisty, po czym wyskoczył i zniknął na torze.

Ludzie wylewali się teraz z wagonu-jadalni i obaj z brygadzystą cofnęliśmy się, by ich przepuścić. Zastanawiałem się, czy warto mu wytłumaczyć, że Briffe żyje, ale jeden rzut oka na jego drewnianą twarz powiedział mi, że to na nic. Zresztą i tak nie miał na tyle władzy, by mi dopomóc.

Zdaje się, że wtedy utraciłem wolę uczynienia czegokolwiek więcej. Teraz, kiedy przysłano z bazy instrukcje co do mnie, nie wydawało się to celowe. Cała organizacja była prawdopodobnie postawiona na nogi, a w takim przypadku nie mogłem nic poradzić. A jednak chętnie byłbym porozmawiał z Darcym. Perkins mówił, że wie on więcej o Labradorze niż ktokolwiek inny na linii, a były rzeczy, których chciałem się dowiedzieć, rzeczy, które zapewne potrafiłyby mi wyjaśnić.

- Wracaj pan do jadalni - powiedział brygadzysta.

- Tam będzie cieplej.

Potok ludzi już zrzędł i brygadzysta popchnął mnie naprzód. Zatrzymałem się, aby przepuścić dwóch mężczyzn, którzy wysiadali, a kiedy znaleźli się przy drzwiach, jakiś głos z toru zawołał:

- Weźcie to, dobrze?

Jeden z mężczyzn wyciągnął rękę, schwycił jakąś walizkę i postawił ją na pomoście prawie u moich stóp.

Nie wiem, co mi kazało pochylić się i spojrzeć na nią; może coś było w jej kształcie, a może podświadomie poznałem ów głos. W każdym razie tak zrobiłem i wtedy stanąłem wpatrując się w walizkę jak ogłupiały. Była to moja własna walizka, ta, którą zostawiłem w pociągu mieszkalnym o dziesięć mil stąd, kiedy wskakiwałem na drezynę Landsa.

I wtedy usłyszałem na zewnątrz, na torze, głos Landsa:

- Dobra, ale nie możemy tego zrobić, dopóki nie zobaczymy się z Dave'em. W każdym razie chcę nadać przez radio wiadomość do Dwieście Sześćdziesiątki Trójki. Mam wrażenie, że...

Resztę zagłuszyło przeciągłe wycie lokomotywy. Gdy zaś się nagle urwało, dosłyszałem czyjś głos:

- Po co w to wciągać Darcy'ego?

Lands odparł ze zniecierpliwieniem:

- Bo tam są sami robotnicy. Mają zwrotnicę na tym nasypie. Ray Darcy jest gościem, który ma wóz i może zdążyć...

Więcej nie dosłyszałem i odgadłem, że się odwrócił. Wyjrzawszy dostrzegłem jego wywatowaną sylwetkę odchodzącą wzdłuż pociągu. Był z nim ktoś, ale nie mogłem dojrzeć kto, bo szedł w cieniu, tuż przy następnym wagonie.

- Co pan chcesz zrobić? - Brygadzysta schwycił mnie za ramię.

- Nic - odrzekłem. Zastanawiałem się, czy to nie Laroche'a widziałem tam w cieniu.

- To chodź pan do środka.

Zawahałem się.

- To był Lands - powiedziałem.

- Bili Lands? - Puścił moje ramię. - No to co z tego? Pan go zna?

Kiwnąłem głową. Pomyślałem, że nie mam nic do stracenia. Gdybym teraz dobrowolnie poszedł do Landsa, może by mnie wysłuchał. Może nawet zdołałbym go przekonać, iż jest szansa, że Briffe jeszcze żyje. Wtedy przynajmniej odpowiedzialność przeszłaby na niego. Ja zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy. A jeżeli tam był Laroche, może Lands by się przekonał, że nie jest on w pełni władz umysłowych.

- Chciałbym zamienić dwa słowa z Landsem - powiedziałem.

Brygadzysta spojrział na mnie marszcząc brwi w zaskoczeniu. Tego się nie spodziewał.

Rzekł:

- A on wie, że pan jesteś tutaj?

- Tak - odparłem i dodałem: - Przyjechałem jego drezyną.

To najwyraźniej zrobiło na nim wrażenie.

- Ano, musisz pan poczekać, aż Dave Shelton wróci. Zapytaj pan jego. - I dorzucił: -

Pan z prasy?

- Nie. - A uważając, że mu nie zaszkodzi, jeśli się dowie, dlaczego tu jestem, powiedziałem: - Przyjechałem na linię w związku z tym samolotem, co się rozbił. Pamięta pan?

- Pewnie, że pamiętam - kiwnął głową.

Pobudziłem już jego ciekawość, więc dodałem:

- No więc Briffe jeszcze żyje.

- Jeszcze żyje? - wytrzeszczył na mnie oczy. - A to jakim cudem? Szukali go przez tydzień, i później zjawił się ten pilot z wiadomością, że tamci dwaj nie żyją. Słyszałem o tym od Darcy'ego, kiedy tu był kilka dni temu; mówi, że ten gość miał szczęście, że wyszedł cało.

- Jednak możliwe, że Briffe też żyje.

- Briffe? Coś pan, zwariował?

Widziałem w jego oczach absolutne niedowierzanie i zrozumiałem, że to na nic. Wszyscy byli przekonani, że Briffe zmarł: ten człowiek, Lands, oni wszyscy. Z Sheltonem byłoby to samo. I z Darcym. Chociaż co z Darcym? Był przez godzinę z Laroche'em - przez całą drogę do Dwieście Dziewięćdziesiątki. Czy Darcy też uważałby mnie za pomyłonego?

- Chciałbym pomówić z Landsem - powtórzyłem, ale bez większej nadziei.

Lokomotywa znowu zawyła krótko dwa razy.

- Musisz pan poczekać - rzekł brygadzysta. - Zaraz się cofniemy z wykopu.

Rozległ się szcęk buforów i wagon drgnął i ruszył z miejsca, a żółte ścianki wykopu zaczęły przesuwac się za otwartymi drzwiami. W nagłym przeblysku uświadomiłem sobie, że to moja jedyna szansa. Jeżeli chciałem skontaktować się z Darcym, musiałem spróbować teraz. Zawahałem się jednak, niepewien, czy warto. A potem spojrzałem na walizkę stojącą u moich stóp. Przypuszczam, że to ona skłoniła mnie do decyzji. Były w niej dzienniki radiowe mojego ojca, jeżeli ich nie wyjął Lands albo Laroche. Mógłbym przynajmniej pokazać je Darcy'emu; nagle poczułem, że jest mi przeznaczone ciągnąć to dalej, że na to jest tutaj ta walizka. Była znakiem.

Prawdopodobnie wyda się to absurdalne, ale tak właśnie czułem.

Szcękanie kół na złączach szyn stawało się coraz szybsze, ścianki wykopu przesuwały się coraz prędzej. Sięgnąłem po walizkę.

- Co pan robi? - Głos brygadzysty był podejrzliwy.

- Tak się składa, że to jest moja walizka - odparłem.

Dostrzegłem wyraz zdumienia na jego twarzy i w następnej chwili wyskoczyłem. Był to skok bez rozbiegu, ale użyłem przy nim całej sprężystości mięśni nóg i wylądowałem aż na ściance wykopu, gdzie ziemia była mięk-sza. Spadłem na nią rozluźniając mięśnie, ramionami do dołu, tak jak mnie uczono podczas służby wojskowej, i chociaż ten skok wybił mi dech z piersi, i choć przetoczyłem się dwukrotnie, nic mi się nie stało.

Pozbierawszy się z ziemi dojrzałem wychylonego z drzwi brygadzystę, który coś do mnie krzyczał. Nie wyskoczył jednak. Było już za późno. Minęła mnie z hukiem lokomotywa i w jej świetle odnalazłem walizkę. Dalej przejechały transportery szyn, wreszcie dźwig, a potem tor opustoszał i nagle zaległa ciemność.

Przez chwilę stałem bez ruchu, nasłuchując. Jednakże słyszałem tylko turkot pociągu, który wycofywał się z przekopu. Żadne głosy nie doleciały do mnie z mroku, żaden ognik papierosa nie pokazał się w ciemnościach przede mną. Cały ten kipiący tłum ludzi rozplynał się pozostawiając po sobie czarną próżnię, w której wiał zimny wiatr. Ale to przynajmniej znaczyło, że mogę iść dalej torem, więc ruszyłem na północ i gdy tylko oczy przywykły mi do ciemności, zacząłem biec.

Za mną stukot pociągu przycichł i zamilkł, a kiedy obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem pociąg stojący na torze, z matowym odblaskiem światła na szynach. Zabłysły latarki i wydało mi się, że słyszę okrzyki. Ale to wszystko było co najmniej o pół mili ode mnie, i wiedziałem już, że im się wyrwałem.

W kilka minut później dotarłem do końca szyn. Dalej był tylko pusty nasyp, nie mogłem już kierować się torem, więc przestałem biec. Światła pociągu w tyle zniknęły za

zakrętem przekopu i wówczas zamknęła się wkoło mnie czarna pustka Labradoru. Jedynym odgłosem, jaki teraz słyszałem, był wiatr szepczący sucho między drzewami.

Noc była chmurna, ale nie zwracałem na to uwagi - przynajmniej chwilowo. Nasyp ciągnął się przede mną, płaski jak gościniec, i ledwie majaczący bladawym pasmem w ciemnościach. Nie trwało to jednak długo. Było tak przez milę, może dwie, po czym powierzchnia stała się bardziej nierówna. Pojawiły się wyboje i dziury, a nieco później natrafiłem na świeżo usypaną kupę żwiru.

Dalej szło się już źle. Kilkakrotnie zboczyłem z nasypu na wydobyte spycharkami korzenie drzew, ułożone na jego skraju. A raz grunt urwał mi się nagle pod nogami i zleciałem w dół ze dwanaście stóp albo więcej, prosto na zagrzebaną w ziemi szuflę żurawia chwytakowego.

Potem byłem już ostrożniejszy i szedłem wolniej. Wreszcie natrafiłem na ukończony odcinek nasypu i przez jakąś milę szło mi się znowu łatwiej. Ale i tym razem nie trwało to długo.

Od Stalowej Głowicy do Obozu 263 było niewiele ponad dwie mile, ale po to, aby zrozumieć, czym był ten marsz, zwłaszcza nocą i w takich warunkach, winienem może przedstawić ogólną metodę budowania nasypów, stosowaną przez przedsiębiorców. Polegała ona nie na jednolitym wgrzaniu się w głąb Labradoru, tak jak to było z układaniem szyn, ale na szeregu osobnych robót, rozrzuconych na północ i na południe, by w końcu połączyć się ze sobą.

W początkowym stadium przedsięwzięcia budowano drogę prowadzącą - znaną pod nazwą Drogi Przewozowej - od bazy w Seven Island do złóż rudy żelaznej w okolicy jeziora Knob, położonego prawie o czterysta mil na północ. Ta droga - właściwie szlak wykrzesany spycharkami w puszczy - biegła wzdłuż linii projektowanego nasypu i chociaż w wielu miejscach równoległa do niej, była daleka od prostej, ponieważ przebiegała linią najmniejszego oporu stawianego przez teren. Tą drogą przerzucano naprzód ciężki sprzęt - dźwigi, żurawie chwytakowe, spycharki, wywrotki, zbieraki, ciężarówki i cysterny.

Równocześnie z budowaniem Drogi Przewozowej, inżynierowie, których przewożono wodnopłatowcami i którzy byli ulokowani w małych obozach namiotowych, wymierzali i wytyczali linię kolei. Wtedy budowano w odpowiednich odstępach pasy startowe dla samolotów, a operując z owych punktów centralnych, zakładano bazy odcinkowe, w głównej mierze zaopatrywane z powietrza, i wysyłano ekipy robotników do budowania nasypu odcinek za odcinkiem.

Wówczas gdy wyruszałem na północ ze Stalowej Głowicy, plan ogólny polegał na ułożeniu szyn aż do Tamy Menihok, przy Mili 329, nim zima prawie zupełnie unieruchomi roboty. Tama ta była wąska, zbudowana prawie wyłącznie z dostarczonych samolotami materiałów, w miejscu, gdzie wody długiego na dziewięćdziesiąt mil jeziora Ashuanipi wlewały się do wielkiej rzeki Hamilton. Na to, żeby tama mogła działać, potrzebne jej były tylko prądnice i cały wysiłek przedsiębiorstwa, wsparty kilkuset sztukami ciężkiego sprzętu, koncentrował się na tym odcinku nasypu.

Skutek był, przynajmniej dla mnie, zaskakujący. Odcinek gotowego nasypu, wyrównany jak szosa, kończył się nagle stertami żwiru albo urywał w nie zasypnym trzęsawisku. Na wpół ukończone przekopy były usiane kamieniami po wysadzaniu skał, a cały nasyp zastawiony ciężkimi maszynami, które po ciemku były śmiertelną pułapką.

Gdzieś około północy wiatr ustał i zaległa niesamowita cisza - cisza, która miała w sobie coś wrogiego. A potem zaczął sypać śnieg, opadając łagodnie dużymi płatkami, które były mokre i lepkie. Ciemność dokoła mnie przemieniała się z wolna w widmową biel i znowu urwał się ukończony nasyp, i musiałem brnąć przez wyboiste zwały piasku trzymając się raczej instynktem niż wzrokiem otwartej przesieki wyrąbanej w lesie spycharkami.

Niedługo potem grunt urwał się znowu raptownie i zjechałem w błoto rozpadliny, w której sterczała blacha falista nie dokończonego kanału, niczym zbiegłe kości olbrzymiego wieloryba. Był tu mszar i wiedziałem, że jest beznadziejne próbować przejść przezeń po ciemku. Zmęczony i zziębnięty zatrzymałem się na chwilę, po czym zawróciłem ku haliźnie, którą zauważyłem w białej ścianie sosen, i odnalazłszy ją zeszedłem z nasypu, niejasno świadom, że znajduję się na jakiejś drodze.

Jednakże droga ta była niewiele lepsza od nasypu. Pod stopami czułem miękką ziemię schodząc w to samo płytkie zagłębienie, które wymagało przekopania kanału przy budowaniu nasypu. Na tle śniegu ciemniały plamy wody i kiedy z pluskiem przez nie brnąłem, słyszałem ciche trzeszczenie cienkiego jak papier lodu, który już się utworzył na powierzchni. A dalej było błoto, gęste, lepkie i czarne, porznięte głębokimi koleinami w miejscach, gdzie przeszły spycharki.

Jednakże grunt pod błotem był twardy i zamarznięty, i kiedy przebyłem najgorszy kawałek, a koleiny wciąż nie znikwały, zrozumiałem, że natrafiłem na odcinek starej Drogi Przewozowej. Stopniowo powierzchnia twardniała, w miarę jak teren się podnosił, koleiny zniknęły, okolica była bardziej otwarta, a drzewa karłowate. Miałem trudności z utrzymaniem się mego szlaku i w ciągu paru minut dwukrotnie zawędrowałem w gęste zarośla, gdzie śnieg strącany z gałęzi przemoczył mnie na wylot. Byłem już bardzo zmęczony, zmąty miałem

stępione. Rączka mojej walizki była jak lodowaty kant kawałka stali i wrzynała mi się w zeszywniałe palce, a od za dużych butów porobiły mi się pęcherze, które paliły mnie bólem odmrożenia.

Kiedy znów zgubiłem szlak, dałem za wygraną, zrobiłem sobie posłanie z gałęzi świerkowych i położyłem się, aby poczekać na świt. Mówiłem sobie, że wtedy pójdę dalej - kiedy odpocznę i będę coś widział. Pot na moim ciele był lodowaty, ale nie dbałem o to czując ogromną ulgę, że mogę leżeć nie czyniąc żadnego wysiłku.

Śnieg padał miękko, ale nie było mi już zimno, a cisza była przemożna. Zdawało się, że na całym świecie nie ma żadnego odgłosu, tak iż miałem wrażenie, że słyszę opadające płatki.

Nie zamierzałem spać, ale z chwilą, kiedy się tak odprężyłem, nic nie mogło już powstrzymać mnie od zaśnięcia. Śnieg szeptał cicho, ja zaś leżałem, jakby unosząc się w białym, mrocznym świecie, póki świadomość nie poczęła odpływać z mego odrętwiałego mózgu.

Możliwe, że dosłyszałem samochód i że to właśnie mnie obudziło. A może uczynił to blask reflektorów. Otworzyłem nagle oczy i stwierdziłem, że wpatruję się w sosnę oświetloną niczym gwiazdkowa choinka, a jakiś głos powiedział:

- Pewnie pan musi być Ferguson.

Siadłem wtedy, jeszcze otumaniony zimnem i snem, niezupełnie pewien, gdzie jestem. Wtedy ujrzałem nasyp i drzewa całe pokryte śniegiem, i stojącego nade mną człowieka, czerniejącego na tle reflektorów. Był niski, rozłożysty, o ciele karła, pogrubionym przez wywatowaną parką, i moją pierwszą myślą było, że to nie jest ani Lands, ani Laroche. Tego człowieka nie widziałem nigdy dotąd. Twarz miał kanciastą i pobrużdżoną, barwy wyprawionej skóry, a krzaczaste brwi oblepione śniegiem, kiedy pochylał się spoglądając na mnie przez okulary bez oprawki.

- Ładny mam z panem bal - mruknął i wyciągnąwszy rękę pomógł mi wstać. - Jeździłem szukając pana wzdłuż całego nasypu, aż po Stalową Głowicę. Wracalem Drogą Przewozową, na wszelki wypadek.

Wymamrotałem podziękowanie. Ciało miałem tak zeszywniałe z zimna, że ledwie mogłem ustać na nogach. Drętwota stępiła ból wywołany przez pęcherze na stopach.

- Chodź pan - powiedział biorąc moją walizkę. - W wozie mam grzejnik. Będzie pana bolało jak cholera, ale niedługo pan odtaje.

Była to półciężarówka, skołatany wrak z jednym błotnikiem urwanym, cała oblepiona błotem i śniegiem. Pomógł mi wsiąść i w chwilę później podskakiwaliśmy już i ślizgali się na

wybojach między drzewami rosnącymi wzdłuż drogi, a grzejnik aż huczał wydzielając gorąco, które było udręką dla mego zmarzniętego ciała. Twarz mojego towarzysza była kanciasta i twarda w odbłasku reflektorów. Nie był już młody, a spiczastą czapkę miał dziwacznie ozdobioną pękiem barwnych znaczków.

- Pan mnie szukał, tak? - zapytałem, a kiedy kiwnął głową, domyśliłem się, że Lands musiał się z nim skontaktować. - W takim razie pan jest Darcy - powiedziałem.

- Ray Darcy - mruknął nie odrywając oczu od drogi. Jechał szybko, wóz ślizgał się na zakrętach, które mknęły ku nam w białym blasku. - Bili spodziewał się, że pana znajdę gdzieś koło Mili Dwieście Pięćdziesiąt.

- Więc pan się z nim widział? - spytałem.

- Jasne, że tak.

- A z Laroche'em? Też tam był?

- Laroche? - spojrzał na mnie szybko. - Nie, Laroche'a nie widziałem.

- Ale on tam był, prawda? W Stalowej Głowicy.

- Tak mi mówili. I dodał: - Odpocznij pan teraz i prześpij się trochę. Pewnie pan jest już prawie wykończony.

Jednakże to był człowiek, do którego brnąłem przez noc. Okoliczności zetknęły nas ze sobą i mimo zmęczenia nie miałem zamiaru zmarnować tej okazji.

- Czy Lands mówił panu, dlaczego tu jestem? - zapytałem. - Czy powiedział o tej wiadomości, którą odebrał mój ojciec?

- Aha. Mówił mi.

- I pewnie powiedział też, że jestem wariatem, jeżeli uważam, że Briffe może jeszcze żyć?

- Nie. Tak nie powiedział.

- Tylko jak? - spytałem.

Znowu to szybkie spojrzenie z ukosa.

- Po pierwsze powiedział, że pan jest wnukiem Jamesa Finlaya Fergusona. - Przeprowadził wóz przez błoto długiego esowatego zakrętu. - A to na mój rozum jest równie dziwne jak pomysł, że Briffe mógł nadać wiadomość.

- Co w tym takiego dziwnego? - spytałem zastanawiając się, dlaczego wszystko stale wraca do wyprawy Fergusona. - Po prostu zbieg okoliczności. - Od gorąca grzejnika ogarniała mnie senność.

- Diabelnie dziwny zbieg okoliczności. - Powiedział to prawie ze złością.

- Wyjaśnia zainteresowanie mojego ojca wyprawą Briffe'a.

- Jasne. Ale nie wyjaśnia pańskiej obecności.

Nie rozumiałem, co chce przez to powiedzieć, a byłem zbyt senny, żeby pytać. Oczy mi się kleiły. Moje myśli powędrowały z powrotem do wyprawy Fergusona. Gdybym mógł się dowiedzieć, co się wtedy stało!

- Perkins mówi, że pan więcej wie o Labradorze niż ktokolwiek na tej linii. - Głos miałem chrapliwy i niewyraźny. - Właśnie dlatego przyjechałem na północ... żeby pana odnaleźć i zapytać...

- Idź pan spać - odparł. - Pogadamy później.

Oczy miałem zamknięte, oblewały mnie fale zmęczenia.

Ale w tej chwili wóz wpadł w poślizg i kiedy Darcy go wyprowadzał, szarpnięcie przywróciło mi świadomość.

- Pan wie, co się wtedy zdarzyło, prawda? - zapytałem chrapliwie. - Ja muszę wiedzieć, co się stało z moim dziadkiem.

- Czytałem o tym, mówiąc ściśle. - Obrócił głowę i spojrzał na mnie. - Jak to, więc pan naprawdę nie zna historii tej wyprawy?

- Nie - odrzekłem. - To właśnie jest przyczyna, dla której chciałem się skontaktować z panem; to i fakt, że pan przywiózł stamtąd Laroche'a.

Popatrzył na mnie.

- Cholera jasna! - powiedział. - To chyba jest najdziwniejsze w całym tym interesie.

- Ale co?

- To, że pan nie wie. - Wpatrywał się we mnie tak, iż zjechaliśmy na skraj drogi, a obsypane śniegiem gałęzie zamiotły po pękniętej szybie przedniej. Wyprowadził wóz z powrotem na środek i powiedział: - Teraz niech pan odpocznie. Będziemy mieli później masę czasu na gadanie,

- Ale co się wtedy stało? - zapytałem.

- Mówię panu, żeby pan odpoczął. Porozmawiamy o tym później. - A potem dodał: - Muszę trochę pomyśleć. - Powiedział to do siebie, nie do mnie. A kiedy próbowałem go dalej wypytywać, obrócił się z gniewem i rzekł: - Teraz pan się nie nadaje do rozmowy. Ani ja. Całą noc ganiałem za panem i jestem zmęczony. Idźże pan spać.

- Ale...

- Idź pan spać - nieomal krzyknął na mnie. - Psiakrew, jak pan chce, żeby prowadził wóz, kiedy pan mi wciąż zadaje pytania? - A potem, łagodniejszym tonem: - Niech pan posłucha mojej rady i prześpi się, póki można. Pomówię z panem, kiedy będę na to gotowy, nie wcześniej. Dobrze?

Kiwnąłem głową, niepewien, co ma na myśli. Zresztą czułem się nazbyt zmęczony, żeby się spierać. Przebyłem długą drogę i odnalazłem człowieka, który w moim przekonaniu mógł mi pomóc. Oczy zamknęły mi się same i świadomość gdzieś odpłynęła. Uniosłem się jakby na morzu wybojów kołysząc się i chwiejąc w takt równego warkotu motoru. A kiedy znów otworzyłem oczy, już zaczynało świtać i wjeżdżaliśmy między baraki jakiegoś obozu.

- Dwieście Sześćdziesiąt Trzy - powiedział Darcy widząc, że się obudziłem.

Miejsce to wyglądało surowo i ponuro w zimnym przedrannym świetle, drewniane budynki stały posępne i czarne na tle śniegu. Był to nowy obóz, zabudowany na stoku ponad nasypem, a jego teren został dopiero niedawno oczyszczony buldożerami w puszczy. Wielkie sagi popiłowanych bierwion leżały przed każdym barakiem, a dookoła całego obozu widniały porąbane gałęzie i wy-karczowane drzewa.

Wjechaliśmy na nierówny grunt i zatrzymaliśmy się przed barakiem stojącym nieco na uboczu.

- Zwykle jestem lepiej zorganizowany - powiedział Darcy zgniewając naręcze dREW i popychając drzwi - ale siedzę tu dopiero od paru tygodni.

Podszedł do stojącego w głębi piecyka i nakładł doń dREW. Zajmował tylko część baraku - małą gołą izbę, gdzie były dwa żelazne łóżka, kilka półek z książkami, szafki ściennie i duża szafa z potrójnej dykty. Przypomniało mi to barak wojskowy, a błoto na podłodze wskazywało, jak tu będzie na dworze, kiedy śnieg stopnieje. Duża lśniąca nowością lodówka stała pod jedną ze ścian wyglądając tu dziwnie nie na miejscu. Izba wydawała się odrapana i posępna w wątlYM świetle sączącym się przez brudne okna, ale było w niej ciepło, a płomienie, które wychynęły wierzchem piecyka, kiedy Darcy otworzył popielnik, zamigotały na gołych deskach ścian stwarzając złudzenie przytulności. Wisiało tu też kilka obrazów olejnych przedstawiających Labrador: widok na rzekę, cały w szarościach i czerniach, studium sosen w śniegu oraz grupka mężczyzn wokół obozowego ogniska, wyglądająca tak beznadziejnie i samotnie, że przypomniła mi Briffe'a.

- To pan malował? - spytałem. Obrócił się i zobaczył, że patrzę na ów obraz z ogniskiem.

- Aha. Wszystko moja robota. - I dodał: - Takie pacykowanie. - Widziałem jednak, że tak nie myśli, bo patrzył na obraz z samokrytyczną uwagą. Podchodził do tego poważnie; rzekł z wolna: - To jest chyba najlepsze ze wszystkiego, co zrobiłem. Podoba się panu?

- Niewiele się na tym znam - wymamrotałem nieporadnie. - Robi wrażenie jakiegoś zagubienia i zimna...

- Tak powinno być - odparł niemal szorstko, poczym z brzękiem zamknął klapę piecyka. - No, dobra: teraz zrzuć pan to mokre ubranie i rąbnij się spać. Może pan położyć się na tym łóżku - skinął głową w stronę tego, które nie było zasłane. - Przykro mi, że nie mogę panu dać łyknąć czegoś mocniejszego, ale alkohol jest zakazany na linii. Za dużo tu alkoholików. Zresztą i tak przyjdzie pan do siebie. Potrzeba panu tylko ciepła i snu. Z mojego ubrania dobywała się para. Usiadłem na łóżku. Poczułem się nagle bardzo zmęczony - nazbyt zmęczony, by zrzucić odzież czy uczynić cokolwiek poza siedzeniem bez ruchu.

- Muszę z panem pomówić - powiedziałem, a mój głos zabrzmiał bełkotliwie.

- Później - odparł.

- Nie, teraz - rzekłem z wysiłkiem. - Później przyjdzie tu Laroche. I Lands. Jeżeli nie pomówimy teraz, będzie za późno.

- Już panu powiedziałem i jeszcze raz powtarzam, że porozmawiam z panem, kiedy będę gotów, nie przedtem. Dobrze? - Odwrócił się raptownie i odszedł w kąt za piecykiem. - Nie musi pan się martwić Laroche'em czy kim innym - dodał przez ramię. - Przynajmniej jeszcze przez kilka godzin. Tutaj nie ma lądowiska, będą musieli przyjechać jeepem, a wyruszą dopiero po śniadaniu. - Wrócił niosąc parę wysokich butów gumowych. Niech pan teraz zdejmie ubranie i położy się. Jest pan zupełnie skonany. - Sięgnął nade mną do półki wiszącej nad łóżkiem i zdjął z niej zielone blaszane pudełko. - No, prześpij się pan. Wrócę za jakąś godzinę.

Szedł już do drzwi, więc zerwałem się na równe nogi.

- Gdzie pan idzie? - zawołałem.

- Na ryby. - Obrócił się i spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

Nie wydawało się możliwe, żeby wybierał się na ryby nie zmrużywszy oka przez całą noc. Nie wiem czemu, ale przybywszy z tak daleka, żeby się z nim zobaczyć, uważałem za rzecz oczywistą, że będzie po mojej stronie, a oto teraz nagle przestałem być tego pewny. Gdzieś w tym obozie było radio. Mógł porozumieć się z Landsem w Stalowej Głowicy, a prawdopodobnie i ze Staffenem w bazie głównej.

- Jakie panu dali instrukcje co do mnie? - spytałem go.

Sięgnął do wieszaka na ścianie i zdjął z niego wędkę w zielonym brezentowym futerale, po czym obrócił się do mnie.

- Posłuchaj no, młodzieńcze - powiedział. - Jeżeli mówię, że idę na ryby, to idę na ryby. Zrozumiano? - Głos mu drżał, a oczy patrzyły na mnie gniewnie zza okularów bez oprawki. - Nie próbuj pan nigdy wątpić w moje słowa. Tego nie lubię.

- Przepraszam - mruknąłem. - Tylko po prostu pomyślałem...

- Pomyślał pan, że porozumiem się z Landsem, tak? - Wciąż wpatrywał się we mnie. -
No więc nie. Idę na ryby. Jasne?

Kiwnąłem głową i opadłem na łóżko.

- Bo to mi się wydało takie dziwne - wymamrotałem.

- Dziwne? - Jego ton był nadal wojowniczy. - Co jest w tym dziwnego, że ktoś idzie
na ryby?

- Czy ja wiem - mruknąłem usiłując wymyślić coś, co by go udobruchało. -
Przypuszczałem, że panu też potrzeba trochę snu.

- Nie jestem dzieckiem - warknął - i nie potrzebuję dużo spać. A łowienie ryb pomaga
mi w myśleniu - dodał. Potem uśmiechnął się i ów podmuch gniewu, który nim targnął, jakby
nagle przeleciał. - Pan nie jest amatorem rybołówstwa, co?

Potrząsnąłem głową.

- To pan nie może wiedzieć. To jest jak malowanie; pomaga. Człowiek potrzebuje
tutaj takich rzeczy. - Patrzył na mnie przez chwilę. - Pan jeszcze nie zna wielu spraw -
powiedział łagodnie. - Nie wie pan, co to jest życie w takim zapomnianym przez Boga kraju
jak Labrador. Siedzę tu od dwóch lat - potrząsnął głową jak gdyby nad własnym szaleństwem.
- Przyjechałem na miesiąc, żeby łowić ryby, na coś w rodzaju rekonwalescencji, a nie
ruszyłem się stąd od tamtej pory, nawet do Seven Islands. A to kawał czasu. - Odwrócił się. -
O Jezus! Kawał czasu. - Patrzył teraz przez okno na obóz i okolicę poza nim. - To coś robi z
człowiekiem. - Po chwili spojrział znów na mnie z uśmiechem. - Na przykład sprawia, że jest
się chybkiem do urazy, kiedy jakiś młody głuptas wątpi w nasze słowo. - Potem dodał
szorstko: - Prześpij się pan. I niech pana głowa nie boli o to, co ja zrobię. Po prostu pójdę
nasympem aż do rzeki, i jeżeli mi się poszczęści, wrócę z ouananishem, a może i z jakim
pstrągiem. W porządku?

Kiwnąłem głową. - Ja tylko chciałem, żeby pan wysłuchał, co mam do powiedzenia,
zanim pan cokolwiek zrobi.

- Jasne. Rozumiem. Ale jest masa czasu. - Podeszedł do drzwi i otworzył je. - Wrócę za
jakieś dwie godziny. - Po czym zniknął zamykając za sobą drzwi, ale choć już go nie było,
coś z jego osobowości pozostało na dal w tym gołym pokoju.

Siedziałem długo, zastanawiając się nad nim. Jednakże zmęczenie stopniowo wzięło
górnę, więc ściągnąłem ubranie i wsunąłem się do łóżka. Koce były szorskie i ciepłe w dotyku.
Nie dbałem o to, że pachniały zatęchłe brudem. W owej chwili nie dbałem o nic. Byłem rad,
że znalazłem kogoś, kto miał do Labradoru taki stosunek jak mój ojciec, a chociaż Darcy był
taki dziwny i choć go się trochę bałem, czułem, że mi pomoże - i zamknąwszy oczy usnąłem

mając w myślach obraz twardego, niskiego mężczyzny, stojącego po kolana w zimnej rzece i zarzucającego wędkę długimi, wytrawnymi rzutami.

Kiedy się obudziłem, stał nade mną, a słońce wpadało przez okno.

- Lubi pan łososia? - zapytał.

Siadłem na łóżku.

- Łososia?

- Jasne. Przyniosłem panu łososia. Śródlądowego łososia. Indianie nazywają go ouananish. - Przysunął krzesło i postawił na nim duży talerz, położył widelec i nóż, i kawałek chleba. - Złapałem dwa. Jednego zjadłem razem z chłopakami. Część drugiego dostanie pan. Ściśle wbrew przepisom obozowym. Nie wolno gotować żadnych ryb. Jeżeli ich się właściwie nie ugotuje, można dostać solitera. Miał pan kiedy solitera?

- Nie.

- To pan ma szczęście. Człowiek je wtedy jak koń, ale w ten sposób karmi swojego solitera, nie siebie, więc wciąż chudnie.

Szukał czegoś w biurku stojącym w kącie i wrócił z arkuszem papieru wykresowego. Za przepierzeniem, w drugiej połowie baraku, rozległy się jakieś głosy oraz szuranie butów.

- Lucy! - zawołał. - Chłopaki gotowe?

- Oui, oui. Wszystko w porządku, Ray.

- Muszę ich wyprawić do niwelowania nowego odcinka nasypu - wyjaśnił obracając się do mnie. - To potrwa z godzinę. Potem wybierzemy się w północnym kierunku, aż do mostu. Ja sobie trochę połowię, a pan mi opowie swoją historię. - Jego oczy błysnęły do mnie zza okularów. - I wtedy zobaczymy. Może pójdziemy pogadać z Mackenzie.

Z tymi słowami odwrócił się i wyszedł. Drzwi zamknęły się, a ja po chwili zabrałem się do jedzenia pierwszego w życiu ouananisha. Był on jędrny, różowy, i było go bardzo dużo. - A jedząc znów rozmyślałem o Darcym, o jego malarstwie i wędkarskiej manii. „Zwariowany Dar-cy” - tak nazwał go tamten młody inżynier. Dwa lata bez przerwy, to z pewnością był kawał czasu, dość długi, żeby człowiek zdziwaczał. Przypomniałem sobie słowa Landsa i zastanowiłem się, czy Darcy ma to, co nazywali „chorobą puszczy”.

Zjadłem całą rybę, a kiedy ją skończyłem, energia znów napłynęła mi w ciało, tak że nie czułem się już zmęczony. Obok łóżka Darcy'ego stała miednica, a na klapie piecyka dymił garnek wody. Dźwignąłem się zesztyniały i umyłem stojąc nago nad miednicą. Czy miał chorobę puszczy, czy nie, ten człowiek był bliżej owego kraju niż ktokolwiek z tych, których poznałem. Ogołiłem się, usiadłem na łóżku, poprzekłuwałem pęcherze na piętach i opatrzyłem je plastrem, który znalazłem w apteczce na półce nad łóżkiem. Stały tam także

książki i fotografia w zniszczonej skórzanej ramce, przedstawiająca młodego kanadyjskiego żołnierza.

Moje ubranie obeschło już od gorąca piecyka, więc je włożyłem. A potem wróciłem do półki i książek zastana-wając się, czy coś mi powiedzą o tym człowieku. Były to głównie książki techniczne, ale znalazł się tam „Rybołów-wca doskonały” Izaaka Waltona, pojedynczy, oprawny w skórę tom Szekspira, poezje zebrane Roberta Service’a, kilka rzeczy Jacka Londona i wreszcie cztery książki, które od razu przeniosły mnie do pokoiku, gdzie ojciec miał swoje radio. Były to „Labrador” W. Cabota, dwa tomy „Zarysu geografii, życia i obyczajów Nowej Funlandii - Labradoru” V. Tannera oraz mała, cienka książka pod tytułem: „Labrador - W poszukiwaniu prawdy” Henri Dumaine’a.

Książkę Tannera znałem. Często, będąc dzieckiem, oglądałem ilustracje w owych dwóch tomach. I książkę Cabota również - stała ona na półce ojca. Natomiast książka Dumaine’a była dla mnie czymś nowym, toteż wziąłem ją, otworzyłem i zacząłem na chybił trafił przerzucać kartki. Była to niezbyt dobrze napisana relacja z podróży na Labrador. Rzuciłem okiem na kartę tytułową. Książkę wydała firma z Toronto w roku 1905; sądząc, że może znajdę w niej jakąś wzmiankę o wyprawie dziadka, zacząłem uważnie przeglądać wszystkie stronicę od początku.

Wzmiankę taką znalazłem niemal natychmiast, u dołu piątej strony. Było tam napisane: „Tak więc dnia 15 czerwca 1902 roku statek przywiózł mnie do Davis Inlet i tamtejszej placówki Kompanii Hudsonskiej. Nareszcie znalazłem się w punkcie wyjściowym wyprawy Fergusona...”

Zapatrzyłem się w to zdanie nie wierząc własnym oczom. Tutaj, w tym baraku w Obozie 263, natrafiłem na książkę, która mogła mi dopomóc. Od tej chwili pozeralem oczami wydrukowane słowa i o kilka wierszy dalej przeczytałem: „Stojąc tam i patrząc na ową placówkę, tak czystą i schludną w zimnym świetle słonecznym, z czerwonymi dachówkami budynków połyskującymi od deszczu, który właśnie przeleciał, ze ścianami z desek lśniącymi świeżą warstwą białej farby, myślałem o Pierre. Tu właśnie biedak powrócił - sam jeden. Myślałem też o mojej żonie, Jacqueline, i o tych wszystkich nadziejach, które wiązała z moją obecną podróżą. Była u łoża śmierci swojego brata i słuchała ostatnich dziwnych majaczeń umysłu zmaczonego tragedią, która się wydarzyła, oraz wszystkimi strasznymi przejściami. Wówczas odwróciłem się od placówki i ponad wodą spojrzałem na wzgórza Labradoru. Wtedy to po raz pierwszy odczułem działanie tego pustego kraju i dziwny lęk przed nim, albowiem gdzieś za czarną linią owej wyżyny leżała prawda. Gdybym ją zdołał odnaleźć,

może potrafiłbym oczyścić imię tego człowieka od nikczemnych oskarżeń, które mu tak omroczyły ostatnie godziny życia i przyczyniły się tak bardzo do stanu jego umysłu”.

Potem zacząłem szybko przerzucać stronicę szukając jakiegoś wymienienia owych oskarżeń, jakiejś wskazówki, co miało się stać z moim dziadkiem. Jednakże Henri Dumaine najwyraźniej uznawał za oczywiste, że jest to czytelnikowi wiadome, bo nie mogłem już znaleźć żadnego napomknięcia na ten temat. Strona za stroną była wypełniona dosyć smętnym opisem jego żmudnej wędrówki starym indiańskim szlakiem do Naskopie. Miał ze sobą dwóch Metysów z wybrzeża i było jasne, że ani on, ani oni nie mieli większego pojęcia o życiu w puszczy. Nękani przez nieszczęścia, które w znacznej mierze wynikały z ich własnej winy, dotarli 19 lipca do jeziora Cabot. Potem ruszyli na południe przez jezioro Michikamau i w końcu skręcili na zachód, ku Ashuanipi.

„Tu natrafiliśmy na obóz Indian z plemienia Montagnais, oczekujących nadejścia karibu, i szczęście nam dopisało, bo właśnie w tym miejscu minął ich przed dwoma laty samotny biały człowiek, udający się w stronę wielkiego jeziora Michikamau. Miał canoe, ale zapasy widać mu się kończyły, bo unikał Indian, oni zaś z jakiejś przyczyny bali się zbliżyć do niego, tak że nie potrafili wiele mi o nim powiedzieć prócz tego, że odzież miał podartą, a stopy obwiązane paskami brezentu i że mówił do siebie, jak gdyby gwarząc z jakimś niewidzialnym duchem. Pokazali mi miejsce, gdzie obozował nad rzeką. Było tam trochę kości karibu, a w pobliżu miejsca, gdzie rozpałił ognisko, leżał niewielki stosik nabojów, których natłuszczone opakowanie częściowo się rozpadło.

Nie miałem już wątpliwości, że było to jedno z miejsc, gdzie szwagier mój obozował w drodze powrotnej, a owe naboje, tak lekkomyślnie porzucone, świadczyły, że jego położenie było już rozpaczliwe. Było jasne, że znajdujemy się jeszcze w pewnej odległości od punktu, gdzie śmierć dosięgnęła pana Fergusona, więc zapytałem Indian, czy słyszeli o jeziorze, którego szukałem. Opisałem je im tak, jak to często czynił Pierre w swoich majaczeniach. Nie znali jednak owego jeziora, a oczywiście nazwa nadana mu przez Pierre’a nic im nie mówiła, toteż odeszliśmy zostawiając im dwie paczki herbaty i woreczek mąki - wszystko, co mogliśmy odstąpić z naszych zapasów. Potem zaś ruszyliśmy na południe, wzdłuż Ashuanipi, szukając przez cały czas...”

Drzwi za mną rozwarły się raptownie i obróciwszy się ujrzałem Darcy’ego.

- Gotowe? - zapytał niecierpliwie, jak gdybym kazał mu na siebie czekać. A potem spostrzegł książkę, którą trzymałem w ręku. - Aha, więc pan to znalazł. - Wszedł do środka i zatrzasnął drzwi. - Zastanawiałem się, czy pan znajdzie. - Wyjął mi książkę z ręki i zaczął od niechcenia przerzucać kartki. - Nudziarstwo - rzekł - ale interesujące, jeżeli się zna ten kraj.

- Albo wie, co się stało - dodałem.

- Z Fergusonem? - spojrzał na mnie szybko. - Tego nikt nie wie.

- W takim razie, jeżeli się wie, co jakoby się stało - poprawiłem sam siebie. - Na stronie piątej... - wziąłem książkę z jego rąk i wskazałem wiersz, gdzie była mowa o „nikczemnych oskarżeniach”. - Co to były za oskarżenia? - zapytałem. - Tamten był szwagrem Dumaine[^]. Tak tu jest napisane. Kto go oskarżał i o co?

- Do licha! - wykrzyknął wpatrując się we mnie. - To dopiero cholerna historia! Przyjeżdża pan tyli kawał drogi, tutaj, do tego obozu, gdzie pan jest nie dalej niż o jakieś pięćdziesiąt mil od miejsca, w którym zginął pański dziadek, i mówi pan, że pan nie zna tej historii.

- No więc nie znam - odparłem. - Przyjechałem tu ze względu na Briffe'a.

- Ze względu na Briffe'a, czy na to, że Laroche rozbił swój samolot na tym samym terenie?

- Ze względu na Briffe'a - powtórzyłem. Obserwowałem jego twarz zastanawiając się, czy i on także odgadł, gdzie rozbił się samolot. Znowu rzuciłem okiem na książkę. Przejrzałem dopiero dwie trzecie jej. - Czy Dumaine dotarł do Jeziora Lwa?

- A, więc pan wie o Jeziorze Lwa, tak?

- Tak, ale nie wiem, co tam się zdarzyło.

- No, jak już panu mówiłem, nikt tego nie wie na pewno. Dumaine nigdy nie dotarł poza Ashuanipi. - Wyciągnął rękę i odebrał mi książkę. - Jacyś Indianie pokazywali mu obóz samotnego białego człowieka nad brzegiem rzeki, a potem znalazł jeszcze dwa. Ale to było wszystko. - Jego siwiejąca głowa pochylała się nad książką, a krótkie, spękane od wiatru palce przerzucały poprzednie kartki. - Biedaczysko, strawił przeszło miesiąc na poszukiwaniu tego jeziora - mruknął. - A przez cały czas powinien był wiać z tego kraju. - Sprawdzał coś w pierwszych rozdziałach książki. W końcu powiedział: - Wielkie mrozy nadeszły na długo, zanim dotarli do Davis Inlet. Gdyby nie ci Metysi, nigdy nie wyszedłby z życiem. - Zamknął z trzaskiem książkę i odstawił ją na półkę. - Cała ironia polega na tym - dodał patrząc na mnie ciekawie - że do Davis Inlet przybyła tego roku pewna kobieta, która wędrowała sobie po Labradorze, jakby to były jej ojczyste szkockie mokradła. Miała ze sobą trzech traperów, którzy znali kraj, i przemierzyła te same obszary, co Dumaine, a wydostała się z nich rzeką Hamilton i przez placówkę North-West River, w tak samo świetnej formie, jak kiedy wyruszała. Ja jednak nie chciałem dać się skierować na boczny tor.

- A ten człowiek, który towarzyszył mojemu dziadkowi? - zapytałem. - Dumaine mówi o nim tak, jak gdyby był obłąkany. „Umysł zmacony tragedią, która się wydarzyła”, powiada. Z jakiego powodu zwariował?

Darcy wzruszył ramionami i obrócił się do piecyka.

- Nie może pan dać mi jakiegoś pojęcia o tym, co się stało? - nalegałem, a kiedy nie odpowiadał, dorzuciłem: - Przynajmniej musi pan wiedzieć, jakie to były oskarżenia. O co go oskarżano?

Stał pochylony nad rozpalonym do czerwoności piecykiem, ale obrócił się do mnie i powiedział:

- Oskarżono go o zamordowanie pańskiego dziadka. - Po czym dodał szybko: - Niczego nie udowodniono. Nikt nie wie, co się zdarzyło. Było to szaleńcze oskarżenie, które powstało wskutek...

- A kto go oskarżał? - spytałem.

Zawahał się, po czym odrzekł:

- Ta kobieta, o której mówiłem. Aleksandra, młoda żona Fergusona. - Wpatrywał się we mnie marszcząc brwi ze zdumieniem. - Przecież pan musi wiedzieć przynajmniej o tym. Do diabła, to była pana rodzona babka.

- A potem, kiedy uświadomił sobie, że i to jest dla mnie nowością, potrząsnął głową i obrócił się do piecyka. - Gazety przypięły się do niej i wydrukowały różne bzdury. A nie napisali nic nowego. Było dużo gadania, kiedy tamten nieszczęśnik wrócił sam jeden mając coś o złocie i o jeziorze ze skałą w kształcie lwa. Z tego, co się słyszało, był wtedy niespełna rozumu.

- Więc mój dziadek poszukiwał złota, tak? - Przypomniałem sobie, co mi o nim mówiła matka.

- Jasne. Chyba pan sobie nie wyobraża, żeby taki wytrawny poszukiwacz, jak Ferguson, udał się na Labrador dla dobra własnej duszy, co? - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Ta pańska babka, to musiała być niezwykła kobieta. Czy pan jej w ogóle nie znał?

Wyjaśniłem mu, jak przestaliśmy jeździć do tamtego domu w Szkocji, kiedy matka zastała ją owego wieczora rozmawiającą ze mną w moim pokoju. Kiwnął głową.

- Może pańska matka miała rację. A jednak mimo to jest pan tutaj. Dziwne, nie? - Po czym wrócił do tematu mojej babki. - To byłoby niezwykle nawet dzisiaj. Pan oczywiście nie może zrozumieć... na razie. Wszystko, co pan widział na Labradorze, to kolej w budowie. Ale niech pan tylko oddali się od obozów i nasypu, to kraj okaże się zupełnie inny; taki, z którym trzeba się liczyć.

- Tak; ziemia, którą Bóg dał Kainowi - powiedziałem bez namysłu, powtarzając słowa Farrowa.

Popatrzył na mnie trochę zaskoczony.

- Aha, właśnie. Ziemia, którą Bóg dał Kainowi. - A sposób, w jaki to powiedział, nadał owym słowom znaczenie, które mnie zmroziło.

- Czy moja babka dotarła do Jeziora Lwa? - zapytałem.

- Bóg wie - odparł. - Ale jeżeli tak, to trzymała język za zębami, bo w sprawozdaniach prasowych nie ma o tym wzmianki. Ale musiała udać się ich szlakiem i do brnąć dalej niż Dumaine albo też dostać się tam pierwsza, bo wróciła z zardzewiałym pistoletem, sekstansem i starym mapnikiem, rzeczami, które należały do jej męża. Kazała to wszystko sfotografować, ale nigdy nie opublikowała swojego dziennika, choć przyznawała, że go prowadziła. Myślę, że byłaby go wydrukowała, gdyby odnalazła ostatni obóz męża. Nie wie pan, czy ten dziennik jeszcze istnieje?

- Nie wiem - odrzekłem. - Widziałem pistolet, sekstans i mapnik. Wisiały na ścianie w pokoju ojca. Był tam także kawałek wiosła i stara czapka futrzana. Ale nigdy nie słyszałem o dzienniku.

- To szkoda - mruknął. - Byłoby interesujące poznać podstawy jej oskarżeń. Przebywała w puszczy trzy miesiące i przez cały czas szła szlakiem swojego męża. Myślę, że te trzy samotne miesiące, to było aż nadto czasu, żeby grot przeniknął do jej duszy. - Podszedł do piecyka i wyciągnął ręce do jego żelaznej obudowy, aby je ogrzać. - Najdziwniejsze jest to, że Dumaine ani razu nie wspomina o niej w swojej książce. A przecież obie grupy wyruszyły z Davis Inlet w ciągu paru dni jedna po drugiej i znajdowały się na tym samym obszarze. Ciekawe, czy się kiedyś spotkały - mruknął. - Jeżeli nawet Dumaine nigdy nie zetknął się z nią twarzą w twarz, to przecież musiał natrafić na ślady jej wyprawy. A jednak nigdzie o niej nie wspomina. W całej książce nie ma ani jednej wzmianki o pani Ferguson.

- To wcale nie jest dziwne - odrzekłem - zważywszy, że oskarżała brata jego żony o morderstwo.

- Ano, może i nie. Ale, rozumie pan, ona tego nie mówiła tak wyraźnie. No i była ta cała gadanina... - Znowu zapatrzył się w piecyk. - Dziwna historia - mruknął jakby do siebie. - Ci dwaj ludzie... myślałbym, że będzie właśnie odwrotnie.

- Jak to? - spytałem.

Wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem. Pewnie to sprawa charakteru. Dużo o tym myślałem, odkąd tam byłem. Niech pan weźmie Fergusona. - Wpatrywał się w piecyk. - Przyjechał tu jako chłopak na

statku imigracyjnym i wyruszył na zachód, na praktykę w jednej z placówek Kompanii Hudsonskiej. W kilka lat później był w Cariboo. Chyba to tam połknął robaka złota, bo przemierzył całe Cariboo aż do Dawson City podczas gorączki złota w latach dziewięćdziesiątych. - Potrząsnął głową. - Musiał być twardy gość.

A tamten drugi? - spytałem.

Pierre? - odrzekł szybko. - Pierre był całkiem inny; człowiek puszczy, traper. Dlatego właśnie to jest takie dziwne.

Nie powiedział nic więcej, więc zapytałem go, skąd to wszystko wie.

- To jest w książce Dumaine'a, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. Dumaine miał sklep w małym mieście w Ontario. Nie rozumiał puszczy, więc nigdy nie zadawał sobie trudu, żeby zanalizować cechy osobowości tych dwóch ludzi. Jego książka jest nudną inwentaryzacją codziennych utrapień człowieka, którego żona namówiła na wyprawę przekraczającą jego możliwości.

- To skąd pan wie o moim dziadku? - zapytałem, a on spojrzał na mnie.

- Głównie z wycinków z gazet. Miałem kogoś, kto mi je odszukiwał i przepisywał na maszynie. Może pan sobie wyobrazić, że w montrealskich gazetach była tego cała masa. Pokazałbym je panu, ale są w moim kufrze, a on jeszcze jest w Dwieście Dziewięćdziesiątce.

- Ale dlaczego pan się tak tym interesował? - zapytałem.

- Interesował? - popatrzył na mnie ze zdumieniem. - A jakże, u diabła, mogłem się tym nie interesować? - Nagle na jego pobrużdżonej twarzy pojawił się uśmiech. - Pan widać nie rozumie. Nie dlatego tu jestem, że lubię inżynierię. Nawet forsę mi nie potrzeba. Mam pięćdziesiąt sześć lat i zarobiłem dosyć pieniędzy, żeby mi starczyło do końca życia. - Obrócił się i sięgnął po rękawiczki. - Nie - dodał. - Siedzę tu, bo wgryzł się we mnie Labrador. - Zaśmiał się cicho do siebie, naciągając rękawiczki. - Tak, chyba jestem jedynym człowiekiem na całej linii, który tu jest, bo go kocha. - Znowu mówił do siebie i nagle doznałem wrażenia, że robi to często. A potem spojrzał na mnie. - Pan w ogóle coś wie o Labradorze? - zapytał.

- Mój ojciec miał dużo książek - odparłem. - Niektóre czytałem.

Kiwnął głową.

- No, to pan wie, że to wszystko jest kraj dziewiczy, nie istniejący na mapie i nie tknięty stopą białego człowieka, dopóki ludzie Hollingera nie zainteresowali się złożami rudy żelaznej przy Burnt Creek. Psiakrew, przecież dopiero cztery tysiące lat temu zaczęła ustępować ostatnia epoka lodowa. Wtedy były tu same lodowce. A zanim zaczęto powszechnie używać wodnopłatowców do badań, zaledwie garstka białych ludzi przeniknęła do wnętrza tego kraju. Kilka prymitywnych map rzek, a reszta pusta, parę takich książek jak

ta Dumaine'a o podróżach pieszo i canoe - to wszystko, co wiadano o Labradorze. Dopiero w roku 1947 rząd rozpoczął badania lotnicze. I pan mnie pyta, dlaczego się interesuję wyprawą Fergusona. Jakże, u diabła, mógłbym się nie interesować, jeżeli mam taki stosunek do tego kraju? - Potem dodał nieomal z gniewem: - Pan tego nie rozumie. I pewnie pan nie zrozumie nigdy. Nikt z tych, których tu poznałem, nie czuje tego, co ja - całego posępnego, okrutnego, trudnego piękna tego kraju. Tak samo jak morze czy góry, jego pustka jest wyzwaniem, które sprowadza człowieka do właściwych wymiarów. Rozumie pan, o co mi idzie? - Popatrzył na mnie wojowniczo, jak gdyby oczekując, że będę się z niego śmiał. - Samoloty i kolej nie tknęły tego kraju - i pewno nigdy go nie tkną. Tu jest dziko - tak dziko i samotnie jak nigdzie na świecie. Czy pan wierzy w Boga? Raptowność tego pytania zaskoczyła mnie.

- No, wierzy pan?

- Nie bardzo się nad tym zastanawiałem - bąknąłem.

- Tak. Ludzie nie zastanawiają się nad tym, póki nagle nie odkryją, jak potężna jest przyroda. Zaczekaj pan, aż się znajdziesz tam, wpośród ciszy drzew, a przenikliwie zimno zamrozi ci wnętrze. Wtedy na pewno pan o Nim pomyśli, kiedy nie będzie nic oprócz pustki i samotności, i tej ogromnej ciszy, co pozostaje ciszą w naszym sercu nawet wtedy, gdy wiatr dmie jak wszyscy diabli. - Roześmiał się nieco speszony. - No, dobra - powiedział raptem. - Chodźmy. - Podszedł do drzwi i otworzył je. - Mackenzie obozuje koło mostu. Jeżeli mamy z nim pogadać, to lepiej się ruszmy. - W jego głosie zabrzmiało nagle zniecierpliwienie.

Wyszedłem za nim z baraku i wsiadłem do samochodu.

- Kto to jest Mackenzie? - zapytałem, kiedy odjeżdżaliśmy.

- Mackenzie to Indianin, ze szczepu Montagnais. Jeden z najlepszych. - Skręcił na drogę obozową. - Pracuje jako przewodnik dla geologów - dorzucił - ale teraz poluje. Może zechce panu dopomóc, a może nie.

- Dopomóc mi? Jak? - zapytałem.

- Mackenzie nigdy nie widział lwa - odparł. - To słowo nic dla niego nie znaczy. Ale widział tamto jezioro. - Jego oczy wpatrzyły się nagle w moje, a były tak wężowo błękitne, że znieruchomiałem. - Przypuszczam, że nie przyjechał pan z tak daleka, żeby siedzieć na zadku w bazie odcinka albo czekać, aż pana odesłają do bazy głównej? - Potem znów przeniósł wzrok na drogę. - W każdym razie tak postanowiłem, kiedy łowiłem ryby dziś rano: że zabiorę pana do Mackenziego. Dałem mu znać przez jednego z Indian, którzy się tu pętają, żeby na nas czekał w swoim obozie.

IV

Nie wiem, czego właściwie spodziewałem się po Dar-cym, ale zaskoczyło mnie to, iż uważał za pewnik, że będę chciał dalej zmierzać do celu, aż do logicznego zakończenia. Toteż kiedy podskakiwaliśmy na stwardniałych jak żelazo koleinach jadąc z obozu Droga Przewozową, począłem się zastanawiać nad problemami, które to nasuwało, bo przecież nie mogłem ot tak pomaszerować w puszcę z Indianinem. Potrzebowałbym zapasów, sprzętu, rzeczy, których mogła dostarczyć jedynie baza odcinkowa. Zacząłem tłumaczyć to Darcy'emu, ale on powiedział tylko:

- Pomówimy o tym, jak się zobaczymy z Mackenzie. Możliwe, że nie będzie chciał przerwać polowania. Idzie zima i polowanie jest dla niego ważne.

Jechaliśmy na północ; po chwili powiedział:

- Chyba pan zdaje sobie sprawę, że pan wywołał w bazie nieomal panikę. Nigdy jeszcze nikt im się nie wkręcił na linię, a akurat jeden z dyrektorów jest na inspekcji. Przez całą noc latały tam i z powrotem polecenia co do pana. Gdybym nie był w tym zespole czymś w rodzaju buntownika - dodał z przelotnym uśmiechem - nie miałbym z panem nic wspólnego. - Nie odpowiedziałem, więc ciągnął dalej: - Ale ponieważ się w to wdalem, myślę, że już pora, abym znał wszystkie fakty. Bili podał mi najbardziej zasadnicze, ale teraz chciałbym usłyszeć całą historię od pana.

I oto raz jeszcze począłem opowiadać o śmierci ojca i tej ostatniej wiadomości radiowej. Jednak tym razem było jakoś inaczej. Tym razem wyjaśniałem to komuś, kto mógł mojego ojca zrozumieć. Słuchał bez słowa, prowadząc samochód z zaciekłym skupieniem, mocno naciskając stopą akcelerator. Zaczęło tajać, śnieg spadał wielkimi pecynami z gałęzi sosen, a droga przemieniała się w mazię, tak że wóz ślizgał się opętańczo na zakrętach rozbryzgując błoto spod kół czarnymi płachtami.

Wciąż jeszcze mówiłem, kiedy drzewa zaczęły rzędnąć i wyjechaliśmy na brzeg rzeki, gdzie ukazał nam się most - dźwigarowa konstrukcja z wielkich sosnowych belek przerzucona przez szarą kamienistą płycizną rzeki za pomocą łomoczącego kafaru. Darcy zatrzymał wóz przy małej grupce chat, które przycupnęły tuż pod spiętrzoną kratownicą mostu; wyłączył silnik i siedział słuchając mnie, z dłońmi w rękawiczkach nadal spoczywającymi na kierownicy.

Kiedy skończyłem, nie powiedział nic, ani nie zadał mi żadnych pytań, tylko siedział dalej w zupełnym milczeniu, spoglądając na rzekę. Wreszcie kiwnął głową, jak gdyby powziął jakąś decyzję.

- Okej - powiedział otwierając drzwiczki samochodu i wysiadając. - Chodźmy łyknąć sobie kawy. Zaprowadził mnie do najdalszej chaty, gdzie pasemko dymu dobywało się z żelaznego komina. - Ostatnim razem byłem tutaj, kiedy wiozłem Laroche'a. - Kopnięciem otworzył drewniane drzwi i wszedł do środka. - Wejdz pan i zamknij drzwi za sobą. Tutejszy kucharz jest cholernie drażliwy, ale robi diablo smaczny placek z borówkami. - Powiedział to donośnym, żartobliwym głosem.

W chacie było ciepło, ławy i stół wyszorowane do czysta, rozchodził się tu swojski zapach pieczonego ciasta. Z kuchni wyszedł jakiś skwaszony, brzuchaty mężczyzna.

- Widziałem, jakeście zajeżdżali - powiedział chrapliwym szeptem stawiając na stole dwa kubki dymiącej czarnej kawy. - Częstujcie się - podsunął nam mleko w puszcze i cukiernicę.

- A gdzie placek, Sid? - zapytał Darcy.

- To chcecie i placka?

- Pewnie, że chcemy.

Kucharz otarł dłonie o fartuch na biodrach gestem znamionującym zadowolenie. Kiedy zawrócił do kuchni, Darcy rzekł:

- Sid to zupełny dziwak. Siedzi na Labradorze prawie tak długo jak ja, i z tej samej przyczyny.

- To znaczy? - zapytałem, ale on tylko potrząsnął głową, a jego oczy uśmiechnęły się do mnie znad kubka, kiedy głośno siorbał kawę. Zapytałem go więc o Laroche'a: - Mówi pan, żeście się tutaj zatrzymali w drodze do Dwieście Dziewięćdziesiątki?

- Aha, tak jest. Pomyślałem, że mu się przyda łyk gorącej kawy. A poza tym chciałem dostać koce. Ubranie miał przemoczone na wylot.

Kucharz wrócił niosąc placek z borówkami, i Darcy powiedział:

- Pamiętasz, jak tutaj byłem ostatnim razem, Sid?

- Pewnie. - Oczy kucharza nagle się ożywiły. - Był z tobą ten pilot i siedział tu, gdzie siedzisz w tej chwili, i tak dziwnie patrzył, i wciąż mamrotał do siebie. A potem raptem usnął ni stąd, ni zowąd.

- Był w kiepskim stanie.

- Pewnie, że tak. Bardziej przypominał nieboszczyka.

- Rozebrało go to gorąco - rzekł Darcy. - Nie było mu ciepło, odkąd się rozbił.

- Aha, chyba tak. Ale myślałem, że zanim go dotaszczysz do samolotu, będziesz już miał trupa. - Kucharz zawahał się. - Nie widziałem cię od tamtej pory.

- Tak. Byłem zajęty. - Darcy popatrzył przez chwilę na kucharza, po czym rzekł: - Co cię gryzie, Sid?

- Nic. Tylko tak sobie myślałem, nic więcej. - Spojrzał na Darcy'ego marszcząc brwi.
- Te jego oczy. Pamiętasz, jak skakały to tu, to tam, nie zatrzymywały się na niczym, jak gdyby mu się w głowie pomieszało. I od czasu do czasu coś mamrotał. Myślisz, że miał chorobę puszczy? - A kiedy Darcy milczał, kucharz dodał: - Ja tylko raz widziałem kogoś takiego. To było już dawno, w Sto Trzydziestce Czwórcie.

- Mario? - zapytał Darcy.

- Aha, Mario, ten włoski kucharz. Też tak strzelał oczami jak Laroche i miał tak samo wystraszoną minę, jakby się bał, że go zamordują w łóżku. Dziwny gość ten Mario - potrząsnął głową. - Ciągłe do siebie mamrotał. Pamiętasz? Wtedy tam byłeś. - Darcy kiwnął głową. - A potem poleciał goły w puszcę tamtego wieczora. No i te wszystkie głupstwa, które wypisywał na śniegu: „Chcę umrzeć” i „Nie idźcie za mną. Zostawcie mnie samego”. Całkiem jakby go ktoś prześladował.

- Ano, bo tak było. - Darcy ukrajał placka z borówkami i podsunął mi gruby kawałek.
- Ci Niemcy - dodał z pełnymi ustami - dali biedakowi diabelną szkołę. A był z niego dobry kucharz.

- Pewnie, że tak. Potem wzięli innego makaroniarza na jego miejsce i też próbowali dać mu w kość. Pamiętasz, jak ich załatwił? - Kucharz roześmiał się nagle. - „Chcecie zrobić ze mnie wariata? - tak im powiedział. - Chcecie się bawić moim kosztem? A jak wam dziś smakowała zupa? Dobra była? No więc, ja do niej naszczałem i za każdym razem, jak będziecie robić ze mnie wariata, naszczam do zupy”. Tak im powiedział, nie? I ani pisnęli. - Jego śmiech ucichł i Sid zamilkł nagle. Po chwili wrócił do tematu Laroche'a. - Myślałby kto, że kiedy facet zostawia w puszczy dwóch nieżywych ludzi, będzie chciał komuś o tym opowiedzieć, jak tylko go znajdą. Ale on za nic nie chciał gadać, prawda?

- Był ciężko poturbowany - odparł Darcy.

- Pewnie, że tak. Ale jednak... człowiek by się spodziewał, że będzie chciał zrzucić to z serca, nie? Ja bym tak zrobił. Przecież bym się tym truł przez cały czas wędrując z powrotem. - Pokiwał głową, jak gdyby dla podkreślenia tych słów. - A z niego trzeba to było wyciągać. Trzeba było pytać: Co się stało? Co z Briffe'em i tym drugim. A on tylko odpowiadał: „Nie żyją”. Nic więcej. Nie żyją obydwaj. Kiedy człowiek go pytał, jak to się zdarzyło, tylko potrząsał głową, a te oczy to mu latały po całym pokoju. I nie chciał powiedzieć ani słowa więcej.

A zatem już wtedy Laroche nie był normalny.

- Myśli pan, że miał chorobę puszczę? - zapytałem.

- Czy może to przez te jego obrażenia?

Paciorkowate oczki kucharza stały się nagle podejrzliwe.

- Pan tutaj nowy, co? - Zdaje się, zapomniał, że tam jestem. - Inżynier? - spytał Darcy'ego.

Jednakże ten, zamiast odpowiedzieć: „tak” i na tym poprzestać, rzekł:

- Ferguson jest tutaj, bo przypuszcza, że Briffe może jeszcze żyje.

- Naprawdę? - Kucharz popatrzył na mnie z nowym zainteresowaniem. - Pan myśli, że Laroche mógł się mylić mówiąc, że obaj umarli?

Wtedy, ku memu zdziwieniu, Darcy zaczął mu wyjaśniać okoliczności, które sprowadziły mnie z Anglii.

- Może byśmy już pojechali? - przerwałem mu. Byłem niezadowolony. Nie przypuszczałem, że powtórzy to, co mu mówiłem.

- Nie ma gwałtu - odparł. - Tu nikt nie będzie pana szukał.

Kucharz, wyczuwając napięcie między nami, zapytał:

- Chcecie jeszcze kawy?

- Pewnie, że chcemy - odrzekł Darcy. A kiedy kucharz wyszedł, obrócił się do mnie. - Jeżeli pan myśli, że panu się uda zachować w tajemnicy powód swojego przyjazdu, to pan się grubo myli. A zresztą po co?

- Bo będzie plotkował - odpowiedziałem.

- Pewnie, że będzie. Kucharze już są tacy, podobnie jak fryzjerzy. A tutejszy puszczkański telegraf działa wzdłuż nasypu prędeży, niż można dojechać z jednego obozu do drugiego. To pójdzie po linii stąd do Meniheku i dalej, do samej bazy, aż w końcu nie będzie człowieka, który by nie wiedział, że pan przyjechał ze Starego Kraju, ponieważ pan wierzy, że Briffe żyje. Właśnie dlatego tu pana przywiozłem.

Wstał, wysunął w przód swą krągłą głowę, a jego oczy wpatrzyły się we mnie zza szkieł.

- Czego pan się boi? Przecież powiedział mi pan prawdę, nie?

- Oczywiście, że prawdę.

- No więc, co pan ma do stracenia? Im więcej ludzi będzie znało pańską historię, tym większą będzie pan miał szansę zrobienia czegoś. Jasne?

Kucharz wrócił tym razem z dzbankiem kawy.

- Częstujcie się - powiedział, po czym zapytał: - No i co teraz będzie? Wznowią poszukiwania?

- Nie - odparłem. - Nie zrobią nic a nic.

- No, ale jeżeli pan ma rację i oni żyją? Zostawią ich, żeby pomarli, czy jak?

Darcy patrzył na mnie i wiedziałem, co myśli. Przyjechałem przecież z tak daleka...

- Nie - usłyszałem własny głos. - Nie; sam będę ich szukał, jeżeli zajdzie potrzeba.

Jednakże mówiąc te słowa myślałem jednocześnie, że to beznadziejne. Tyle czasu minęło, odkąd Briffe nadał tę wiadomość...

I wtedy spostrzegłem, że Darcy kiwa głową, jak gdyby spodziewał się po mnie takiej właśnie odpowiedzi. Przełknął resztę kawy i rzekł:

- Musimy już jechać, Sid. - Postawił kubek na stole. - Mackenzie wciąż obozuje w tym samym miejscu?

- Aha, w tym samym. Tam za mostem.

- No, to dziękujemy za kawę.

Darcy chwycił mnie za ramię, a kiedy odchodziliśmy do drzwi, kucharz powiedział:

- Życzę powodzenia, panie Ferguson.

Zrobiło mi przyjemność to, że ktoś życzył mi powodzenia. Ale kiedy znaleźliśmy się na dworze, znowu uprzytomniłem sobie rozpaczliwą pustkę tego kraju przyczonego wzdłuż stalowoszarej rzeki. Pomyślałem sobie, że pewnie potrzebne mi będzie takie życzenie.

- Pan był pierwszym, który rozmawiał z Laroche'em, prawda? - spytałem Darcy'ego.

Doszliśmy już do mostu i Darcy przystanął u stóp drewnianej drabiny.

- A bo co?

- Jeżeli pan uważał, że zachowuje się dziwnie, dlaczego pan wtedy o tym nie doniósł?

- Człowiek ma prawo do pewnych osobliwości w zachowaniu, jeżeli przeszedł tyle, co Laroche - powiedział z wolna. - Kiedyśmy zdjęli z niego ubranie i nieśli go do samochodu, okazało się, że to sama skóra i kości. Ludzki szkielet, całkiem jak z celi śmierci, i pokryty ranami. I jeszcze ta dziura w głowie. Skąd mogłem wiedzieć, czy nie ma uszkodzonego mózgu?

- No dobrze - rzekłem. - Ale i pan, i kucharz mieliście to samo wrażenie, prawda?

Zastanowił się chwilę.

- Owszem, przyznaję - powiedział wreszcie. - Przyjechałem tu dzisiaj właśnie po to, żeby sprawdzić, czy wrażenie Sida było takie samo jak moje. Nie trzeba dodawać, że wtedy o tym nie mówiliśmy; byliśmy zanadto zaprzątnięci próbami niedopuszczenia, żeby Laroche skonał na naszych rękach - rzekł i zaczął wchodzić na drabinę. Kiedy zaś stanąłem obok niego na górze, powiedział: - Wcale nie trzeba być półwariatem, żeby mieć chorobę puszczy. Ja ją mam. I jest masa innych gości, których lekarze uznaliby za cierpiących na nią. To po

prostu oznacza, że ktoś od tak dawna wycofał się ze świata zewnętrznego, że nie chce o nim słyszeć. Po prostu pragnie żyć swobodnie w swym własnym małym świecie, a resztę niech diabli wezmą. Przypuszczam, że to jest właściwa przyczyna, dlaczego nic nie zrobiłem, jeżeli idzie o Laroche'a. I dlatego też poszedłem dziś rano na ryby; żeby uporządkować sobie wszystko w głowie. Pan był zewnętrznym światem, który wtargnął do mojej wygodnej samotności, i nie mogę powiedzieć, że bym przyjął pana z zadowoleniem. Uśmiechnął się do mnie krzywo, po czym ruszył naprzód po belkach mostu. - Pan jest inżynierem - rzekł zmieniając nagle temat. - To powinno pana zainteresować - pokazał dźwigarówą konstrukcję. - W Górach Skalistych Canadian Pacific muruje swoje mosty. Drewno wytrzymuje około dwudziestu lat, a teraz ich odbudowa stała się zbyt kosztowna. Ale to nadal jest najszybszy sposób przepchnięcia kolei przez dziewiczy kraj.

Dotarliśmy do drugiego końca i Darcy przystanął, aby się obejrzeć. Długi zakos mostu wznosił się smukły i czarny ponad rzeką.

- Tak daleko na północy to mogłoby przetrwać lata - powiedział Darcy. - W tych stronach drewno nie gnije. Nie ma termitów ani grzyba. Dziwne, nie? W Burnt Creek budują domy z surowej, niemalowanej sklejki.

Kiedy tam stał, rysując się przysadzistą, grubo odzianą sylwetką na tle posępnego labradorskiego nieba, spoglądał na kratownicę mostu z uznaniem człowieka, który docenia takie techniczne osiągnięcie; ale jednocześnie jego oczy piły piękno tego widoku na takim tle - piękno dziwne, zuchwałe, będące dziełem rąk ludzkich. Ten człowiek stanowił osobliwą mieszaninę będąc po trosze inżynierem, po trosze artystą - a wcale nie miałem pewności, czy nie ma też w sobie czegoś z mistyka.

- Może spróbuję to kiedyś namalować - mruknął, po czym raptownie oderwał się od tego widoku. - No, dobra; chodźmy odszukać Mackenziego.

Zeskoczył na podsypkę żwirową, po której szyny miały być wprowadzone na most, i kiedy zaczęliśmy opuszczać się na brzeg rzeki, wybiegł nam na spotkanie szum wody zagłuszający łomot kofaru.

Zrównałem się z nim na brzegu, gdzie fale poruszane przez prąd chlupotały na szarych kamykach, i zapytałem, od jak dawna wie, że ów Indianin odnalazł jezioro. Musiałem krzyczeć, ażeby mnie dosłyszał poprzez szum wody.

- Chyba od dwóch tygodni - odrzekł. - To było zaraz po powrocie Laroche'a. Rozmawiałem o tym z Mackenzie, opowiadałem mu historię tamtej dawnej wyprawy, i kiedy wspomniałem o Jeziorze Lwa, zapytał, co to jest lew. Nigdy go nie widział, rzecz jasna, więc narysowałem mu łeb lwa. Poznał to od razu i powiedział, że widział to jezioro. Nazywał

je Jeziozem ze Skałą o Dziwnej Twarzy. - Darcy przerwał i wpatrzył się bacznie w rzekę, tak iż pomyślałem, że pewno rozważa, czy nie spróbować łowić tutaj ryb. Po chwili jednak rzekł: - Sam się zastanawiałem, czyby tam nie wyruszyć. Na wiosnę, z jednym geologiem, moim przyjacielem. Pomyślałem sobie, że a nuż znajdę złoto Fergusona i w ten sposób zrobię majątek. - Roześmiał się krótko i ruszył kamienistym brzegiem w gęste zarośla nadrzeczne.

Nie było tu żadnej ścieżki i szło się z trudnością, a podszycie tu i ówdzie przeplatały kępy trzciny. Potem zaś otworzyła się w gąszczu mała polanka, na której stał podniszczony namiot, leżało canoe, a dwaj indiańscy chłopcy rąbali drwa na ogień. Zatrzymałem się czując niezwykle napięcie. To był logiczny skutek mojej wędrówki i wiedziałem, że teraz nie ma już odwrotu. Co za głupota! I pewnie wszystko na darmo. Ogarnęło mnie nagle przerażenie. Było to tak, jak gdyby czekał na mnie Labrador.

A potem przypomniałem sobie, co powiedział Darcy. Nazwał to wyzwaniem. Może i ja też tak do tego podchodziłem, wiedziałem bowiem, że powinienem wytrwać w swoim przedsięwzięciu, nawet choćby mnie to zabiło. W tym momencie odkryłem na nowo to urzeczenie przegraną sprawą, które było czymś głęboko we mnie zagrzebanym, częścią mojego szkockiego dziedzictwa - i uświadomiłem sobie niejasno, że mam w sobie te instynkty i odwagę, które przez niezliczone pokolenia popychały moje plemię ku dalekim zakątkom świata. Poczulem, że nie jestem już sam i z wolna ruszyłem przez polankę ku namiotowi, przy którym Darcy rozmawiał z Mackenzie.

- Uważa, że mógłby doprowadzić pana do tego jeziora - powiedział Darcy, kiedy podszedłem - ale teraz nie chce stąd odchodzić. Jest tak, jak mówiłem; poluje i potrzeba mu mięsa na zimę. Poza tym to jest niedobra pora roku na podróżowanie.

- Aha, niedobra pora - kiwnął głową Indianin. - Bardzo niedobra.

Był niskim, barczystym mężczyzną; miał na sobie kurtkę z jeleniej skóry i granatowe dżinsy, a na nogach mokasyny. Twarz jego była szeroka, płaska osmagana przez wiatr, a jednak dziwnie gładka, jak gdyby wichry nigdy jej nie tknęły. Ponieważ zaś nie miał zarostu, nie sposób było określić jego wieku.

- Jak myślicie, ile dni byłoby potrzeba? - zapytał go Darcy. Tamten wzruszył ramionami.

- Bardzo zły kraj. Woda i mszar. Wy lepiej czekajcie na mrozy - dodał patrząc na mnie. Jego oczy, wąskie szparki w bezrzęsłym ciele, były ciemne i jakieś dalekie, z odrobiną czegoś mongolskiego.

- Laroche'owi trzeba było pięciu dni - powiedział Darcy.

Znowu wzruszenie ramion.

- To może pięć dni. - Jego twarz była niewzruszona, w sposobie bycia czuło się upór. - Zła pora.

- On ma oczywiście rację - rzekł Darcy obracając się do mnie. - Teraz każdej chwili można spodziewać się mrozów. Pora jest niedobra.

- Tak, niedobra - kiwnął głową Indianin. - Wy zaczekajcie na zimę, he? Wtedy pójdziecie na nartach, a woda wszędzie zamarznęta. Wtedy dwa, trzy dni.

Powinienem być być wdzięczny za sposobność wycofania się z całej sprawy, ale miast tego zapytałem:

- A jakbyśmy wyruszyli jutro? Wtedy byłoby tylko pięć dni. - Obróciłem się do Darcy'ego. - Jeżeli mój ojciec się nie mylił, to tam jest nadajnik. Moglibyśmy poprosić przez radio o samolot. Chyba mrozy nie nadejdą w ciągu pięciu dni?

- Na to nie mogę odpowiedzieć. Ani Mackenzie. Mogą przyjść wcześniej, mogą przyjść późno.

- Będę musiał zaryzykować - odparłem.

Przez chwilę wpatrywał się we mnie bacznie, po czym kiwnął głową.

- Okej - powiedział. - Niech pan to zostawi mnie. On się martwi o polowanie. Zima tutaj jest długa. Może pan się przejdzie, a ja zobaczę, co da się zrobić.

Trochę niechętnie odszedłem brzegiem. Pokazało się słońce, na niebie wełniły się zimne pióropusze niesionych wiatrem chmur, rzeka płynęła wartko, pieniać się na płycznach. Od czasu do czasu wyskakiwała z wody ryba, a przy samotnym namiocie widziałem Darcy'ego i Indianina stojących na czarnym osadzie polodowcowym, na którym leżało canoe. Stali blisko siebie, a ręce Darcy'ego podnosiły się chwilami gestem nalegania czy wyjaśnienia. Wreszcie odwrócił się i ruszył ku mnie.

- No? - zapytałem. - Zabierze mnie?

- Nie wiem - odrzekł i było widać, że jest czymś dziwnie zatroskany. - Może zabierze. Ale mu to nie w smak.

- Chyba pogoda nie może się zmienić tak nagle?

Było zupełnie ciepło tam, w słońcu, na polance.

- Nie sędzę, żeby się martwił pogodą - powiedział w zamyśleniu.

- No to czym w takim razie? - Pilno mi było załatwić sprawę.

- Nie podoba mu się tamto miejsce. Do tego rzecz się w końcu sprowadza. Powiedział, że jest źle i ciągle gada o duchach.

- O duchach?! - wytrzeszczyłem na niego oczy. - O jakich duchach?

Wzruszył ramionami. - Nie chciał powiedzieć. Jednakże było oczywiste, o co idzie. Darcy powiedział mu o moim dziadku.

- Gdyby pan mu nie mówił o wyprawie Fergusona... - zacząłem.

- To bym nie wiedział, że odnalazł to jezioro. - Zawahał się, po czym dodał: - Ale wspominałem mu tylko, że dawno temu inna wyprawa źle skończyła na tym samym terenie. Powiedziałem, że jej kierownik zginął i opisałem jezioro. Ale to było wszystko.

- Nie mówił mu pan, że mój dziadek jakoby został tam zabity?

- Nie.

Dziwne było, że Indianin zareagował w ten sposób.

- Kiedy on znalazł to jezioro? - spytałem. - Niedawno?

- Nie. Mówi, że podczas wyprawy myśliwskiej zaprzeszłej zimy.

Pomyślałem sobie, iż to szkoda, że nie wiem więcej o plemienu Montagnais.

- Czy oni są zabobonni?

- Kto, Indianie? - Potrząsnął głową. - Niespecjalnie. A w każdym razie nie sądzę, żeby Mackenzie był zabobonny. Nie mogę tego zrozumieć - dodał głosem, w którym brzmiało zdumienie. - Może to tylko wymówka. Oni są tacy; nie lubią odmawiać wprost. No cóż - wzruszył ramionami. - Mam coś do załatwienia. - Ruszył z powrotem brzegiem rzeki. - Musi pan przyjechać do niego jutro. Naradzi się z żoną i synami, i poda panu swoją decyzję.

- To będzie za późno - odrzekłem. Teraz, kiedy ruszyliśmy z powrotem, przypomniałem sobie, że wydano polecenie odesłania mnie do bazy głównej.

Jednakże Darcy obejrzał się i powiedział:

- Proszę pana, Kompania nie jest właścicielką Labradoru. Ma tutaj tylko koncesje. I jak pan raz odejdzie od linii nasypu... - W jego oczach pojawił się załazek uśmiechu. - Chcę powiedzieć, że nikt nie może pana zatrzymać... jeżeli pan jest naprawdę zdecydowany wyruszyć.

Wróciliśmy do samochodu i przez całą drogę powrotną Darcy mówił, dzieląc się ze mną swoim doświadczeniem, wszystkim, czego nauczył się o puszczańskich sprawach w ciągu dwóch lat pobytu na Labradorze. Dziś nie pamiętam nawet jednej czwartej tego, co mi powiedział; jak rozniecić ogień za pomocą mchu, kiedy wszystko jest przemoczone, jak wyżyć z tego, co daje sam kraj - co można jeść, jakie się łowi ryby - co trzeba wiedzieć o ukształtowaniu tego obszaru przez posuwające się lodowce, ażeby nigdy nie zbłądzić, nawet jeśli się nie ma kompasu, a słońce zaszło za chmury. Wątpię, czy wówczas przyswoiłem sobie to wszystko, bo nawet wtedy nie miałem jeszcze pełnego przekonania, że to jest rzeczywiste i

że następnego dnia mogę się znaleźć na pustkowiu, nie mając przy sobie nikogo prócz Indianina.

Darcy wysadził mnie w miejscu, gdzie droga do obozu odchodziła od Przewozowej.

- Wrócę za jakąś godzinę - powiedział. - Wtedy zobaczymy, co z ekwipunkiem i zdecydujemy, co robić. Ktoś powinien pójść z panem.

Odjechał, aby sprawdzić, co robi jego ekipa badawcza, ja zaś poszedłem do obozu zastanawiając się, czy w końcu zdołam go nakłonić, aby wyruszył ze mną.

Spycharka pełznąca z obozu po błotnistym wzniesieniu przystanąła zrównawszy się ze mną; wychyliła się z niej twarz o barwie mahoniu pod bezkształtnym kapeluszem.

- To Ray Darcy pana to wysadził przed chwilą? - A kiedy kiwnąłem głową, człowiek ów powiedział: - W takim razie pan pewnie jest Ferguson. - Potężny Diesel terkotał wśród ciszy lasu. - Ktoś pytał o pana w obozie... Czeka w baraku Raya.

Biegi zgrzytnęły i potworna masa maszyny szarpnęła naprzód złościąc w błocie dwie głębokie bruzdy.

Mógł to być tylko Lands - a może Laroche. Stałem patrząc, jak woda wlewa się w koleiny pozostawione przez spycharkę, i zastanawiałem się, co robić. Jednakże wcześniej czy później musiałem znaleźć się z nimi oko w oko, więc w końcu ruszyłem wolno do obozu żałując, że nie ma przy mnie Darcy'ego. Nie byłem całkowicie przekonany, że Lands nie mógłby mnie zatrzymać, gdyby zechciał. Kompania może i nie była właścicielką Labra-doru, ale w tej chwili miała go w swoim władaniu.

Pod drzwiami baraku Darcy'ego zawahałem się chwilę, przypomniawszy sobie, jak zachowywał się Lands, kiedy go ostatnio widziałem. Jednakże miał już czas przywyknąć do myśli, że tu jestem, toteż z nagłym pragnieniem skończenia z tym nareszcie, uniosłem rygiel i pchnąłem drzwi.

W pierwszej chwili wydało mi się, że izba jest pusta. Nikt tam nie stał czekając na mnie, a kiedy wszedłem do środka, stwierdziłem, że wszystko jest tak, jak to zostawiłem: piec huczał, w misce była nadal brudna woda, obok stał mój pusty talerz, a przez uchylone drzwi szafy widać było wiszącą w środku odzież Darcy'ego.

A potem spostrzegłem plecak i grube buty, i postać leżącą na łóżku Darcy'ego, otuloną po ramiona kocami, z twarzą obróconą do ściany, tak że widziałem tylko czarne włosy. Byłem tak przekonany, iż to Laroche, że już miałem wymknąć się z izby. Jednak w tym momencie postać poruszyła się i obróciła na bok. Jej oczy zamrugały ku mnie niepewnie spod ciemnych rzęs.

Nie był to Laroche. Była to córka Briffe'a. Kiedy mnie zobaczyła stojącego przed nią, odrzuciła koce i spuściła nogi na podłogę.

- Myślałam, że pan może wyjechał na cały dzień, więc położyłam się spać. - Przesunęła dłonią po krótko przystrzyżonych włosach, gestem, który przypominał mi Laroche'a.

Na razie byłem zbyt zaskoczony, żeby coś powiedzieć, i tylko stałem wpatrując się w nią. Miała na sobie spodnie z wypłowiałego zielonego welwetu, grubą koszulę traperską w czerwonej kratę, a twarz jeszcze zarumienioną ze snu.

- Jak pani się tu dostała? - zapytałem odnajdując nagle głos.

- Samolotem, wczoraj wieczorem - odrzekła. - Wysiadłam w Dwieście Dziewięćdziesiątce i stamtąd dojechałem ciężarówką idącą na południe.

- Na południe? - Na chwilę zapomniałem, że na północ od tego miejsca były jeszcze inne obozy, cały łańcuch odosobnionych placówek, połączonych tylko nicią komunikacji samolotowej.

- Przyjechałam tu zaraz po tym, jak pan odjechał z Rayem - dodała.

Na nogach miała grube wełniane skarpety. Te skarpety oraz masywne buty stojące pod łóżkiem dawały dużo do myślenia. Moje spojrzenie powędrowało w stronę plecaka. Był to taki plecak, jaki się bierze na całotygodniową wędrówkę po górach. Obok leżała wędka i skórzany pas z nożem myśliwskim i toporkiem, a na plecaku gruby sweter oraz skórzana kurtka, podobna do tej, którą miała na sobie, gdy ją widziałem w Seven Islands, tylko bardziej zniszczona.

- Dlaczego pani tu przyjechała? - spytałem wciąż jeszcze zastanawiając się nad tym stosem ekwipunku.

- A co miałam robić? - W jej tonie było zniecierpliwienie. - Myślał pan, że będę siedziała w Seven Islands, kiedy pan wyruszył linią na północ?

- Więc pani tu przyjechała, żeby zobaczyć się ze mną?

- Ależ oczywiście.

- I przybyła prosto tutaj! - Skąd pani wiedziała, gdzie mnie znaleźć?

Wpatrywała się we mnie, a w jej piwnych oczach była twardość, której dotąd nie kojarzyłem z tym kolorem.

- Jeżeli pan nie wierzy w wyjaśnienia Alberta - powiedziała - to pan musiał przyjechać tutaj. Ten obóz jest położony najbliżej miejsca, gdzie on wyszedł z puszczy.

A Ray Darcy jest tym, który go przywiózł do samolotu.

Jej oczy nie odrywały się od mojej twarzy. Wpatrywały się we mnie, szeroko otwarte, niezmrużone, i nagle doznałem niemiłego uczucia, że czyta w moich myślach. Ale peszyły mnie nie tylko jej oczy. Było w niej coś, jakiś szczególny bezruch i napięcie, jak gdyby cała była wewnętrznie zwinięta na kształt sprężyny. Musiała być pół-Indianką. Nie wiem, jak się tego domyśliłem, ale tak się stało, i to mnie napawało lękiem, bo przecież nic o nich nie wiedziałem.

Podniosła się z łóżka jednym szybkim, nieledwie kocim ruchem.

- Pan dalej myśli, że mój ojciec żyje, prawda?

Głos jej był dziwnie płaski, tak iż poczułem, że zarażała się tą moją pewnością. A jednak powiedziała te słowa tak, jakby były oskarżeniem, jak gdybym się dopuścił jakiejś okropnej herezji.

Zrozumiałem wtedy, że mnie nienawidzi. Nienawidziła mnie za to, że ją zmuszałem do wyboru, i nie mogłem mieć jej tego za złe. Miotła się między miłością do Laroche'a a miłością do ojca, i właśnie moja obecność doprowadziła do konfliktu tych dwóch uczuć. Już od tamtego spotkania z nią w Seven Islands wiedziałem, co musi przeżywać, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że podąży za mną.

- Pan mi nie odpowiedział - rzekła marszcząc brwi.

- Cóż mogę odpowiedzieć? Nie wiem.

Nie miałem przecież żadnej pewności, że jej ojciec jeszcze żyje.

Od razu mnie zrozumiała. - Jasne, że nie. Ale żył, kiedy... kiedy Albert go opuszczał. Tego pan jest pewny, prawda? Dlatego pan przyjechał na północ, zamiast wracać do Anglii.

Czy była pół-Indianką, czy nie, umysł miała dosyć logiczny. Przemyślała to sobie i doszła do nieuchronnego wniosku. Nie śmiałem się zastanawiać, ile ją to kosztowało, ale w jej drobnej, skupionej twarzy widoczne było napięcie. Nie powiedziałem nic, tylko kiwnąłem głową.

- A teraz? - zapytała. - Co pan ma zamiar zrobić teraz?

Zawahałem się. Ale jeżeli istotnie zamierzałem coś zrobić, miała prawo to wiedzieć.

- Jest szansa, że zdołamy odnaleźć jezioro, nad którym się rozbili - powiedziałem.

- Jezioro Lwa?

- Tak. Mam nadzieję wyruszyć jutro.

- Pan?! - W jej głosie zabrzmiało nagle niedowierzanie. - Przecież pan w żadnym razie nie może iść sam. Poza tym Albert latał tam dwa razy helikopterem i nie udało mu się odnaleźć tego jeziora.

Uświadomiłem sobie wtedy, iż nie brała pod uwagę możliwości, że nie chciał go znaleźć, a jeśli nawet przyszło jej to do głowy, odrzuciła taką myśl.

- Nie idę sam - odrzekłem i opowiedziałem jej o Indianinie i o tym, jak rozpoznał jezioro z rysunku Darcy'ego, przedstawiającego lwa.

- Ale jeszcze nie wiem, czy pójdzie. Martwi się o polowanie i boi się tego miejsca. Ma to omówić z rodziną i dać mi odpowiedź jutro.

- Jak nazwisko tego Indianina? - zapytała. - Znam kilku, którzy tu polują. A kiedy jej powiedziałem, uchwyciła się tego skwapliwie. - Mackenzie? Który Makenzie? Tylu ich jest; całe plemię.

- Nie wiem - odparłem - ale Darcy mówił mi, że on pracował dla geologów jako przewodnik.

- To go znam! - zawołała. - Miałam nadzieję, że to może będzie właśnie ten. Trzy lata temu był przewodnikiem mojego ojca. - Siadła na łóżku i sięgnęła po buty. - Gdzie on obozuje? - spytała naciągając je pośpiesznie.

Powiedziałem jej.

- Ale on nic nie wie - rzekłem. - To jezioro znalazł dwa lata temu. A jeżeli nawet zgodzi się być moim przewodnikiem, to nie ma żadnej pewności, czy zdoła je odszukać znowu.

- Jeżeli raz tam był - powiedziała stanowczo - to je odnajdzie na pewno. - Popatrzyła na mnie marszcząc brwi. - Pan naprawdę miał zamiar iść tylko z nim?

- Tak - odparłem. A ponieważ widziałem, że mi nie dowierza, dorzuciłem: - Wiem, że to trudny teren. Ale w najgorszym razie to potrwa tylko pięć dni, a ponieważ tam jest nadajnik...

- Jak pan może być taki głupi? - zawołała gniewnie. - Już panu mówiłam, że to niepodobieństwo. Myśli pan, że pan może pójść na Labrador tak jak na spacer po wiejskiej ścieżce w Anglii? Tempo indiańskie zabiłoby pana. A my będziemy musieli iść szybko - dodała.

Powiedziała „my”, ja zaś zrozumiałem wtedy, co oznacza ów stos ekwipunku. Miała zamiar iść z nami. Serce we mnie zamarło; było już dostatecznie źle, że znalazła się w tym obozie, ale myśl, że powędruje z nami do Jeziora Lwa, przerażała mnie, bo gdyby moje obawy potwierdziły się po dojeździe na miejsce, trudno było myśleć o wrażeniu, jakie by to na niej wywarło.

Przypuszczam, że źle zrozumiała moją reakcję, bo zeskoczyła z łóżka i z nagłą zmianą nastroju podeszła i położyła mi dłoń na rękę.

- Przepraszam - powiedziała. - To nie było zbyt ładnie z mojej strony, a pewnie zawdzięczam panu wiele. Chyba jeszcze nie całkiem się obudziłam. Zeszłej nocy wcale nie spałam. Ale to prawda, co powiedziałam. Wychowałam się w tym kraju. Wiem, jaki on jest.

- Ano, zresztą tamten pewno nie zgodzi się iść - odrzekłem i uświadomiłem sobie, że zaczynam mieć taką właśnie nadzieję.

- Pójdzie, jeśli ja go poproszę - odparła. - Ale muszę się pospieszyć. - Ukłękła i zaczęła sznurować buty.

Patrzyłem, jak wkłada wierzchnie odzienie poruszając się szybko, w pośpiechu.

- Pani idzie do niego teraz, tak? - zapytałem, kiedy zaś kiwnęła głową, dodałem: - Pójdę z panią.

- Nie. Lepiej, żebym poszła sama. Dlatego, że jestem kobietą, będzie mu wstyd i zrobi to, o co go poproszę.

- Lepiej niech pani zaczeka na Darcy'ego - powiedziałem. - Przynajmniej podwiezie panią do mostu.

Ona jednak potrząsnęła głową.

- Ray ma robotę. Kiedy wróci, może już być za późno.

Stojąc naprzeciw mnie, w swym grubym ubraniu, wyglądała jak chłopak, tyle że jej twarz była za drobna, a duże piwne oczy płonęły gorączkowym napięciem.

- Widzi pan - wyjaśniła. - Mackenzie nie będzie chciał powiedzieć „nie” białemu człowiekowi. Jeżeli tamto miejsce mu się nie podoba i jeśli postanowił nie iść, po prostu przeniesie swój obóz gdzie indziej i minie wiele dni, zanim go zdołamy odszukać.

- Wolałbym, żeby pani zaczekała na Darcy'ego - powiedziałem. Darcy wiedziałby, czy jest w porządku, żeby szła sama do obozu Mackenziego. Tylko że pewnie tak było. Bili Lands mówił, że wychowała się w obozach swojego ojca.

Przed barak zajechał jakiś samochód i rozległo się trzaśnięcie drzwiczek.

- O, jest Darcy - powiedziałem z ulgą.

Ale to nie był Darcy. Rygiel szczęknął, drzwi się rozwarły i zobaczyłem naprzeciw siebie Laroche'a. Zrazu nie zauważył dziewczyny. Zapewne się cofnęła, tak że stałem pomiędzy nią a drzwiami.

- Mówili mi, że znajdę pana tutaj - powiedział Laroche, a jego ciemne oczy były nienaturalnie błyszczące.

- Mam panu coś do powiedzenia... i uważałem, że powinienem powiedzieć to osobiście. Postanowiliśmy... -

W tym momencie spostrzegł dziewczynę i zatrzymał się jak wryty, z twarzą zmrożoną od wstrząsu, którego doznał na jej widok. - Paula!

Stał bez ruchu, obramiony prostokątem drzwi, za nim było widać błotnistą połąć obozu, ostro zarysowaną w słońcu, a zdumienie na jego twarzy przemieniło się w wyraz, który mogę określić tylko jako zgrozę. Trwał on jedynie chwilę, po czym Laroche obrócił się i zatrzasnął drzwi. Ten trzask niejako wyzwolił w nim uczucie wstrząsu; ruszył przez izbę ku Pauli, nagle wyrzucając z siebie zaciekły potok słów.

Nie rozumiałem ich, bo mówili po francusku, ale widziałem gniew gorejący w jego oczach. Potem wskazał mnie gwałtownym gestem, a Paula Briffe coś mu odpowiedziała, nagle bardzo spokojna i baczna, patrząc mu prosto w twarz. Jego gniew jakby raptem zagaśł.

- Mon Dieu! - westchnął. - Tylko tego było potrzeba. - Potem obrócił się do mnie i spytał: - Co pan jej powiedział? - Zawahałem się. Oboje patrzyli na mnie i wyczuwałem ich wrogość. Byłem intruzem i to ich ponownie łączyło; oboje nienawidzili mnie za to, że wszedłem między nich z faktami, na które nie było odpowiedzi. - No? - Jego głos drżał.

- Koło mostu obozuje pewien Indianin - odpowiedziałem nerwowo - który mówi, że...

- Mackenzie. Tak, wiem o nim. Spotkaliśmy Darcy'ego na Drodze Przewozowej i powiedział nam. - Rozluźnił szalik na szyi. Był to ruch wolny, odmierzony, ażeby zyskać na czasie. - Pan ma zamiar z nim iść, prawda? Tak nam mówił Darcy. Chce pan pójść z Mackenzie i spróbować odnaleźć Jezioro Lwa.

Kiwnąłem głową zastanawiając się, co teraz nastąpi. Laroche wpatrywał się we mnie, a gniew jakby z niego odpłynął.

- Ano, zdaje się, że nie ma rady. - Z ust dobyło mu się krótkie westchnienie, jak gdyby nagłej rezygnacji. - Ja pana nie rozumiem - mruknął. - Dlaczego pan się tak uparł? - W głosie jego brzmiało zdziwienie; przesunął dłonią po głowie, jak gdyby rana jeszcze go nękała.

- Ale teraz już wszystko jedno - dodał. - Idę z panem. Przyjechałem, żeby to właśnie panu powiedzieć.

- Idzie pan ze mną? - Przez chwilę nie mogłem w to uwierzyć.

- Tak jest - kiwnął głową.

Wpatrzyłem się w niego nie czując żadnej radości, tylko nagły, niewytłumaczony lęk.

- Ale dlaczego? - szepnąłem. Co go skłoniło do zmiany decyzji?

- Przecież nie zostawił mi pan innego wyjścia, prawda? - Było to powiedziane spokojnie i wyczułem w nim jakąś przemianę. Był inny, bardziej odprężony, jak gdyby wewnętrznie z czymś się pogodził. - Omówiłem to z Billesem Landsem jadąc tu dzisiaj rano. Zgodziliśmy się, że powinienem zrobić jeszcze jedną próbę: postarać się wrócić tym

szlakiem, którym stamtąd odszedłem. A potem spotkaliśmy Darcy'ego i dowiedzieli się o tym Indianinie.

- To znaczy, że pan nie będzie usiłował mnie zatrzymać? - Byłem wciąż jeszcze oszołomiony tą zmianą jego stanowiska.

- A czemu miałbym to robić?

Uśmiechnął się, z tym odcieniem chłopięcego wdzięku który zauważyłem u niego w Seven Islands. Nie wiedzieć czemu wydało mi się to bardziej zabójcze od jego gniewu i raptem poczułem, że nie chcę iść z nim w puszcę. Rzecz dziwna, ale teraz, kiedy rozpadła się opozycja, z którą walczyłem od mego przybycia do Kanady, miałem jedynie ochotę wydostać się z tego ponurego kraju, wrócić do domu i zapomnieć o całej historii. Tego jednakże nie mogłem już zrobić i usłyszałem własny głos:

- Kiedy pan chce wyruszyć?

- Jutro o świcie. To znaczy, jeżeli Mackenzie zgodzi się nas poprowadzić.

Potem obrócił się znowu do Pauli Briffe i zaczął coś mówić po francusku. Myślę, że chciał jej wyperswadować tę wyprawę, bo zauważyłem, że na jej twarzy pojawił się wyraz uporu.

- Przeprosimy pana na chwilę - powiedział Laroche. - Muszę pomówić sam na sam z Paulą.

Wyszli zamykając za sobą drzwi. Potem słyszałem tylko ich głosy. Spierali się po francusku i jego ton stopniowo się zmieniał. Laroche błagał ją. A potem zaległa cisza.

Podszedłem do okna i zobaczyłem ich; stali przy samochodzie nie mówiąc nic do siebie. On spoglądał na obóz, ona patrzyła na niego, a jej drobna postać była sztywno wyprostowana, pełna jakiejś determinacji. Laroche wzruszył ramionami, powiedział coś, po czym wsiedli do samochodu i odjechali.

Znowu zostałem sam, a uczucie lęku wciąż mnie nie opuszczało, tak że czułem chłód na całym ciele. Podszedłem do piecyka, nakładłem więcej drzewa i stanąłem grzejąc się. Jednakże ciepło ognia nie mogło odpędzić zimna wywołanego przez nerwy. Wydaje się to niedorzeczne teraz, gdy o tym piszę na spokojnie, ale doświadczałem czegoś, co mógłbym jedynie określić jako przeczucie - przeczucie katastrofy.

Strach nie jest ładnym uczuciem, zwłaszcza gdy nie ma niczego konkretnego, czego można by się bać, toteż usiłowałem wyperswadować to sobie. Nie czułem strachu na myśl o udaniu się w puszcę z Indianinem - zdenerwowanie, owszem, ale nie strach. Dlaczego miałbym bać się teraz? Jednakże odpowiedzią na to było wspomnienie Laroche'a i Pauli Briffe wpatrujących się we mnie. Iść z Mackenzie to było jedno, ale mieć tych dwoje za

towarzyszy, to było zupełnie co innego. A fakt, że różnili się ode mnie zarówno temperamentem jak i narodowością, tylko powiększał moje uczucie obawy.

Było też jeszcze coś innego, coś, co jak sądzę, tkwiło gdzieś w głębi mojego umysłu od tamtego spotkania z Laroche'em w Obozie 134, i to kazało mi podejść do półki, wziąć z niej znów książkę Henri Dumaine'a i szukać gorączkowo jakiejś wzmianki o nazwisku człowieka, który towarzyszył mojemu dziadkowi. Jednakże Dumaine nazywał go tylko „Pierre”; w miarę jak przeglądałem stronicę stopniowo pochłonęły mnie dzieje jego wędrówki. Tak jak mówił Darcy, była to banalna, spisana dzień po dniu relacja o trudach i potwornych warunkach podróży, jakich doświadczył, ale teraz, kiedy sam byłem w przededniu podobnej wędrówki, nabierało to sensu wręcz przykuwającego. Na dworze zniknęło słońce i, podczas gdy czytałem dalej, ściemniło się i zaczął padać śnieg, ja zaś znów pomyślałem, że Briffe nie może żyć.

Niedługo potem wrócił Darcy, a towarzyszył mu Bili Lands. Weszli tupiąc nogami, aby otrząsnąć z butów śnieg, i kiedy Lands mnie zobaczył, rzekł:

- No, Bert już pewnie panu powiedział. Zrobimy ostania próbę odnalezienia ich.

Już miałem mu odrzec, że czekał z tym za długo, że teraz pewno nie żyją, lecz ucieszyły mnie jego następne słowa.

- Może pan mieć rację - powiedział niespodziewanie łagodnym głosem - albo może pan się mylić. Jedno i drugie jest chyba mało ważne. Jest pan tutaj i do dzisiejszego wieczora nie będzie na całej linii człowieka, który by nie wiedział, dlaczego pan przyjechał. Już teraz gadają. Bóg wie, od kogo się to zaczęło; pewnie od tego durnia, Pata Milligana ze Stalowej Głowicy. - Podszedł do mnie z oczyma utkwionymi w mej twarzy. - Jeżeli to może być dla pana jakąś satysfakcją, niech pan się dowie, że pański piekielny upór nie pozostawia mi innego wyjścia. - Stał spoglądając na mnie spode łba, po czym raptem zapytał: - Gdzie Paula? Przed chwilą rozmawialiśmy z kierownikiem obozu. Powiedział, że wyjechała z Dwieście Dziewięćdziesiątki dziś rano. Czy pan ją widział? - A kiedy mu powiedziałem, że zastałem ją śpiącą w baraku, zapytał, jak była ubrana. - Czy miała zimową odzież i dużo sprzętu ze sobą?

Kiwnąłem głową.

- Cholera jasna! - zawołał i obrócił się do Darcy'ego. - A nie mówiłem ci, Ray? Jak się tylko dowiedziałem, że tu jest. A gdzie ona jest teraz? - zapytał mnie.

- Chyba pojechała do mostu - odparłem. - Miała porozmawiać z Mackenzie.

Gniewnie pokiwał głową.

- Tak, teraz sobie przypominam. On był któregoś roku przewodnikiem jej ojca. A Bert? Gdzie Bert?

- Był tutaj - odrzekłem. - Odjechali razem.

- Więc on jest z nią? - Odpowiedziałem twierdząco. - Ano, to chyba było nieuniknione. - Rozpiął zamek błyskawiczny swojej parki.

- Myślisz, że Paula chce iść z nimi? - zapytał Darcy.

- Oczywiście.

- Ale chyba możesz ją zatrzymać?

- Jak? Jest uparta jak wszyscy diabli. I nie wiem, czy teraz miałbym ochotę próbować - dodał. - Obudzono w niej nadzieję i chyba ma prawo doprowadzić to do końca. - Obrócił się gwałtownie do mnie. - Rany boskie! - powiedział. - Niech pan lepiej ma rację co do tego, bo jak nie... - Popatrzył na mnie ze złością, przysunął sobie krzesło i usiadł na nim ciężko. - Ano, nic już się nie poradzi. - W jego głosie zabrzmiała nagła rezygnacja. - Ale mnie się to nie podoba, Ray. Za późna pora roku.

- Może dałoby się znowu użyć helikoptera - powiedział Darcy, ale Lands potrząsnął głową.

- W tej chwili potrzebują go przy nasypie. Poza tym ten Indianin nigdy by nie odnalazł jeziora z powietrza. To musi być wyprawa naziemna. - Popatrzył na Darcy'ego. - Zrobisz coś dla mnie, Ray? Zgodzisz się pójść z nimi? Poszedłbym sam, ale zważyło się tyle spraw i muszę ruszyć z miejsca to nowe wykopywanie żwiru.

- Nie wiem, co by na to powiedział Staffen - odrzekł Darcy.

- Myślę, że uda mi się przekonać Alexa. Jeżeli tak... - Zawahał się i potrząsnął głową.

- Bert nie jest nowicjuszem w puszczy. Tylko że odniósł te obrażenia i nie mam pewności... jak się zachowa. Nie chcę, żeby się stało coś złego, Ray. Wiem, że dużo od ciebie żądam...

- Okej - powiedział Darcy krótko i rzeczowo. - Jeżeli tylko załatwisz to ze Staffenem.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję, Ray. - W jego głosie była ulga; po chwili wstał. - Pójdę teraz do radia i skontaktuję się z Alexem. A wy zaczniście się organizować. Będzie wam potrzeba zapasów na pięć osób, włącznie z tym Indianinem.

- Myślisz, że zgodzi się być przewodnikiem? - zapytał Darcy.

- Na pewno. Paula już to załatwi. Zostawcie mu decyzję, czy warto taszczyć canoe i przenosić je ładem od wody do wody. Zależy, ile jej będziecie mieli po drodze stąd do tego jeziora. I weźcie jeden z tych lekkich namiotów i te puchowe śpiwory, które wydajemy mniejszym grupom badawczym. Jeżeli nie mają ich tutaj w magazynie, każ je przysłać z Dwieście Dziewięćdziesiątki. I dopilnuj, żeby Bert i Ferguson dostali odpowiedni ekwipunek. - Obrócił się do mnie. - Pójdzie pan z nimi. Dobrze panu zrobi, jeżeli pan zobaczy, jak to

wygląda, bo pan jest odpowiedzialny za tę całą historię - dodał zaciekle, odwrócił się i wyszedł z baraku.

- Ma nadzieję, że to mnie zabije - powiedziałem.

- E, nie przejmuj się pan Billem - rzekł z uśmiechem Darcy. - Martwi się o tę dziewczynę.

- Można by pomyśleć, że jest w niej zakochany.

Powiedziałem to tylko dlatego, że mnie rozzłościło jego zachowanie, ale Darcy wziął moje słowa poważnie.

- Może pan ma i rację. Może jest zakochany... jakoś tak po ojcowsku. - Potem podszedł do mnie i spojrzał na książkę, którą zostawiłem na łóżku. - Znalazł pan coś?

Rzekłbyś, obawiał się, że mogłem w niej odkryć coś istotnego, i przypomniałem sobie, jak przeglądał stronicę, kiedy mnie zastał z tą książką za pierwszym razem.

- Nie - odrzekłem. - Nic nowego.

Wyraz ulgi na jego twarzy przekonał mnie, że się nie pomyliłem, i znowu ujrzałem nazwisko LAROCHE wypisane dużymi literami w dzienniku radiowym ojca. Darcy kiwnął głową.

- No, to chodźmy do magazynu zobaczyć, co się da wygrzebać z ubrania. A potem pójdziemy pogadać z kucharzem o żywności.

Wydawał się przyjmować wszystko bardzo spokojnie, jak gdyby pięciodniowa wędrówka po puszczy należała do codziennych zajęć.

Ja natomiast odczuwałem to zupełnie inaczej i kiedy szliśmy przez obóz, doznawałem wrażenia, że ten kraj czatuje na mnie. Trudno odmalować moje wrażenia, bo ktoś, kto tam nie był, nie może uprzytomnić sobie w pełni tej utajonej grozy Labradoru. Jak słyszę, nie ma na całym świecie kraju, który byłby do niego podobny. Może wiąże się to z faktem, że tak niedawno - z geologicznego punktu widzenia - wy dostał się z uścisku epoki lodowej. Jakakolwiek była przyczyna, jego surowa pustka wywarła na mnie tego rana takie wrażenie jak jeszcze nigdy dotąd. Rzecz jasna, obóz był opustoszały - i to robiło swoje. Wszyscy pracowali przy nasypie i chociaż słyszałem daleki warkot maszyn, ten odgłos był odosobniony, błahy i nieważny w dziewiczym bezmiarze otaczających nas zewsząd obszarów - bezmiarze, który zdawał się dominować nad wszystkim - a baraki, czarne na tle śniegu, wydawały się samotnymi posterunkami bez żadnych cech trwałości.

Mimowolnie pojawił mi się przed oczami obraz Brif-fe'a skulonego nad radiem - jedyną nadzieją nawiązania łączności z zewnętrznym światem.

- Czy pan umie obchodzić się z nadajnikiem? - zapytał Darcy'ego, bo nagle przyszło mi na myśl, że w końcu i nasze własne bezpieczeństwo może od tego zależeć.

- Nie. Nie znam się ni cholery na radiu. A pan?

- Nie tyle, żeby móc nadawać.

- No, ale Bert Laroche potrafi.

Ja jednak nie chciałem być uzależniony od Laroche'a.

- On może nie być... - Zawahałem się. - Może zachorować.

- A pan myśli o nadajniku tamtej wyprawy? - W jego głosie był niepokój. - No tak, pewnie byłoby dobrze, gdyby ktoś oprócz Laroche'a na tym się znał. Pogadamy o tym dziś wieczorem z tutejszym radiotelegrafistą.

Poszliśmy do magazynu i przez następną godzinę byliśmy zajęci dobieraniem oporządzenia. Wyszedłem stamtąd kompletnie przebrany, aż po ciepłą kamizelkę, długie kalesony i koszulę traperską, a w kącie ułożyliśmy, jak mi się wydało, całą górę rzeczy, między którymi były toporki i przybory do gotowania. Nadeszła już jednak pora obiadu, obóz zappełnił się na nowo, z nasypu napływali ludzie, pieszo i ciężarówkami. Duży barak jadalny pełen był woni jedzenia i gwaru zajadających mężczyzn.

- Wszystko załatwione? - spytał nas Lands, kiedy się przysiedliśmy do jego stołu.

- Robi się - odrzekł Darcy, a Lands kiwnął głową i powrócił do dyskusji z grupą brygadzystów. Dla niego było to po prostu jeszcze jedno przedsięwzięcie, za które ponosił odpowiedzialność.

Byliśmy właśnie w połowie posiłku, gdy weszli Laroche i Paula, a napięty, stroskany wyraz jej twarzy, kiedy siadała do stołu, powiedział mi, że coś się nie powiodło. Lands też to zauważył.

- Widziałaś się z Mackenzie? - zapytał ją.

Kiwnęła głową, ale nic nie odrzekła - jak gdyby nie mogła zaufać własnemu głosowi.

Odpowiedział za nią Laroche:

- Mackenzie nie chce iść.

- Dlaczego, u diabła?

- Karibu. Dostał wiadomość, że całe stado idzie na północ.

- Diabło nagła wiadomość, nie? - Lands zmarszczył brwi patrząc ponad stołem na

Laroche'a. A Darcy rzekł:

- To po prostu jego sposób powiedzenia, że nie ma ochoty iść.

Paula kiwnęła głową.

- Kiedyśmy tam doszli, miał spakowane wszystko z wyjątkiem namiotu. Jedno z canoe już załadował. Jeszcze pół godziny, a bylibyśmy go nie zastali.

- I nie mogliście go namówić, żeby się namyślił?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Robiłam wszystko, co mogłam, żeby mu to wyperswadować. Proponowałam mu pieniądze, zapasy na zimę... nie, on chce karibu. Wciąż były karibu. One muszą mieć pierwszeństwo. A kiedy mu mówiłam, że pierwszeństwo ma życie ludzkie, że tu idzie o mojego ojca, którego znał i kochał jak brata, odpowiedział mi, że już nic się nie poradzi, że ojciec do tej pory umarł. - Była bliska łez. - A potem zaczynał znowu mówić o karibu. Nie wierzę, żeby w ogóle były jakieś karibu! - zawołała. - To była po prostu wymówka.

- Mówił, że karibu są - mruknął Laroche. - Wielkie stado o trzy dni drogi na północ.

- Zwykła wymówka - powtórzyła. - Jestem tego pewna. - Potem popatrzyła na Darcy'ego. - Dlaczego on nie chciał iść? Czego się boi?

- Duchów. Tak mi powiedział.

- Duchów! Przecież nie jest zabobonny. On się bał czegoś... czegoś konkretnego. Nie chciał na mnie spojrzeć przez cały ten czas, kiedy do niego mówiłam. - A potem obróciła się do Laroche'a. - Ale na ciebie patrzył. Od czasu do czasu spoglądał na ciebie. Myślę, że gdyby ciebie tam nie było... - Głos jej ucichł; po chwili wzruszyła beznadziejnie ramionami.

- Chciałem tylko dopomóc. - Głos miał zmęczony, jak gdyby już przeszedł przez to wszystko. I dodał: - Zresztą byłaś w jego namiocie i rozmawiałaś z nim sam na sam, a jednak go nie przekonałaś.

- Nie.

- No i jesteśmy z powrotem w punkcie wyjścia. - Rozejrzał się niepewnie wokoło stołu. - Proponuję małą wyprawę: tylko jeden człowiek i ja. Tak się zgodziliśmy dziś rano, prawda, Billu? - spojrział na Landsa. - Mała wyprawa poruszająca się szybko; wtedy zobaczę, czy potrafię odnaleźć moją drogę.

- Nie. - Głos Pauli był czysty i zdeterminowany. - Cokolwiek zdecydujecie, ja pójdę z wami. Rozumiesz? Idę z wami.

Jej naleganie mogło wynikać wyłącznie z postanowienia, żeby być obecną, kiedy ojciec zostanie odnaleziony, ale nie mogłem się oprzeć myśli, że a nuż jest w tym coś więcej, jakieś uczucie nieufności. Wreszcie powiedziała:

- Tak czy owak musisz mnie zabrać, bo mam coś tutaj... - przyłożyła dłoń do górnej kieszeni swojej kurtki. - Mapę pokazującą, jak tam dojść.

- Mapę? - Ton Laroche'a był ostry z zaskoczenia.

Lands zaś powiedział:

- Pokaż ją nam, Paulo. Jeżeli jest dość jasna... - wyciągnął po nią rękę.

Zawahała się.

- Bardzo prymitywna - odrzekła. - Namówiłam Mackenziego, żeby mi ją narysował w namiocie. - Wydobyła arkusz papieru i podała go Landsowi. - Nie jest bardzo dobra, ale myślę, że może będziemy mogli się nią kierować.

Obserwowała nerwowo Landsa, kiedy rozkładał papier na stole.

- Przynajmniej są na niej jeziora - powiedział. - Czy on je wszystkie umieścił?

- Nie. Zdaje się, że tylko te, które mają wyraźny kształt albo coś takiego, po czym możemy je poznać. Zaznaczył także niektóre wzgórza i mszary, i odcinek szlaku wytoczony nacięciami na drzewach. Mapa jest bardzo prymitywna, ale myślę, że można się według niej posuwać.

- Ja myślałem, żeby zrobić rozpoznanie z powietrza. Bert, chodź popatrzeć. Powiedz, co o tym myślisz? - Laroche wstał i spojrzał na mapę przez ramię Landsa. - Uważasz, że mógłbyś się nią posłużyć?

Laroche zawahał się.

- Trudno będzie - powiedział. - Jego wybór punktów orientacyjnych jest oparty na obserwacji naziemnej. Trzeba by lecieć bardzo nisko, żeby mieć tę samą perspektywę. A nawet i wtedy...

- A gdybyś miał helikopter?

- Czy ja wiem. - Zerknął szybko na Paulę, a potem znowu na mapę, i przesunął językiem po wargach. - Warto spróbować.

- Tak mi się zdaje. - Lands wstał z krzesła. - Zaraz się porozumiem z Dwieście Dziewięćdziesiątką.

- Idę z tobą - powiedział Laroche.

Lands kiwnął głową spoglądając na zegarek.

- Jeżeli Len Holt tu doleci do wpół do trzeciej, to będziesz miał cztery i pół godziny czasu. Wystarczy?

- Na rozpoznanie? Tak, chyba tak. Tylko pogoda nie jest za dobra.

- Nie, ale będzie gorsza. Prognoza jest zła.

Wyszli, a Paula Briffe patrzyła za nimi w napięciu, którego nie starała się ukryć.

- Myślisz, że Bili namówi ich, żeby tu przysłali helikopter? - zapytała Darcy'ego.

- To zależy od kierownika robót. To jego maszyna. Ale on jest facet rozsądny, a Bili potrafi do niego przemówić, jak się przy czymś uprze.

Kiwnęła głową i zaczęła jeść. Jadła tak jak obecni tam mężczyźni, szybko, w skupieniu, i obserwując ją ukradkiem byłem zdumiony, że tyle żywotności i determinacji mogło tkwić w tak drobnej postaci, bo wydawała się rzeczywiście bardzo drobna, gdy tam siedziała w tej ogromnej jadalni, otoczona robotnikami. A jednak najwyraźniej czuła się wśród nich zupełnie swobodna i zgoła nie myślała o tym, że jest tu jedyną kobietą. Oni zaś zdawali się przyjmować ją tak, jakby była kimś z nich. Rozglądając się po baraku widziałem, że chociaż wszyscy byli świadomi jej obecności i od czasu do czasu zerkali na nią ciekawie, starali się, aby to ich zainteresowanie nie było zbyt widoczne. Siedzieli tu, niektórzy od miesięcy, i to była zapewne pierwsza kobieta, jaką widzieli przez cały ten czas, a jednak nawet najbardziej nieokrzesani odznaczali się pod tym względem wrodzonymi dobrymi obyczajami. Należało to do ich kodeksu i uświadomiłem sobie, że jest to ten sam kodeks, który musiał obowiązywać w każdym pogranicznym miasteczku, odkąd zaczął się otwierać kontynent północno-amerykański.

- Papierosa?

Wyciągnęła do mnie paczkę trzymaną w szczupłej, smagłej dłoni, i biorąc papierosa pomyślałem znowu, że musi mieć w sobie jakąś domieszkę krwi indiańskiej, bo przegub jej ręki był taki smukły, a palce takie cienkie i mocne. Jeżeli Briffe był naprawdę potomkiem voyageurs, to prawie na pewno musiała mieć krew indiańską. Podałem jej ognia, a jej ciemne oczy obserwowały mnie poprzez dym.

- Nie wydaje się panu dziwne, że mamy iść do tego Jeziora Lwa? - zapytała.

- Dlaczego?

- Bo może pan się dowie prawdy o swoim dziadku i o tym, co tam się stało.

- To pani zna tę historię?

Kiwnęła głową, a ja przypomniałem sobie, jak mówiła, że jej ojciec zawsze opowiadał o tym jeziorze.

- To nie jest dla mnie takie ważne - powiedziałem.

- Przecież pana dziadek został tam podobno zamordowany.

- Tak, wiem. Ale dziś to już są stare dzieje.

Wtedy odezwał się Darcy:

- On nigdy nie słyszał o tej wyprawie, dopóki nie przyjechał do Kanady. Wie o niej tylko to, co ja mu powiedziałem.

Pochylił się ku niej i zauważyłem, że wymienili szybkie spojrzenia. Było to prawie tak, jak gdyby chciał ją przed czymś przestrzec.

- Ach tak. - Wpatrzyła się w dym snujący się z jej papierosa. - To bardzo dziwne. - Potem zaś, nim zdążyłem wyjaśnić, jej oczy spojrzały na mnie z peszącą bezpośredniością i zapytała: - Czy pan jest zupełnie pewny, że mój ojciec nadawał właśnie znad Jeziora Lwa?

- Tak. - Powtórzyłem jej szczegóły transmisji, chociaż doskonale zdawałem sobie sprawę, że już je zna. Jednego nie mogę zrozumieć - dorzuciłem. - Dlaczego pani narzeczony od razu nie przyznał, że to było Jezioro Lwa?

- Może nie miał pewności. - Jej oczy nagle się nachmurzyły; były w defensywie.

- Zdaje się, że teraz już uznał ten fakt.

- Ja to rozumiem - powiedziała. Rozgniotła szybkim ruchem papierosa i wstała. - Teraz trochę odpocznę. Myślę, że i pan powinien się przespać.

Ruszyłem za nią, ale zatrzymał mnie Darcy.

- Niech pan usiądzie na chwilę. - Patrzył, gdy przechodziła przez wielką izbę, drobna, samotna figurka przesuwaną się między zatłoczonymi stołami. - Nie zadawaj jej pan nigdy więcej tego pytania - powiedział.

- Jakiego pytania? Dlaczego Laroche nie przyznał, że to było Jezioro Lwa? - Kiwnął głową. - Ale czemu?

- Niech pan jej po prostu nie pyta i już - odparł szorstko, po czym wstał, a ja wyszedłem za nim.

Na dworze zobaczyliśmy Landsa i Laroche'a stojących obok samochodu.

- No, udało mi się to załatwić - mówił do niego Lands. - Nie byli zachwyceni, ale dadzą ci helikopter na dzisiejsze popołudnie. Będzie tu za pół godziny.

Popatrzył na niebo. Pasma chmur leżało nieruchomo na zachodzie, tym ciemniejsze, że na obóz padał przebłysk słońca. - Wygląda na to, że znowu będzie śnieg. - Wzruszył ramionami. - Ano, to twoja jedyna nadzieja na łatwiejsze przejście, więc postaraj się to wykorzystać - powiedział do Laroche'a. - Zabierz go z sobą - wskazał mnie ruchem głowy. - To mu da pewne pojęcie o kraju.

- A co z Paulą? - zapytał Laroche.

- Powiedz jej, że kobietom nie wolno latać helikopterem. Wścieknie się i będzie chciała łeb mi urwać, ale nie pozwolę, żeby ryzykowała skręcenie karku w tym paskudztwie.

- Helikopter jest dosyć bezpieczny - odrzekł Laroche.

- Możliwe. No, to wszystkiego dobrego, Bert. Mam nadzieję, że znajdziesz to miejsce.

Wsiadł do samochodu i odjechał obozową drogą.

Poszliśmy do nasypu, aby czekać na helikopter. Przyleciał z północy brzęcząc jadownicę jak piłą tarczową, a wyglądając niczym jakiś ogromny giez, srebrzysty na tle

ciemnej chmury. Wszędzie wzdłuż nasypu podnosiły się i obracały głowy, aby popatrzeć za nim jak w urzeczeniu. Miał w sobie coś niesamowitego, niby przybysz z innej planety, ale przypuszczam, iż ludzie widzieli w nim namacalny dowód, że inne części tej głuszy są zamieszkałe. Siadł na płaskim odcinku nasypu niedaleko od nas, a jego śmigła zwolniły obroty i zatrzymały się.

Był to mój pierwszy lot helikopterem i wsiadając pomyślałem, że wybrałem nań osobliwe miejsce. Maszyna była niewielka, a tak precyzyjnie wyważona, że pilot musiał przenieść baterię na tył kadłuba, ażeby wyrównać mój dodatkowy ciężar. Helikopter miał półokrągły plastikowy przód, tak że nic nie przesłaniało widoku. Wcisnąłem się między Laroche'a a drzwiczki, i kiedy wznosiliśmy się pionowo w powietrze, było to tak, jak gdyby mnie windowano do góry w fotelu.

Pilot ujął drgający drążek sterowy i poleciliśmy skosem wzdłuż nasypu, wciąż nabierając wysokości, aż wreszcie nawet żółte wywrotki zaczęły przypominać małe zabawki, a nasyp biegnący na północ stał się wąską, przerywaną, płową wstążką, cienką linią obleżoną przez mrówki, ciągnącą się po czarnej od jodeł powierzchni Labradoru.

Leciliśmy wzdłuż nasypu prawie do samego mostu, po czym skręciliśmy na wschód, na okolicę, gdzie były tylko sosnowe lasy i jeziora. Słońce zniknęło i pod nami rozpościerał się czarny płaskowyż przetykany jeziorami, dziesiątkami małych jezior, które biegły z północnego-zachodu na południowy wschód, tak jak lodowce wyżłobiły skalne podłoże, i których woda była stalowoszara.

Laroche rozłożył sobie na kolanach mapę, którą Mac-kenzie narysował Pauli, i po jakichś dziesięciu minutach dał pilotowi znak, żeby zniżył lot. Warkot śmigieł zupełnie uniemożliwiał rozmowę. Unosiliśmy się czas jakiś prawie na wysokości czubków drzew, po czym Laroche, przyjrawszy się uważnie jezioru, które mieliśmy przed sobą, kiwną głową i poleciliśmy dalej.

Tuż za jeziorem była polana. Pilot coś krzyczał, po czym maszyna zawisła nad nią i zaczęła się opuszczać. Dotknęliśmy ziemi lekko jak piórko, wśród lasu sosnowego, i pilot wysiadł schylając się pod łagodnie wirującymi śmigłami.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy? - zapytałem. Laroche uśmiechnął się do mnie.

- Zdaje się, że Len pił dzisiaj piwo - odrzekł, a ten uśmiech wygładził zmarszczki jego twarzy, tak że wydała się niemal chłopięca.

Nigdy dotąd nie przyszło mi na myśl, że można osadzić samolot w samym środku pustkowia po prostu, żeby sobie ulżyć. Było to tak niebywale zabawne, że się roześmiałem.

Laroche śmiał się także i w tym momencie wspólnej wesołości napięcie między nami chwilowo zelżało.

Potem lecieliśmy nisko nad drzewami, bo mapa wskazywała szlak biegnący z północy na południe. Był on stary i trudny do rozróżnienia. Jednakże Laroche miał najwyraźniej jakieś wyczucie tego kraju, tak iż zacząłem przypuszczać, że może odnajdziemy jezioro jeszcze tego popołudnia. Siedział pochylony do przodu, jego oczy śledziły ziemię, a od czasu do czasu dawał znak ręką i wtedy czubki drzew umykały spod nas.

Dotarliśmy do końca szlaku, gdzie było następne jezioro zaznaczone na mapie, długa, wąska połączka wody przechodząca u przeciwległego krańca w mszar. Laroche pokazał mapę, kiwnął głową, krzyknął coś pilotowi do ucha i zrobił szybki, natarczywy ruch ręką. Doznałem wtedy wrażenia, że mu się spieszy, jak gdyby chciał mieć już coś poza sobą. Mapa pokazywała jeszcze tylko trzy jeziora, ale odległość nie była podana.

- Daleko jeszcze? - krzyknąłem do niego.

Wzruszył ramionami, ja zaś cofnąłem się patrząc na rozpaczliwie posępne pasmo wody, które się ku nam zbliżało, i prosząc Boga, abyśmy znaleźli Jezioro Lwa i nie musieli odrabiać tego wszystkiego pieszo. Z nieba zniknął wszelki blask, okolica wyglądała surowo, jak gdyby nagle porażona lękiem przed zimą. Tamta wspólna chwila wesołości wydawała się bardzo odległa, a kiedy helikopter musnął powierzchnię jeziora, rozeszły się po jego obu bokach małe wachlarze zmarszczek od podmuchu.

Laroche obrócił się wyciągając szyję, aby popatrzeć na niebo za nami. Pilot też zerknął za siebie, a kiedy i ja wyjrzałem przez boczne okienko, jezioro w tyle było prawie niewidoczne, brzeg za nim zamazany i niewyraźny, a niebo w górze mroźne, szare i ciemne. A potem dopędziła nas burza i wszystko zniknęło za zasłoną miedzionego przez wiatr śniegu z deszczem, który siekł w płytę plastikową z sykiem dosłyszalnym poprzez huk motoru. Widzieliśmy jedynie ziemię wprost pod nami, drzewa zacinanane wiatrem i szarzące powoli, w miarę jak zaczynał je oblepiać śnieg.

Zerknąłem na pilota. Wargi miał zaciśnięte pod orlim nosem, a ręce tak ścisnęły drążek sterowy, że aż zbieleły na nich knykcie. Nie mówił nic, a Laroche też milczał. Obaj siedzieli podani do przodu, ich oczy usiłowały przebić mrok, a to napięcie natychmiast udzieliło się i mnie.

Widziałem śnieg padający poprzedniej nocy, ale nie w ten sposób, nie z taką zimną, złoczyną furią. I chociaż byłem wtedy sam, pozostawałem jednak w pobliżu nasypu, tak że nie miałem poczucia niebezpieczeństwa. Teraz natomiast było inaczej. Nasyp znajdował się o całe mile za nami, my zaś byliśmy miotani w krainie pozbawionej istot ludzkich. Czułem, że

to jest prawdziwy Labrador i dygocząc rozmyślałem o tamtym samotnym głosie nawołującym mojego ojca z eteru.

Drzewa zniknęły i pod nami pojawiła się nowa płachta wody. Na pomarszczonej powierzchni tańczyły małe białe grzywy pian. A potem i to zniknęło. Dalej były inne jeziora, małe, szare plamy wody, które ukazywały się jedna po drugiej i zniknęły raptownie, i wreszcie duża połać wodna z kamienistą ławicą - trzecie jezioro zaznaczone na mapie. Helikopter opadł jak kamień prosto na szary brzeg owej kamienistej wysepki, a kiedy płozy dotknęły ziemi, pilot i Laroche wyskoczyli, przytrzymali kadłub, dopóki śmigło nie stanęło, po czym obłożyli płozy kamieniami.

Siedzieliśmy w helikopterze, czas nam się dłużył, biały puch stopniowo pokrywał brzeg, a piana zamarzała na opadającej stromo kamienistej plaży. Wreszcie burza przeszła i wiatr ucichł. Natomiast zimno pozostało przenikając przez plastik, tak że czuliśmy się jak zamknięci w zamrażalniku. Laroche spojrział na zegarek, a potem na pilota, który wysiadł i stał patrząc na niebo.

- No i jak? - zapytał Laroche.

Pilot potrząsnął głową z powątpiewaniem.

- Wygląda niedobrze - powiedział.

Wtedy i Laroche wysiadł także i obaj stanęli razem, spoglądając pod wiatr i rozmawiając cicho. Pilot wydawał się zatroskany: też zerknął na zegarek, a potem powiedział coś do Laroche'a, który kiwnął głową i lekko wzruszył ramionami. Był to gest przyzwolenia i spostrzegłem, że składa mapę i chowa ją do kieszeni. Następnie odrzucili kamienie z płóz i pilot wsiadł do helikoptera.

- Wracamy - powiedział.

Nie chciałem temu wierzyć. Burza przeszła, a byliśmy już prawie na miejscu.

- Przecież, jeżeli dolecieliśmy tak daleko... - Moje słowo zagłuszył huk motoru, kiedy Laroche zakręcił śmigło.

- Bardzo żałuję! - krzyknął mi w ucho pilot - ale mam rozkaz nie ryzykować maszyny. To jest bodaj najważniejszy sprzęt, jaki posiadamy.

- Życie ludzkie jest ważniejsze od helikoptera - powiedziałem.

- Pewnie - przytaknął kwaśno. - Ale jeżeli pan ma ochotę utknąć tu w zamieci, to ja w każdym razie nie. Zresztą Bert zgadza się ze mną, a zna ten kraj lepiej niż ja.

Więc to Laroche przesądził w końcu o całej sprawie.

- Chyba warto zaryzykować? - spytałem, kiedy się wciskał na miejsce obok mnie i zatrząskiwał drzwiczki.

- Pan chce lecieć dalej? - Rzucił mi szybkie, nerwowe, zgnębione spojrzenie. A potem pochylił się do pilota. - To zależy od ciebie, Len... Rozumiesz?

- Jasne. I właśnie dlatego wracam najprędzej, jak zdołam. - Zwiększył obroty silnika. - Będziemy mieli szczęście, jeżeli dolecimy do nasypu, zanim znów zacznie padać śnieg! - zawołał podrywając maszynę z ziemi i lecąc skosem nad ołowianą powierzchnią jeziora. - A jeżeli idzie o tamtych dwóch gości, to i tak już teraz nie żyją. Jeżeli w ogóle dotąd żyli - dorzucił.

- Ale mówiłem panu...

- Len tutaj decyduje - wtrącił ostro Laroche. - Jest pilotem i mówi, że wracamy. Jasne?

Dałem za wygraną. Nie mogłem się z nim spierać. A zresztą teraz, kiedy skierowaliśmy się pod wiatr, ja sam też nie byłem zbyt zachwycony sytuacją. Znow lecieliśmy ponad małymi jeziorami, a wszędzie przed nami niebo było ciemne i zaciągnięte, aż czarne od mrozu. Widoczność stale malała i w kilka minut później wlecieliśmy znowu w śnieg. Rozpoznaliśmy przynajmniej trasę aż do trzeciego jeziora zaznaczonego na mapie i dotarliśmy mniej więcej na pół drogi do naszego celu. Udowodniliśmy, że mapą można się posłużyć, a to już było coś.

Dolecieliśmy do nasypu zaledwie o kilka mil na północ od obozu, ale gdyby nie blask ogniska rozpalonego przez ekipę robotników, pewnie byśmy go przeoczyli, bo śnieg był niczym zwarta szara ściana, a biały dywan na ziemi prawie zupełnie zacierał linię toru.

Wylądowaliśmy w tym samym miejscu i kiedyśmy wysiadali, spostrzegłem Paulę Briffe wstającą ze sterty żwiru, na którym samotnie czuwała. Popatrzyła na nas przez chwilę, po czym odwróciła się raptownie i z wolna ruszyła do obozu. Laroche też ją zobaczył i napięcie znów pojawiło się na jego twarzy, a oczy miał błędne, kiedy patrzył za odchodzącą dziewczyną.

Helikopter wystartował natychmiast znowu, kierując się na północ i lecąc tuż nad nasypem, a kiedy zniknął w śniegu, ogarnęło mnie ogromne przygnębienie. Wiedziałem, że już nie będziemy mogli z niego skorzystać i że nasza ostatnia szansa polecenia do jeziora została zniweczona przez niepogodę.

Lands potwierdził to tego wieczora. Wezwał nas do baraku Darcy'ego zaraz po kolacji i powiedział otwarcie, że jeżeli nadal mamy zamiar próbować dotrzeć do jeziora, będziemy musieli zrobić to drogą naziemną. Był tutaj dziś dyrektor generalny i jeden z dyrektorów - oświadczył - i powiedział mi jasno, że helikoptera nie wolno używać w żadnym innym celu poza kontrolowaniem budowy nasypu. Tak to wygląda. - Wzruszył z lekka ramionami. Patrzył na Paulę.

- Ale przecież gdyby im wytłumaczyć... - zacząłem.

- Co wytłumaczyć? - odparł szorstko. - Wiedzą wszystko, co trzeba. - Zawahał się, po czym rzekł niepewnie. - Oni nie wierzą, żeby ojciec Pauli żył. A zresztą - dodał pośpiesznie - mają masę rzeczy na głowie. Na północ stąd pracuje przy nasypie przeszło tysiąc ludzi i do cholery maszyn, a ten helikopter jest dla kierownika robót jedynym sposobem ich nadzorowania. - Potem spojrzał na mnie. - No, zobaczył pan kawałek kraju, teraz pan wie, jak to wygląda. I dalej pan twierdzi, że pański ojciec był przy zdrowych zmysłach i że tę wiadomość naprawdę nadano?

Wszyscy wpatrywali się we mnie i nagle uświadomiłem sobie, że to jest moment decyzji. Wystarczyłoby mi powiedzieć, że nie jestem tego pewny, a wtedy Lands sprzeciwiłby się wszelkim dalszym próbom. Jego oczy były we mnie utkwione i nieomal czułem, że pragnie, abym tak powiedział. Laroche też obserwował mnie bacznie, a jego długie palce nerwowo przesuwwały w górę i w dół zamek błyskawiczny parki. Darcy miał zaciekawioną minę, jak artysta obserwujący ludzkie postępowanie. Paula też wpatrywała się we mnie, ale nie mogłem odgadnąć, co myślała. Twarz jej była woskową maską, rysy miała ściągnięte, usta zaciśnięte mocno. I wtedy usłyszałem samego siebie, mówiącego płaskim, bezbarwnym głosem:

- Jestem przekonany, że mój ojciec był przy zdrowych zmysłach, i zupełnie pewny, że odebrał tę transmisję.

Cóż innego mogłem powiedzieć? Gdyby było jakieś wyjście, zapewne bym je obrał. Ale go nie było. Posunąłem się za daleko, by teraz zawracać z drogi.

W nagłej ciszy usłyszałem świszczące westchnienie dziewczyny, po czym Laroche zapytał:

- Jak pan może być tego pewny?

Zdawało mi się, że te słowa wymówił z trudem.

- Bo mój ojciec był przez całe życie radiotelegrafistą - odpowiedziałem. - Człowiek nie popełnia takiej omyłki, kiedy poświęcił życie jakiejś jedynej rzeczy.

Nie zamierzałem podkreślać słowa „omyłka”, ale kiedy je wypowiedziałem, niejako zawisło w powietrzu i poczułem, że Laroche zamyka się w sobie.

- Okey - odezwał się Lands. - To chyba załatwia sprawę. - Jednakże czuło się, że mu to nie w smak. - Teraz ty się wypowiedz, Ray - dodał mówiąc do Darcy'ego. - Chcesz także pójść?

- Chyba tak. - Głos Darcy'ego był suchy, rzeczowy.

- A ty, Bert?

Laroche zerknął na Paulę Briffe.

- Jeżeli ty tego chcesz. - A kiedy kiwnęła głową, rzekł. - No, to dobrze.

Jednakże, podobnie jak Lands, nie wydawał się tym zachwycony. Dziewczyna, wyczuwając jego niechęć, powiedziała ze zniecierpliwieniem:

- A cóż innego mamy robić, jeżeli nie można dostać helikoptera?

Spojrzała na Landsa, ten zaś potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie ma o tym mowy.

- Więc rzecz postanowiona? - Popatrzyła na resztę obecnych. - Wyruszamy o świcie, tak?

A zatem powzięto decyzję. Przeszliśmy teraz do szczegółów i wywiązała się długa dyskusja, czy powinniśmy zabrać canoe, czy nie. W końcu postanowiono, że tak. Z tego, co widzieliśmy z powietrza, wynikało, że mamy przed sobą równie dużo wody jak łądu i chociaż przenoszenie canoe musiało osłabić tempo naszego pochodu na odcinkach lądowych, uznano, że co najmniej nadrobimy to unikając długich obejść, koniecznych przy omijaniu jezior i mszarów. Canoe mogliśmy zawsze porzucić, gdyby w praktyce wypadło to inaczej, niż przewidywaliśmy.

Zebranie wszystkich rzeczy potrzebnych do utrzymania się przy życiu w puszczy zajęło nam około półtorej godziny. Zgromadziliśmy je w baraku Darcy'ego: żywność, przybory do gotowania, odzież, plecaki, strzelbę, toporki, sprzęt wędkarski - ogromny stos ekwipunku, który trzeba było posortować i podzielić na ładunki do przenoszenia. Skończyliśmy niedługo po dziewiątej i wtedy poprosiłem Darcy'ego, żeby mnie zaprowadził do radia.

Już przedtem poruszyłem z nimi sprawę nadajnika, którego używał Briffe. Wydawało się rzeczą zasadniczej wagi, abyśmy mogli posłużyć się nim w razie potrzeby, i myślałem, iż Laroche powie, że to potrafi. On jednak oświadczył tylko: „Nadajnik zatonął razem z samolotem. Już wam mówiłem”. Powiedział to stanowczo, z naciskiem, który świadczył o przekonaniu, i chociaż w ten sposób cała podstawa naszej wyprawy stawała się nonsensem, widziałem, że wszyscy mu wierzą.

Brnąc poprzez oblodzony obóz zastanawiałem się, czy zdołam przekonać radiotelegrafistę, żeby stale nas nasłuchiwał na częstotliwości Briffe'a.

- Pewnie tutejsi radiowcy są bardzo zajęci? - spytałem Darcy'ego.

- E, tego bym nie powiedział - odparł. - Nie ma tu znów tyle ruchu. Głównie parzą sobie kawę albo czytają książki.

Ciemny kształt chaty zamajaczył za gorejącymi oczyma jej okien. Darcy podszedł do jej drugiego końca i popchnął drzwi. Grzejnik palił się na cały regulator, w małej izbie było gorąco jak w piecu, a jakiś mężczyzna w trykotowej koszulce niechętnie podniósł oczy znad czasopisma, które czytał. Jego twarz była blada pod gęstym zarostem, a sam rozparty w odchylonym do tyłu krześle.

Nawet kiedy mu wyjaśniłem, o co proszę i dlaczego, w jego zmęczonych oczach nie pojawił się żaden przebłysk zaciekawienia. Owszem, wie, jak działa czterdziestka ósemka. Kiedy zacząłem nalegać, żeby mi to wytłumaczył szczegółowo, z niechęcią narysował ją na kartce wyrwanej z bloku.

Nie mogłem się powstrzymać od porównania go z Led-derem. Simon Ledder był tym, czym mój ojciec: entuzjastą. Ten człowiek zaś był pracownikiem pełniącym zwykłą codzienną funkcję. Gdy tylko skończył nam wyjaśniać działanie aparatu, odchylił się znowu z krzesłem i podniósł pismo do oczu.

Zawahałem się, nie mając ochoty wiązać się z nim. Życie nasze mogło zależeć od łączności radiowej, i znów pomyślałem o Ledderze.

- Czy mógłby pan skontaktować się w moim imieniu z pewnym krótkofalowcem w zatoce Goose? - zapytałem. - Jego znak wywoławczy jest VO6AZ.

Potrząsnął głową. - Muszę być stale nastawiony na naszą własną częstotliwość.

- Spodziewasz się pan jakichś wiadomości, które wstrząsną światem? - zapytał Darcy. Zdaje się, że odgadł, co mam na myśli.

Radiotelegrafista wytrzeszczył na niego oczy w zdumieniu, nie rozumiejąc tej ironii.

- Mam polecenie...

- Do cholery z pańskim poleceniem! - wybuchnął Darcy. - Jesteś pan tutaj po to, żeby obsługiwać radio. A teraz dźwignij pan swoją tłustą dupę z krzesła i zobacz, czy możesz wywołać tego krótkofalowca. I tylko raz dwa, bo nam pilno.

- W porządku, panie Darcy. Jeżeli pan każe. - Naprostował krzesło. - Jaka to częstotliwość? - zapytał mnie.

Powiedziałem mu i staliśmy przypatrując się, jak majstrował skalą. Najpierw spróbował na fonii, potem na kluczu, i w miarę jak upływały minuty na wiszącym nad nadajnikiem zegarze, zaczynałem dochodzić do wniosku, że nic z tego nie będzie. Musiałem albo zaufać mu, że przekaże wiadomość, albo...

- Czy pan mógłby nawiązać kontakt z Perkinsem ze Sto Trzydziestki Czwórki? - spytałem go zastanawiając się, dlaczego nie przyszło mi to wcześniej do głowy.

Odchylił jedną ze słuchawek.

- Że co?

- Z Perkinsem, Obóz Sto Trzydzieści Cztery. Mógłby pan go złapać?

- Jasne. Jeżeli jest na służbie. - Przekręcił gałkę i zaczął wywoływać.: - CQ, CQ, CQ - Dwieście Sześćdziesiąt Trzy wzywa Sto Trzydzieści Cztery. Odezwać się, Sto Trzydzieści Cztery. Odbiór!

I oto w izbie rozległ się głos Boba Perkinsa, a jego rodzimy akcent zabrzmiał swojsko i kojąco. Wziąłem mikrofon i kiedy powiedziałem, kim jestem, od razu mi przerwał mówiąc, że jest do mnie depesza od Farrowa.

- Przyszła zaraz po południu, ale postanowiłem z nią zaczekać. Zrobił się taki szum w pana sprawie, że bałem się, że jak zacznę nadawać depeszę do pana, do Dwieście Sześćdziesiąt Trójki, cała sprawa się wyda. A pan teraz jest w Dwieście Sześćdziesiątce Trójce, tak? Odbiór?

- Tak - powiedziałem i przekręciłem przełącznik z powrotem na odbiór.

- No, domyślałem się, że pan postawi na swoim. Ale zdaje się, że już pana dogнали. Odsyłają pana do bazy czy jak? Odbiór.

- Nie - odrzekłem. - Mamy zrobić jeszcze jedną próbę odnalezienia Briffe'a. Wyruszam jutro rano z Larochem i Darcym. - I wyjaśniłem mu, że mam nadzieję zastać nadajnik Briffe'a w stanie zdatnym do użytku. - Będzie pan taki dobry, żeby nasłuchiwać nas na dawnej częstotliwości Briffe'a? Kiedy pan zechce, tylko muszę wiedzieć, że mogę liczyć, że ktoś przyjmie każdą wiadomość. Odbiór.

- To pan wybiera się z Laroche'em? - Nawet w głośniku można było dosłyszeć zaskoczenie w jego tonie. A po chwili, rzekł: - Może niech pan lepiej posłucha tej depeszy od Farrowa, a potem porządnie się nad tym zastanowi. Przeczytam ją panu powoli.

Radiotelegrafista podsunął mi blok i wyjął ołówek zza ucha. I wtedy rozległ się głos Perkinsa:

- To jest list telegraficzny podpisany: Farrow. Idzie tak:

Matka zrozpaczona pańskim wyjazdem Labrador w nieświadomości dziennika Alexandry Ferguson stop Dziennik mówi dziadek zabity przez towarzysza Jezioro Lwa stop Nazwisko tego towarzysza Pierre Laroche stop Obawia się jakiegoś związku...

Laroche! Więc miałem rację. Był tu jakiś związek. Wydało mi się, że mój ojciec przesłał mi nagle przez eter ostrzeżenie tym blaszanym głosem Perkinsa. Nic dziwnego, że wypisał to nazwisko dużymi literami. I tamta na-bazgrana linijka, która była dla mnie tak zagadkowa... „L-L-L-L-L-TO NIEMOŻLIWE”. W oślepiającym przeblasku wszystko stało się dla mnie jasne i obróciłem się do Darcy'ego.

- Oni są spokrewnieni, prawda? - zawołałem. - Pan o tym wiedział!

Nie potrzebowałem od niego potwierdzenia; nazbyt uważał, żeby nie wymienić nazwiska owego szaleńca.

- Boże mój! - westchnąłem. - Nic dziwnego, że ojciec był taki pochłonięty wyprawą Briffe'a. Czy Lands o tym wie?

Kiwnął głową.

- A Paula Briffe?

- Nie wiem. Ale chyba tak.

Wszyscy prócz mnie! Więc wszyscy wiedzieli!

- A jakie to pokrewieństwo? - spytałem. - Czym jest ten Laroche dla tamtego, który zamordował mojego dziadka?

- Tym samym, czym pan dla Fergusonsona - odparł. - Jest wnukiem Pierre'a Laroche'a.

Więc pokrewieństwo było aż tak bezpośrednie. Trzecie pokolenie. Nic dziwnego, że lękałem się myśli o jego pójściu z nami. W tej chwili znów dotarł do mnie głos Perkinsa.

- Odebrał pan? - Mówił zniecierpliwionym głosem. - Powtarzam: odebrał pan? Słucham. Odbiór.

Nacisnąłem przełącznik.

- Tak - powiedziałem i znowu obróciłem się do Darcy'ego zastanawiając się, czy podchodzi do tego tak jak ja, tak jak mój ojciec... czy sądzi, że historia się tu powtarza.

- Myśli pan... - zacząłem, ale urwałem nie chcąc tego ująć w słowa.

- Po prostu zbieg okoliczności - powiedział szorstko.

Zbieg okoliczności... tak, ale diabelnie dziwny... My dwaj tu, na Labradorze, wyruszający nazajutrz rano na miejsce tej dawnej tragedii.

Byłem tak oszołomiony, że musiałem poprosić Perkinsa, aby raz jeszcze powtórzył depezę. Najwidoczniej matka, w obliczu faktu, że byłem już na Labradorze, uznała za konieczne, żebym zapoznał się z owym dziennikiem, zanim coś przedsięwzię. Wysłała go do Montrealu najbliższym samolotem, a stamtąd miano go przekazać wprost Perkinsowi.

Było jednak za późno, a zresztą wydawało się to nieważne. Jedyne podstawowe fakty były mi już znane.

- Ruszamy z samego rana - powiedziałem Perkinsowi, po czym umówiłem się z nim, że będzie nasłuchiwał codziennie między siódmą a wpół do ósmej rano i wieczorem. Obiecał, że porozumie się z Ledderem, aby i on prowadził nasłuch.

Nie mogłem uczynić nic więcej. Jeden lub drugi powinien był usłyszeć nas, jeżeli byśmy mogli nadawać. Ostatnie słowa, jakie powiedział Perkins, brzmiały:

- No, to powodzenia i mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Słowa banalne, zaledwie głos z eteru, ale przyjemnie było wiedzieć, że ktoś nas będzie nasłuchiwał, tak jak mój ojciec Briffe'a.

Kiedy wyszliśmy na dwór, padał śnieg; nie takimi miękkimi, łagodnymi płatkami jak poprzedniego wieczora, ale twardymi kryształkami lodu, miecionymi prawie równolegle do ziemi i opylającymi krawędzie kolein jak gdyby białym pudrem. Darcy ujął mnie za rękę, a palce jego dłoni w rękawiczce ścisnęły mnie mocno, aż do bólu.

- To jest zbieg okoliczności - powtórzył. - Niech pan pamięta. - A kiedy nie odpowiadałem, dodał: - Najlepiej o tym w ogóle zapomnieć. To nie będzie majówka.

Nie potrzebował mi tego mówić. Jednakże było oczywistą nedorzecznością z jego strony, iż proponował mi, abym zapomniał, że Laroche jest wnukiem morderczego szaleńca. Kiedy taka rzecz raz dotrze do czyjegoś umysłu, już w nim pozostaje, toteż przez cały czas, gdy dyskutowaliśmy ostatnie przygotowania do naszego odejścia, łapałem się na tym, iż ukradkiem obserwuję twarz Laroche^ szukając jakiejś wyraźnej oznaki tego błędu, który w moim przekonaniu odziedziczył, i czując lęk na myśl o tym, co miały przynieść najbliższe dni. A później, kiedy położyliśmy się spać, nie mogłem przestać myśleć o przeszłości i długo leżałem bezsenne, patrząc, jak rozpalony do czerwoności piecyk stopniowo matowieje, i wsłuchując się w wycie wiatru, który uderzał w cienkie drewniane ściany baraku.

CZĘŚĆ TRZECIA

Jezioro Lwa

Obudził mnie przenikliwy terkot budzika o jakiejś głuchoj przedrannej godzinie i uświadomiłem sobie, że to jest ten dzień i że już nie ma odwrotu. Zapaliło się światło i otworzywszy oczy ujrzałem pochylonego nad piecem Darcy'ego w długich wełnianych kalesonach.

- Śnieg jeszcze pada? - spytałem go wzdragając się porzucić ciepło koców.

- Chyba tak. - Potarł zapalkę i wierzchem pieca wychynęły języki płomienia. - Pospiesz się pan. Śniadanie za kwadrans.

Umyliśmy się i ogolili, po czym wyszliśmy na białe pustkowie obozu. Paula Briffe była już w jadalni, która w jaskrawym świetle lamp, padającym na puste stoły, wydawała się ogromna. Laroche przyszedł wkrótce potem.

- Nawet gdyby nam dali helikopter - powiedział. - Len nie mógłby lecieć w taką pogodę.

Wciąż dął silny wiatr, a śnieg był nadal tą samą zawieruchą sypkich kryształków.

Jedliśmy w milczeniu, razem z kierowcą przydzielonej nam ciężarówki, a każdy z nas był pogrążony we własnych rozmyślaniach. Potem załadowaliśmy samochód i odjechali, a żalona, małą oazę obozu pochłonęła zawieja, jeszcze zanim dotarliśmy do Drogi Przewozowej.

Ciężarówka wioząca dla nas canoe z Obozu 290 miała przybyć na miejsce spotkania o godzinie siódmej. Kiedy jednakże dojechaliśmy tam w końcu z dwugodzinnym opóźnieniem spowodowanym przez zasy, nie było jej nigdzie. Nie było też śladów opon, a gdy dotarliśmy do mostu, o pięć mil dalej, i wciąż jej nie było widać, zrozumieliśmy, że nie zdołała przyjechać na czas.

Nie było więc innej rady, jak tylko zasiąść w baraku kuchennym i czekać popijając kawę Sida. Nie rozmawialiśmy wiele; panowała atmosfera naprężenia, bo Paula i Laroche zachowywali się jak dwoje obcych sobie ludzi, złączonych jedynie wrogością do mnie, której prawie nie usiłowali ukrywać. Zdałem sobie sprawę, że jest to coś, z czym będę musiał się oswoić.

- Nie sądzę, żebyśmy powinni dłużej czekać - odezwała się wreszcie Paula. - Jeziora już pewnie zamarzają i w takie zimno może będzie lepiej bez canoe.

Jej drobna, szczupła twarz była blada, a w głosie wyczuwało się niecierpliwość.

- Na ciężarówce jest namiot i śpiwory - przypomniał jej Darcy. - Bez nich nie możemy wyruszyć.

Kiwnęła głową i zaczęła skubać wystrzępione brzeżki swojej parki. Potem wydobyła z pochewki nóż myśliwski i wzięła się do obcinania nitek. Był to nóż indiański z rzeźbioną rękojeścią i długą, wąską klingą zeszlifowaną przez ustawiczne ostrzenie. Takiego noża trudno było spodziewać się u dziewczyny, i widząc go w jej drobnych, zręcznych dłoniach, czułem zimny dreszcz, bo cienkość tego ostrza była cienkością wynikłą z ciągłego używania, przypomnieniem, że Północ jest jej żywiołem.

Skończyła przycinać brzeży kurtki i potem siedziała wpatrując się tępo w pustkę, z nożem wciąż w dłoniach; palce jej bawiły się błyszczącą stalą ostrza, ja zaś nie mogłem się oprzeć myśli, że oto jestem w kraju, gdzie nie istnieje prawo takie, jak ja je rozumiałem, gdzie sprawiedliwość jest czymś, co się wymierza na miejscu - a spojrzawszy na Laroche'a zauważyłem, że i on też obserwuje tę jej zabawę z nożem.

Niedługo po jedenastej ciężarówka nareszcie zajechała. Przenieśliśmy do naszego wozu canoe i ciasno zwinięty tobół z namiotem i śpiworami, i zawróciliśmy Drogą Przewozową do punktu, gdzie Laroche ją przekroczył, wracając pieszo. A potem ruszyliśmy w puszcze niosąc zarówno canoe jak nasze plecaki.

Przez jakiś czas słyszeliśmy jeszcze motor ciężarówki, lecz wkrótce zagubił nam się w szumie wiatru, i kiedy spojrzałem za siebie, Droga Przewozowa już zniknęła i nie było nic oprócz sosen przygiętych pod brzemieniem śniegu. Zostaliśmy sami, tylko we czworo, przed nami rozciągał się Labrador, a na przestrzeni prawie trzystu mil dzielących nas od wybrzeża, nie było żywego ducha.

Tego wieczora rozbiliśmy obóz na kamienistym brzegu małego górskiego jeziora. Zawieja już się wydmuchwała i drzewa w mroku pod mroźnymi gwiazdami miały w sobie jakiś odświętny spokój, ich ubielone gałęzie odbijały się w stalowoszarej wodzie, a wszędzie po brzegach jeziora tworzyła się skorupa lodu, która w miarę jak zapadały ciemności, stawała się białawym, nieledwie świetlistym pierścieniem.

Niedobry był ten dzień - wyruszyliśmy z opóźnieniem, a potem szło nam się ciężko przez głęboki śnieg, z kilkoma paskudnymi połaciami mszaru. Canoe mogliśmy użyć tylko dwukrotnie, i to na krótkich odcinkach wody. Resztę czasu musieliśmy je nieść. Byliśmy przemoczeni, brudni i zmęczeni, a nie dotarliśmy nawet do pierwszego jeziora zaznaczonego na mapie Mackenziego. Znajdowaliśmy się teraz wpośród dziesiątków małych jezior, ponad którymi ja i Laroche przelecieliśmy helikopterem tak łatwo i szybko poprzedniego popołudnia.

Darcy usiłował łowić ryby, dopóki ognisko się nie rozpało i nie ugotowano kawy - i wrócił z pustymi rękami.

- Zdaje się, że za zimno na ryby. - Rzucił wędkę na ziemię i wyciągnął dłonie do ognia, a przemoczone nogi wsunął między węgielki. - Psiakrew, przydałby mi się jakiś ładny łosoś!

Uśmiechnął się do nas smętnie, a mnie ślina napłynęła do ust na wspomnienie różowego mięsa ouananisha, którego jadłem poprzedniego dnia. Musieliśmy jednak zadowolić się mieszaniną odwodnionej zupy z kartoflami, boczkiem i grochem. Potem napiliśmy się jeszcze kawy, mocnej, czarnej i słodkiej, i siedzieliśmy paląc papierosy, i trzymając kubki w złożonych dłoniach.

- No jak tam, lepiej? - dłoń Darcy'ego spoczęła na moim kolanie ściskając je przyjaźnie.

Kiwnąłem głową. Ramiona jeszcze miałem obolałe i obtarte od pasów plecaka, a bąble na piętach też mi dokuczały. Ale minęło już uczucie krańcowego wyczerpania i mięśnie mi się rozprężyły.

- Doskonale - powiedziałem.

- Ma pan wrażenie, że już pan pokonał Labrador, co? - Popatrzył na mnie twardo, uśmiechając się wprawdzie, ale nie oczami. - Oceniam, że zrobiliśmy nie więcej niż pięć mil w linii prostej, czyli jedną dziesiątą najkrótszej możliwej trasy. Jedną dwudziestą, jeżeli policzyć także drogę powrotną.

- Czy to ma nas podtrzymać na duchu? - odezwał się Laroche.

Darcy obrócił się i popatrzył na niego nad ogniskiem.

- Uważałem, że lepiej, aby znał ten rachunek. - Potem dodał z ponurym uśmiechem.

- Jest jedna pociecha. W miarę jak będziemy zjadali nasze zapasy, plecaki staną się lżejsze.

Było to ostrzeżenie. Wyruszyliśmy o bardzo późnej porze roku, i Darcy, łowiąc ryby, rozważał nasze szansę. Wszyscy troje zastanawiali się nad tym, ponieważ zaś wiedziałem, co im chodzi po głowie, uznałem za konieczne usprawiedliwić się.

- Jeżeli nam jest ciężko - wypaliłem - to ojcu Pauli jest znacznie ciężej.

Popatrzyli na mnie, zmrozeni milczeniem przez moje słowa. A potem Paula chwyciła garnek szybkim ruchem i poszła do jeziora, aby go umyć. Darcy też wstał.

- W porządku - rzekł szorstko. - Jeżeli pan jest taki pewny. - Wziął swój toporek i poszedł w las narąbać dREW.

Laroche nie ruszył się z miejsca. Siedział zapatrzony w ogień, a płomień migoczące na jego wystających kościach policzkowych nadawały twarzy ceglastą, miedzianą barwę,

która upodobniała go do pół-Indianina. Głowę miał obnażoną i blizna wyglądała jak czarny cień na czaszce.

- Nie powinien pan być tego mówić - odezwał się z łagodnym wyrzutem.

- O jej ojcu? A dlaczego? - odparłem. - Przecież wie doskonale, że...

- Niech pan po prostu o tym nie mówi, to wszystko, o co proszę. - Popatrzył na mnie ponad żarzącym się kręgiem węgielków. - Takie mówienie tylko pobudza w niej nadzieję. - Znowu opuścił oczy na ognisko i po chwili szepnął: - Widzi pan, dla niej nie ma nadziei, czy tak, czy owak. - Powiedział to spokojnie, prawie smutno. A potem dodał jakby do siebie: - Zresztą on teraz już i tak nie żyje.

Ze sposobu, w jaki powiedział te słowa, wywnioskowałem, że na to właśnie liczy.

- Ale żył, kiedy pan go opuszczał, prawda? - To pytanie wyrwało mi się, zanim zdążyłem je powstrzymać.

On jednak jakby tego nie zauważył albo też było mu obojętne, czy wiem, czy nie. Siedział zapatrzony w żar ogniska, zatopiony w myślach, ja zaś żałowałem, że nie mogę ich odczytać. Co się stało po tamtej katastrofie? Co na imię boskie skłoniło go do powiedzenia, że Briffe nie żył, kiedy tak nie było? A potem pomyślałem o jego dziadku i o tym, co się przedtem zdarzyło nad owym jeziorem, i wzrok mój spoczął na jego szpetnej bliźnie. Laroche miał głowę nieco schyloną do przodu i blizna wydawała się sina w świetle ognia. Miał być nią naznaczony do końca życia. Jak Kain - pomyślałem nagle.

Jak gdyby świadam, co mi przyszło do głowy, podniósł nagle wzrok i spojrzał na mnie. Przez chwilę miałem wrażenie, że chce mi coś powiedzieć. Ale zawahał się, i w końcu jego usta zacisnęły się mocno, wstał raptownie i odszedł.

Zostałem przy ognisku sam jeden. Mimo to mój umysł zachował obraz Laroche'a siedzącego z głową pochyloną nad ogniem, i znowu ogarnęła mnie pewność, że nie jest bardziej poczytalny niż jego dziadek. Myśl ta była przerażająca i usiłowałem odepchnąć ją od siebie. A jednak raz się pojawiwszy, już zapuściła korzenie. Potem, kiedy wszyscy czworo skupiliśmy się ciasno w namiocie, aby się rozgrzać, nabrałem przekonania, że tak jest, bo jakież inne mogło być wytłumaczenie?

Pamiętam, iż mówiłem sobie, że to nie jego wina. Odniósł ciężkie obrażenia. Jednakże obłąd jest czymś, co budzi w każdym z nas prymitywny strach, i chociaż mogłem współczuć Laroche'owi, nadal przerażała mnie jego obecność między nami, kiedy tam spał spokojnie w drugim końcu namiotu. Tu, w puszczy, wydawało się to znacznie gorsze, bo byliśmy zdani tylko na siebie, całkowicie uzależnieni jedno od drugiego. Niewątpliwie działała na mnie otaczająca nas, nienaturalna cisza. Nie było żadnego odgłosu, oprócz cichego chrapania

Darcy'ego, który leżał obok mnie, a zimno ciągnące od twardej ziemi i przenikające przez cienkie ścianki namiotu nie pozwalało mi zasnąć.

Rano wszystko wydało się inne. Wstaliśmy o brzasku i zabraliśmy się do rozpalania ogniska i gotowania śniadania. Ranek był zimny, gęsta mgła wisiała nad wodą pokrytą delikatną błonką cienkiego lodu. Widząc systematyczność, z jaką Laroche składał i związał namiot, trudno było uwierzyć, że nie jest normalny. A jednak właśnie ta normalność jego zachowania tylko zwiększyła mój niepokój i było rzeczą przerażającą, że nie mogłem nic na to poradzić. Mogłem jedynie obserwować go i mieć nadzieję, że w miarę jak będziemy zbliżali się do naszego celu, napięcie nie doprowadzi go do przekroczenia granicy poczytalności.

- O czym pan myśli?

Obróciłem się i ujrzałem stojącą za mną Paulę.

- O niczym - odparłem szybko. Była ostatnią osobą, z którą mógłbym podzielić się moimi obawami. Darcy - owszem; musiałem z nim pomówić w jakimś momencie, kiedy byśmy zostali sami. Ale nie Paula - przynajmniej na razie.

Zmarszczyła brwi.

- To może pan by mi pomógł załadować canoe.

Tego dnia canoe wykazało swoją wartość. Wczesnym rankiem przepłynęliśmy nim trzy jeziora, przy czym między jednym a drugim były tylko krótkie przestrzenie wymagające przenoszenia canoe, i zaraz po dziesiątej dotarliśmy do tego długiego, wąskiego pasma wody, które zidentyfikowaliśmy z helikoptera jako pierwsze z jezior zaznaczonych na mapie.

Przepłynęliśmy je skosem, odnaleźli stary indiański szlak i, jak nam się wydało, prawie zaraz natrafiliśmy na drugie z jezior Mackenziego. Potem jednak okolica się odmieniła i stała się monotonna. Nie było już zwałów skalnych, a jeziora nie leżały w głębokich rozpadlinach, ale na aluwialnej płaszczynie, tak że ziemia i woda następowały po sobie z małą zmianą poziomu. Trzymaliśmy się możliwie najdalej na wschód, ale nie mieliśmy czym się kierować, a fakt, że przedtem lecieliśmy nad tą okolicą, w niczym nam nie pomógł, bo właśnie tutaj ogarnęła nas burza śnieżna.

Mimo to szło się dobrze, odcinki wymagające przenoszenia canoe były krótkie i na ogół łatwe. Wskutek tego przez całe rano nie znalazłem się ani razu sam na sam z Darcy'm. Czy to w canoe, czy na łądzie, ciągle byliśmy razem w jednej zwartej grupce. Jedyne wypoczynek stanowiły te chwile, kiedyśmy wiosłowali. Na obiad zjedliśmy trochę czekolady, sucharów i sera, nie zatrzymując się w marszu, a najbardziej zdumiewające było to, że tempo nadawała dziewczyna.

Darcy był oczywiście znacznie starszy od nas wszystkich, i w miarę jak dzień upływał, a przenoszenie canoe stawało się coraz dłuższe i uciążliwsze, to tempo zaczęło dawać mu się we znaki. Tak samo zresztą i Laro-che'owi; jego twarz się ściągnęła, a z ruchów zniknęła wszelka sprężystość. Coraz częściej przystawał, aby popatrzeć na mapę, ale ilekroć Paula pytała go, czy coś poznaje, tylko potrząsał głową. Kiedy zaś następne jezioro - to z kamienistą ławicą - nie pokazało się po dziesięciu milach dobrego marszu, Paula zaczęła się niepokoić.

Szedłem z nią na przedzie, bo ciało moje przystosowało się już do warunków tego pochodu, i chociaż wciąż mnie nękały pęcherze na piętach, zaczynałem iść coraz swobodniej. Nie mówiliśmy wiele, bo Paula była zaprzątnięta odnajdowaniem kierunku, ja zaś rozglądałem się po okolicy, nawet z przyjemnością, bo cechowało ją swoiste, surowe piękno.

Wreszcie doszliśmy do małego jeziora i musieliśmy zaczekać na Darcy'ego i Laroche'a, którzy nieśli canoe.

- Daleko jeszcze do tego jeziora, gdzie lądowaliście helikopterem?

Stała wpatrując się w płaską powierzchnię wody i marszcząc z z troskaniem brwi, a kiedy odpowiedziałem, że nie wiem, złożyła plecak na ziemi i wyciągnęła się na chropowatym nadbrzeżnym żwirze.

- Ano, w każdym razie tu jest przyjemnie.

Zamknęła oczy starając się odpocząć. Słońce wyszło zza chmur i chociaż już się zniżyło ku drzewom za nami, wiatr nie wiał i było prawie ciepło.

- Gdyby tu chociaż było jakieś wzgórze - szepnęła. - Moglibyśmy wtedy rozejrzeć się po okolicy. A tak będziemy musieli tracić czas na szukanie tego jeziora. - Potem zamilkła na tak długo, iż pomyślałem, że usnęła. Ale raptem siadła. - Czy pan jest pewny, że oni się rozbili nad Jeziorem Lwa? - zapytała.

Nagłość tego pytania zaskoczyła mnie.

- Tak - odpowiedziałem. - Z tamtej wiadomości wynika całkiem jasno.

- Wiem - machnęła niecierpliwie ręką. - Tylko Albert nigdy nie przyznał, że to było Jezioro Lwa. Nie widział żadnego podobieństwa do lwa w tej skale, o którą uderzył. A teraz mówi, że mapa Mackenziego prowadzi nas za daleko na południe. Chce, żebyśmy poszli bardziej na północ.

Wtedy zrozumiałem, że Laroche zamierza spróbować nas odwieść od jeziora, i zapytałem:

- A skąd on wie, że jesteśmy z daleka na południe?

- Bo nic tu nie poznaje. Jeżeli to było Jezioro Lwa, a mapa jest dobra, to przez cały dzisiejszy dzień musieliśmy iść tą samą okolicą, którą wracał, a jednak jej nie poznaje. Wczoraj wieczorem, kiedy wróciliście z tego lotu helikopterem, przestrzegł mnie, że jego zdaniem kierunek jest niewłaściwy. Teraz jest o tym przekonany. - Zmarszczyła brwi patrząc na kamyk, który podniosła, poczym cisnęła go do wody. - Nie wiem, co lepiej robić; czy kierować się według mapy, czy iść na północ, dopóki nie znajdziemy czegoś, co by rozpoznał.

W lesie za nami dostrzegłem jakiś ruch i spomiędzy sosen wynurzyli się Laroche i Darcy, przygięci pod ciężarem canoe.

- Musimy trzymać się mapy - powiedziałem do niej z naciskiem. A ponieważ nadal wydawała się mieć wątpliwości, powtórzyłem te słowa: - Jeżeli teraz zlekceważymy mapę i skręcimy na północ... - Miałem zamiar powiedzieć, że wtedy nie odnajdziemy nigdy jej ojca, ale to by wymagało wytłumaczenia, dlaczego Laroche może chcieć nas odciągnąć od Jeziora Lwa, więc dałem spokój.

- Czy na tym ostatnim odcinku nie widziałeś niczego, co byś poznawał, Albercie? - spytała wstając. W jej głosie nie było nadziei, a kiedy Laroche potrząsnął głową, dodała: - Nawet tego wielkiego zwału skał?

- Już ci mówiłem, że moja trasa biegła na północ od tej, którą ci narysował Mackenzie. - Był zmęczony i mówił z rozdrażnieniem. - A teraz jesteśmy na południe nawet od niej.

- Skąd wiesz?

- Odeszliśmy cały kawał od szlaku indiańskiego i tego ostatniego jeziora, któreśmy zidentyfikowali. Powinniśmy już być przy następnym, tym, gdzie wylądowaliśmy wczoraj.

- Przecież mówiłeś, że wtedy padał śnieg i widoczność była zła. Skąd możesz mieć pewność, że jesteśmy na południe od naszej trasy?

- Bo wciąż jesteśmy spychani na południe. - Powiedział to ze znużeniem i obrócił się do Darcy'ego. - Jak ty uważasz, Ray?

Darcy kiwnął głową. - Jest tak, jak mówi Bert - powiedział do Pauli. - Taki już jest ten cholerny kraj. Stale nas ściąga na południe, szczególnie na tych kawałkach, gdzie przenosimy canoe.

Zawahała się patrząc to na jednego, to na drugiego.

- W takim razie kierujmy się na północny-wschód przez resztę dnia - powiedziała wreszcie. - I jeżeli do nocy nie znajdziemy tego jeziora, trzeba będzie zacząć robić rozpoznanie terenu.

- Po co się martwić o jezioro? - odparł Laroche. - Moim zdaniem powinniśmy maszerować na północny-wschód, dopóki nie odnajdę mojej drogi.

Popatrzyła na niego niepewnie i wreszcie spytała cicho:

- Ale jak możesz być pewny, że ją poznasz? Dotychczas nie poznałeś niczego, nawet od tego momentu, kiedy zboczyliśmy z Drogi Przewozowej.

Tu wtrącił się szybko Darcy:

- Ano, w każdym razie będziemy szli na północny-- wschód aż do wieczora. Możemy o tym podyskutować później.

I tak też postanowiono. Nikt mnie nie pytał, co o tym myślę, i zresztą i tak nie mógłbym się z nimi spierać. Rzeczywiście teren spychał nas na południe. Ale nie podobała mi się myśl o skręceniu na północ, nawet na resztę tego dnia. Tak chciał nami pokierować Laroche a na północy leżała Arktyka.

Przeżyliśmy to jezioro i dwa następne trzymając się nowego kursu według kompasu i wczesnym wieczorem dotarliśmy do szerokiej połaci wodnej z kamienistą ławicą pośrodku, i na chwilę ogarnęła mnie niepewność, bo pomyślałem, że Laroche doprowadził nas do trzeciego jeziora zaznaczonego na mapie, tego, gdzie lądowaliśmy helikopterem podczas burzy. Ale potem spostrzegłem, że kształt jeziora jest inny, a na kamienistej ławicy rosną karłowate drzewa.

Natomiast Paula natychmiast nabrała przekonania, że to jest jezioro, którego szukamy. Darcy tak samo. Laroche się nie odzywał, a kiedy spróbowałem powiedzieć im, że nie tu lądowaliśmy helikopterem, Paula zapytała:

- Jak pan może być taki pewny? Przecież była burza śnieżna i zła widoczność.

- Ale wylądowaliśmy na ławicy - odparłem. - Przecież widzielibyśmy drzewa, gdyby tam jakieś były.

Poprosiła Laroche'a, żeby wyjął mapę i kiedy przykucnął na ziemi rozkładając ją, pochyliła się nad jego ramieniem, i zawołała:

- O, widzi pan? Zaznaczył tę ławicę. Pamiętam, jak mówił, że ledwo ją widać nad wodą, nazwał ją kamienistą wysepką. Jestem pewna, że to jest to jezioro. Nawet kształt ma ten sam.

Laroche wciąż nic nie mówił; obróciłem się do Darcy'ego.

- Ile dzisiaj uszliśmy?

Zastanowił się chwilę.

- Chyba ze dwadzieścia mil. Może więcej.

- To znaczy, że jesteśmy prawie na połowie drogi.

- Tak, ogółem będzie z pięćdziesiąt mil.

Znajdowaliśmy się w takiej samej okolicy - płaskiej, z aluwialnymi resztkami epoki lodowej. Zerknąłem na Laroche'a, bo przyszło mi do głowy, że może to rzeczywiście jest jezioro, o którym myślał Mackenzie, a nie tamto, gdzie wylądowaliśmy. Musiał odgadnąć, co mi się nasunęło, bo powiedział.

- Nie ma co się zastanawiać, czy to jest to jezioro, nad którym lądowaliśmy wczoraj. - Zaczął składać mapę. - Jedno i drugie pasowałoby do takiej mapy jak ta.

Paula zmarszczyła brwi.

- Pokaż mi ją jeszcze raz. Mackenzie jest zwykle bardzo dokładny.

On jednak już się podniósł.

- Choćbyście nie wiem jak wpatrywali się w mapę - powiedział - nie będziemy nigdy mieli pewności, czy to jest to jezioro, czy tamto. - Po czym schował mapę do górnej kieszeni parki.

Wtedy Paula wyprostowała się i stanęła naprzeciw niego.

- Ale ja chcę spojrzeć na nią jeszcze raz - powiedziała z uporem.

- Możesz obejrzeć ją później - odparł odchodząc w stronę canoe. - Jeżeli mamy przepłynąć się przed nocą, musimy się pośpieszyć.

Nie wiem, czy wtedy powzięła nagle podejrzenie. Faktem jest - i to uprzytamniałem sobie już od jakiegoś czasu - że od chwili, kiedy wyruszyliśmy, Laroche ani razu nie wypuścił mapy z ręki. A może Paula była po prostu zmęczona i rozdrażniona. W każdym razie pobiegła za nim i złapała go za ramię.

- Albercie, daj mi ją. To moja mapa. - A kiedy odrzekł, że jest zupełnie bezpieczna w jego kieszeni, powtórzyła: - To moja mapa. Chcę ją mieć. - Jej głos stał się nagle przenikliwy.

- Na miłość boską, Paulo! - strząsnął z siebie jej rękę. - Tylko dlatego, że nie jesteś pewna, czy to właściwe jezioro...

- Jestem pewna.

- To po co ci mapa?

- Bo jest moja. - Schwyciła go za parkę. - Daj mi ją. Proszę cię. - Była bliska płaczu.

Byłoby to czymś dziecinnym, gdyby nie fakt, że nagle ujawniło się napięcie między nimi. Pamiętam przestraszony wyraz twarzy Darcy'ego. Wiedział, że sprawa jest poważna i od razu się wtrącił.

- Spokojnie, Paulo. - Schwycił dziewczynę za ramię bynajmniej nie zbyt delikatnie i odciągnął ją. - Mapa jest w porządku, a my musimy się przepłynąć. Jezioro takiej wielkości mogłoby nas zatrzymać na szereg dni, gdyby zerwał się wiatr.

Zawahała się patrząc na Laroche'a tak, jakby miała ochotę wyrwać mu mapę z kieszeni. A potem jej gwałtowność raptem pierzchła.

-Tak, oczywiście - rzekła. - Masz rację; musimy się spieszyć. - Uśmiechnęła się przelotnie do Darcy'ego i poszła spokojnie do canoe.

Temperatura raptownie spadła i na wodzie było zimno. Wiosłowaliśmy w milczeniu i jedynym odgłosem było pluskanie wiosł oraz poszept wody przepływającej po skórze, którą obite było canoe. Cały świat zdawał się uciszony nadchodzącym zmierzchem i tak nieruchomy, że nie kończące się czernie i szarości miały statyczność fotograficznej odbitki.

I oto nagle zza kamienistej ławicy doleciał krzyk dzikiej gęsi, tak czysty i doskonały w tej ciszy, że dech mi zaparło. Wysunąwszy się zza ławicy ujrzeliśmy je - cztery ptaki płynące jeden za drugim niczym białe galleony. Darcy sięgnął po strzelbę. Strzelił w momencie, gdy rozkładały skrzydła; trzy ptaki bijąc skrzydłami o wodę poderwały się w powietrze, natomiast czwarty przewrócił się na bok i tak pozostał. Kiedy go wciągnęliśmy do canoe, cisza znów powróciła, tak iż trudno było uwierzyć, że została zakłócona strzałem i tym oszalałym trzepotaniem skrzydeł.

Zapadały już ciemności, kiedy dopłynęliśmy do przeciwległego brzegu, i zaraz rozbiliśmy obóz na małym wzgórku porośniętym karłowatymi drzewami. Podczas gdy Paula skubała i patroszyła gęś, my rozpalaliśmy huczące ognisko i wprędce ptak, zręcznie nadziany na drewniane szpikulce, zwiisał na drążku podpartym poprzecznie dwoma rozwidlonymi patykami, i obracał się z wolna nad ogniem, z podstawioną patelnią, na którą skapywał tłuszcz. Widok i zapach pieczonego ptaka był czymś niewiarygodnym w owej zapadłej głuszy. Siedzieliśmy wokół ogniska popijając kawę, gwarząc i przypatrując się gęsi z chciwą niecierpliwością dzieci, które czekają na ucztę. Historia z mapą poszła niejako w zapomnienie.

Trzeba długiego czasu, ażeby upiec gęś przy ognisku, lecz wreszcie po ukłuciu nożem pocięł z niej sok, więc pokrajaliśmy ją i rzucili się łapczywie na mięso, parząc sobie palce gorącym tłuszczem. Paula posługiwała się t samym indiańskim nożem o wąskim ostrzu, którego zapewne używała przy niezliczonych ogniskach obozowych, a widok zeszlifowanej stali błyskającej czerwono w świetle ognia, przypomniawszy mi, że naówczas polowaniem zajmował się jej ojciec. Jednakże byłem zbyt pochłonięty smakowitością gęsi, aby się troszczyć o to, co mogła czuć Paula. Dopiero później, gdy napełniłem sobie żołądek, zauważyłem pełen napięcia, skupiony wyraz jej twarzy oraz uświadomiłem sobie posępne milczenie Laroche'a.

Po takim posiłku powinni byli odprężyć się podobnie jak Darcy, a siedzieli tacy milczący, tacy zebrani w sobie, że nie sposób było nie wyczuć atmosfery napięcia między nimi. Jeżeli to rzeczywiście było jezioro, które miał na myśli Mackenzie, nazajutrz lub następnego dnia powinniśmy byli znaleźć się przy Jeziorze Lwa. Czas naglił, toteż kiedy Darcy wstał i odszedł w ciemność lasu, ruszyłem za nim.

- Muszę z panem pomówić - rzekłem, kiedy oddaliliśmy się na tyle, że nie było nas słychać z obozu.

Przystanął i czekał, abym powiedział, co miałem do powiedzenia; stał nieruchomo, a jego masywna sylwetka rysowała się na tle poblasku wody.

- Idzie o Laroche'a - zacząłem, ale trudno mi było ująć moje obawy w słowa, kiedy zaś spróbowałem, przerwał mi prawie od razu.

- Niech pan posłucha. Musi pan zapomnieć, że on jest synem Pierre'a Laroche'a. Już panu mówiłem. To, co zaszło nad tym jeziorem między pana a jego dziadkiem, nie ma żadnego związku z teraźniejszością.

- Myślę, że ma - odparłem. A potem szybko wyrzuciłem z siebie wszystkie moje obawy, nie dając mu czasu, żeby mi przerwał. Kiedy wreszcie skończyłem, wpatrzył się we mnie w milczeniu, a światło gwiazd połśniewało mroźnie na jego okularach.

- Czy pan zdaje sobie sprawę, co pan mówi?

- Tak.

- I pan w to wierzy? Uważa pan, że usiłował ich pozabijać? - Jego oddech zawisł kłębem pary w nocnym powietrzu. - Boże kochany! - westchnął i umilkł na dłuższą chwilę, zastanawiając się nad tym. - Wydaje się całkiem normalny - szepnął na wpół do siebie. - Zaczynałem się martwić raczej Paulą. - Potrząsnął głową, jak gdyby wciąż nie mogąc w to uwierzyć. A potem chwycił mnie za ramię i spytał: - Dlaczego pan mi to powiedział? Co pan chce, żebym zrobił? - Jego głos był gniewny i zdumiony.

- Nic - odparłem. - Żaden z nas nie może nic zrobić oprócz obserwowania go.

- Psiakrew, przecież musi być jakieś inne wytłumaczenie.

- Jakie inne wytłumaczenie? - zapytałem ze zniecierpliwieniem. - To jest jedyne możliwe, jedyne, jakie pasuje do wszystkich faktów.

Puścił moją rękę.

- Już jest dostatecznie źle, że mamy między nami pana, który wierzy w coś podobnego. Ale jeżeli to jest prawda... - Jego głos stał się nagle głosem starego człowieka, zmęczonego i rozgniewanego.

- Jeżeli to nie jest prawdą - odparłem - to czemu pańskim zdaniem ciągle próbuje zmusić nas do skręcania na północ? Nie ma odwagi dopuścić, abyśmy doszli do Jeziora Lwa. Nie ma odwagi sam na nie spojrzeć. W każdym razie ja pana ostrzegłem - dodałem.

- Uhm. - Stał jeszcze chwilę na tle wygwieżdzonego nieba, na którym zorze północne malowały świetliste wzory wśród mroku. - W porządku - rzekł ze znużeniem. - Teraz wracajmy. Zimno tu. - Ruszył w stronę ogniska, które żarzyło się czerwono pomiędzy pniami drzew. - Mam nadzieję, że pan nie mówił o tym Pauli?

- Nie.

- To niech pan nie mówi - powiedział.

Jednakże gdy wróciliśmy do ogniska, zastanowiłem się, czy sama już tego nie odgadła, bo oboje z Laroche'em siedzieli tak, jak ich zostawiliśmy - nieruchomo i w milczeniu - i czułem między nimi napięcie. Darcy także to zauważył.

- Późno już - powiedział szorstko, a oni, jakby radzi, że ich uwolnił dźwięk jego głosu, podnieśli się zaraz i poszli za nim do namiotu.

Rzuciłem kilka gałęzi na żar ogniska i patrzyłem w skwierczący płomień, kiedy zajęły się na nich igły. Było tu tak spokojnie, tak niewiarygodnie spokojnie. A za tymi skaczącymi płomieniami rozciągał się bezmiar Labradoru, nieruchomego i zmrożonego wśród nocy. Siedziałem ze skrzyżowanymi nogami przed ogniem i zapaliwszy papierosa pozwalałem ciszy sączyć się we mnie. Dawało mi to dziwne poczucie spokoju, bo ta cisza była ciszą wielkiej przestrzeni i pustki, harmonizującą z gwiazdami i zorzą północną. Taki, myślałem, musiał być początek Istnienia - owa całkowita zmrożona cisza - i wówczas przyszło mi do głowy, że ogień jest dla mnie tym samym, czym był dla pierwszego człowieka, który go ujrzał: ciepłem osiągniętym w zimnej, pierwotnej krainie.

Usłyszałem za sobą jakiś szelest, trzaśnięcie gałązki, i obróciwszy się, zobaczyłem Paulę.

- Powinien pan się położyć - rzekła. - Jeżeli pan będzie tak siedział, rano będzie pan zmęczony.

Kiwnąłem głową.

- To przez tę noc - powiedziałem.

- Taka jest cicha.

- I niebo takie ogromne... tyle tych gwiazd. Ja wiem. - Widocznie zrozumiała mój nastrój, bo podeszła i usiadła obok mnie. - Pan jeszcze nigdy nie był w takim kraju?

- Nie.

- Czy on pana niepokoi?

- Trochę - przyznałem.

- Rozumiem. - Dotknęła mojej ręki szybkim, koleżeńskim gestem, który mnie zaskoczył. - Tak tutaj pusto, prawda? - Cofnęła rękę i wyciągnęła ją do ognia.

- Mój ojciec mówił, że to jest kraj ze Starego Testamentu.

- Ze Starego Testamentu? - Wydawało się dziwne porównywać ten mroźny kraj, tak pełen wód, z ziemią upałów i piasków pustynnych, a jednak rozumiałem, o co mu chodziło, bo pewnie nigdy nie widział niczego poza Północą. - Jaki był pani ojciec? - spytałem.

Przez chwilę nie odpowiadała i pomyślałem, że może nie powinienem był o to pytać. Ale potem rzekła:

- Myślę, że jeżeli jest się z kimś bardzo blisko, trudno powiedzieć, jaki naprawdę jest. Niektórzy uważali, że był twardy. Był dla nich wymagający. - I dodała z uśmiechem: - I dla mnie też. Ale nie miałam mu tego za złe. Milczała przez chwilę, wpatrując się w ogień, jak gdyby mogła go tam zobaczyć. - Ale myślę, że pan by go lubił - szepnęła wreszcie. - I zgadzalibyście się ze sobą. Pan ma energię, a to go zawsze pociągało. - Westchnęła i smutnie pokiwała głową. - Ale nie sądzę, żeby pan jeszcze mógł go poznać; nie przypuszczam, żeby jeszcze żył. - Pochyliła się, wepchnęła gałąź w ogień i patrzyła, jak ją ogarniały płomienie. - To dosyć smutne, jeżeli naprawdę rozbili się nad Jeziorem Lwa. Tam jest podobno złoto, a on zawsze marzył, żeby natrafić na bogate pokłady i założyć kopalnię, która byłaby nazwana jego imieniem. Chodziło mu nie tyle o pieniądze, chociaż ich nigdy nie mieliśmy, a matka umarła, kiedy byłam jeszcze mała, bo ojciec nie mógł pozwolić sobie na sanatorium; ważniejsze było dla niego móc uzasadnić sens tego, co robił. Był poszukiwaczem - dodała. - Miał to we krwi i tak jak karciarz musiał wciąż próbować szczęścia; jeszcze jedna wyprawa, jeszcze jedna próba znalezienia tego, czego szukał.

Kiwnąłem głową. - Tak jak mój dziadek. Ray mówi, że był właśnie taki.

Obróciła głowę i wpatrzyła się we mnie oczami rozszerzonymi w blasku ognia.

- To była straszna historia - powiedziała wreszcie nieomal szeptem i wyczułem, że myśli nie o moim dziadku, lecz o Pierre Laroche'u. - Ale nie miała żadnego związku z moim ojcem - oświadczyła głosem, który drżał z wysiłku, aby brzmieć przekonywająco. - Żadnego w ogóle.

Byłbym na tym poprzestał, ale ten tok myśli obudził moją ciekawość co do jednej sprawy.

- Pani mi wspominała, że ojciec często mówił o Jeziorze Lwa - powiedziałem.

- Tak, o nim i o jednej ukrytej dolinie w okolicach rzeki Nahanni; i jeszcze o jakimś jeziorze gdzieś na skraju Ziemi Jałowej. To są wszystko miejsca, o których słyszał od starych

poszukiwaczy. Mówię panu, że on sam był poszukiwaczem. To było jego życiem i nic poza tym nie miało znaczenia. - Znow zapatrzyła się w ogień. - Ale ojciec był wspaniałym człowiekiem. Widzieć go przeprowadzającego canoe przez bystrzyny albo ze strzelbą w ręku... I zawsze przy ognisku opowiadał różne historie, niewiarygodne zdarzenia z kanadyjskiej puszczy...

Urwała i zauważyłem, że płacze, że łzy powoli spływają z jej oczu. Potem nagle wstała jednym szybkim, pełnym wdzięku ruchem i odeszła bez słowa.

Patrzyłem, jak wczłógiwała się do namiotu, a potem jeszcze długo siedziałem przy ognisku, spoglądając w wygwieżdżoną noc i rozmyślając o moim dziadku, który zginął w tym kraju, i o babce, tej nieposkromionej kobiecie, co podążyła jego szlakiem z zemstą w sercu. Ziemia ze Starego Testamentu; te słowa utkwiły mi w pamięci, a mroźna cisza dokoła wydała mi się nagle okrutna i groźna. I po raz pierwszy w życiu pomyślałem o śmierci.

Nie miałem wiary, w której mógłbym znaleźć ucieczkę przed tym ostatecznym wrogiem, nie miałem Boga, który by mnie wsparł, nie miałem nic. To uczyniła ze mną Nauka. Podobnie jak całe moje pokolenie nie śmiałem sięgać myślą zbyt głęboko, a jako młody inżynier miałem wszystkie dni wypełnione. I tym się zadowalałem. Tutaj natomiast było inaczej. Tu wydawało mi się, że mam przed sobą świat taki, jaki był na początku, kiedy umysł ludzki pierwszy raz zaczął szukać po omacku znaczenia nieskończoności. I tak jak przepowiedział Darcy, zacząłem myśleć o Bogu.

W końcu jednakże zimno zapędziło mnie do namiotu; wpełzłem do środka i ułożyłem się na swoim miejscu obok Darcy'ego. Tej nocy mieliśmy posłanie z gałęzi świerkowych i ich delikatna, aromatyczna woń uśpiła mnie prawie natychmiast.

Kiedy się obudziłem, cisza już pierzchła, zniweczona hukiem fal na brzegu jeziora i szumem wiatru między drzewami. Dzień był szary, wicher dął wściekle z półno-co-zachodu, a kiedy ruszyliśmy niosąc canoe do następnego jeziora, zaczął padać deszcz. Z początku była to tylko mżawka, niosąca się gęstym tumanem przez okolicę, ale stopniowo niebo pociemniało i wkrótce deszcz lunął płachtami wody siekąc w nas z furią nieomal osobistą.

Ten odcinek był najgorszy ze wszystkich, ziemia usiana głazami śliskimi i chybotliwymi. Darcy i ja nieśliśmy canoe, a przez cały czas wiatr groził wyrwaniem go nam z rąk. Przemokliśmy do nitki na długo przed dotarciem do następnej wody, a kiedy stanęliśmy na jej brzegu, obróceni plecami do deszczu, w parujących ubraniach, przedstawialiśmy żalospny widok.

Jezioro to było małe, szerokie najwyżej na dwieście jardów, a jednak jego powierzchnia kipiała pod chłostą burzy, fale zaś były spienione i wysokie na dwie stopy.

- Czy damy radę tym canoe? - zapytałem Darcy'ego, a kiedy się obróciłem do niego, wiatr wcisnął mi w usta wodę deszczu.

Odpowiedziała mi Paula.

- Oczywiście, że tak - rzekła, ale widziałem, że Darcy'emu to nie w smak. Stał przecierając okulary moką chustką, wpatrując się w jezioro i mruczając coś do siebie.

Podczas tej przeprawy nabraliśmy tyle wody, że kiedy dopłynęliśmy do drugiego brzegu, canoe było do połowy pełne. Gdy zaś ruszyliśmy dalej pieszo, kraj odmienił się znowu; las był tu gęstszy, a między pasmami skał zaczęliśmy napotykać mszary. Zrazu były to małe połacie, które mogliśmy obejść. Potem jednak natrafiliśmy na duże bagno i chociaż próbowaliśmy iść na północ, to na południe wzdłuż brzegów, nie widzieliśmy jego końca. Nie było innej rady, jak tylko przepawić się przez nie, co nam się udało po długich, rozpaczliwych zmaganiach, podczas których często wpadaliśmy po pas w wodę.

Wyszliśmy z tego mokrzy, uwalani i kompletnie wyczerpani, tylko po to, aby za następnym wzniesieniem natrafić na nowy mszar.

- Czy miałeś ich dużo po drodze? - zapytał Laroche'a Darcy, kiedy przystanęliśmy spoglądając na mszar.

- Widziałeś, w jakim byłem stanie.

- Aha - kiwnął głową Darcy. - Ale chciałbym wiedzieć, ile tu tego jest.

Laroche zawahał się i nerwowo zerknął na nas, kiedyśmy stali przypatrując mu się.

- Chyba niedługo dojdziemy do lepszego terenu.

- Ale kiedy? - zapytała Paula.

- Jak się zbliżymy do jeziora. Wtedy będziemy na skalistym gruncie.

- Ale jak blisko jeziora trzeba dojść, żeby wydostać się z tych przeklętych mszarów? - zapytał Darcy. - Dwie mile od niego, pięć, dziesięć?

- Nie wiem. - Laroche zlizął z warg wodę deszczową. - Myślę, że z pięć.

- A cała reszta to mszar, tak? Piętnaście mil co najmniej?

Laroche potrząsnął głową.

- Nie bardzo dobrze pamiętam. Mszar był, to wiem. Ale nie aż piętnaście mil. Jestem pewny, że tyle go nie było. - Potem zaś dodał: - To tylko potwierdza, co mówiłem: że jesteśmy wciąż za daleko na południe. Powinniśmy skrócić na północ, dopóki nie natrafimy na trasę, którą wracałem.

- Nie, będziemy trzymali się mapy - powiedziała Paula.

- Kiedy nie możesz być pewna, że to jezioro, przez które przepawiliśmy się wczoraj wieczorem...

- Jestem pewna. - Jej głos nagle stał się znów przenikliwy. - A ty sam przyznajesz, że nie pamiętasz drogi zbyt dokładnie.

Darcy ruszył do canoe.

- Nie ma co tu stać i spierać się - rzekł. - Tylko zmarzniemy, nic więcej.

Paula i Laroche stali naprzeciw siebie jeszcze przez chwilę, po czym zarzucili plecaki na ramiona i wszyscy ruszyliśmy w mszar. Rozciągał się przed nami tak daleko, jak nasz wzrok mógł sięgnąć wskroś ściany deszczu, i brnęliśmy naprzód przez teren, w którym zalane wodą kępy trawy były czymś najbardziej zbliżonym do suchego gruntu, a nigdzie nie było kawałka otwartej wody, na której moglibyśmy posłużyć się canoe.

Tego dnia rozbiliśmy wcześniej obóz na małym paśmie żwiru, gdzie rosło kilka smętnych sosenek. Wydawało się ono zaledwie wysepką w tym morzu mszaru, ale z prawdziwą ulgą stanęliśmy na twardym gruncie, a byliśmy zbyt przemęczeni i wyczerpani, aby dbać o to, że pokonaliśmy zaledwie kilka mil. Udało nam się rozpalić ogień, lecz chociaż pozwolił nam ugotować coś do jedzenia, nie dawał ciepła, a dym usmolił nam twarze i gryzł w oczy. Deszcz ciągle lał, kiedy wczołgaliśmy się do namiotu i ułożyli tam w przemoczonej odzieży.

Przez całą noc wiatr łomotał w namiot. Dwa razy musieliśmy wychodzić i obkładać ścianki kamieniami, a rano dęło nadal. Natomiast deszcz ustał i przekonaliśmy się, że nasza wysepka jest w rzeczywistości długą żwirową ławicą biegnącą od brzegów jeziora większego niż wszystkie dotychczas napotkane. Szczęśliwie się złożyło, że deszcz przestał padać, bo byliśmy na brzegu zawietrznym i przy słabej widoczności mogliśmy próbować przeprawy, która skończyłaby się katastrofą. Pośrodku toczyły się duże fale i nie było innej rady, jak tylko dalej obozować na tym brzegu i czekać, aż wiatr ustanie.

Tam właśnie zgubiliśmy mapę. Laroche położył przemoczony papier na skale, ażeby wysechł na wietrze i przycisnął go kamieniem. Tak przynajmniej powiedział, a kamień istotnie tam był. Ale mapa zniknęła, a chociaż szukaliśmy wszędzie wzdłuż pasma żwiru, nie mogliśmy jej znaleźć.

- Musiało ją zdmuchnąć do wody - rzekł Darcy, a Laroche przytaknął ruchem głowy.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że wiatr jest taki silny - mruknął nie patrząc na nas.

Paula przyglądała mu się przez chwilę, po czym odwróciła się szybko, wyjęła z plecaka notes i zaczęła odtwarzać sobie mapę z pamięci. Ale choć wszyscy pomagaliśmy jej opierając się na tym, co każdy z nas zapamiętał z oryginału, wiedzieliśmy, że w żadnym razie nie będziemy mogli polegać na tym tak jak na mapie. Naszą jedyną nadzieją było, że powinniśmy rozpoznać rzekę, kiedy do niej dojdziemy. Była ona ostatnią rzeczą zaznaczoną

przez Mackenziego na mapie, z wodospadami jako punktem orientacyjnym o kilka mil od Jeziora Lwa. Jednakże Darcy słusznie podkreślił, że rzeki na Labradorze mogą łatwo się gubić w połaciach jezior, a prąd ich bywa często tak słaby, iż trudno odróżnić jezioro od systemu rzecznoego.

Tkwiliśmy tam na brzegu aż do zmierzchu, kiedy to wiatr nagle ustał, a temperatura spadła. Przeprawiliśmy się natychmiast kierując się kompasem w prawie zupełnych ciemnościach. Była to najgorsza przeprawa ze wszystkich, bo chociaż fale już się nie łamały, jednak były nadal duże, toczyły się zaś tak gwałtownie, że wciąż groziły wywróceniem canoe, a zielona woda chlustała przez burty, tak że musieliśmy bez przerwy ją wylewać. Kiedy zaś dotarliśmy do przeciwległego brzegu, trzeba nam było długiego czasu, aby rozniecić ogień.

Wszyscy czuliśmy się zgnębieni owej nocy i kiedy zasiedliśmy w dymie ogniska, gotując sobie posiłek, naprężenie, które przez cały dzień narastało między Paulą a Laroche'em, wybuchło nagle. Dyskutowaliśmy o przepłyniętym dopiero co jeziorze. Było za duże, ażeby Indianin mógł je pominąć rysując mapę, i wszyscy mieliśmy zupełną pewność, że nie jest ono tym, które zaznaczył i nazwał Jeziorem Spalonego Drzewa. Nie było tu żadnych spalonych drzew.

- Może nie miałam racji - szepnęła żałośnie Paula. - Może powinniśmy byli szukać tego jeziora, gdzie lądowaliście helikopterem. - Spojrzała na Darcy'ego. - Pewnie byłam zmęczona.

- Wszyscy byliśmy zmęczeni - odpowiedział.

Wtedy odwróciła się do Laroche'a.

- Czy ty na pewno nie zapamiętałeś tego jeziora, kiedy wracałeś? Takie jest duże...

- Właśnie - odparł. - Jest takie duże, że musiałoby wymagać paromilowego obejścia.

- Ale może wyleciało ci z pamięci. Byłeś ranny i...

- Mon Dieu\ Przecież nie miałem canoe. Myślisz, że mógłbym zapomnieć jezioro tej wielkości?

- Nie. Chyba nie. Tylko że nie rozpoznałeś nic, zupełnie nic. - W jej głosie była nuta desperacji.

- Już ci mówiłem - odparł z rozdrażnieniem. - Szedłem o wiele dalej na północ.

- Ale nie tam, skąd wyruszaliśmy. Wyruszyliśmy z tego samego miejsca, gdzie znalazł cię Darcy. A jednak nie poznawałeś niczego.

- A jak mogłem poznawać? - zawołał z gniewem. - Miałem za sobą pięć dni bez żadnego schronienia i bez jedzenia. Nie byłem w takim stanie, żeby pamiętać okolicę.

- Ale zapamiętałeś mszar.

- Jasne. Bo wtedy byłem jeszcze raźniejszy, a zresztą to nie znaczy, że to był ten sam mszar.

- Mszary są bardzo podobne do siebie wszędzie w tych stronach - powiedział Darcy pojednawczo.

Paula jednak patrzyła na Laroche'a.

- Gdybyś chociaż nie zgubił tej mapy - powiedziała ze złością. - Teraz już nie możemy być pewni...

- No, ale ją zgubiłem i już. Bardzo mi przykro. - Odgarnął dłonią dym od twarzy. - Nie widzę, co to zmienia. Nie mogliśmy z całą pewnością zidentyfikować poprzedniego jeziora, a tego nie możemy w ogóle. Ta mapa była prymitywna, o wiele za prymitywna, żeby się nią kierować w takim terenie. - Po czym dodał: - Dalej powtarzam, że powinniśmy skręcić na północ i popробować odnaleźć moją trasę.

Jego natarczywość zirytowała mnie, lecz kiedy już otwierałem usta, by co powiedzieć, zauważyłem utkwione we mnie spojrzenie Darcy'ego, który gwałtownie potrząsał głową. Zawahałem się w obawie, że Laroche, ustawicznie powtarzając swoje, może w końcu przekonać Paulę. Kiedy jednakże nic nie mówiła, zająłem się znowu własnymi stopami. Uprzednio zdjąłem buty i opatrywałem sobie pęcherze, które się przemieniły w ropiejące rany pod mokrymi skarpetkami. Wtedy Paula zapytała:

- Dlaczego tak się upierasz, żebyśmy poszli na północ, Albercie? - Coś w jej spokojnym głosie sprawiło, że podniosłem wzrok, a potem zapomniałem o moich skaleczeniach, bo wpatrywała się poprzez dym w Laroche'a, a w jej oczach był lęk. - Ty nigdy nie chciałeś, żebyśmy szli według mapy, prawda?

- Nigdy nie byłem przekonany, że rozbiliśmy się nad Jeziorem Lwa - odparł.

- To dlaczego zgubiłeś tę mapę? - Było to takim nagłym i bezpośrednim oskarżeniem, że spojrzałem na nią osłupiały.

- Mówię ci, że to był przypadek.

Jego oczy przeskoczyły z Pauli na Darcy'ego. A potem wpatrzył się we mnie i na jego twarzy pojawił się ten sam dziki, osaczony wyraz, który widziałem tamtego wieczora w Obozie 134. Pomyślałem sobie, że jeśli dalej będzie zadawała pytania, doprowadzi go do ostateczności, więc zaczęłam naciągać buty.

- W porządku. Przypadek. - Głos jej drżał. Ale dlaczego nie chciałeś mi jej oddać? To była moja mapa. Dlaczego się uparłeś, żeby ją nosić przy sobie? - A potem, zanim zdążyłem ją powstrzymać, wykrzyknęła: - Czego ty się boisz, Albercie? Nie chcesz, żebyśmy doszli do

Jeziora Lwa. Nie; proszę cię, nie zaprzeczaj. Czuję to już od jakiegoś czasu. Boisz się czegoś. Ale czego?

Już nałożyłem buty i siedziałem cały napięty nie wiedząc, co Laroche zrobi. On jednak powiedział tylko:

- Możesz sobie myśleć, co ci się podoba, Paulo.

Wstał ciężko i odszedł między drzewa. Darcy zerknął szybko na mnie; po czym się podniósł i ruszył za nim.

Zostałem sam na sam z Paulą. Siedziała bez ruchu, jak gdyby jej ciało zeszywniało z zimna. W końcu jednak obróciła się do mnie i zapytała:

- Co tam się zdarzyło? Proszę, niech pan mi powie, co to było. - Jej twarz wyglądała upiornie w świetle ognia; w oczach miała łzy. Kiedy zaś nic nie odpowiedziałem, chwyciła mnie za ramię. - Muszę wiedzieć, co się stało. Błagam. - A potem, z nagłą gwałtownością: - Czy pan nie rozumie? Ja go kocham. Kocham go, a nie mogę mu pomóc, jeżeli nie wiem.

- Nie wiem, co się stało - odrzekłem nieporadnie.

Cóż miałem powiedzieć? Nie mogłem zwierzyć się jej ze swoich obaw.

- Przecież coś się stało. Stało się coś strasznego, kiedy się tam rozbili. Ja to czuję. Głos miała gwałtownie podniecony i cała się trzęsła.

Wtedy wrócił Darcy, a Paula puściła moje ramię.

- Chyba wszyscy jesteśmy porządnie zmęczeni - powiedział ociężale. - Czas się położyć.

Laroche wrócił także i poprosił o jeszcze trochę kawy, a Paula mu jej naląła. Moment kryzysu przeminął. Jednakże później, kiedy szliśmy do namiotu, Darcy zatrzymał mnie.

- Myślę - szepnął mi do ucha - że powinniśmy pilnować, aby tych dwoje nie zostawało więcej sam na sam.

Kiwnąłem głową.

- Jeszcze tylko dwadzieścia mil - powiedziałem. - Jutro albo pojutrze powinniśmy dowiedzieć się prawdy, jeżeli będzie się nam dobrze maszerowało.

- Mam nadzieję, że pan się nie myli. - Obrócił się ku mnie i jego poorana bruzdami, osmagana wiatrem twarz skurczyła się. - Mam szczerą nadzieję, że pan się nie myli - powtórzył. - Bo mnie się wydaje, że w tej chwili już zabłądziliśmy. - A potem rzekł: - Jeżeli będziemy musieli szukać tego jeziora to tu, to tam, nasze żołądki dostaną niezłą szkołę. Od dwóch dni nie złowiliśmy żadnej ryby. Niech pan to sobie zapamięta, jak przyjdzie do decyzji, czy iść dalej, czy wracać.

Tej nocy było zimno, tak zimno, że dygocąc leżałem na krawędzi snu, a kiedy Laroche się poruszył i siadł na posłaniu, natychmias otworzyłem oczy. Księżyc musiał wyjść zza chmur, bo w namiocie było dosyć jasno i widziałem, że Laroche wpatruje się we mnie. A potem wyczołgał się ostrożnie z namiotu. Już miałem ruszyć za nim, gdy uświadomiłem sobie, że wywabiała go na dwór naturalna potrzeba wywołana zimnem; jakoż w chwilę później był już z powrotem i ułożył się na swoim miejscu po drugiej stronie namiotu.

Przypuszczam, że potem zasnąłem, bo kiedy się zbudziłem, było już rano i Darcy rozniecał ognisko, gdy zaś wyczołgałem się z namiotu, ujrzałem świat zmrożony i nieruchomy, a brzegi jeziora obwiedzione świeżym lodem.

- Jak pan się dzisiaj czuje? - zapytał Darcy.

- Dobrze - odparłem, co było prawdą, bo istotnie czułem się dobrze. Powietrze było tak czyste i rześkie, iż zdawało się iskrzyć.

- W taki fajny ranek będzie się nam dobrze szło.

Postawił kawę na ogniu coś nucąc niemelodyjnie pod nosem. Kiedy zaś Paula i Laroche wyszli z namiotu, widać było, że i na nich podziałała ta mroźna cisza otaczająca nasz obóz. Po dwóch dniach chłostania przez wiatr, wszystko dokoła tchnęło jakimś spokojem, który był balsamem dla naszych skołatanych nerwów, i wydawało się, że całe napięcie z poprzedniego wieczora zniknęło.

Niebo przybrało bladobłękitny kolor i kiedy wyruszyliśmy weszło słońce. A poprawiła się nie tylko pogoda, ale i okolica. Najwyraźniej mszary pozostały za nami. Przed sobą mieliśmy tylko żwir, płaski jak stół, a także dużo wody - małe, nieciekawe jeziora, które łączyły się ze sobą lub były poprzedzielane tylko krótkimi odcinkami łądu.

Do południa przebyliśmy ponad dziesięć mi!, a wszędzie na horyzoncie widniała wciąż czarna, poszarpana linia wzgórz. Były to wzgórza niewielkie, właściwie skalne wypukłości, ale wyznaczały krawędzie owej żwirowatej niecki, i kiedy Darcy zapytał Laroche'a, czy poznaje ten teren, ów kiwnął głową. Jednakże chociaż długo stał spoglądając na linię niskich wzgórz, najwyraźniej nie mógł sobie przypomnieć żadnego poszczególnego rysu krajobrazu.

- Pamiętam tylko, że zeszedłem ze skał na tę równinę i że przez pewien czas było mi łatwiej iść.

Jego głos brzmiał płasko i matowo w bezwietrznym, zimnym powietrzu.

- Ale czy nie widzisz tu niczego znajomego? - zapytała Paula.

Potrząsnął głową.

- Nie rozumiem! - zawołała, a w jej głosie znowu zabrzmiała nuta desperacji. - Przecież musiałeś zapamiętać, którędy wyszedłeś na tę płaszczyznę.

- Zdaje się, zapominasz, że byłem ranny - odparł ostro. - Mogłem się zdobyć tylko na to, żeby iść dalej.

- Ale wiedziałeś, że będziesz musiał wrócić i szukać mojego ojca. Wiedziałeś, że jest ważne mieć jakiś punkt orientacyjny, którym mógłbyś się kierować.

- Mówię ci, że byłem zanadto osłabiony i wyczerpany, aby o to dbać.

Już miała coś odpowiedzieć, gdy powstrzymał ją Darcy.

- Mniejsza z tym - rzekł. - Bert już nam powiedział, że kiedy się dostaniemy na ten skalisty teren, będziemy o jakieś pięć mil od jeziora. A jeżeli mapa Mackenziego była dokładna, to rzeka płynie akurat w poprzek linii naszego marszu. Kiedy do niej dojedziemy, trzeba będzie tylko posuwać się wzdłuż brzegu, póki nie natrafimy na wodospad, a wtedy będziemy już prawie na miejscu. To nie powinno być trudne.

Dźwignął znowu dziób canoe, które pomagał nieść, i ruszyliśmy dalej.

W dwie godziny później dotarliśmy do wzgórz. Były gęsto porośnięte drzewami szpilkowymi i kiedy między nie weszliśmy, straciliśmy z oczu szerokie niebo Labradoru, a marsz stał się ciężki i utrudniony. Były tu same skały, w większości tak strome, że nie mogło być mowy o posuwaniu się według kompasu, toteż rozbiliśmy obóz wcześniej, nad pierwszym jeziorem, na jakie natrafiliśmy.

Była to mała, posępna połać wody, i chociaż Darcy i Paula usiłowali łowić ryby, podczas gdy Laroche i ja zakładaliśmy obóz, nie poszczęciło im się, i wszyscy położyliśmy się spać ze świadomością, że jeśli nie odszukamy Jeziora Lwa w ciągu najbliższych dwóch dni, będziemy zmuszeni zawrócić z braku żywności. Napomknęto coś o porzuceniu canoe w tym stadium wędrówki, ale nie pamiętam, co postanowiono, bo zasnąłem w środku dyskusji.

Miałem zamiar czuwać, ponieważ teraz, kiedy byliśmy tak blisko celu, obawiałem się, że Laroche może uczynić jakąś rozpaczliwą próbę zatrzymania nas. Jednakże chociaż byłem nazbyt zmęczony, by przezwyciężyć senność, zmysły moje widocznie pozostały czujne, bo gdzieś nad ranem zbudziłem się nagle z uczuciem pewności, że coś jest nie w porządku, i spostrzegłem, iż miejsce Laroche'a obok Pauli jest puste. Usłyszałem, że krząta się na zewnątrz namiotu, i przez chwilę myślałem, iż zimno wypędziło go na dwór podobnie jak poprzedniej nocy. Jednakże odgłosy były jakieś inne, i kiedy zaraz nie wrócił, pochyliłem się i wyjrzałem spod skrzydła namiotu.

Dostrzegłem go wyraźnie w świetle księżyca. Stał nad żarzącym się ogniskiem i naciągał plecak na ramiona. Już otwierałem usta, by go zapytać, co robi, ale nagle zabrakło mi

głosu. Patrzyłem, jak brał swój toporek i zasadzał go za pas, po czym zniknął mi z pola widzenia i dosłyszałem zgrzyt jego butów na skałach nadbrzeżnych. Odgłos ten stopniowo ucichł; wtedy wyczołgałem się z namiotu i dojrzałem w poświacie księżyca jego sylwetkę sunącą jak duch wzdłuż krańca jeziora.

Zmierzał na południe - na południe, a nie na północ więc nie namyślając się dłużej zasznurowałem buty i ruszyłem za nim posuwając się szybko przez gąszcze. Wynurzyłem się z nich u krańca jeziora i zza zasłony drzew począłem go obserwować, kiedy się wspinał na nagą skałę sterczącą od strony południowej. Chwilę stał na jej wierzchołku - samotna czarna sylwetka w świetle księżyca - i spoglądał na nasz obóz, po czym rozejrzał się wokoło, jakby chcąc zorientować się w terenie. Wreszcie odwrócił się i zniknął mi z oczu.

Wtedy odzyskałem głos i zawołałem wdrapując się za nim na stromą skalną pochyłość. Wspinając się wykrzykiwałem wciąż jego nazwisko, a gdy dotarłem do wierzchołka, zawahałem się chwilę. Księżyc zaczynały przesłaniać chmury, ale słyszałem, jak Laroche przedzierał się przez zarośla po drugiej stronie wzniesienia, a pasmo bladego światła na wschodzie mówiło mi, że już wkrótce będzie dniało. Nie zastanawiając się, co znaczą chmury w tym kraju, ruszyłem za nim, powziąwszy nagle decyzję, że nie może nam uciec, że go dopędzę i i bez względu na ryzyko zmuszę, by spojrział prawdzie w oczy.

Było to bardzo niemądre, bo nie wziąłem ani kompasu, ani żywności, ani ekwipunku, jedynie to, co miałem na sobie, a szpilkowa gęstwina była tak zwarta, że mogłem za nim podążać kierując się tylko słuchem. Toteż musiałem ciągle przystawać i nasłuchiwać, przez co stopniowo oddalał się ode mnie coraz bardziej, aż wreszcie głos jego kroków zagubił mi się całkowicie. Nie wiedziałem, co robić, więc zatrzymałem się niezdecydowany na małej polance. Było już prawie widno, niebo posępne i zaciągnięte chmurami, sypał drobny śnieg i nagle uświadomiłem sobie, że nie wiem, którądy wracać. Idąc tylko na słuch zatraciłem wszelkie poczucie kierunku.

Wtedy ogarnęła mnie na chwilę panika i stojąc w miejscu zacząłem wykrzykiwać nazwisko Laroche'a co sił w płucach. Następnie, ponieważ nie mogłem uczynić nic innego, rzuciłem się znowu naprzód w rozpaczliwej nadziei, że go dopędzę. Szczęście mi dopisało, bo o niecałe sto jardów dalej wyostałem się nagle z gęstwiny na brzeg małego jeziora i tam zobaczyłem Laroche'a idącego wzdłuż jego krawędzi. Dojrzałem go z trudnością, bo śnieg padał teraz gęsto.

- Laroche - krzyknąłem. - Laroche!

Zatrzymał się raptem, obrócił i popatrzył na mnie w milczeniu.

- Laroche! Czeka! - zawołałem.

Był ledwie widoczny i ruszając ku niemu wiedziałem, że wystarczy mu skrócić i dać nura w zarośla, a zgubię go bezpowrotnie.

Jednakże zamiast próbować ucieczki, stał bez ruchu i czekał na mnie. Dopiero kiedy znalazłem się o kilka kroków od niego, dojrzałem matowy błysk toporka, który ścisnął w garści i przystanąłem z sercem w gardle, bo nie miałem żadnej broni.

II

To ponure małe jezioro pod wolno padającym śniegiem mogło być jeziorem, nad którym usiłował tamtych pozabijać. Kolana mi drżały, gdy stałem naprzeciw niego; dzieliło nas ledwie kilka metrów i pomyślałem, że tak właśnie było przedtem, kiedy dostał ataku szału. Stał bez ruchu z toporkiem zaciśniętym w ręce, a ja, cały napięty, czekałem na atak.

Jednakże zamiast tego popatrzył gdzieś poza mnie, ku brzegom jeziora.

- A gdzie tamci? - zapytał. - Czy też tu idą?

Potrząsnąłem głową nie mogąc zaufać własnemu głosowi. Jego ciemne oczy spoczęły na mnie znowu.

- Tylko pan... sam? - A kiedy skinąłem głową, jakby się odprężył. - Zobaczył pan, jak wychodziłem z obozu, co? - Zaklął cicho do siebie używając kanadyjskiego słowa tabernac! - A myślałem, że się wymknąłem tak, że nikt z was nie zauważył. - Potem dodał: - No, niech pan lepiej do nich wraca.

Była to dla mnie szansa ucieczki. Zacząłem odsuwać się od niego, ale po chwili przystanąłem.

- Kiedy nie wiem jak... - Słowa uwięzły mi w gardle, bo nie śmiałem się przyznać, że nie znam drogi.

Gdyby się zorientował... Cały znieruchomiałem nagle ze strachu, strachu większego niż wszelki lęk przed nim.

- Niech pan spróbuje przekonać Paulę i Raya, żeby tam na mnie poczekali - powiedział głosem nadal zrównoważonym, utkwivszy wzrok w przeciwległy brzeg jeziora. - To potrwa ze dwa dni - dodał.

Wpatrzyłem się weń, zdumiony jego zachowaniem. Wydawał się zupełnie normalny. A jednak...

- Dokąd pan idzie? - zapytałem.

- To moja rzecz - odparł ostro.

I wtedy, nagle nie bacząc na nic, ponieważ wszystko było lepsze, niż pozostawać tutaj i umrzeć z zimna i głodu, zawołałem:

- Opuściłeś go pan, kiedy jeszcze żył, bo zląkłeś się tego, co się stało. Tak to było, prawda?

Wpatrywał się we mnie ciemnymi, rozszerzonymi oczyma. A potem nagle popatrzył w ziemię.

- Taki pan jest cholernie logiczny, co? - Było to powiedziane bez śladu wrogości. Potem mruknął: - Ano, to prawda... w pewnym sensie. Bałem się. Byłem pewny, że Baird nie żyje i wydawało się, że nie ma już nic innego... - Głos jego zamilkł, jak gdyby na jakieś upiorne wspomnienie. Po chwili podniósł głowę i znowu spojrzał mi w oczy. - Gdybym panu powiedział, że historia powtórzyła się tam, nad tym jeziorem, pewnie pomyślałby pan, że oszalałem, prawda?

- Jak to? - Poczułem nagle suchość w gardle.

Popatrzył na mnie jeszcze chwilę, a potem potrząsnął głową.

- Nie, to na nic - mruknął. - Pan ma tylko jeden punkt widzenia na tę sprawę. Wiedziałem, co panu przyszło do głowy wtedy pierwszego dnia w Seven Islands... Mon Dieul - głos jego przeszedł teraz w szept. - Dlaczego to musiał być właśnie pan? Dziwne, nie? - Roześmiał się krótko, nerwowo. - Gdybym panu powiedział... - zaczął, ale przerwał i znowu potrząsnął głową. - Nie, pan by to wszystko przeinaczył. Ale mówię panu jedno: tamten Indianin miał rację. To niedobre miejsce.

- Więc jednak to było Jezioro Lwa?

- Jasne, że tak. - Wciąż patrzył na mnie, a wargi miał rozchylone nad równą linią zębów tym samym krzywym uśmiechem. - Tak - powtórzył. - Miejsce, gdzie mój dziadek zabił pańskiego. - I dodał: - Jego szczątki jeszcze tam leżą. Kupa kości, wszystko, co zostało z Jamesa Finlaya Fergusona, a w czaszce jest przewiercona dziura w miejscu, gdzie dostał kulę. W tyle czaszki. Pierre Laroche musiał do niego podejść od tyłu i zastrzelić go z zimną krwią. Całe czoło poszło w drzazgi. - Przez chwilę wpatrywał się we mnie nieruchomo, poczym mruknął: - Nie jest przyjemnie odkryć, że miało się dziadka mordercę. - W jego tonie zabrzmiała gorycz.

Gdyby trzeba było jeszcze mnie przekonać, dokonałoby tego zafascynowanie Laroche'a tamtą dawną tragedią i ta jego gorycz. To właśnie widok szczątków mojego dziadka - dowód winy jego własnego - zmaćił mu umysł.

- A co się stało... potem? - dosłyszałem własny, lekko drżący głos. - Co zaszło między panem a Briffem?

Jednakże tylko potrząsnął głową.

- O, nie - odparł. - Tego panu nie powiem. Ani co się stało z Bairdem. - Zawahał się, po czym dodał: - Ale może pan iść i sam się przekonać, jeżeli pan ma ochotę.

- To znaczy teraz?

Kiwnął głową.

- Pan idzie do Jeziora Lwa?

- No pewnie - odrzekł ze zniecierpliwieniem. - A pan myślał, że dokąd?

Patrzyłem na niego czując, że mrowie przebiega mi po czaszce. To było niewiarygodne, zupełnie potworne.

Wraciał na miejsce tragedii. Po co? Żeby się tym napawać? Czy też było to podświadomym urzeczeniem mordercy własną zbrodnią? Tak czy owak wiedziałem teraz, że jest obłąkany, i głos mi drżał, kiedy powiedziałem:

- Przecież pan idzie na południe.

Fakty. Za wszelką cenę trzeba było podsuwać mu fakty.

- No południe, tak - kiwnął głową. - Muszę odnaleźć swoją drogę.

- Ale nam pan mówił, że ona jest w kierunku północnym.

Wzruszył ramionami.

- Czy to ważne, co wam mówiłem? Jeżeli pan pójdzie ze mną, będzie pan mógł sam stwierdzić, co się stało z Bairdem. Wtedy może pan mi uwierzy.

Wiedziałem jednak, że nie wolno mi uwierzyć w żadne jego słowa, ani teraz, ani w przyszłości, bo jego umysł był taki zmały. Może dla niego prawda nie istniała w ogóle.

- Powiedział pan, że Baird został ranny w katastrofie - szepnąłem. - Że obydwaj byli wtedy ranni.

On jednak potrząsnął głową. - Nie - odrzekł. - Nikt nie został ranny w katastrofie. - I nagle uśmiechnął się z tym odcieniem chłopięcego wdzięku, który przedtem wydał mi się taki przerażający. - Wprawdzie panu mówiłem, że zostali ranni, ale nie musi pan dlatego uważać, że to prawda. Musiałem tak powiedzieć, bo nie chciałem, aby pan dalej prowadził swoje dociekania. - Mówił to z taką straszliwą szczerością, że nieomal zrobiło mi się słabo. A potem dodał: - No więc idzie pan ze mną czy wraca do tamtych?

Zawahałem się, nie dlatego, abym miał jakiś wybór, ale byłem przerażony myślą o udaniu się dalej sam na sam z nim. Jedyłą moją nadzieją było, że Darcy i Paula, posuwając się według wskazówek Indianina, dotrą do Jeziora Lwa przed nami. Jeżeli miałem być jedynym świadkiem tego, co tam się naprawdę zdarzyło...

- Czy pan jest pewien, że pan potrafi odnaleźć to jezioro? - zapytałem.

- O, tak - odparł. - Z początku bardzo uważałem, żeby zapamiętać drogę i nawet ponocinałem niektóre drzewa.

- Ale jeżeli pan jest gotów pozwolić iść mnie, to czemu nie tamtym? Dlaczego pan im nie powiedział, że pan może nas tam doprowadzić? Do diabła! Przecież pan dwa razy latał tam helikopterem. Jeżeli pan zapamiętał sobie drogę, to czemu na miłość boską nie mógł pan odnaleźć jeziora wtedy?

Pokiwał głową, a uśmiech na jego ustach stał się dziwnie tajemniczy.

- Mogłem je znaleźć - odrzekł - ale nie chciałem. Nie chciałem, żeby ktokolwiek wiedział.

- Ale Paula...

- Paula przede wszystkim - odparł szorstko, a uśmiech nagle zniknął mu z twarzy. Po czym dodał tym samym głosem: - Zresztą tak czy owak lepiej, żeby pan ze mną poszedł. Jeżeli pan wróci, zacznie pan gadać, a jedyną osobą, która nie może się nigdy dowiedzieć, co tam się stało, jest Paula.

Zaskoczyło mnie, że w tym stanie umysłu jeszcze dbał o to, co pomyśli Paula, i skorzystałem z okazji, aby podkreślić, że będzie o niego niespokojna.

- Będą się zastanawiali, co się z nami stało.

On jednak potrząsnął głową.

- Zostawiłem list. Domyśla się, że pan jest ze mną.

- I dodał: - Mam w Bogu nadzieję, że Paula zrobi to, o co ją prosiłem, i pozostanie w obozie. - Machnął toporkiem. - No, dobra, chodźmy. Niech pan idzie pierwszy - i odsunął się na bok, ażeby mnie przepuścić.

Zawahałem się tylko chwilę, bo gdyby się raz zorientował, że nie wiem, gdzie jestem, byłoby dla niego znacznie prościej zostawić mnie tutaj. Niemniej jednak, kiedy go mijalem, mięśnie moich ramion skurczyły się w oczekiwaniu ciosu, choć rozum mówił mi, że Laroche jest teraz zdecydowany zaprowadzić mnie do Jeziora Lwa, a w każdym razie, jeżeli zamierza zabić mnie, zanim tam dojdziemy, będzie miał aż nadto okazji po temu. Od tej chwili mieliśmy przebywać ze sobą tak blisko, jak to jest możliwe dla dwóch istot ludzkich, bo nie mieliśmy nawet namiotu, niczego, co by nas chroniło od zimna, prócz ciepła własnych ciał.

Pozostawiliśmy za sobą jezioro i puszcza znowu zamknęła się wokoło nas, a potem wciąż słyszałem za sobą stuk toporka, kiedy Laroche nacinał drzewa, aby wyznaczyć szlak powrotu. Naówczas nie wiedziałem jednak, czy będzie to powrót dla niego, czy dla mnie, i z tej przyczyny uderzenia toporka o drzewo brzmiały jakoś głucho i szyderczo wśród ciszy sypiącego śniegu.

A potem nagle las rozstał się przed nami i przystanąłem widząc tę samą płaską okolicę, którą przemierzaliśmy poprzedniego dnia. Tyle że teraz wszędzie było białe, a ogrom nieba przesłaniała brudna zasłona leniwie opadającego śniegu. Moją pierwszą myślą było, iż jednak miałem rację przypuszczając, że Laroche chce nam uciec.

- Pan wraca - powiedziałem. - Nie ma pan zamiaru próbować dojść do jeziora.

On jednak potrząsnął głową.

- Pas du tout - uśmiechnął się do mnie prawie wesoło. - Zawróciłem tutaj, żeby odnaleźć punkt orientacyjny.

Jednakże było niepodobieństwem odnaleźć cokolwiek, bo śnieg sypał coraz gęściej, toteż pozostaliśmy pod osłoną drzew i rozpaliliśmy ogień, żeby się ogrzać. Później, kiedy śnieg zrzędł, doszliśmy piaszczystym grzbietem aż do pierwszego jeziora i tam Laroche zdołał rozpoznać swój punkt orientacyjny - samotną skałę, na której rosły trzy postrzępione jodły.

Wtedy zaczęła się koszmarna wędrówka, która trwała całe dwa dni. Ledwie zawróciliśmy w skalistą okolicę, śnieg zaczął padać znowu. A nawet kiedy w końcu ustał gdzieś późnym popołudniem, posuwanie się naprzód było nadal uciążliwe i męczące, gdyż trzeba było brnąć bez końca w głębokim, mokrym śniegu, a każda gałąź zarzucała na nas swe mokre brzemie. Temperatura była coraz niższa, kiedy zaś chmury się rozeszły, opadła poniżej zera, tak że na śniegu utworzyła się skorupa, którą przebijaliśmy za każdym krokiem. A przez cały czas pochód nas opóźniał jeszcze fakt, że Laroche musiał szukać to tu, to tam szlaku, który wyznaczył nacinając drzewa. W takich samych warunkach, w jakich to robił, nie byłoby trudności z jego odnajdywaniem, ale teraz, gdy drzewa były całe oblepione i przywalone śniegiem, tylko cudem udawało nam się w ogóle nim podążać.

O zmierzchu rozbiliśmy obóz na małej polance pełnej okrytych śniegiem skał, i przysięgam, że gdybyśmy nawet mieli namiot, byłibyśmy nazbyt zmęczeni, by go rozstawić. Zdołaliśmy jedynie narąbać drzewa na ognisko, a kiedy je rozpaliliśmy w załomie skał, które mogły odbijać ciepło, wyciągnęliśmy się na mokrym śniegu i posiliwszy się częścią prowiantu, który Laroche zabrał ze sobą, zapadliśmy w odrętwienie.

Nieprędko zapomnę tę noc. Zimno było dojmujące. Z początku odpędzał je ogień. Zarazem jednak roztopiał on śnieg, tak że leżeliśmy w kałuży wody, a ostre kanty kamieni uwierały nas w plecy. Później zaś, kiedy ognisko zagasło, przypełznął chłód odrętwiający nam ciała i przemieniający wodę w twardy lód.

W tych warunkach niepodobna było zasnąć. Leżałem więc po prostu w otumanieniu, półprzytomny, przemarznięty do szpiku kości i niewiarygodnie zmęczony, bez cienia nadziei

w sercu. Pozbawiony błogosławionego balsamu snu, musiałem uznać fakt, że jedynym sposobem ogrzania się było leżenie jak najbliżej człowieka, o którym wiedziałem, że jest mordercą. To oraz okoliczności naszej wędrówki - nie mówiąc już o jej warunkach - doprawdy przywiodłyby mnie chyba do stanu graniczącego z obłędem, gdyby nie to, że w tym bezlitosnym kraju odkryłem - czy może winienem raczej powiedzieć: odkryłem na nowo - coś, co było głęboko we mnie zagrzebane, a pokrewne wierze we Wszechmocnego. Nie zamierzam się nad tym rozwodzić. Nawrócenie niewierzących czy nie myślących na wiarę w Boga ma wielką wagę tylko dla tych, którzy sami tego doświadczyli, a to że stało się tak ze mną, nie jest moją zasługą, ponieważ było wywołane raczej mym rozpaczliwym położeniem niż jakąś wrodzoną nabożnością. Byłem bowiem przekonany, że czeka mnie śmierć - jeżeli nie zadana przez Laro-che'a to przez sam ten kraj. Tylko jeden z nas mógł opuścić żywy Jezioro Lwa, a gdybym to miał być ja, nie znałem drogi powrotnej do naszych towarzyszy i nie miałem nadziei wydostania się stąd o własnych siłach.

Jakoż uznawszy nieuchronność śmierci umysł mój zatrzymał się znowu nad znaczeniem tego kroku i w mroźnej ciszy nocy pogodziłem się z tym i zawarłem pokój z Bogiem, tak że zanim pierwszy brzask oświetlił widmowo drzewa, osiągnąłem dziwny stan ukojenia, który jakoś harmonizował z krajobrazem.

Nasze śniadanie tego ranka składało się z jednego sucharka i małej kostki czekolady dla każdego z nas. To, że Laroche zabrał tak niewiele z naszych wspólnych zapasów, było samo w sobie nieco zaskakujące, ale nie sędzę, żebym się wtedy zastanawiał nad tym - czy nad faktem, że chciał podzielić się ze mną żywnością. W kraju tak ponurym i nieludzkim jak Labrador uważane jest za naturalne, że ktoś się dzieli, nie bacząc na przyszłość, rzeczami niezbędnymi do życia, takimi jak jedzenie czy ciepło; i właśnie dlatego, gdybym nawet był w stanie o tym myśleć, doszedłbym zapewne do takiego samego wniosku.

Tak czy owak żalosna skąpość śniadania nie bardzo się przyczyniła do pokrzepienia nas po strasznej nocy, i chociaż rozpaliliśmy ognisko i zagrzali się nieco znowu, byliśmy obydwaj w fatalnym stanie, gdy owego rana wyruszyliśmy w drogę - zwłaszcza Laroche, który rzekłbyś, znalazł się nagle u kresu sił. Twarz miał zaczerwienioną, oczy nienaturalnie błyszczące, a mięśnie tak odrętwiały, że poruszał się niezdarnie i często potykał. Jednakże kiedy go zapytałem, czy nie czuje się źle, natychmiast wyprostował swe przygarbione plecy i zapewnił mnie, że nic mu nie jest.

- Zesztywniałem, nic więcej - powiedział. - To przez to zimno.

Potem nie wspominałem już o jego stanie, bo po sposobie bycia i tonie jego głosu widziałem, że ma to za złe, i bałem się, tak jak się bałem od chwili, gdy go dopędziłem, że mogę doprowadzić do wybuchu.

Zimno tego rana było bardzo dotkliwe. Niebo, które dostrzegaliśmy między drzewami, było szare niczym baldachim z zamrożonego ołowiu, a cały kraj trwał nieruchomo w żelaznym uścisku mrozu. Przez to śnieg był twardy i szło się łatwiej.

Obeszliśmy dwa obmarznięte po brzegach jeziora posuwając się wciąż szlakiem, który Laroche wytyczył odchodząc stąd, i krótko po dziesiątej dotarliśmy do wielkiej, wygiętej jak łuk połaci wody, której oba krańce gubiły się między drzewami porastającymi gęsto jej brzegi. Wtedy to zaproponowałem, że zawrócić. Obejście tego jeziora zabrałoby nam dużo czasu i byłem przekonany, że jeśli nie zawrócimy teraz, żaden z nas nie wyjdzie z tego żywy.

- To jedyna rozsądna rzecz, jaką możemy zrobić - nalegałem. - Zawróćmy teraz, nim będzie za późno.

- Niech pan słucha! - Spoglądał ku północy, z głową przechyloną na bok. - Słyszysz pan?

Ja jednak rozróżniałem jedynie poszept mroźnego wiatru między drzewami.

- To chyba wodospad - powiedział. - Ta woda jest rozlewiskiem rzeki, które Mackenzie zaznaczył na swojej mapie. - Ukląkł podpierając się rękami i przybliżył ucho do wody. - Tak, to wodospad. - Podniósł się i stanął patrząc wzdłuż brzegu. - Teraz woda jest chyba większa, niż kiedy tędy przechodziłem. - Był tym najwyraźniej zmartwiony. - Wtedy nie słyszałem wodospadu.

- Czy to nie wszystko jedno? - zapytałem. Przecież jasne, że nie możemy przeprowić się przez rzekę, na której jest wodospad. - A potem, ponieważ byłem tak wyczerpany, że wszystko stało mi się obojętne, powiedziałem: - Ja w każdym razie wracam.

Myślałem, że to wywoła starcie, ale Laroche powiedział tylko:

- Niech pan robi, jak pan chce. Stąd są jeszcze tylko dwie mile i muszę się pospieszyć na wypadek, gdyby...

Nie dosłyszałem jednak reszty, bo już wchodził do wody.

Przez chwilę nie wierzyłem własnym oczom. Najwyraźniej było mu obojętne, czy z nim zostanie, czy nie. Woda sięgała mu już do kolan. Wtedy zawołał do mnie przez ramię:

- Jeżeli pan ze mną idzie, proszę się pospieszyć. Nie będę na pana czekał! - I pobrodził prosto w jezioro.

Podszedłem automatycznie do skraju rozlewiska i tam się zawahałem. Mogłem z łatwością zostawić go teraz, dojść do wodospadu i tam zaczekać na Paulę i Darcy'ego; byłem

pewien, że w każdym razie Paula dojdzie aż do rzeki. Jednakże umyślne rozstanie się z drugą ludzką istotą i samotne torowanie sobie drogi przez taki kraj wymagało większej odwagi niż moja. Co więcej, teraz, gdy byłem już tak blisko celu, poczułem, iż fascynuje on mnie coraz bardziej, tak że choć miałem sposobność odejść, nie mogłem zdobyć się na to, by z niej skorzystać.

Wszedłem więc do wody i od tego zimnego wstrząsu zabrakło mi tchu właśnie w momencie, gdy Laroche coś zawołał, toteż nie dosłyszałem, co mówił. Przy chwilę zdawało mi się, że jest w niebezpieczeństwie, bo stał po pas w wodzie. Jednakże prąd nie zwałił go z nóg. Stał bez ruchu i wpatrywał się w przeciwny brzeg. A potem przyłożył zwinięte dłonie do ust i zawołał znowu:

- Paula! Paula!

To imię poniosło się wzdłuż porośniętego sosnami brzegu - zanikający duch dźwięku, który pochłonęła bezmierna pustka nieba i wody.

- Paula!

I w następnej chwili pobrań naprzód wpierając swe ciało w wodę z nagłą, rozpaczliwą energią.

Wtedy przestałem się wahać i ruszyłem za nim, nie dbając już o to, jak zimna czy głęboka jest woda. Paula była tutaj, a z nią pewnie i Darcy. Nie musiałem już pozostawać sam na sam z Laroche'em.

Na szczęście rozlewisko miało kamieniste dno, bo jeszcze zanim dotarłem do jego połowy, poczułem ssanie prądu, a woda, coraz głębsza sięgała mi wreszcie powyżej genitaliów aż do brzucha, zamrażając we mnie wnętrzości. W najgłębszym miejscu dosięgła moich żeber, przy czym ledwie dotykałem butami dna. Zauważyłem, że Laroche już z niej wychodzi i wdrapuje się na przybrzeżne skały. Jednakże nigdzie nie było ani śladu tamtych dwojga, a on nie zawołał ponownie. Kiedy zaś wydostałem się z wody, znalazłem go stojącego samotnie nad dopalającymi się węgielkami ogniska i zapatrzonego w wątle pasmo błękitnego dymu, które się z nich wywijało.

- Pan ich widział - sapnąłem. - Gdzie oni są?

Potrząsnął głową, a twarz miał śmiertelnie bladą.

- Nie, nie widziałem ich.

- Przecież pan wołał Paulę.

- Zobaczyłem dym. Myślałem, że może... - Znowu potrząsnął głową ze znużeniem. -

Wyprzedzili nas. -

Szczękał zębami, a uczucie gorzkiego zawodu sprawiało, że jego głos brzmiał głucho. Odrzucił z czoła kaptur parki i przesunął drżącą dłonią po głowie. - Nie przypuszczałem, że mogą dojsć tu przed nami.

Był bliski płaczu. W każdym razie miał łzy w oczach i cały dygotał jak w febrze.

- Ale skąd pan wie? - zawołałem. - Jeżeli pan ich nie widział...

- To ognisko - odparł.

Wtedy spojrzałem na nie, widząc je nagle niby ślad stopy na piasku - dowód, że w tej posępnej głuszy były oprócz nas jakieś inne istoty ludzkie. I wiedziałem, że Laroche musi mieć słusność, bo w promieniu pięciu dni marszu nie było tu nikogo, oprócz Pauli i Darcy'ego.

Teraz i mnie już szczękały zęby, i czułem, jak moja odzież sztywnieje, zamarzając. Drętwa ogarniała ciało, ale było mi to obojętne. To pasmo dymu znaczyło, że Paula i Darcy stali tu, na brzegu tego jeziora, i suszyli się przy tym ogniu przed niespełną godziną. Pokrzepiła mnie świadomość, że są tak blisko.

- Rozpalę ogień na nowo - powiedziałem. - Niech pan mi da toporek.

Jednakże potrząsnął głową.

- Nie. Nie, ja muszę iść dalej. Muszę ich dopędzić, zanim dojdą do jeziora.

Patrzył na drzewa szukając porobionych przez siebie nacięć.

- Przecież musimy rozpaścić ognisko - powiedziałem. - Musimy osuszyć ubranie.

Znowu potrząsnął niecierpliwie głową wchodząc między drzewa i dygocąc z zimna na całym ciele. Wreszcie odnalazł to, czego szukał, i ruszył naprzód.

- Laroche! Wróć się! - nieomal wrzasnąłem. - Przeklęty wariacie! - zawołałem za nim.

- Umrzesz z zimna, jeżeli się nie osuszysz!

Nie zatrzymał się, tylko szedł prosto przed siebie na wpeł biegnąc, i chociaż krzyknąłem kilka razy, nie zwrócił na to uwagi. Nie było więc innej rady, jak tylko iść za nim. Wiedziałem, że to szaleństwo. Byliśmy przemoczeni do pasa, a temperatura spadła poniżej zera. Nie miałem jednak wyboru.

Myślałem, że dopędzę go od razu, bo był w znacznie gorszym stanie niż ja. Myślałem, że kiedy mu minie pierwszy wstrząs zaskoczenia i zacznie słabnąć, zdołam namówić go, aby się zatrzymać i rozpaścić ogień. Jednak okazało się, że ledwie mogłem za nim nadążyć. Rzekłbyś, owładnęła nim jakaś demoniczna energia. Las był tu rzadki i Laroche biegł nie bacząc na skalisty grunt, zdradziecko usiany pokrytymi mchem głazami. Widziałem, jak dwukrotnie upadł, ale za każdym razem dźwigał się na nogi i ruszał tym samym opętańczym tempem.

Posuwaliśmy się w ten sposób przez długi czas, aż wreszcie i ja zmęczyłem się tak, że mogłem ledwie się wlec i wtedy nagle grunt urwał się skarpą przed nami, i między nagimi pniami drzew dostrzegłem wodę. W chwilę później wydostałem się z lasu na brzeg i ujrzałem pośrodku skałę przycupniętą jak lew.

Zatrzymałem się wtedy i wpatrzyłem w nią nie wierząc własnym oczom. Oto dotarłem do Jeziora Lwa i ten widok przejął mnie nagłym, lodowatym uczuciem rozpacz, bo było to miejsce przygnębiające i ponure. Samo jezioro miało białą krawędź lodu po brzegach, a na całej długości tej wąskiej rozpadliny jego powierzchnia miała matowy, ołowiany wygląd wody, która zaczyna zamarzać. Lwia skała znajdowała się w samym środku, a jej czerń uwydatniał otaczający ją lód.

- Paula! - doleciał do mnie zza drzew rozpaczliwy krzyk Laroche'a, brzmiący jak głos potępieńca. - Paula! Czekaj! Proszę cię! Paula!

Zbiegał nad jezioro po stromej, zadrzewionej skarpie i za jego podskakującą sylwetką dojrzałem lśnienie metalu. Był to wodnopłatowiec. Więc jednak nie zatonął. Leżał na skraju wody, ze skrzydłami rozpostartymi na lodzie. A na prawo od niego stały dwie ludzkie postacie na tle czarnych brył sterczących skał, które tworzyły niejako platformę nad jeziorem, powtórzenie na mniejszej wysokości owego występu skalnego, gdzie stałem. Postacie te były zupełnie nieruchome i podobnie jak ja wpatrywały się w samolot.

- Paula!

Ten krzyk obłądny, pełen takiej rozpacz, doleciał znowu do moich uszu, i jak gdyby elektryzując owe dwie postacie, sprawił, że jedna z nich oderwała się od drugiej i popędziła na złamanie karku ku jezioru i na wpół zatopionemu samolotowi. Była to Paula. A potem skoczył za nią Darcy krzycząc coś, krzycząc ostrzegawczo.

Bez wątpienia myślał, że Laroche w swym obłąkaniu może być niebezpieczny. Ja też natychmiast pomyślałem to samo, bo wodnopłatowiec był dowodem, że skłamał, toteż zeskoczyłem ze skały i pognałem w dół wołając do Pauli, by została przy Darcym.

Cud, że nie skręciłem sobie karku na owej pochyłości, która była jedną płataniną korzeni; zbiegałem po niej, miftio że byłem śmiertelnie wyczerpany i tak osłabiony, iż zupełnie nie panowałem nad swoimi mięśniami. Nie miałem jednak żadnego obciążenia i dotarłem nad jezioro zaraz po Darcym, który przystanął z wyrazem przerażenia na twarzy. Przed nim Paula zatrzymała się również, tak samo jak Laroche - i wszyscy troje stali bez ruchu, jak żywy obraz.

Patrzyli na coś, co znajdowało się na brzegu jeziora, i kiedy wyminąłem Darcy'ego, ujrzałem to również: zwłoki skulone w śniegu i podarty brezent namiotu, żałośnie zwisający

na przekrzywionym drążku. Wtedy i ja przystanąłem na chwilę zamrożony w całkowitym bezruchu, bo obok tych zwłok leżały dwa zardzewiałe stalowe pojemniki, a od jednego z nich biegł do drzew rosnących na brzegu jeziora cienki drut anteny.

A więc mój ojciec miał rację. To była moja pierwsza myśl; ruszyłem z wolna naprzód, mijając Laroche'a i Paulę - aż zatrzymałem się nad żalonymi szczątkami człowieka, dla którego odnalezienia przebyłem tak daleką drogę. Leżał na boku - zeszywniały, zmarznięty tłumok odzieży - a jego chuda, wygłodzona twarz wpatrywała się niewidzącymi oczyma w niebo Labradoru. Jedną ręką ścisnęła jeszcze mikrofon, druga, owinięta brudnym, zakrwawionym bandażem, spoczywała na uchwycie prądnicy. Jedyłą moją myślą w tym momencie było, że nie dał za wygraną, że do końca usiłował nadawać wezwanie i umarł nie wiedząc, że mu się to powiodło. Poprzez te całe tysiące mil nawiązał łączność z moim ojcem wołając z eteru odcieleśnionym głosem o pomoc. I ojciec odpowiedział na to wezwanie nadludzkim wysiłkiem, który przypłacił życiem. A teraz ja go zawiodłem.

Za sobą dosłyszałem Paulę, która niby echo moich myśli odpowiedziała szeptem tak chrapliwym, że ledwie poznałem jej głos:

- Mon Dieu! Przyszliśmy za późno.
- Tak - odszepnąłem. - Za późno.

A potem spojrzałem na Lwią Skałę stojącą pośrodku jeziora. Przynajmniej dotarłem do Jeziora Lwa. Dokonałem tego, czego próbowała moja babka - co w końcu uczyniłby niewątpliwie ojciec, gdyby nie został tak ciężko okaleczony na wojnie. Dotarłem do ostatniego obozu Jamesa Finlaya Fergusona. To przynajmniej było coś.

Znowu spojrzałem na ciało Briffe'a i moim oczom, zaćmionym z wyczerpania, wydało się ono tymi innymi zwłokami, które przeleżały tutaj, nad tym jeziorem, z górą pięćdziesiąt lat - i przypomniałem sobie, co powiedział Laroche: „Kupa kości i dziura przewiercona w czaszce”. Przynajmniej Briffe nie umarł w ten sposób; mimo to dreszcz przebiegł mi po ciele, bo ta ściągnięta i zapadnięta twarz mówiła o śmierci powolniejszej. Tuż za mną rozległ się szept Pauli:

- To on go zabił, prawda?

Obejrzałem się i zobaczyłem ją wpatrzoną w ojca z wyrazem odrętwiałego zgnębienia i rozpacz. Nie powiedziałem nic, bo teraz znała już prawdę; te zwłoki i nadajnik były dostatecznym dowodem.

A potem wolnym, jakby drewnianym ruchem - niczym kukła poruszana za pomocą sznurka - obróciła się do Laroche'a.

- Zabiłeś go! - Jej szept poniósł się wzdłuż skraju jeziora, taki wyraźny w mroźnej ciszy, jak gdyby wykrzyknęła głośno to oskarżenie; twarz miała wykrzywioną ze zgrozy. - Zostawiłeś go tu samego... na śmierć.

Samego! To jedno słowo wyrzeszało obraz tego, jaka była śmierć Briffe'a. Myślę, że i Laroche dojrzał go także, bo twarz miał zupełnie białą, a chociaż próbował coś powiedzieć, nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wtedy Paula powtórzyła swe oskarżenie narastającym crescendo, które dobyło się z jej krtani krzykiem wstrętu i przerażenia.

- Zabiłeś go! Zostawiłeś go tu na śmierć!

Gardło ścisnęło jej się po tych słowach i zawróciwszy ruszyła na oślep, potykając się, między drzewa, niby zwierzę szukające jakiegoś ciemnego zakamarka, aby się ukryć.

Gdyby Laroche zostawił ją w spokoju, może nic by się nie stało, ale nie mógł się powstrzymać.

- Paulo, na miłość boską! - krzyknął i zanim Darcy czy ja zdolałiśmy go zatrzymać, pognął za nią. Dopędził ją w jednej chwili, gdyż szlochała tak szaleńczo, tak histerycznie, że raczej zataczała się, niż wbiegała po zboczach.

Złapał ją za rękę.

- Paulo, musisz mnie wysłuchać!

Okręcił ją w miejscu, a potem jego ręka osunęła się z jej łokcia i cofnął się jak pod ciosem, bo oczy Pauli gorzały nienawiścią, a jej blada twarz miała jakiś osaczony wyraz, pełen osłupienia i lęku.

- Paulo! - wyciągnął do niej rękę błagalnym gestem, lecz w tejże chwili wykrzyknęła:

- Nie dotykaj mnie! Jeżeli mnie dotkniesz, ja cię...

- Paulo, musisz mnie wysłuchać.

Usłyszałem jej krzyk: Nie! Odejdź ode mnie!

Gdy to mówiła, wyciągnął rękę i schwycił ją znowu, i w tymże momencie uczyniła szybki ruch, dostrzegłem błysk stali i w następnej chwili dźgała go już owym indiańskim nożem o wąskim ostrzu, uderzając nim raz po raz, krzycząc coś po francusku, a może po indiańsku, aż wreszcie ugięły się pod nim kolana i z jękiem zwałił się do jej stóp. Spojrzał na nią jeszcze i przez moment oboje patrzyli na siebie, po czym opadł nagle i znieruchomiał, a ona stała nad nim, wpatrując się jak oszołomiona w nóż, który trzymała w ręce. Patrzyła na ubroczone ostrze, na którego czubku zebrała się kropla krwi i spadła jak krążek czerwonego confetti na zdeptany śnieg.

Nagle Paula odrzuciła nóż i zanosząc się łkaniem upadła na śnieg obok Laroche'a.

- Kochany mój! - Chwyliła jego głowę w obie dłonie i wpatrywała się w jego twarz, bladą jak papier i bezkrwistą pod szczeciną zarostu. - Mon Dieul - Rozejrzała się nieprzytomnie, jakby szukając pomocy, aż w końcu jej wzrok zatrzymał się na Darcym i na mnie, którzy staliśmy obok, bezradni widzowie tej tragedii. - Zdaje się, że go zabiłam - powiedziała bezbarwnym głosem. - Może któryś z was zobaczy.

Kiedy zaś Darcy podszedł i ukląkł przy Laroche'u, Paula złożyła jego głowę na śniegu i podniosła się, nagle zupełnie opanowana.

- Teraz idę... do mojego ojca - powiedziała i poruszając się wolno, niby lunatyczka, odeszła między drzewami w stronę na wpół zatopionego samolotu i piaszczystej plaży u stóp skał, która była miejscem ostatniego obozu Briffe'a.

Podszedłem do Darcy'ego, a kolana mi drżały, osłabłe od tego szoku.

- Nie żyje? - zapytałem.

Darcy nie odpowiedział. Ułożył Loroche'a na śniegu i rozpinał mu parkę.

- Tak to się szybko stało - szepnąłem.

Kiwnął głową. - Jak zwykle w takich razach.

- Myślałem o Briffie i o tym, co się tutaj zdarzyło.

Rozpiął już parkę Laroche'a; sweter pod nią był cały ubroczonej krwią, a mokre plamy zlewały się ze sobą, ciemnoczerwone na tle przybrudzonej bieli wełny. Rozciął go nożem, zręcznie odsłaniając białe ciało pod traperską koszulką i przepoconym podkoszulkiem - tak jakby oprawiał jakieś zwierzę. Kiedy zaś odsłonił całą pierś z sześcioma ranami od noża ziejącymi czerwono i z wolna wypełniającymi się krwią, przełożył ucho do serca. Potem kiwnął głową jak doktor, którego diagnoza okazała się trafna.

- Gdzie ona poszła? - zapytał podnosząc na mnie wzrok.

- Popatrzeć na ojca.

- No, jemu już nic nie pomoże. Niech pan ją tu przyprowadzi. Potrzeba mi dużego ogniska, gorącej wody i bandażu.

- Więc on żyje?

- Ledwie zipie. Zdaje się, ocaliła go grubość parki. - Rozejrzał się szybko. - Rozpalcie ognisko tam, pod tymi skałami, gdzie był obóz Briffe'a. I niech pan powie Pauli, żeby znalazła coś czystego na bandażu. - Wyciągnął zza pasa toporek. - Bierz pan to. Ognisko ma być duże i trzeba stale je podtrzymywać. A teraz ruszaj pan.

Kiedy zaś odchodziłem, usłyszałem, jak mówił:

- Że też musiała się zdarzyć taka cholerna historia! I wiedziałem, że zastanawia się, jak zdołamy wydostać się stąd razem z rannym.

Zawróciłem między drzewami i skałami do małej plaży, gdzie Paula klęczała na żwirze przy zamrzniętych zwłokach ojca. Pamiętam, że zdziwiłem się widząc, jaki jest drobny, ale choć śmierć wygładziła częściowo zmarszczki na jego wyniszczonej twarzy, była to twarz człowieka starego i zaciętego. Na skutek wygłodzenia zapadły mu się policzki, a skóra napięła na kościach, tak że rysy wydawały się jakieś skurczone, i tylko szpakowata broda zachowała w sobie coś męskiego. Ciało do połowy wsunięte w śpiwór, było przysypane pyłem śnieżnym. Śnieg pokrywał także radioaparat, a różne przedmioty, które były Briffe'owi potrzebne do życia, leżały porozrzucane dokoła niego, na wpół zagrzebane pod białą, zamrzniętą skorupą.

Powiedziałem Pauli, co ma zrobić, ale wydało mi się, że to do niej nie dotarło.

- Nie żyje - szepnęła. - Mój ojciec nie żyje.

- Wiem. Strasznie mi przykro. Ale teraz już pani nie może mu nic pomóc.

- Spóźniliśmy się. - Powiedziała to tym samym tępym, płaskim głosem, i chociaż nie płakała, zdawała się zupełnie otumaniona. - Gdybym coś zrobiła, kiedy przyszła pierwsza wiadomość, że nadawał przez radio! Niech pan popatrzy. Próbował dać mi znać. A ja się z nimi zgodziłam - szepnęła łamiącym się głosem. - Zgodziłam się, żeby odwołać poszukiwania.

- To nie była pani wina - odrzekłem.

- Właśnie, że tak. Powinnam była wiedzieć. - Popatrzyła tępo dokoła na przysypany śniegiem obóz. - Nie ma żadnego śladu po ognisku - powiedziała. - Nawet nie miał ognia, żeby się ogrzać. O, Boże! - westchnęła, a potem wpatrzyła się we mnie oczyma szeroko rozwartymi w bladej twarzy. - Dlaczego Albert to zrobił? - zawołała. - Dlaczego zostawił go tutaj? I potem jeszcze mówił, że wtedy już nie żył! - To przypomniało jej, co zrobiła. Czy ja go zabiłam? - spytała.

- Nie - odparłem. - Jeszcze żyje. Ale musimy rozpalić ognisko i przygotować jakieś bandaż. - A potem, ponieważ znowu się zapatrzyła w zwłoki ojca, nie pomna na nic, oprócz własnego nieszczęścia, schwyciłem ją za rękę i przemocą podniosłem z ziemi. - Niech pani się opanuje - rzekłem. - Tu nie może pani już nic poradzić.

- Nie... nic... - Nagle jak gdyby się załamała wewnątrz. - To wszystko takie straszne! - zawołała i zaczęła szlochać dziko, niepowstrzymanie.

Potrząsnąłem nią gwałtownie, ale to nic nie pomogło, ponieważ zaś nie wiedziałem, co robić, zostawiłem ją, poszedłem w las i zacząłem rąbać gałęzie i układać je w wielki stos pod skałami. Po chwili zjawił się Darcy i pomógł mi.

- Wyłatałem go, jak mogłem - powiedział.

- Wyżyje? - spytałem.

- Skąd mogę wiedzieć, u licha? - warknął. - Czy w ogóle ktoś z nas wyżyje, jeżeli już o to idzie?

Przytknął zapalną do suchych gałązek, które zbierał, i troskliwie rozniecił mały płomyk klęcząc w śniegu i dmuchając nań, dopóki gałęzie sosnowe nie poczęły parować i w końcu nie zajęły się trzeszczącym płomieniem.

Dopiero wtedy rozejrzałem się za Paulą. Odeszła od zwłok ojca i klęczała przy Laroche'u tylko w swojej traperskiej koszuli. Przykryła go własną parką i swetrem, aby go rozgrzać, a jej widok przypomniał mi to, co mówiła, kiedy siedzieliśmy we dwoje przy obozowym ognisku. Nieomal zabiła tego człowieka, a jednak wciąż go kochała. Kochała go nie bacząc, co uczynił, i na tę myśl ścisnęło mi się gardło, bo była to taka straszna ironia losu.

Gdy tylko ogień rozgorzał, przenieśliśmy tam Laroche'a i ułożyli go na posłaniu z gałęzi świerkowych i wysuszonego mchu pod samym skałami, gdzie promieniował żar ognia tworząc zakamarek ciepła. W ten sposób przynajmniej Laroche nie umarłby od wstrząsu spowodowanego zimnem. Kiedy jednak powiedziałem to Darcy'emu, obrzucił mnie chłodnym, badawczym spojrzeniem.

To jest sprawa, którą musimy dzisiaj rozstrzygnąć powiedział nieswoim głosem.

- Jak to?

Rozejrzał się szybko, by sprawdzić, czy Paula nie słucha.

- Nie możemy go nieść z powrotem, a żywność mamy ledwie na jeden dzień. Tylko tyle zabraliśmy z Paulą. Jeżeli zostaniemy tu z nim, umrzemy wszyscy.

- Przecież jest radio - odparłem.

- Taaak? - prychnął sceptycznie. - Trzeba by wytrawnego specjalisty, żeby je uruchomić. Stało na otwartym powietrzu od tyłu dni. A nawet kiedy było pod osłoną, Briffe zdołał nadać tylko tę jedną wiadomość. Szansa porozumienia się z kimś tym aparatem jest mniej więcej równie duża jak to, żeby akurat przeleciał tu nad nami jakiś samolot. A jednak... zawahał się. - Szkoda, że Paula nie załatwiła tej roboty gruntownie, kiedy już się do tego wzięła.

Z tymi słowami odwrócił się nagle i odszedł do Pauli, która szukała czegoś w śniegu przy zwłokach ojca.

Wyprostowała się, gdy stanął nad nią; w ręce trzymała zardzewiałe blaszane pudełko.

- Znalazłam to - rzekła. - Wiedziałam, że musi tu być, bo ojciec miał na ręce bandaże.

Była to podręczna apteczka i chociaż wyjęto z niej wszystkie bandaże i morfinę, zostało jeszcze trochę szarpi i gazy oraz butelka antyseptyku. Tym i kawałkami materiału

oddartymi z czystego podkoszulka opatrzyła rany Laroche'a, podczas gdy ja i Darcy przenieśliśmy nadajnik do ogniska. Kręciłem korbką prądnicy, podczas gdy Darcy manipulował przewodami, ale prądnica nie dawała znaku życia.

To przez tę wilgoć - powiedziałem.

- Pewnie, że tak.

- Będzie działała, jak jej się da czas wyschnąć.

- Tak pan myśli? - popatrzył na mnie. - Wyschnie z wierzchu. Ale trzeba by ją osuszyć od środka. Mechanizm zamknięty w tym blaszanym pudełku będzie parował jak w tropikach. Oczywiście, jeżeli pan ma przy sobie śrubokręt, żeby to otworzyć...

- Nie, nie mam śrubokrętu - odrzekłem.

Roześmiał się.

- Wcale się nie spodziewałem, żeby pan miał. - Popatrzył posępnie na prądnicę. - Mam wrażenie, że w tym stanie, w jakim jest teraz, wymagałaby całego warsztatu z narzędziami; a już z pewnością musielibyśmy mieć klucz do tych nakrętek.

- Czy woda jeszcze niegotowa? - spytała Paula.

Darcy uniósł wieko usmolonego kociołka, który napełnił śniegiem, i zawiesił nad ogniem.

- Zaraz będzie - odpowiedział.

- Gdybyśmy mogli znaleźć jakąś starą puszkę albo coś... Chciałabym go rozgrzać.

Zdjęła Laroche'owi buty i naciągnęła mu na nogi własny puchowy śpiwór. Darcy podniósł się.

- Zobaczę, czy czegoś nie znajdę. Może tu będzie coś, co się nada.

Chciałem iść za nim, ale zatrzymała mnie Paula.

- Niech pan mi pomoże go podnieść.

Razem wsunęliśmy Laroche'a w śpiwór, a potem Paula przykucnęła patrząc na białą, bezkrwistą twarz.

- Co my zrobimy? - podniosła nagle wzrok na mnie, a jej drobna twarz przypominała tragiczną maskę.

- Nie mogłam się pohamować - szepnęła. - Nie wiedziałam, co robię.

Nie mogłem powiedzieć nic, co by jej dopomogło, więc odwróciłem się i zapatrzyłem w gorejące serce ognia. Mieliśmy przynajmniej ciepło - dopóki starczyłoby nam energii, aby rąbać drzewo i podtrzymywać ogień. To jednak nie mogło trwać długo. O tym wiedziała. Osłablibyśmy stopniowo z braku żywności, tak samo jak jej ojciec, a wtedy przyszedłby

koniec w śnieżnej zawiei lub w zimnie nocy. Pomyślałem o Dumaine i o tym, co przeżył. Ale w końcu z tego wyszedł, a tak samo Pierre Laroche. My nie mieliśmy wielkich szans.

- Może jakoś uruchomimy radio - powiedziałem.

Nie wierzyła w to jednak i siedziała w kucki, zupełnie nieruchomo, patrząc, jak Darcy zbiera żalosne resztki ostatniego obozu jej ojca, niby włączęga szperający na śmietniku.

- Zostanę tutaj - powiedziała wreszcie cichym, zdławionym głosem. - Cokolwiek przyjdzie, nie opuszczę go.

- Mimo że zostawił pani ojca na pastwę śmierci? - Nie patrzyłem na nią zadając to pytanie.

- Tak... Choćby nawet go zabił - szepnęła. - Teraz już nic mi nie zostało. - Po chwili zapytała: - Myśli pan, że moglibyście z Rayem dojść do Drogi Przewozowej... tylko we dwóch?

- Można by spróbować. - Mówiąc to uświadomiłem sobie, iż przystałem na fakt, że ona nie pójdzie z nami.

- Gdybyście wyruszyli jutro o świcie... Może, jeżeli pogoda będzie dobra, uda wam się dojść w krótszym czasie. - Powiedziała to jednak bez przekonania. Myślała o mszarach, o ciężarze canoe, które musielibyśmy dźwigać, jeżeli mieliśmy przeprować się przez połączenie wody. - Musi pan mi pomagać, ile pan zdoła. - Dotknęła mojej ręki. - Ray jest bardzo zmęczony, choć stara się to ukryć. Nie jest już młodym człowiekiem tak jak pan. - Po chwili dodała: - Ja nie myślę o sobie ani o Albercie. Dla nas to jest koniec. Ale chciałabym mieć pewność, że wy dwaj wyjdziecie z tego żywi. Świadomość, że jesteście bezpieczni... jakoś mi to ułatwi.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - powiedziałem.

Ścisnęła lekko moją dłoń.

- Żałuję, że ojciec nie znał pana.

Uśmiechnęła się ledwie dostrzegalnym ruchem warg, ale oczy jej były puste. Puściła moją rękę, podeszła do swego plecaka i wyjęła małą puszkę Bovrilu oraz metalowy flaszekę.

Właśnie mieszała gorący napój w swoim blaszanym kubku, kiedy wrócił Darcy.

- To ci się nada? - zapytał stawiając obok niej zardzewiałą blaszankę od oliwy.

Kiwnęła głową i pochyliwszy się nad Laroche'em uniosła jego głowę próbując wlać mu nieco gorącego płynu między zęby.

Darcy osunął się ze znużeniem na ziemię obok mnie.

- Pochował Bairda trochę dalej, między skałami - powiedział cicho, pochylając się ku mnie. - Widziałem grób.

- Gdzie?

- A tam - wskazał ruchem głowy skraj plaży, gdzie głazy leżały pod nadbrzeżnymi skałami. - Pewnie był za słaby, żeby wykopać dół, a może ziemia była zmarznięta. W każdym razie obłożył ciało kamieniami i związał dwa kije w kształt krzyża. - Zawahał się, po czym rozwarł dłoń i pokazał mi kamień wielkości gołębiego jaja. Był on szary od piasku, ale w miejscu, gdzie Darcy przetarł go do czysta, miał matowy, złotawy połysk. - Wie pan, co to jest?

Otworzyłem usta, aby mu powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle, bo to było niewątpliwe świadectwo przyczyny tamtej dawnej tragedii. I nagle przypomniałem sobie pierwsze spotkanie z Laroche'em, kiedy McGovern był taki zaskoczony moją pewnością, że samolot rozbił się nad Jeziorem Lwa.

- Znalazłem tę blaszankę na grobie. Była tego pełna, niby jakaś pogańska ofiara dla zmarłych. - Głos Darcy'ego drżał, ale nie wiedziałem, czy z gniewu, czy z lęku. - Zobacz pan, jakie to ciężkie - powiedział i spuścił mi ów przedmiot na dłoń.

Zimne dotknięcie bryłki przejęło mnie dreszczem i odruchowo obróciłem się, aby spojrzeć ponad ciemną powierzchnią jeziora na Lwią Skałę. W wyobraźni ujrzałem ową zardzewiałą puszkę na mogile, żywiej niż gdybym sam ją tam znalazł, i wtedy zrozumiałem, że Indianin miał słuszość. Nienawidziłem tego miejsca i miałem je już na zawsze nienawidzić.

- Nie mogę go zmusić, żeby przełknął bodaj odrobinę odezwała się Paula. Złożyła głowę Laroche'a na zwiniętym swetrze i siedziała przy nim niepokieszona, z dymiącym kubkiem w ręku.

- To sama wypij - odrzekł szorstko Darcy i dodał z cicha: - Drań zasłużył sobie na śmierć. Dosłyszała jego słowa i ten wstrząs jakby ją ogłuszył. Darcy wziął bryłkę z mojej ręki i podał ją Pauli. - Po tylu latach, które spędziłaś na poszukiwaniach, znasz się pewnie na minerałach lepiej ode mnie - rzekł. Powiedz mi, co to jest.

Popatrzyła na trzymaną w dłoni bryłkę i w jej oczach pojawił się wyraz, w którym rozpoznałem lęk. Zareagowała tak samo jak ja.

- To jest złoto - powiedziała cichym, zdławionym głosem.

- Aha, tak też myślałem. - I opowiedział jej, jak je znalazł.

Obróciła z wolna głowę i popatrzyła na usiany kamieniami brzeg jeziora.

- Och, nie... - szepnęła, a potem wpatrzyła się w nas, a ów lęk, który nią nagle owładnął, był znowu w jej oczach i w drżeniu dłoni, która trzymała bryłkę złota. - Och, nie - szepnęła znowu, podniosła się z wolna i odeszła do skraju wody, pochylona, szukając czegoś na oblodzonym brzegu.

Po chwili wróciła z czterema bryłkami, które zsyłała mi na kolana.

- Więc to prawda - szepnęła. - Tutaj jest... głos jej ucichł i nagle wybuchnęła płaczem.

- Prawda? - Darcy dźwignął się na nogi. - O co ci idzie? Co ci się stało? - Objął dziewczynę za ramiona próbując ją pocieszyć. - Powiedz, Paulo.

- Nie wiem - wykrztusiła. - Boję się.

Wszyscy się boimy - powiedział łagodnie. A ponieważ łkała nie mogąc się opanować, potrząsnął nią całkiem brutalnie. - Opanujże się, dziewczyno - rzekł szorstko. - Już i tak mamy dosyć kłopotów, nie trzeba, żebyś jeszcze dostawała bzika, tylko dlatego, że odkryliśmy złoto. - Oderwał jej dłonie od oczu. - I to tak cię wytrąciło z równowagi - że twój ojciec znalazł coś, czego szukał przez całe życie, a kiedy to wreszcie znalazł, nie mogło mu się już na nic przydać?

- Nie idzie o złoto! - zawołała z rozpaczą.

- A o co?

- Nic. Nic. - Głos jej był dziki; wyrwała się nagle Darcy'emu i potykając się pobiegła jak nieprzytomna do ciała ojca.

- Co jej się stało, u diabła? - Darcy popatrzył za nią.

Potrząsnąłem głową, bo nagle nasunęła mi się pewna straszliwa myśl, której nie śmiałem ująć w słowa.

- Nie wiem - mruknąłem i popatrzyłem na nią, gdy stała spoglądając na ojca. Stała tak długo, a potem z wolna zawróciła i usiadła przy Laroche'u wpatrując się w jego twarz barwy popiołu, i chociaż nie mówiła ani słowa, wyczuwałem burzę wątpliwości w jej umyśle.

- Nic ci nie jest, Paulo? - Darcy obserwował ją niespokojnie.

Zaprzeczyła ruchem głowy, a twarz miała mokrą od łez.

- Gdyby chociaż był przytomny - szepnęła wreszcie, a jej ręka dotknęła głowy Laroche'a w miejscu, gdzie włosy porastały bliznę. - Gdyby mógł mówić!

- Chyba lepiej, że nie może.

Obróciła się i spojrzała na niego.

- Ty nie rozumiesz - szepnęła.

- Nie? - Głos Darcy'ego był chrapliwy z tajonego gniewu. - Tu są złoża złota, a to dla mnie wystarczające wyjaśnienie, Ian miał rację.

- Ian?

- Aha. Przez cały czas mówił, że Bert zwariował.

Spojrzenie Pauli przeniosło się znów na Laroche'a, po czym powiedziała do mnie tak cicho, że ledwie ją dosłyszałem:

- Czy pan dalej w to wierzy?

Odgadłem, że pamięta, co mi powiedziała tamtego wieczora przy ognisku, kiedy było tak cicho.

- Staraj się o tym nie myśleć - rzekł łagodnie Darcy - Zrobił to samo, co jego dziadek, i z tej samej przyczyny. Musisz po prostu to przyjąć, nie ma innego wyjścia.

Jednakże potrząsnęła głową.

- Ty nie rozumiesz - powtórzyła, po czym przeniosła na mnie swój otepiały wzrok. - Niech pan mi powie prawdę - poprosiła. - Niech pan mi powie, co się stało. - A kiedy nic nie mówiłem, nie bacząc na rozpaczliwe błaganie w jej oczach, zawołała: - Na miłość boską, ja muszę znać prawdę!

W jej głosie zabrzmiała nuta hysterii i Darcy chwycił ją za ramię.

- Lepiej zostaw ją pan na chwilę w spokoju - szepnął mi do ucha. - Jest zmęczona i przedenerwowana.

Nie byłem pewny, czy powinienem ją zostawić, czy nie, ale znowu wpatrzyła się w Laroche'a, więc w końcu odszedłem z Darcy'm, bo widziałem, że nie mogę jej nic pomóc.

- Gdzie on pochował Bairda? - zapytałem go.

- A tam - wskazał grupę skał na połowie drogi między obozem a zatopionym samolotem. Kiedy zaś ruszyłem w tę stronę, zawołał, abym poczekał.

- Niech pan mi pomoże, to przeniesiemy tam ciało Briffe'a i pochowamy je obok niego.

Ja jednak szedłem już brzegiem jeziora.

- Później - odrzekłem. Musiałem obejrzeć tę mogiłę. Teraz musiałem mieć pewność, co się zdarzyło. Ale kiedy dotarłem na miejsce, nie powiedziało mi ono nic. Mogiła była po prostu kopcem kamieni o długości człowieka, przysypanym szarym osadem. Dwie gałęzie sosnowe, związane drutem, zastępowały krzyż. - Ciekawe, kiedy umarł - powiedziałem, gdy Darcy podszedł do mnie.

- Czy to ważne?

- Nie wiem - mruknąłem. - Ale Laroche był przekonany, że już nie żył, kiedy odchodził. Tego jestem zupełnie pewny.

- Ano, pewnie zginął w katastrofie.

Jednakże potrząsnąłem głową.

- Nie. Nikomu nic się nie stało, kiedy samolot się rozbił. Laroche to przyznał. - Myślałem o tej blaszance pełnej bryłek złota. To Briffe ją tam zostawił. - Myślę... myślę, że powinniśmy rzucić okiem na zwłoki.

- Boże drogi! A po co?

- Nie wiem - szepnąłem niepewnie. - Może to nam coś powie.

Nie śmiałem mu wyjaśnić, co spodziewałem się znaleźć, ale chociaż myśl o rozebraniu mogiły była mi bardzo przykra, poczułem nagle, że muszę się przekonać, jak umarł Baird, toteż ukląknęłam i zacząłem odgarniać rękami osad i kamienie.

- Cholera jasna! - Darcy chwycił mnie za ramię. - Co pana napadło? Nie możesz pan zostawić tego człowieka w spokoju?

- Odgrzebanie już mu teraz nie zaszkodzi - powiedziałem wrywając się - Przecież nie żyje, prawda? dodałem prawie wściekle, aby ukryć zdenerwowanie, bo i mnie też nie było przyjemnie. Nie miałem jednak innego sposobu wykrycia, co się stało, a musiałem to wykryć ze względu na Paulę.

Moje podniecenie widocznie udzieliło się Darcy'emu, bo już nie próbował mnie powstrzymać, a w końcu sam ukląknął obok i pomógł rozrzucić kopiec kamieni. Kiedy zaś w końcu odsłoniliśmy górną połowę ciała, pozostaliśmy przez dłuższą chwilę na klęczkach, nie poruszając się, ani nie mówiąc nic, bo cała jedna strona twarzy zmarłego była rozrąbana.

- To od uderzenia toporkiem - odezwał się w końcu Darcy, a ja kiwnąłem głową. Jednakże chociaż właśnie tego się obawiałem, nie spodziewałem się takiej okropnej rany. Prawe ucho było całkowicie odcięte, a policzek rozchlastany do kości, tak że między poskręcany i zmasakrowany tkankami bieleły zęby. A jednak Baird nie zginął od tego, bo do rany były jeszcze poprzyklepane kawałki gazy tam, gdzie ją obandażowano. Twarz, podobnie jak twarz Briffe'a, była zapadnięta wskutek prywacji i cierpień. Broda była nadal czarna, bujnie rozrośnięta, tak że Baird wyglądał niby woskowy wizerunek jakiegoś ukrzyżowanego apostoła.

- No, to przesądza sprawę - odezwał się chrapliwie Darcy - już się zdecydowałem. Jutro wyruszamy z powrotem i zostawiamy go tutaj. - Miał oczywiście na myśli Laroche'a, ale nie mógł się zdobyć na wymienienie jego nazwiska i zastanowiłem się, czy mu powiedzieć to, co mi przyszło do głowy. - No, powiedz pan coś! - zawołał gniewnie. - Uważa pan, że nie mam racji chcąc zostawić na pastwę losu człowieka, który potrafił zrobić coś podobnego?

Odsłoniłem tymczasem prawą rękę Bairda z roztrzaskanym przegubem i zapiaszczonym bandażem pokrywającym ranę w miejscu, gdzie brak było paru palców. Pod dłonią zaś ukazał się wierzch brezentowej torby.

- Paula nie pójdzie - odparłem i wyszarpnąłem torbę spod pokrywających ją kamieni. Była to zwykła brezentowa torba na narzędzia, ale pełna owych matowoszarych bryłek, które

były tak ciężkie i metaliczne w dotknięciu. Same zwłoki wydały mi się mniej straszne niż widok tej brezentowej torby, i kiedy wpatrzyłem się w nią przerażony, usłyszałem za sobą głos Darcy'ego:

- Skąd pan wie, że nie pójdzie?

Zrozumiałem wtedy, że nie uświadomił sobie znaczenia tej torby.

- Powiedziała mi... przed chwilą. Zostaje przy Laroche'u.

Mówiłem ze zniecierpliwieniem, bo myślałem o tej torbie pełnej bryłek złota, tak starannie pochowanej razem z ciałem - niczym jakaś religijna ofiara. A była jeszcze ta blaszanka z bryłkami, którą Darcy znalazł na grobie. Człowiek, który pochował Bairda, oddał zmarłemu całe bogactwo, które zgromadził; czy był to gest wyrzeczenia, próba, której dokonał szaleniec, aby kupić sobie rozgrzeszenie? Boże drogi - myślałem. - Co za ironia, żeby chcieć tego wszystkiego dla siebie, a potem umrzeć wpośród tych bogactw!

Darcy trącił mnie w ramię. - Pójdę z nią pomówić -~ rzekł.

- To się na nic nie zda.

- Nie? Więc ją tu przyprowadzę. Myśli pan, że będzie chciała zostać z tym człowiekiem, kiedy zobaczy, co zrobił? - Podniósł się z ziemi.

- Niech pan zaczeka - odparłem. - Nie może pan jej tego pokazywać. - Spojrzałem na twarz zmarłego, potem na zakrwawioną rękę i przypomniałem sobie nagle, że Briffe też miał dłoń zranioną. - A gdyby nawet pan jej pokazał, nie zmieni swojej decyzji. - Popatrzyłem na niego. - Tego nie zrobił Laroche - rzekłem.

- Jak to?

- To Briffe dostał szau.

- Briffe? - wytrzeszczył na mnie oczy, jak gdybym zwariował.

Kiwnąłem głową, bo teraz, kiedy to powiedziałem, miałem pewność, że tak było. Wszystko tu pasowało - rana na głowie Laroche'a, jego decyzja powrotu na własną rękę. Nic dziwnego, iż był przekonany, że Baird już nie żył. Kto mógł się spodziewać, żeby człowiek z tak rozrąbaną głową mógł wyżyć? A potem ta determinacja Laroche'a, żeby nikt nie znalazł tego miejsca, żeby porzucić poszukiwania i uznać Briffe'a za zmarłego. Gotów był zrobić wszystko, byleby uchronić Paulę od prawdy.

Kiedy jednakże wytłumaczyłem to Darcy'emu, najwyraźniej nie mógł tego pojąć.

- Po prostu nie mogę uwierzyć - szepnął.

- W takim razie co pan na to? - zapytałem i wyciągnąłem do niego brezentową torbę. - I ta pełna blaszanka, którą pan znalazł na grobie. To Briffe pochował Bairda, nie Laroche. Pan wie, jakim on był człowiekiem; niedawno powiedział pan to Pauli. Całe życie strawił na

poszukiwaniu złota, a tu było jedno z miejsc, które zawsze pragnął znaleźć. Sama mi powiedziała przedwczoraj. No i znalazł je - dodałem, i w myśli zobaczyłem tę scenę taką, jaką musiała być, kiedy stali we trzech tutaj, na brzegu jeziora, a Briffe trzymał na dłoni tę pierwszą bryłkę złota.

- Jeszcze nie mogę uwierzyć... Jej ojciec...

- Jeżeli w ogóle wyjdziemy stąd żywi - powiedziałem przypominając sobie tamten mój pierwszy dzień na Labradorze - niech pan pomówi z McGovernem. Przypuszczam, że on wie, co się naprawdę zdarzyło. Myślę, że Larroche mu powiedział. Milczał przez długi czas. W końcu rzekł:

- No, niech pan uważa, żeby Paula nie domyśliła się, co pan przypuszcza. To by ją chyba zabiło. - A kiedy nic nie odpowiadałem, chwycił mnie gwałtownie za łokieć Słyszysz mnie, Ian? Może masz rację. Może nie. W każdym razie Laroche tutaj umrze. Ona nie może się dowiedzieć.

- Już wie - odparłem. - Wiedziała z tą chwilą, kiedy pan podał jej bryłkę.

Popatrzył na mnie, a potem kiwnął głową.

- Tak. Chyba tak - mruknął w zgnębieniu i przeżegnał się. - Straszna rzecz - westchnął, a kiedy zacząłem na powrót obkładać kamieniami zwłoki Bairda, powiedział: - Będziemy musieli go pochować... tu, obok Bairda. - Po czym dodał z nagłym zdecydowaniem: - Ale wyruszamy z powrotem jutro rano. Rozumie pan? Cokolwiek postanowi Paula, wyruszamy jutro rano. Musimy tak zrobić.

III

Że Paula знаła już prawdę, to stało się oczywiste, gdy tylko Darcy powiedział jej, że wracamy nazajutrz rano.

- Ułożymy go możliwie jak najwygodniej - rzekł wskazując głową Laroche'a - i wtedy my troje, idąc bez obciążenia...

Nie dała mu jednak skończyć.

- Myślisz, że zostawię Alberta, żeby tu umarł samotnie - - zawołała wpatrując się w niego, blada i zdeterminowana. - Nie mogłabym tego zrobić. Nie mogłabym w żadnym razie... zwłaszcza teraz. - A potem dodała cicho: - Ja go kocham, Ray. Kocham i zawsze będę kochała, i nie opuszczę go. Więc nie prosz mnie więcej, dobrze?

Miała już poza sobą łzy i wszelkie objawy wzruszenia. Oświadczyła to stanowczo, i widziałem, że nawet Darcy przyjął jej decyzję jako nieodwołalną.

- Ty z Ianem odejdziecie jutro rano. Spróbujcie się przedostać. Będę podtrzymywała ogień, jak długo zdołam. Jeżeli wam się poszczęści, może przysłecie nam na czas samolot.

- Na jeziorze już tworzy się lód. Za kilka dni samolot nie będzie mógł tu wodować. A lód będzie za cienki, żeby lądować na płozach.

- Może dostaniecie helikopter.

- Uhm, może helikopter dałby radę, chociaż tu nie ma za dużo miejsca. - Spojrzał z powątpiewaniem na wąską plażę. Potem powiedział: - Pochowamy twojego ojca, Paulo. Może chcesz przy tym być?

Przez chwilę nic nie mówiła, po czym sięgnęła z wolną ręką do złotego łańcuszka, który miała na szyi.

- Nie - powiedziała cichym, suchym głosem. - pochowajcie go. A ja się za niego pomodłę tutaj... z Albertem.

Na łańcuszku był zawieszony mały krzyżyk, który wydobyła zza koszuli i ścisnęła mocno w dłoni. Darcy zawahał się, ale kiedy zobaczył, że Paula nie ma zamiaru iść, dorzucił drew do ogniska i powiedział do mnie:

- No, dobra załatwimy to, a potem coś zjemy i zdecydujemy, co robić.

Poszedłem za nim do miejsca, gdzie pozostawił zwłoki Briffe'a. Stał nad nim i spoglądając w wynędzniałą twarz powiedział:

- Chyba pan ma rację. Ona wie.

Nie odezwał się więcej; ponieśliśmy ciało brzegiem jeziora i ułożyli je obok mogiły Bairda. Następnie pokryliśmy je kamieniami i czarnym mułem z plaży. Szło nam to powoli, bo nie mieliśmy żadnych narzędzi prócz własnych rąk. Kiedy skończyliśmy, Darcy wyjął toporek, uciął dwie gałęzi i zatknął je na mogile związane w kształt krzyża.

- Niech Bóg zmiłuje się nad tobą. Spoczywaj w spokoju. - Przeżegnał się stojąc w nogach grobu i szepnął: - Amen. No, to już - powiedział i odwrócił się raptownie. - Gdzie pan i Bert macie jedzenia?

- Chyba nie mamy w ogóle.

- Hm. My mamy trochę kawy, czekolady i rodzynków, trochę sucharów i sera. Głodny pan?

- Tak - odrzekłem.

Kiwnął głową.

- Ja też... Cholernie jestem wygłodzony. Ale napijemy się tylko trochę kawy, nic więcej. Resztę zostawimy Pauli. Zgoda?

Kiwnąłem głową, choć ślina napływała mi do ust na myśl o jedzeniu, a w dołku czułem tępe ścisnięcie.

- Więc pan się zdecydował zostawić ich tutaj?

- A cóż innego mogę zrobić, u licha? - zapytał z gniewem. - Ona się stąd nie ruszy, teraz już to wiem. I jeszcze jedno: jeżeli zdołamy się stąd wydostać, nie powiemy nikomu, czego się dowiedzieliśmy. Obaj nie żyli, tak jak mówił Bert. Dobrze? - Przystanął i patrzył na mnie czekając na odpowiedź.

- Dobrze - odrzekłem.

- W porządku. - Poklepał mnie po ręce. - Dla pana to będzie ciężkie, z uwagi na przyczyny, które pana tu sprowadziły. Ale myślę, że to się od pana należy Bertowi. Ryzykował bardzo dużo, żeby zachować tę sprawę w tajemnicy, a umrze, zanim będziemy mieli jakąkolwiek szansę wydostania go stąd.

Wróciwszy do ogniska zastaliśmy Paulę leżącą obok Laroche'a z głową wtuloną w ramiona, łkającą konwulsyjnie. Darcy przez chwilę stał patrząc na nią.

- Biedne dziecko - szepnął, ale nie podszedł do mej. Wziął pusty kociołek i ruszył do jeziora, aby go napełnić. - Zostaw ją, chłopcze - powiedział mijając mnie. - Dobrze jej robi, jak się porządnie wypłacie.

Ze zdumieniem zauważyłem, że po policzkach spływają mu łzy.

Podczas gdy gotowałam kawę, poszedłem ku miejscu, gdzie leżały szczątki namiotu Briffe'a i zacząłem szukać w śniegu narzędzi, które musiały być w owej pustej torbie. Nie warto opisywać wszystkiego, co znalazłem; były tam osobiste rzeczy Briffe'a i Bairda - części ubrania, przyrządy, kilka pustych puszek po żelaznych porcjach żywności i budzik, ni mniej, ni więcej. Wynieśli z samolotu wszystko, co zdołali uratować. Przedmioty te, rozrzucone po śniegu, zardzewiałe, mokre i oblepione piaskiem, stanowiły ekwipunek żałośnie niedostateczny do stawiania czoła natarciu zimy w tym ponurym miejscu. Znalazłem także i toporek. Tkwił w lodzie na skraju wody, głowicę miał pokrytą plamami rdzy, ale czy Briffe go tam po prostu porzucił, czy też chciał cisnąć do jeziora - tego nie mogłem odgadnąć.

Narzędzia walały się w śniegu w pobliżu miejsca, gdzie go odnaleźliśmy, i podnosząc je natrafiałem wciąż na bryłki złota. Były to najwyraźniej te, które uzbierał, bo znalazłem też pusty worek od mąki, w którym zostało jeszcze parę sztuk, oraz napełniony nimi blaszany kubek. Na ten widok ścisnęło mi się serce. Wyobraziłem go sobie szukającego w zapamiętaniu na brzegu jeziora, podczas gdy Baird leżał w kałuży krwi, a Laroche zbiegł do lasu ruszając w swą długą pieszą wędrówkę - i mimo woli zastanowiłem się, co czuł, kiedy go opuściła gorączka złota, a powróciła równowaga umysłu. Odrzucił z obrzydzeniem te bezużyteczne skarby - to widać było wyraźnie, bo walały się po całym obozowisku. Ale co czuł? Czy w ogóle myślał o przyszłości - o tym, jaka będzie reakcja jego córki - kiedy siedział

skulony nad nadajnikiem godzina za godziną, usiłując nawiązać kontakt z zewnętrznym światem?

Zebrałem narzędzia i powoli wróciłem z nimi do ogniska. Darcy ugotował już kawę; wypiliśmy ją, czarną i parzącą, i jakby wlała w nas nowe życie, bo nawet Paula nieomal przyszła do siebie, tyle że milczała, a twarz miała wciąż nienaturalnie bladą. Zjadła wszystko, co Darcy przed nią postawił, ale uczyniła to automatycznie, jak gdyby funkcja jedzenia była czymś odrębnym od rzeczywistości. Toteż zdziwiłem się, kiedy zapytała:

- A wy nie jesteście głodni? Bo nic nie jecie.

Darcy potrząsnął głową unikając jej wzroku.

- Mamy robotę - powiedział nieporadnie i przełknąwszy resztę kawy wstał i spojrzał na zegarek. - Zostały jeszcze ze dwie godziny światła dziennego. Zostawimy ci tyle drewna, ile zdążymy narąbać przez ten czas.

Wziął toporek i skinąwszy na mnie głową ruszył po skałach w las.

Zawahałem się. Chciałem popracować przy prądniczy. Ale mimo woli przypomniałem sobie tamtą wiadomość od Briffe'a. „Nie mam ognia. Sytuacja rozpaczliwa”. Zresztą radio pewnie i tak nie dałoby się uruchomić. Drzewo na ogień wydawało się ważniejsze, wziąłem więc toporek Laroche'a i ruszyłem w las za Darcy'm.

Była to przeraźliwie ciężka praca. Czuliśmy się zmęczeni, jeszcze nim zaczęliśmy - zmęczeni i głodni. Paula pomagała nam przez pewien czas, ciągnąc gałęzie do skraj lasu i potem zrzucając je ze skał. Jednakże Laroche coś krzyknął, więc potem pozostała już przy nim napełniając wciąż od nowa blaszankę ciepłą wodą, aby go rozgrzać, i próbując wlać mu w usta gorący Bovril i koniak.

Laroche nie odzyskał dotąd przytomności. Był nadal w stanie omdlenia, tyle że teraz majaczył, i ilekroć podszedłem do ogniska, słyszałem jego bełkot.

Czasem wołał: „Paula! Paula!” jak gdyby chciał, żeby go wysłuchała. Wracał wtedy do chwili, gdy pchnęła go nożem. Kiedy indziej znów rozmawiał z Briffem albo brnął niekończącym się szlakiem poprzez Labrador. Była to bezładna wikłanina słów, chwilami przeplatana wykrzyczanym imieniem - Pauli lub Briffe'a, a raz moim własnym - od czasu do czasu zaś zmagął się w bezsilnym usiłowaniu uczynienia czegoś, co dyktowały mu jego urojenia. Najstraszniejsze zaś było, że chociaż nic z tego nie miało sensu w dosłownym znaczeniu, my - wiedząc to, co wiedzieliśmy - nie mogliśmy nie zrozumieć, że jego umysł próbuje uwolnić się od zbyt długo tłumionej tajemnicy.

Paula siedziała trzymając jego głowę na kolanach, gładziła go po czole i szeptała kojące słowa, a jej twarz była przez cały czas zmrożona w maskę zgnębienia i rozpacz.

Ściemniło się wcześniej i nadleciała zawieja śniegu z deszczem, która przejęła nas zimnem i pokryła wszystko dokoła świeżym białym puchem. Wróciliśmy do ogniska, a kiedy trochę przyszedłem do siebie i przestałem czuć na ciele lodowate zimno potu wyciśniętego przez wyczerpanie, spróbowałem znowu naprawić prądnicę. Jednakże choć obudowa była gorąca, wciąż jeszcze pozostawała wilgotna od środka. Tak czy owak kręcenie korbą nie dawało żadnego wyniku. Przy świetle ogniska, słysząc co chwila bełkot majaczącego Laroche'a, wziąłem się do rozmontowania prądnicy.

Zabrało mi to przeszło godzinę, bo wszystkie nakrętki były zardzewiałe. W końcu jednakże zdjąłem obudowę i wytarłem chustką szczotki do czysta. Na szczęście śnieg przeleciał; pozostawiwszy jakiś czas mechanizm przy ogniu, sprawdziłem przewody, oskrobałem nożem zaciski i złożyłem całość na powrót. Potem zaś Darcy zaczął obracać korbą, ja zaś przybliżyłem obie końcówki do siebie. Kiedy się prawie zetknęły, błysnęła między nimi mała iskierka. Nie była duża, ale jednak się pojawiła, a ja, trzymając oba przewody w rękach, odczułem takie szarpnięcie, że aż podskoczyłem.

- Myśli pan, że to wystarczy do uruchomienia aparatu? - zapytał Darcy, który z kolei trzymał przewody, podczas gdy ja kręciłem.

- Bóg wie - odparłem. - Byłby to dosyć słaby sygnał. - Zresztą aparat i tak jest już pewno nie do użytku. Minęły przecież dwa tygodnie z górą, odkąd Briffe nadał tamtą wiadomość.

Jednakże włączyliśmy nadajnik, rozpięli na powrót antenę i po oczyszczeniu zacisku z rdzy nałożyłem słuchawki, przestawiłem aparat na odbiór i podczas gdy Darcy obracał korbą, przejechałem z wolna po całej skali. Nie usłyszałem jednak nic, nawet trasku ani najmniejszego szmeru atmosferycznego. Sprawdziłem starannie aparat starając sobie przypomnieć, co mówił ten dureń radiotelegrafista w Obozie 263. O ile mogłem się zorientować, zrobiłem wszystko, co trzeba. Ale gdy spróbowaliśmy znowu, nic się nie odezwało.

- Może to wtyczki słuchawek - odezwał się Darcy.

- Warto je przeczyścić.

Jednakże potrząsnąłem głową.

- Możemy oczyścić wtyczki, ale nigdy nie oczyścimy gniazdka. Jak raz ruszymy wtyczki, będziemy załatwieni.

Przestawiłem aparat na nadawanie. Już dawno minęła pora uzgodniona z Perkinsem, ale nie szkodziło spróbować. Nadawanie mogło działać, nawet jeżeli nie działał odbiór.

- Niech pan pokręci - powiedziałem i przyłożyłem mikrofon do ust. - CQ, CQ, CQ - zacząłem wzywać nastawiwszy aparat na odpowiednią częstotliwość. - Tu mówi Ferguson znad Jeziora Lwa. Zgłaszać się, wszystkie stacje foniczne w paśmie siedemdziesięciu pięciu metrów. Proszę się zgłaszać. Odbiór.

Przerzuciłem przełącznik na odbiór, ale nie było nic słycać.

Spróbowałem znowu i jeszcze raz. A kiedy Darcy zmęczył się obracaniem korby, zamieniliśmy się rolami. Nie uzyskaliśmy jednak żadnej odpowiedzi i wreszcie, zupełnie wyczerpani, daliśmy za wygraną.

- Mówiłem panu, że ta cholera nie będzie działać - powiedział Darcy.

- W porządku - odparłem. - Jeżeli pan to wiedział, to po co się pan trudził kręceniem?
- Byłem zmęczony i zły.

- Uruchomił pan prądnicę. Myślałem, że uruchomi pan i aparat.

- No więc nie uruchomiłem. - Ponieważ zaś pomyślałem, że to może nasza jedyna nadzieja, więc dodałem: - Spróbujemy jeszcze raz jutro rano.

- Jutro nie będzie czasu. Wyruszamy o pierwszym brzasku.

- Może pan sobie iść, jeżeli pan chce - odparłem. Ja się nie ruszę do wpół do ósmej.

- W ten sposób stracimy półtorej godziny, a nie możemy sobie pozwolić...

- Mówię panu, że się nie ruszę do wpół do ósmej - powtórzyłem z uporem. - Podałem Perkinsowi tę godzinę. Będzie nas wtedy nasłuchiwał. Ledder pewnie też.

- Och, na miłość boską! - Zawołał z gniewem. - Wie pan doskonale, że nie ma ani odrobiny nadziei, żeby pan nawiązał z nimi łączność. Ten aparat jest nie do użytku i koniec. Briffe'owi udało się uruchomić go tylko raz jeden.

- Briffe zaczął pracować aparatem, który był przemoczony. Musiał sam kręcić prądnicę, był wyczerpany i ranny w rękę. Jeżeli on go uruchomił, to możemy i my.

- Myślę, że Ian ma rację - odezwała się nagle Paula. - Może ojciec mógł tylko nadawać. Ale uważam, że powinniście spróbować, nawet jeżeli przez to opóźni się wasze odejście.

- Te półtorej godziny może wszystko odmienić - mruknął Darcy. Potem spojrzał na mnie, a odbłask ognia na okularach nadał jego oczom złowrogi wyraz. - Próbuj pan, jeżeli pan musisz. Ja się nic nie znam na radiu, ale uważam, że aparat musi być nie do użytku po takim długim wystawieniu na niepogodę.

Tak więc postanowiono; dorzuciliśmy drew do ognia i położyliśmy się spać. Co kilka godzin w ciągu tej nocy ktoś z nas wstawał i podtrzymywał ogień, tak że godziny snu były na

przemian bardzo gorące i dojmująco zimne, a przez całą tę nie kończącą się noc słyszałem głos Laroche'a niby w koszmarze.

Wreszcie światło dzienne wpełzło na nowo w ponurą rozpadlinę jeziora. Lwia Skala wydzwignęła swój czarny profil z mgieł, które leżały jak biały dym na wodzie, ja zaś podszedłem zeszytywniały do aparatu i zacząłem go wypróbować w nikłej nadziei, że przez sam fakt majstrowania przy nim, przeklęty nadajnik zacznie działać.

Wypiliśmy kawę i tuż przed siódmą kucnąłem przy tym złośliwym, zardzewiałym pudle, nałożyłem słuchawki i przestawiłem przełącznik na nadawanie. Darcy zakręcił korbą, a ja zacząłem mój bezowocny monolog:

- CQ, CQ, CQ. Ferguson wzywa Perkinsa. Wzywa Leddera. Obóz Sto Trzydzieści Cztery - czy mnie słyszycie? Zatoka Goose? Każda stacja foniczna w paśmie siedemdziesięciu pięciu metrów. Proszę się odezwać. Proszę się odezwać. Odbiór.

Czasem wołałem: „Mayday”, co, jak wiedziałem, było wezwaniem pomocy w niebezpieczeństwie, to znowu wzywałem tylko Perkinsa albo Obóz 134. Ale ilekroć mówiłem: „Odbiór” i przestawiałem przełącznik, odpowiadała mi absolutna cisza. Nic. Nieskończoność nicości; wiedziałem już, że nic jest zerwana, że łączność nie istnieje. A jednak próbowałem nadal. Kiedy zaś Darcy się zmęczył, ustąpiłem mu miejsca i z kolei on próbował z tym samym skutkiem. O siódmej dwadzieścia pięć, doprowadzony do desperacji, zacząłem opisywać miejsce, gdzie się znajdowaliśmy - rzekę, wodospad, położenie i odległość od punktu przeprawy.

Wreszcie o wpół do ósmej odłożyłem mikrofon.

- Ano, w każdym razie próbowaliśmy - powiedziałem. Darcy kiwnął głową. Nie odrzekł nic, tylko zaczął spokojnie zbierać swoje rzeczy. Laroche spał, już nie majaczył. - Myśli pan, że mamy jakieś szansę? - spytałem.

- Powrotu?

- Powrotu na czas - odparłem.

Zawahał się spoglądając na Laroche'a.

- Jesteśmy w rękach Boga - mruknął. - Ale on umrze na pewno. - Obrócił się do mnie i spytał krótko:

- Pan boi się śmierci?

- Nie wiem - odrzekłem.

- Tak, nikt z nas nie wie, dopóki się z tym nie zetknie. Mnie się to zdarzyło dotąd tylko raz. Wtedy się bałem, a jakże. Może teraz już nie. Starzeję się. - Sięgnął po swój plecak, napełniony ledwie do połowy. - Gotowe?

W tej chwili obejrzał się, bo biegła ku nam Paula. Twarz miała zbieleć, z wyrazem przerażenia, oczy rozszerzone, jak gdyby zobaczyła upiora.

- Co się stało? - zapytał Darcy.

- Tam, przy tych skałach... - Drżącą ręką wskazywała zwały skał między drzewami. Siadła nagle, jak gdyby ugięły się pod nią kolana. - Gdzie wyście go pochowali? - spytała.

- Już ci mówiłem; tam, gdzieśmy znaleźli grób Bairda - odrzekł Darcy.

- Tak, tak. To niemądrze z mojej strony, ale przez chwilę myślałam...

Przeleciał po niej dreszcz. Potem wpatrzyła się we mnie szeroko rozwartymi oczami, a ja niemal mimowolnie, jak gdyby kierowany jej nakazem ruszyłem ku skałom.

Nie zdaje mi się, aby mnie zaskoczyło to, co znalazłem pod owym zwałem skalnym. Chyba w momencie, kiedy Paula spojrzała na mnie, wiedziałem, iż mnie posyła, ażebym oddał cześć doczesnym szczątkom mojego dziadka. Leżały one tuż pod największą skałą, w czymś w rodzaju żlebu - szkielet, nic więcej. Nie pozostał ani strzęp odzienia, nic tylko kości poszarzałe wskutek działania czasu i zmiennej pogody. Jedyne klatka żeber była nienaruszona. Głowa leżała obok, całkowicie oderwana od reszty, szczerząc zęby w nagokościstym uśmiechu do labradorskiego nieba, a czoło było zupełnie potrzaskane, z ziejącą dziurą, tak jak mówił Laroche. Odwróciłem ją i z tyłu, u podstawy czaszki, ujrzałem równo przewiercony otwór w miejscu, gdzie weszła kula. Pomyślałem o pistolecie, który wisiał w pokoju ojca. Czy moja babka znalazła go w jednym z obozowisk Pierre'a Laroche'a? Czy był to ten sam pistolet, który władował kulę w tę biedną, nagą czaszkę? Pochyliłem się spoglądając na nią jak urzeczony, i wtedy usłyszałem za sobą głos Darcy'ego.

- Zabawna rzecz - szepnął zaglądając mi przez ramię. - Prawie zapomniałem o tamtej poprzedniej wyprawie.

- To chyba jest mój dziadek? - zapytałem.

- Ano, nie Indianin, to pewne. Wystarczy spojrzeć na kształt czaszki. Nie - dodał. - To jest James Finlay Ferguson i nie ma większych wątpliwości, co się zdarzyło.

- Tak. - Myślałem o człowieku, którego pochowaliśmy poprzedniego dnia; spojrzałem na Darcy'ego, a potem poza niego, ku posępnemu jezioru i czarnej skale przycupniętej na środku. - Nic dziwnego, że Indianin bał się tego miejsca.

Kiwnął głową.

- To rzeczywiście złe miejsce. A to tutaj nie ułatwi sprawy Pauli.

- Możemy go przykryć kamieniami - odrzekłem. - Zresztą Paula nie musi tu przychodzić.

- Jasne. Ale jakby pan się czuł, gdyby pan został sam z ciałem ukochanego człowieka, który zginął z pana własnej ręki, z tymi dwiema mogiłami tam, na brzegu, i jeszcze tym leżącym tutaj? Wszędzie jakaś tragedia. A niech pan pamięta, że ona jest częściowo Indianką.

- Może Laroche nie umrze - szepnąłem. Ale nie byłem o tym przekonany bardziej od niego.

- Może nie umrze dziś czy jutro. Ale umrze, zanim gdzieś dojdziemy, a wtedy ona zostanie sama. Po tym nie będzie już miała żadnego bodźca, żeby się utrzymać przy życiu. - Po chwili rzekł prawie z gniewem: - No, chodź pan. Musimy już iść.

Obłożyliśmy kości garściami mokrej ziemi i wróciliśmy do ogniska.

- Teraz pójdziemy, Paulo - powiedział Darcy.

Siedziała pochylona nad Laroche'em i nie podniosła wzroku.

- On jest przytomny - powiedziała cicho.

Podszedłem bliżej i zobaczyłem, że oczy ma otwarte.

Kiedy znalazłem się na linii jego wzroku, pojawił się w nich błysk rozpoznania, a krtań poruszyła się konwulsyjnie, jak gdyby usiłował coś powiedzieć. Jednakże żadne słowa nie doły mu się z ust.

- Nie próbuj mówić - szepnęła natarczywie. Musisz oszczędzać siły. - A potem podniosła się nagle i stanęła naprzeciw nas. - Przykryliście... tamto?

Darcy kiwnął głową.

- Tak. Teraz już nic tam nie zobaczysz.

Wpatrzyła się we mnie.

- To musi być straszne dla pana... Odkryć, co się stało. Dla nas obojga - szepnęła. Potem opanowała się i jej głos zabrzmiał nagle wyraźnie i rzeczowo: - Będziecie szli prędko, prawda? Najprędzej, jak zdołacie. - Nie było to pytanie, ale stwierdzenie. Kiedy zaś Darcy kiwnął głową, nazbyt wzruszony, by mówić, podeszła i wzięła go za rękę. - Niech Bóg ci błogosławi, Ray - powiedziała. - Będę się modliła, żebyście zdążyli na czas.

- Zrobimy, co będzie w naszej mocy, Paulo. Sama wiesz.

- Tak, wiem. - Popatrzyła na niego przez chwilę, ja zaś wiedziałem, co myśli; myślała, że nie zobaczy go nigdy więcej. A potem pochyliła się nagle i pocałowała go.

- Oby Bóg was strzegł - szepnęła.

- Będzie nas strzegł - zapewnił ją.

Wtedy obróciła się do mnie i wyciągnęła rękę. Ująłem ją i nie mogąc się oprzeć powiedziałem:

- Bardzo żałuję, Paulo. Byłoby lepiej dla pani, gdybym nigdy nie przejeżdżał do Kanady.

Ona jednak zaprzeczyła ruchem głowy.

- To nie pana wina - powiedziała łagodnie. - Oboje chcieliśmy tego samego: prawdy, a prawdy nie można ukryć na zawsze. - I wtedy mnie pocałowała. - Do widzenia, Ian. Cieszę się, że cię poznałam.

Obróciła się znów do Laroche'a, który przez cały ten czas wpatrywał się w nas szeroko rozwartymi oczyma. Kiedy zbieraliśmy nasze rzeczy i już mieliśmy odejść, dźwignął się podpierając łokciem. „Wszystkiego dobrego”. Nie usłyszałem tych słów, tylko je odczytałem z ruchu jego warg. A potem opadł na powrót, Paula zaś pochyliła się nad nim.

- No, dobra - rzekł Darcy zdławionym głosem. - Idziemy.

Odeszliśmy prosto wąską plażą, minęliśmy obydwie mogiły i na wpół zatopiony samolot, i weszliśmy w las idąc tą samą drogą, którą tu przyszliśmy. Nóż, którym Paula zaatakowała Laroche'a, wciąż leżał tam, gdzie go rzuciła, więc go podniosłem i wsunąłem do plecaka. Nie wiem, czemu to zrobiłem; chyba po to, ażeby go tam nie znalazła i żeby jej nie przypominał, co się zdarzyło.

Żaden z nas nie obejrzał się za siebie i po chwili wspięliśmy się już na stok ponad jeziorem, i to nieszczęsne miejsce zniknęło nam z oczu, przesłonięte lasem. Dzień był jasny, pogodny, ale kiedy przeprawiliśmy się przez rzekę przy rozlewisku, zerwał się wiatr dmący niemal jak huragan, a po zimnobłękitnym niebie niosły się poszarpane pasma obłoków.

Nie mieliśmy obciążenia a nie oszczędzaliśmy się, bo było nam bardzo pilno coś zjeść.

Na godzinę przed zapadnięciem nocy znaleźliśmy się nad tym jeziorem, gdzie ja i Laroche pozostawiliśmy naszych towarzyszy. Było tu canoe, namiot, mój plecak i inne rzeczy, które porzucili przed ostatecznym skokiem do Jeziora Lwa. Wszystko wyglądało tak samo, jak kiedy stąd odchodziłem, tyle że wszędzie leżał śnieg i że teraz byliśmy tu tylko my dwaj.

Darcy osunął się na ziemię, zaledwie dostaliśmy do obozu. Pozwolił mi nadawać tempo i nie wytrzymał tego. Rąbiąc drzewo i rozpalając ogień zastanawiałem się, jak zdołamy iść dalej, gdyż odtąd musieliśmy dźwigać canoe, żywność, namiot i cały nasz sprzęt. Jednakże Darcy przyszedł do siebie, kiedy łyknął trochę gorącej kawy, a podjadłszy nabrał dawnego wigoru i nawet powiedział kilka dowcipów.

Gdy tylko się najedliśmy, od razu poszliśmy spać. Była to ostatnia noc z jakimi takimi wygodami, bo rano postanowiliśmy porzucić namiot, a właściwie nawet wszystko z

wyjątkiem ilości pożywienia mogącej wystarczyć nam obu na trzy dni, jednego kociołka, puchowych śpiworów i zapasowych skarpet i podkoszulków. Zjedliśmy olbrzymie śniadanie pchając w siebie, ileśmy tylko mogli, po czym ruszyliśmy przez las dźwigając canoe oraz plecaki.

Potrzeba nam było sześciu godzin, żeby wydostać się z lasu na zwirowatą, przeplataną wodami płaszczynę, i o tym czasie Darcy zataczał się już z wyczerpania. Nie chciał się jednak zatrzymać, więc szliśmy dalej, póki nie dobrnęliśmy do pierwszego jeziora, gdzie można było spuścić canoe na wodę. Twarz Darcy'ego była barwy gipsu, a oddech świszcział mu w gardle. Mimo to szliśmy dalej bez przerwy, kierując się na południowy zachód w nadziei ominięcia najgorszych mszarów. Wiatr ustał i zaczął padać śnieg. Noc zaskoczyła nas bez żadnej osłony, więc ułożyliśmy się w śpiworach na paśmie żwiru, wypełnawszy pod canoe.

Rano świt był szaro-biały: szare niebo, szara woda, białe wzgórza. Na jeziorze przed nami siedziało kilkanaście gęsi, które nawoływały się na małym splachetku wody wpośród świeżo utworzonego lodu. Niestety nie wzięliśmy ze sobą strzelby. Mieliśmy tylko wędkę, a nie było czasu na łowienie ryb.

Nie ma celu opisywać szczegółowo tej straszliwej wędrówki. Zresztą wątpię, czybym to potrafił, bo w miarę jak brnęliśmy przed siebie, mój umysł, zarówno jak ciało, drętwiał coraz bardziej, otępiały ze zmęczenia. Nie mam pojęcia, jak Darcy mógł się utrzymać na nogach. Sprawiała to czysta siła woli, bo jego ciało ustało z wyczerpania jeszcze wcześniej niż moje; toteż choć słabła we mnie energia, wzrastał mój podziw dla niego. Nie poskarżył się ani razu, nie tracił ani przez chwilę nadziei. Po prostu szedł z uporem sięgającym granic wytrzymałości ludzkiej, a nawet je przekraczającym. Właśnie to, bardziej niż cokolwiek innego, umożliwiło mi posuwanie się naprzód, bo zimno było straszliwe, a żywność skończyła nam się na długo, zanim dotarliśmy do Drogi Przewozowej i linii nasypu.

Prześladował nas pech. Najpierw pogoda. Dopadł nas mróz i na wodzie utworzył się lód tak gruby, że w końcu nie mogliśmy używać canoe. Kompas też zawiódł nas na manowce. Prawdopodobnie sprawiły to jakieś złoża rudy żelaznej. W każdym razie rezultat był taki, że nie skierowaliśmy się dostatecznie daleko na południe, i natrafiliśmy na obszar gorszych mszarów niż te, przez które szliśmy w tamtą stronę. Utknęliśmy w nich na całą noc, a kiedy w końcu dobrnęliśmy do otwartej wody, wciąż niosąc canoe, okazało się, że lód jest już za gruby, żeby wiosłować, a jeszcze za cienki, aby wytrzymać nasz ciężar.

Jeszcze tydzień, a moglibyśmy przejść suchą nogą po mszarach i przez wszystkie jeziora. Natomiast w tym stanie rzeczy musieliśmy porzucić canoe i brnąć pieszo dookoła

jezior. A przez cały czas myślałem o Pauli, która pozostała tam, nad Jeziorem Lwa. Dwa razy wydało nam się, że słyszemy samolot lecący nisko na południe. Za pierwszym razem byliśmy tego całkiem pewni. Było to drugiego dnia - jedyne pogodnego dnia naszej wędrówki - i nabraliśmy przekonania, że nas szukają. Ale w owej chwili znajdowaliśmy się w gęstym lesie, a zresztą odgłos był bardzo daleki.

- Pewnie to tylko któryś z pilotów zboczył trochę z kursu - powiedział Darcy, kiedy ów odgłos ścichł nie zbliżając się do nas.

Drugim razem zdarzyło się to w kilka dni później. Nie mogę sobie przypomnieć, którego dnia. Wtedy już utraciłem rachubę czasu. Odgłos przypominał helikopter, ale nie mieliśmy pewności. Byliśmy tacy otumanieni zimnem, wyczerpaniem i brakiem pożywienia, iż nie mogliśmy twierdzić na pewno, że nam się nie przywidziało.

Osiem dni trwała owa wędrówka, a wątpię, czy przez ostatnie dwa zrobiliśmy więcej niż kilka mil. Obaj cierpieliśmy już wtedy od odmrożeń i byliśmy w stanie przejść co najwyżej pięćdziesiąt jardów nie zatrzymując się dla nabrania sił. Od trzech dni już nic nie jedliśmy, a stopy mieliśmy tak odmrożone i obolałe, że poruszaliśmy się z trudnością.

Do Drogi Przewozowej dotarliśmy wieczorem ósmego dnia, tylko po to, by się przekonać, że jest zablokowana zaspami. Od szeregu dni nic nią nie przejeżdżało, tak że byliśmy zmuszeni spędzić jeszcze jedną noc na wolnym powietrzu. Rano zaś Darcy już nie mógł iść dalej. Dotarł do kresu sił i tylko leżał spoglądając na mnie przekrwionymi oczami; jego popękane i szerniałe wargi rozchyłały się odsłaniając zęby, a broda była jednym soplem lodu. Wyglądał bardzo podobnie do Briffe'a w chwili, kiedyśmy go odnaleźli.

- Dasz radę? - zapytał, a te słowa dobyły mu się spomiędzy zębów bez żadnego ruchu warg.

Nic nie odrzekłem, bo odpowiedź wymagała wysiłku, a poza tym nie wiedziałem, czy dam radę. Miałem ochotę tylko położyć się obok niego na śniegu, pogрузić w tym świecie urojeń, ku któremu już zmierzał mój umysł - w tej lotosowej krainie wiecznego słońca i gorącego pożywienia, gdzie rozgrzane deski wyimaginowanej łodzi niosły mnie łagodnie ku horyzontom bezmiernej błogości - bez żadnego wysiłku, bez niewygody.

- Musisz dojść - zachrypiał natarczywie i wiedziałem, że myśli o Pauli, nie o sobie, więc z wolna dźwignąłem się z ziemi.

Rozpalenie mu ogniska wymagałoby zbyt dużego nakładu energii.

- Do widzenia! - Chwilę stałem patrząc na niego, i pamiętam niejasno, że nie wyglądał już jak człowiek, ale jak tłumok starego odzienia leżący w śniegu u moich stóp. - Dojdę na pewno - powiedziałem.

Kiwnął głową, jak gdyby chciał powiedzieć: „Oczywiście, że tak”, po czym zamknął oczy. Zostawiłem go wtedy i zanurzyłem się w las za Drogą Przewozową. Śnieg padał ciągle. Padał z przerwami już od trzech dni i nawet pod osłoną sosen leżał głębokimi na kilka stóp zaspami i kopcami. Jako obraz wyglądało to pięknie. Śnieg był dziewiczo biały, a tak miękki i przytulny jak puchowe łoże. Był także zimny jak wszyscy diabli, a za każdym krokiem czepiał się moich nóg, ud, całego ciała, aż wydawało mi się, że jestem niby topielec w morzu bieli, niezdolny do żadnego ruchu.

Wtedy to właśnie dosłyszałem jakieś głosy. Krzyknąłem, a one zamilkły. Ale zaraz ozwały się ponownie i już wiedziałem, że to nie przywidzenie. Znajdowałem się w pobliżu nasypu i zawołałem powtórnie. A kiedy już raz zacząłem, nie mogłem się powstrzymać i dalej wzywałem krzykiem pomocy, nawet gdy już do mnie doszli - co zresztą może było o tyle nieważne, że dźwięki dobywające się z moich warg nie były donośniej sze od pisku królika schwytanego w pułapkę.

Byli to dwaj inżynierowie sprawdzający linię wytyczoną poprzez jakieś zwały skał, które miano nazajutrz rozsadzać. O pół mili dalej za nasypem mieli namiot i wspólnie doprowadzili mnie do niego, oddali w ręce kucharza i zaraz zawrócili po Darcy'ego.

Moje wspomnienia o tym, co działo się następnie, są fragmentaryczne i niejasne. Leżałem na jakimś łóżku, huczał piecyk naftowy, spoglądały na mnie czyjeś twarze. Wciąż wypytywałem o Landsa, ale nikt z tych ludzi o nim nie słyszał. Przypominało to jakiś koszmar, bo nie wiedziałem, o kogo jeszcze pytać i raz po raz traciłem przytomność. A potem stopniowo ból w odmrożonych stopach przesłonił wszystko inne, i zanim oprzytomniałem, przyniesiono Darcy'ego.

Żył jeszcze, ale mało mu brakowało. Inżynierowie doszli do wniosku, iż jest pięćdziesiąt procent szans, że go się z tego wyciągnie. Obaj domyślili się już, rzecz jasna, kim jesteśmy, i kiedy znowu zapytałem o Landsa, odpowiedzieli mi, że jest w Obozie 290. - Siedział tam cały tydzień i organizował poszukiwania - oświadczył jeden z inżynierów.

Potem dali mi znowu do wypicia coś gorącego i kazali się nie martwić. Trafiliśmy na nasyp daleko na północ od naszego punktu wyjścia, w połowie drogi między mostem a Obozem 290. Ten, kto mi to powiedział, dodał, że zaraz udaje się do Dwieście Dziewięćdziesiątki na nartach. Spodziewał się, że jeśli szczęście mu dopisze, dotrze tam przed zapadnięciem nocy.

Usiłowałem mu wyjaśnić, jak znaleźć Jezioro Lwa, ale wsypali mi do napoju coś nasennego i zanim doszedłem do połowy moich wyjaśnień, znowu straciłem świadomość. A kiedy się ocknąłem, czując w rękach i nogach ostry, pulsujący ból, było już ciemno. Jednakże

wejście do namiotu było odsłonięte i przez nie widziałem światła i chodzących ludzi. Rozległ się warkot motoru i zobaczyłem wóz na gąsienicach podjeżdżający tyłem do namiotu.

- Obawiam się, że są w kiepskiej formie - powiedział czyjś głos. U wejścia zabłysła latarnia, której białe, syczące światło oślepiło mnie na chwilę, a jakiś inny głos powiedział szorstko:

- Czego chcesz; po dwóch tygodniach w puszczy... Pogoda nie jest w sam raz na wycieczkę. - Ten głos taki podobny do zgrzytania dziadka do orzechów przeniósł mnie z powrotem do dnia mojego przybycia do Seven Islands. - Okej - mówił dalej. - Im prędzej ich załadujemy na wóz, tym prędzej będą w szpitalu.

Światło przybliżyło się, aż jego syczący blask znalazł się tuż nade mną.

- Nie śpimy, co, młodzieńcze? - Zobaczyłem wtedy ich twarze w promieniach lampy. Stali nade mną McGovern i Bili Lands, a człowiek trzymający lampę był owym inżynierem, który udał się na nartach do Dwieście Dziewięćdziesiątki. - Mamy samolot, który na was czeka - powiedział McGovern. - Chyba pan wytrzyma jazdę wozem; czy może pan chce jakiś zastrzyk nasenny?

- Nic mi nie potrzeba - odparłem ze złością. - Chcę tylko pomówić z Landsem. - A kiedy stanął przy łóżku, zapytałem. - Dostał pan moją wiadomość... o Pauli i Laroche'u?

- A jakże - odparł. - Ale nie musi pan się martwić...

- Dajcie mi kawałek papieru - przerwałem. - Spróbuję wam narysować mapę.

- Spokojnie - powiedział. - Nie ma się czym przejmować. Nic im nie będzie.

Mówił to tak, jak gdyby zwracał się do dziecka i to mnie rozzłościło, bo wiedziałem, że każda chwila jest cenna.

- Pan nie rozumie! - zawołałem dzwigając się na łóżku. - Laroche jest ranny. Pewnie już teraz nie żyje, a Paula była tam... Ale on chwycił mnie za ramiona.

- Przecież chcę panu powiedzieć - odparł przytrzymując mnie. - Wszystko w porządku. Wydostaliśmy ich oboje w końcu zeszłego tygodnia.

Wytrzeszczyłem nań oczy ledwie mogąc zrozumieć, co mówi.

- Wydostaliście ich?

- Aha. Cztery dni temu. Nie wierzy pan, co? - Roześmiał się i klepnął mnie po ramieniu. - No, ale to prawda, więc może pan odsapnąć. Oboje są bezpieczni w Seven Islands, a dzisiaj miałem wiadomość, że Bert przyjdzie do siebie.

- Więc nadajnik był w porządku? Odebrali moją wiadomość?

Pomyślałem, że mogliśmy zaoszczędzić sobie całej tej wędrówki. Gdybyśmy zostali z Paulą...

- Jaką wiadomość? - zapytał Lands.

- Tego rana, kiedyśmy wyruszyli. Nadawałem przez pełne pół godziny, od siódmej do...

- No więc nikt pana nie słyszał.

- To jakżeście ich znaleźli w takim razie? - Nagle powziąłem podejrzenie, że usiłuje osłodzić nam naszą klęskę.

Myślę, że to odgadł, bo opowiedział mi wszystko ze szczegółami.

- W końcu wydostał ich Len. Pierwszego dnia, kiedy warunki na to pozwoliły, Mac posłał tam swój hydroplan. Ale na jeziorze był lód i chociaż pilot zdołał zrzucić zapasy, nie mógł wodować. W dwa dni później, chociaż warunki były złe, Len zaryzykował i poleciał z Macem helikopterem. Wtedy zabrał Laroche'a i zaraz wrócił się po Paulę i Maca. Później pogoda się popsowała i już nie mogliśmy latać. Len i pilot hydroplanu czekali w gotowości, żeby polecieć was szukać, jak tylko się przetrze.

A więc Paula i Laroche byli bezpieczni. Wydawało się to niewiarygodne. Przymknąłem oczy w świetle lampy i ukazał mi się obraz jeziora i Pauli pochylonej nad Laroche'em. Byliśmy tacy pewni, że umrze. A co do Pauli, to po tak długim czasie pogodziliśmy się z faktem, że jeśli nawet dojdziemy, będzie za późno, aby ją uratować. Ani ja, ani Darcy nie wspomnieliśmy o tym, ale wiedziałem, że doszliśmy do takiego wniosku.

- Ale jakim sposobem znaleźliście to jezioro? - zapytałem.

- To Mac - odrzekł Lands. - Wiedział, gdzie ono jest. Był w Montrealu...

- Chwileczkę, Billu. - Szorstki głos przybliżył się. - Zabierz stąd wszystkich na chwilę. Mam coś do powiedzenia temu młodemu człowiekowi, póki jest jeszcze przytomny. Ujrzałem wtedy wyraźnie jego twarz - pooraną zmarszczkami, twardą twarz w okolicy siwych włosów. Twarze innych cofnęły się. Skrzydło namiotu opadło. - Po pierwsze - rzekł pochylając się i zniżając głos - muszę pana przeprosić. A niewielu jest takich, którym to powiedziałem. Czy pan się domyślił, że wiedziałem o Jeziorze Lwa, kiedyśmy sobie ucięli tę pogawędkę w Seven Islands?

Kiwnąłem głową zastanawiając się, co teraz przyjdzie.

- Aha, tak przypuszczałem. - Przerwał, jak gdyby chciał zebrać myśli. - Wiem od Pauli Briffe, że pan już zna prawdę, jeżeli idzie o to, co tam się stało po rozbiciu samolotu. Zgadza się?

- Tak - odparłem.

- W porządku. A teraz chcę panu powiedzieć jedno. Ta pańska wyprawa to sensacja. Teraz pan jedzie do szpitala, ale jak tylko lekarze pozwolą, dziesiątki dziennikarzy zaczną

pana wypytywać, jak to było. Jeżeli pan powie, że pański ojciec miał rację i że Briffe nadał tę wiadomość, jeżeli pan powie, co tam się naprawdę stało złamie pan życie dwojgu ludziom. Ta dziewczyna już naprawdę dostała za swoje. A co do Berta, to przyszedł do mnie, jak tylko stamtąd wrócił, i opowiedział mi wszystko. I postąpił słusznie. Ja byłem jego szefem. Zatrudniałem go. I dlatego był gotów zastosować się do mojej decyzji. Opowiedział mi, co się stało, co zrobił i dlaczego. Myślał głównie o Pauli, ale fakt faktem, że gdybyśmy tam wtedy polecieeli i zastali Briffe'a przy życiu, musiałby on iść pod sąd za morderstwo. W tych warunkach wydało mi się, że Bert postąpił jak najlepiej. - Zawahał się. - To była prymitywna sprawiedliwość, ale taka, jak my ją widzimy. Musi pan pamiętać, że Bert był przekonany, że Baird już nie żył, zabity tym uderzeniem toporka Briffe'a. - Po chwili zaś dodał: - Chyba pan teraz rozumie, jak się czuliśmy, kiedy pan przyjechał do Seven Islands!

- Co pan chce, żebym zrobił? - spytałem.

- Trzymaj pan język za zębami. Niech świat myśli dalej, że Briffe i Baird nie żyli, kiedy Laroche zostawił ich nad jeziorem. Dobrze? W zamian za to nazwę tę koncesję „Koncesją Fergusona” i dam panu udział w tym, co tam wydobędziemy.

Spojrzałem na niego pamiętając, że też był niegdyś poszukiwaczem złota - jak Briffe, jak mój dziadek.

- Mnie nie potrzeba przekupywać - odparłem ze wzburzeniem.

- Nie. - rzekł. - Na pewno nie. Ale jeżeli pan ma uratować tych dwoje od wielu dalszych nieszczęść, będzie pan musiał zaprzeczyć własnemu ojcu. Będzie pan musiał powiedzieć, że nigdy nie było żadnej transmisji. A jeśli pan tak zrobi, to jest co najmniej sprawiedliwe, żeby dawne odkrycie pańskiego dziadka zostało chociaż uznane. Co zaś się tyczy części tego, co wydobędziemy, to ma pan do niej prawo, bo to jest, można powiedzieć, spadek po starym Jamesie Fergusonie. No? Co pan na to?

Kiedy się zgodziłem, nazbyt zmęczony, aby podkreślać, że nie chcę mieć nic wspólnego z tym miejscem, na twarzy McGoverna pojawił się ów nagły, przeobrażający uśmiech. Poklepał mnie po ręce.

- To byczo - powiedział i dodał: - Może pan się nie martwić tym nadajnikiem. Żaden z pilotów go nie wziął. Był przysypany śniegiem. A kiedy tam czekałem, cisnąłem tę cholere do jeziora. - Obrócił się do wyjścia z namiotu. - Bili! - krzyknął, gdy zaś Lands uniósł skrzydło, rzekł: - Czas na nas.

- No i co? Zgodził się? - zapytał Lands.

- Pewnie, że się zgodził. A coś ty myślał?

Zauważyłem ulgę na twarzy Landsa, kiedy pochylił się nade mną w kręgu światła. Powiedział jednak tylko:

- Okej. Teraz pana zawieziemy na pas startowy.

I tak, mając obok siebie nieprzytomnego Darcy'ego, ruszyłem w drogę powrotną do cywilizacji. Przebywałem na Labradorze zaledwie osiemnaście dni - czas krótki w porównaniu do owych tygodni, które spędziła w tym kraju moja babka. A jednak i ja też dotarłem do Jeziora Lwa i chociaż nie utraciłem życia, byłem tego bardzo bliski. Zostałem wciągnięty w obydwie tragedie - przeszłą i teraźniejszą - i wycierpiałem tyle, co większość ludzi, którzy zapuścili się pieszo do serca tego niegościnnego kraju. A jeśli w tej relacji o mojej wędrówce zanadto się rozwodziłem o warunkach, w jakich się odbywała, to mogę jedynie powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, że jest to wina nie moja, lecz Labradoru.

CZĘŚĆ CZWARTA

Zakończenie

Minęło pięć lat od mojej podróży na Labrador; relację niniejszą spisałem głównie na podstawie notatek, które porobiłem przebywając w szpitalu w Seven Islands. Notatki te nie były przeznaczone do publikacji. Stanowiły czysto osobisty pamiętnik, napisany w formie dziennika, a do tej pracy dodawała mi bodźca lektura skrupulatnych, codziennych zapisków mojej babki, której dziennik dotarł do moich rąk nazajutrz po przybyciu do szpitala.

Jednakże okoliczności się zmieniają.

Od chwili gdy Laroche uzyskał zezwolenie na przyjmowanie odwiedzin, był nękanym przez reporterów, co trwało przez cały okres jego rekonwalescencji, a nawet po ślubie z Paulą. Kiedy zaś „Koncesje Fergusona, Spółka z Ograniczoną Odpowiedzialnością” została zarejestrowana jako towarzystwo prywatne, a gazety zaczęły drukować bałamutne wersje dawnej wyprawy Fergusona, państwo Laroche nie mogli znieść tego dłużej i wyemigrowali, zarazem zmieniając nazwisko.

O tym czasie zarówno Darcy jak ja zdążyliśmy już wyjechać. Darcy powrócił na Labrador, straciwszy większość palców u stóp i chodząc o lasce. Ale jak mówił, „kilka palców mniej nie wpływa na sposób łowienia ryb, a mogę jeszcze malować”. Pozostawiłem tego nieugiętego człowieka w Seven Islands, bo musiałem się udać do Afryki Południowej, ażeby tam objąć posadę w pewnej kanadyjskiej spółce konstrukcyjnej prowadzącej budowę tamy.

Wraz z odjazdem czworga głównych osób zainteresowanie całą historią osłabło. Jednakże przypuszczam, iż było nieuniknione, że prędzej czy później jakiś przedsiębiorczy dziennikarz zabierze się do dociekań na szeroką skalę i dojdzie do takich samych wniosków, do takich samych podejrzeń jak te, co zaciemniły moją ocenę Laroche’a.

Oczywiście dużo się na ten temat mówiło. Ale dopiero przypadkowe spotkanie w barze z Perkinsem pchnęło od razu owego dziennikarza na Labrador. Był jedynym przedstawicielem prasy, który odwiedził Jezioro Lwa, a przybył tam w momencie, gdy Spółka „Koncesje Fergusona” rozmontowywała swój sprzęt tak gruntownie przekopawszy teren, że cała rzecz przestała być opłacalna, a nie znalazłszy źródła złota. W owym momencie nikt nie dbał o to, że jakiś obcy wałęsa się po koncesji. Dziennikarz odgrzebał szczątki mojego dziadka, a potem zwłoki Briffe’a i Bairda, które McGovern kazał pochować jak należy. Potem wytropił i wypytał wszystkich, którzy byli w jakiś sposób związani z tą sprawą. Dotarł

nawet do pielęgniarek, które opiekowały się Laroche'em, i kazał im opisać rodzaj odniesionych obrażeń.

Powstały w wyniku tego artykuł, który ukazał się w jednym z czasopism kanadyjskich, wprawdzie unikał wszelkich bezpośrednich oskarżeń, lecz został napisany z punktu widzenia, że historia się powtarza. „Jaki dziadek, taki wnuk” - oto oklepane zdanie użyte przez autora, który podkreślał, że Paula i Bert Laroche mają udziały w „Koncesjach Ferguson”. Pomówienie było wyraźne i znacznie gorsze niż wszystko, o co kiedykolwiek obwiniałem Laroche'a, a dotyczyło ich obojga.

Artykuł ten przesłał mi Laroche, który w dołączonym liście pisał, że nie ma zamiaru kierować sprawy do sądu, ale jednocześnie doszedł wraz z żoną do wniosku, że lepiej, aby poznano prawdę. Wiedział, że napisałem coś w rodzaju kroniki moich trzech tygodni na Labradorze, bo w szpitalu leżałem w tym samym pokoju, co on - i teraz prosił mnie, abym ją posłał do jakiejś kanadyjskiej gazety w celu opublikowania. „Lepiej, żeby to wyszło od pana - pisał w zakończeniu - niż od kogoś bezpośrednio zainteresowanego, a zwłaszcza ode mnie. Przez cały czas był pan dociekliwym człowiekiem z zewnątrz, poszukującym prawdy”.

Starłem się mieć to stale na uwadze przez długie miesiące pisania. I mam nadzieję, że w wyniku tego oddałem sprawiedliwość dwojgu ludziom, dla których czuję wiele podziwu i na których życiu zaciążyła tragedia nie będąca ich winą. A uważam, że na zakończenie nie mogę zrobić nic lepszego, niż zacytować ostatni fragment dziennika owej niezwyklej kobiety, Aleksandry Ferguson: „Tak więc, dzięki bożej pomocy oraz dzielności ludzi, których zabrałam ze sobą, powróciłam zdrowa i cała z Labradoru, spędziwszy w owym posępnym kraju sto cztery dni. Opuściłam mojego małego synka i mój dom w Szkocji, ażeby wykryć prawdę o śmierci mego drogiego męża, i to mi się nie powiodło. Nie wrócę już więcej do tego kraju, ale w dniu, kiedy mój syn osiągnie pełnoletniość, wręczę mu te zapiski. Oby dobry Bóg poprowadził go do tego jeziora oraz do prawdy, jakakolwiek ona jest”.